

PRZEGLĄD POLITYCZNY

**I GDAŃSKI KONGRES LIBERAŁÓW
-materiały,**

**JANUSZ LEWANDOWSKI - Wielkość i
samotność Raymonda Arona,**

**RAYMOND ARON - Koniec wieku
ideologii,**

**HENRYKA DOBOSZ, ADAM KINASZEWSKI
I ANDRZEJ ZARĘBSKI o Lechu Wałęsie,
rozmowy ze STEFANEM KISIELEWSKIM
i AGNIESZKĄ HOLLAND**

WYDAWNICTWO

LITERY

GDANSK 1989

12

SPIS TREŚCI

Gdańskie Towarzystwo Społeczno-Gospodarcze "Kongres Liberalistów" - deklaracja ideowa	3
MATERIAŁY I GDAŃSKIEGO KONGRESU LIBERALIÓW /10-11. 12. 1989/	
Wprowadzenie	5
<i>Donald Tusk</i>	
Prawo do polityki	6
<i>Lech Mażewski</i>	
Mechanizm rządzenia w nowej konstytucji	10
<i>Janusz Lewandowski i Jan Szomburg</i>	
Własność jako próg reformy gospodarczej	20
<i>Krzysztof Bielecki i Jan Majewski</i>	
Nowa przedsiębiorczość w Gdańsku - ocena zjawiska	29
<i>Bolesław Kościukiewicz, Zbigniew Markowski i Witold Toczyski</i>	
W poszukiwaniu modelu regionalnego	35
<i>Lech Mażewski</i>	
Model władzy lokalnej	45
<i>Tadeusz Aziewicz</i>	
Dwie drogi	53
Zapis dyskusji /fragmenty/	58
SYLWETKI	
<i>Janusz Lewandowski</i>	
Wielkość i samotność Raymonda Arona	76
<i>Raymond Aron</i>	
Koniec wieku ideologii	114
<i>wywiad ze Stefanem Kisielewskim</i>	
To wciąż jeszcze komunizm	127
WAŁĘSA	
<i>Henryka Dobosz</i>	
Lech Wałęsa - autoportret /dwie rozmowy/ "Jestem przywódcą"	134
"Nie myślę przegrywać, myślę wygrywać"	144
<i>Andrzej Zarębski</i>	
Gramatyka Wałęsy	154
<i>Adam Kinaszewski</i>	
Wałęsa '89	156

<i>rozmowa z Agnieszką Holland</i>	
"Nie chciałam robić tego filmu na kolanach..."	161
<i>Marek Adamiec</i>	
Olaboga, panie Konwicki... ..	171
<i>Mariusz Wilk</i>	
Czytając "Dziennik" Leopolda Tyrmanda	177

Redaguje zespół: Piotr Kapczyński, Jacek Kozłowski, Donald Tusk /redaktor naczelny/, Marek Zająkała, Andrzej Zarębski.

Adres do korespondencji: Jacek Kozłowski, 81 068 Gdynia, ul. Wiejska 25A.

GDAŃSKIE TOWARZYSTWO SPOŁECZNO-GOSPODARCZE "KONGRES LIBERAŁÓW"

24 lutego 1989 roku złożony został wniosek o rejestrację Gdańskiego Towarzystwa Społeczno-Gospodarczego "Kongres Liberałów". Taką formę organizacyjną obrało środowisko liberałów i przedsiębiorców, które rozwinęło się w latach osiemdziesiątych, zaznaczając się z rosnącą siłą na mapie ideowej i gospodarczej Wybrzeża Gdańskiego. Środowisko to współorganizowało i animowało w ostatnich latach m.in. koalicyjny Klub Polityczny im. Lecha Bądkowskiego, Gdańską Inicjatywę Obywatelską oraz Gdańskie Stowarzyszenie Akademickie. Po odbytych w grudniu 1988 roku kongresie programowym zapadła decyzja o powołaniu własnego stowarzyszenia, którego organem pozostaje "Przegląd Polityczny", uzupełniony przez biuletyn informacyjny pod tytułem "Kongresman". Zainicjowano afiliowane przy Towarzystwie Klub Przedsiębiorców i Klub Juniorów Gospodarki, nawiązując kontakty z pokrewnymi ugrupowaniami w kraju i za granicą. Cele i rodowód Gdańskiego Towarzystwa Społeczno-Gospodarczego "Kongres Liberałów" wyjaśnia zamieszczona niżej "Deklaracja ideowa".

W imieniu założycieli:

Tadeusz Aziewicz,
Jan Krzysztof Bielecki,
Andrzej Ereciński,
Dariusz Filar,
Jacek Kozłowski,
Janusz Lewandowski,
Lech Mażewski,
Miroslaw Mironowicz,
Waldemar Misiewicz,
Ryszard Strzyżewicz,
Jan Szomburg,
Donald Tusk,
Andrzej Zarębski.

DEKLARACJA IDEOWA

Gdańskie Towarzystwo Społeczno-Gospodarcze "Kongres Liberałów" podejmuje działalność publiczną na rzecz odrodzenia polskiej gospodarki i kultury politycznej narodu, niezbędnych po to, by potwierdzić miejsce Polski we wspólnocie narodów europejskich. Czujemy się spadkobiercami tradycji myśli liberalnej i etyki chrześcijańskiej stanowiących kulturowy rdzeń wolnego społeczeństwa. Wolność i odpowiedzialność osoby ludzkiej, własność prywatna jako materialna rękojmia wolności, tolerancja i pluralizm, swoboda inicjatyw gospodarczych i stowarzyszeń, rządy pra-

wa - oto naturalny fundament, na którym warastają praktyczne wzory gospodarki rynkowej i demokracji parlamentarnej, będące naszą inspiracją.

Podejmując tu i teraz dzieło rehabilitacji systemu wartości i instytucjonalnego ładu konstytuującego wolne społeczeństwo, jesteśmy świadomi ograniczeń, jakie narzuca długoletnia spuścizna totalitaryzmu. Dlatego na progu naszej pracy obliczonej na długi dystans stawiamy sobie następujące zadania:

- wspaganie prywatnej przedsiębiorczości i innych form aktywności ekonomicznej obywateli,
- działanie na rzecz reprivatyzacji polskiej gospodarki i uwłaszczenia obywateli,
- odbudowa etosu przedsiębiorczości, kultury pracy i klimatu społecznego zaufania do instytucji rynku i własności prywatnej,
- inspirowanie autentycznych form samoorganizacji środowiska gospodarczego dla obrony jego interesów,
- dążenie do pełnej demokratyzacji życia na szczeblu podstawowym i regionalnym,
- działanie na rzecz stopniowej demokratyzacji centralnych instytucji politycznych i przebudowy ładu konstytucyjnego.

Powyższa hierarchia zadań wynika z naszego przeświadczenia, że zainicjowane w Polsce procesy demokratyzacji życia politycznego są poważnie zagrożone w warunkach rozkładu gospodarki i zubożenia ludności naszego kraju. Dotkliwy kryzys materialny odbiera ludziom nadzieję, wzmacnia postawy roszczeniowe i antagonizmy grupowe, nastroje emigracyjne i populistyczne przesady, z których nie zrodzi się zdrowa demokracja i które nie przybliżą nas do Europy. Odrodzenie społeczne nie jest możliwe na gruncie zbiurokratyzowanej i nieefektywnej gospodarki państwowej. Niezbędna jest śmiała przebudowa struktur gospodarczych i reforma własności, otwierająca przed dzisiejszym proletariatem robotniczym i urzędniczym historyczną perspektywę transformacji w warstwy średnie, stanowiące fundament stabilnej demokracji. Pragniemy konsolidować środowiska będące naturalnym nośnikiem takiego programu.

Deklarując wolę współpracy z ruchem towarzystw gospodarczych oraz ugrupowaniami liberalno-demokratycznymi w kraju i za granicą, pragniemy nade wszystko uruchomić energię gospodarczą i twórczą pracę w Gdańsku, pamiętając, że niegdyś stanowiął on dumne miejsce na mapie gospodarczej Europy. Tu chcemy ożywić ludzkie ambicje i otwierać możliwości godnego życia, sprzyjać formowaniu gospodarczych i umysłowych elit, mogących być naszym przewodnikiem na drodze cywilizacyjnego awansu. Oparciem dla naszego ruchu jest niezależna przedsiębiorczość i kręgi intelektualne Wybrzeża Gdańskiego. Nawijujemy do tradycji "Przeglądu Politycznego" i myśli programowej I Gdańskiego Kongresu Liberalistów, który odegrał decydującą rolę w konsolidacji naszego środowiska.

I GDAŃSKI KONGRES LIBERAŁÓW /10-11.12.1989/

materiały

WPROWADZENIE

W dniach 10-11 grudnia 1988 roku w siedzibie Gdańskiego Towarzystwa Naukowego odbył się I Gdański Kongres Liberalistów. Część merytoryczna obrad zatytułowana była "Laissez-faire - liberalna alternatywa". Organizatorem Kongresu było środowisko "Przeglądu Politycznego". W spotkaniu uczestniczyło około stu zaproszonych gości z Gdańska, Krakowa, Warszawy, Wrocławia, Kielc, Poznania, Torunia i Lublina reprezentujących m.in. Krakowskie Towarzystwo Przemysłowe, Staropolskie Towarzystwo Przemysłowe, Warszawskie Towarzystwo Gospodarcze, Ruch Polityki Realnej, Akcję Gospodarczą, Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, Gdański Klub Samorządowy, Gdańskie Stowarzyszenie Akademickie, Gdański Klub Polityczny im. Lecha Bądkowskiego, Gdańską Inicjatywę Obywatelską, Gdańskie Towarzystwo Polityczne "Młoda Polska", gdański Akademicki Klub Liberalny. Byli także przedstawiciele prasy oficjalnej, niezależnej, emigracyjnej i zagranicznej.

Obrady składały się z trzech sesji. Pierwsza, prowadzona przez Dariusza Filara, odbyła się 10 grudnia w godzinach południowych. W jej trakcie wygłoszono dwa referaty /"Prawo do polityki" Donalda Tuska i "Mechanizm rządzenia w nowej konstytucji" Lecha Mażewskiego/, po czym otwarto dyskusję. Po przerwie rozpoczęła się druga sesja, prowadzona przez Andrzeja Zarębskiego, na którą złożyła się dwa referaty: Janusza Lewandowskiego i Jana Szomburga - "Własność jako próg reformy gospodarczej" oraz Jana Krzysztofa Bieleckiego i Jana Majewskiego - "Nowa przedsiębiorczość w Gdańsku - ocena zjawiska" i dyskusja. Pierwszy dzień Kongresu zamknął wieczorny bankiet.

12 grudnia w południe rozpoczęła się trzecia sesja, prowadzona przez Janusza Lewandowskiego. Wygłoszono referat "W poszukiwaniu modelu regionalnego" autorstwa Bolesława Kościukiewicza, Zbigniewa Markowskiego, Witolda Toczyńskiego i Lecha Mażewskiego, a następnie przedstawiono komunikaty o przedsięwzięciach regionalnych. Swoje środowiska przedstawili również goście spoza Gdańska.

Niżej prezentujemy komplet referatów oraz wystąpienie Tadeusza Asiewicza, które ujęto na piśmie. W dalszej części materiałów rekonstruujemy dyskusję. Skróceno poszczególne głosy, usunięto także powtórzenia i dygresje. Część dyskusji z powodów technicznych nie została spisana.

Donald Tusk

PRAWO DO POLITYKI

Wiosną tego roku minęło pięć lat od ukazania się pierwszego numeru "Przeglądu Politycznego". Był to wówczas skromniutki objętościowo i niezbyt czytelny zeszyt w nakładzie czterystu egzemplarzy, redagowany przez dwie osoby. Samo przedsięwzięcie wydawało się wtedy dość karkołomne - bawić się w wydawanie liberalnego pisma nastawionego na dłuższą perspektywę polityczną i intelektualny dystans wobec podziemnych sporów, w czasie gdy główną sceną polityczną wciąż pozostawała ulica, w Gdańsku częściej niż w innych miastach przegradzana barykadami. Ów "intelektualny dystans" był w pierwszych miesiącach istnienia "Przeglądu" bardziej intencją niż faktem, ponieważ jego redaktorzy i późniejsi współpracownicy bez wyjątku chyba zaangażowani byli mniej lub bardziej w organizowanie solidarnościowego oporu. Jednak pokusa posiadania własnej trybuny, będącej równocześnie miejscem spotkania dla tych, których dość trafnie rozpoznawaliśmy jako ideowych krewniaków, otóż ta pokusa zwyciężyła.

Gdyby zastanowić się nad genezą środowiska, którego opinie wyraża "Przegląd", a które czasami nazywane jest gdańskim środowiskiem liberalnym, to z całą pewnością moment wydania owego pierwszego numeru uznać by trzeba za ważną cezurę. Jednak już dużo wcześniej funkcjonowały w Gdańsku osoby i grupy publicznie aktywne, które w swym myśleniu o polityce mniej lub bardziej wyraźnie nawiązywały do tradycji liberalnej. Byli wśród nich założyciele Niezależnego Zrzeszenia Studentów, młodzi eksperci "Solidarności" i ruchu samorządowego, niezależni dziennikarze i wydawcy. To m.in. ich wysiłkiem wydawano pisma "Delta", "Reduta", "Latarnia", "Motyw", "CDN", "Gdańsk", to dzięki ich pracy funkcjonowały wydawnictwa niezależne "Alternatywy", "Litery", "Druk", "Suplement 2", w których dorobku znajduje się choćby jedyne w Polsce wydanie *Głównych nurtów marksizmu* Kotakowskiego.

Wcześniej jeszcze były doświadczenia niezwykle ważące na politycznych życiorysach tego pokolenia gdańszczan. Nie sposób przecenić wpływ grudniowej rewolty z roku 1970, która z taką dobitnością obnażyła niedzę komunistycznej ideologii, kłamliwość propagandy, okrucieństwo i bezwzględność władzy. Grudzień miał być jednym z głównych tematów spotkań studentów z WZZ-ami, które zastępowały nam polityczne salony, tak charakterystyczne dla Warszawy czy Krakowa. Gdańska opozycja pozabawiona była intelektualnych autorytetów, ideowe spory miały niższą temperaturę i poziom, ale rozmowy z wolnymi związkowcami, późniejszymi przywódcami "Solidarności", miały swoją wartość.

Żywiłowe zaangażowanie się w posierpniowy ruch było więc dla nas czymś oczywistym, naturalną konsekwencją dotychczasowych działań i sposobu myślenia. Nie funkcjonowaliśmy w "Solidarności" jako grupa świadoma własnych celów, politycznie i ideowo określona i wyróżniona. W radykalnym zamęcie łatwiej uczyć się rewolucyjnej retoryki, niż wczytywać w elementarz myśli politycznej. Był to czas praktycznych wyborów i zaangażowań, w którym trudno było znaleźć miejsce na chłodną refleksję. To, że nie zostaliśmy hunwejbiniami polskiej rewolucji zawdzięczamy pewnie skażeniu grzechem wątpliwości i sceptycyzmu, a także niezдоровymi kosmopolitycznymi zainteresowaniami. W czasie, gdy jeszcze nikt nie domyślał się, że polskie święto będzie

trwało tylko 16 miesięcy, a "Solidarność" pochłaniała cały nasz czas, w naszych rozmowach pojawiać się zaczęły nowe hasła i kategorie, nieobecne w słownikach oficjalnych i związkowych dyskusjach. Wolny rynek, indywidualizm, prawo własności - dla młodszych z nas była to egzotyka, *terra incognita*, ale pociągająca obietnicą wyjścia z zakłętą kręgu polskich niemożności i dylematów w rodzaju "wejdą - nie wejdą". Odkrywaliśmy nazwiska autorów /niektórzy nawet czytali ich książki/ obce absolutom humanistycznych studiów w Polsce: Raymonda Arona, Friedricha Hayeka czy Alexa Tocqueville'a. Za punkt honoru uznaliśmy upowszechnienie wśród gdańskiej inteligencji ich myśli.

Kłęsa "Solidarności" przyćpiężyła dojrzewanie środowiska. Burzliwe miesiącze stanu wojennego, naznaczone internowaniami, więzzeniami i romantyzmem konspiracji, po pierwszym wybuchu emocji sprzyjały krytycznemu namysłowi nad przeszłością, a niepowodzenia solidarnościowego podziemia zmuszały do poszukiwań. Tak pisaliśmy o tym w "Przeglądzie": "Na Wybrzeżu Gdańskim pozostał /mimo emigracyjnej fali/ cały zastęp ludzi, którzy w latach 1980-1981 odegrali jakąś rolę publiczną wykreowani na lokalne i środowiskowe autorytety, co stało się dla nich w późniejszym okresie istotnym zobowiązaniem. Pokolenie 'Solidarności' poszukiwało sposobu na życie w nowych warunkach, ograniczone niekiedy berufsverbotem, częściej splecione dobrowolnym udziałem we froncie odmowy, moralną autocenzurą i nieformalnymi kodeksami środowiskowymi, rygorystycznie rozgraniczającym przestrzeń kolaboracji i niekolaboracji. Ten potencjał ludzki tworzył własną przestrzeń życiową w szczelinach systemu, wywierał ciśnienie na poszerzenie polskiej normy, przewartościował doświadczenie 'Solidarności' i przedsolidarnościowej opozycji."

Ukształtował się w ten sposób wewnętrzny program minimum: własne czasopismo, własne wydawnictwo /oba funkcjonujące w podziemiu/, materialna niezależność od państwa. Tę ostatnią było nie tak trudno osiągnąć szczególnie w Gdańsku, dzięki pracy samorodnych talentów menadżerskich tworzących i prowadzących dziesiątki spółdzielni i spółek. Gdańscy liberałowie stali się trochę mimo woli i zainteresowań uczestnikami tego boomu. Dziś są wśród nich dyrektorzy spółek, członkowie rad nadzorczych i udziałowcy. Współtworzenie przez nas nowej przedsiębiorczości dało nie tylko niezależność finansową od państwowego pracodawcy i komfort wynikający z poczucia bycia u siebie, ale także mnogość nowych kontaktów i możliwość obejrzenia komunistycznej gospodarki od wewnątrz. Uświadamiało również - poprzez ekonomiczną praktykę - jak bardzo trudny i skomplikowany będzie proces "unormalniania" gospodarki i że wymagać będzie on koncepcji oryginalnych, które w ograniczonym stopniu korzystać będą mogły z doświadczeń innych społeczeństw.

"Przegląd Polityczny" stawał się powoli miejscem, w którym starał się artykułować poglądy i propozycje całej naszej zbiorowości. Naczelny jego zadaniem pozostawało wciąż upowszechnianie myśli liberalnej w jej klasycznym wydaniu. Fascynacja dorobkiem myślowym wielkich Anglosasów i Francuzów niósła ze sobą jednak ryzyko ucieczki od rzeczywistości. W Polsce dzisiejszej daje się bowiem zauważyć dość powszechną tendencję dogmatycznego odczytywania klasyków, niezależnie od ich proweniencji. Do absurdu prowadzą próby wcielania w życie, czyli w polityczną praktykę opozycji, gotowych recept tworzących w innych warunkach na użytek innych problemów. Wszyscy pragniemy strzec zasad i wartości uniwersalnych i nie podlegających redukcji. Nie uzasadnia to jednak wiary w istnienie uniwersalnych programów. Jest ona wyrazem intelektualnego lenistwa i politycznej skierozy. "Liberalizm - jak pisał Alan Grimes - nie jest jakąś niezmienną wiarą, jakimś nieruchomym dogmatem, dogmatyzm bowiem pociąga samogórnianie się. Jest on postawą roboczą wobec problemów społecznych, postawą określającą rolę rozumu i pomysłowości. Gdyby poprzestawał on na wczor-

rajszych wnioskach, rychło by uległ autorytatywnym ograniczeniom nakładanym na wczorajsze reguły. W miarę tego, jak instytucje społeczne zmieniają się, nowe zasady wyzwolenia muszą być stwarzane w oparciu o konieczności potrzeby odczuwanej obecnie. Liberalizm przestaje być w istocie liberalny, gdy wytarte slogany zastępują mu badawcze poszukiwanie, gdy polegac zaczyna na wczorajszych formułkach jako odpowiedziach ostatecznych".

Im więcej klasyków publikowaliśmy, tym bardziej rosły nasze obawy, że w polskiej rzeczywistości postawa liberalna łatwo może sprowadzić się do klerkizmu i akademickiej dyskusji. Jakie praktyczne znaczenie dla nas mogły mieć metody zarządzania społeczeństw wolnego świata? Jaki można mieć pożytek z liberalnej filozofii w państwie nieograniczonej władzy policjanta i funkcjonariusza partyjnego? Po brutalnym rozbiću "Solidarności" takie słowa jak kompromis, ewolucja, realizm, odpowiedzialność nabrały dwuznacznego charakteru. Liberalizm nie powstał jako recepta na komunizm, jako podręcznik praktycznych zachowań w warunkach totalitarnych czy posttotalitarnych. "Liberalizm jest raczej wiarą w ewolucję niż w rewolucję" - pisał Karl Popper i dla wielu jego czytelników w Polsce wygodniej było zapomnieć drugą część tego zdania: "chyba że dochodzi do konfrontacji z tyranią". Nie wnikać głębiej w ten problem stwierdzić możemy, że liberalne dziedzictwo odbierane bezkrytycznie jest dość kłopotliwym dobytkiem: mechaniczne przenoszenie koncepcji i programów społeczeństw tradycyjnie demokratycznych było i jest niemożliwe. Przyjęcie liberalizmu jako ideologicznej podstawy politycznego działania w państwie komunistycznym jest bezprecedensowym eksperymentem, wymagającym oryginalnej interpretacji i swoistych metod działania.

Działanie właśnie, zgodnie z pewną ideową wizją, ale równocześnie przynoszące konkretne efekty społeczne, ekonomiczne i polityczne, było naszą pierwotną potrzebą. Coraz trudniej było je prowadzić w konspiracji, w ostatnim czasie powszechnym stało się przekonanie, że dotychczasowe formy działania niezależnego, wykształcone w okresie stanu wojennego, stają się coraz mniej funkcjonalne, fatalnie też wpływają na styl politycznego myślenia. Zmniejszało się znaczenie polityczne i społeczny prestiż podziemia, a równoległe pojawiły się w tonie opozycji, szczególnie tych formacji, które czasami określa się mianem "nowej prawicy", poglądy o konieczności strategicznych zmian w koncepcji walki z komunizmem. Zmieniały się również warunki zewnętrzne, zmalała opresywność systemu, zelaża też wyraźnie "mroz od wschodu". Polska stawała się krajem, w którym niezależne zaangażowanie publiczne nie musiało być organizowaniem permanentnego buntu. Nadchodził powoli czas polityki.

Wiele środowisk w całym kraju zareagowało na nową sytuację w podobny sposób: powstawać zaczęły towarzystwa gospodarcze, kluby, stowarzyszenia, rodziły się inicjatywy obywatelskie. W Gdańsku pierwszą taką udaną próbą było powołanie Gdańskiego Klubu Politycznego im. Lecha Bądkowskiego przez środowisko "Polityki Polskiej" przy współdziałaniu m.in. naszej grupy. Był to rezultat przyjętych przez nas takich oto preferencji: ważniejsza od zwalczania pewnego zastanego układu, od uderzenia i rozbijania władzy, jest próba podjęcia działania pozytywnego, polegającego na wypełnianiu luk, na ograniczaniu tej władzy, jej omnipotencji i wszędobylskiej zachłanności. Wydarła władzy /bo przecież nie otrzymana w prezencie/ przestrzeń społeczna musi być zagospodarowana. Wiele wskazuje na to, że władza zaczyna postrzegać własny interes w ograniczaniu etatyzmu. Trzeba jej w tym pomóc poprzez z jednej strony organizowanie presji społecznej, konsekwentnego przymuszania, a z drugiej przez budowanie infrastruktury społecznej, politycznej i gospodarczej mogącej owe wolne pola wypełnić. Pierwszym krokiem jest ułożenie tuż przed sobą i wyczerpanie możliwości, które...

stowarzyszeń, fundacji, organizacji gospodarczych oraz żądanie równouprawnienia sektorów prywatnego, spółdzielczego i państwowego. W tych sprawach posunęliśmy się wyraźnie do przodu.

Osiągnięcia tego typu nie dają oczywiście pełnej satysfakcji. Niezależnie od ilości spółek i klubów, i zakresu wolności słowa /tu postęp jest chyba największy/ Polska pozostaje wciąż państwem zdecydowanie niedemokratycznym, etatystycznym, niepraworządnym. Pałacą sprawą jest zmiana konstytucji, która musi stać się zespołem określonych gwarancji, które rzeczywiście powściągają i krępują dysponentów władzy. Nie wystarczy jednak domagać się dobrej konstytucji, tak jak nic nie da żądanie dobrej władzy. Naszym zadaniem jest /podjęliśmy je zresztą/ konstruowanie propozycji, konkretów, a dopiero wtedy organizowanie nacisku w celu ich wdrażania. Przykład konstytucji można rozciągnąć na całą praktykę liberalnego działania, które nie sprowadza się do wygószczenia polskiego postulatów nr 1: "żądamy, żeby było lepiej", ale polega na szczegółowym określeniu co chcemy robić, jak chcemy i przede wszystkim, że ludzie mogą to sami zrobić i zrobić to lepiej niż władza którąkolwiek szczebla.

Otwarta pozostaje kwestia, czy liberałowie powinni poprzestać na podpowiadaniu, oświecaniu, ekspertyzie, czy też dążyć do bycia podmiotem politycznych przemian. Nie mamy tu ukrytej odpowiedzi. Jak dotychczas nasz polityczny temperament lokowaliśmy w inicjatywach regionalnych, od prywatnej szkoły poczynawszy, za pomocą strajkującym robotnikom skończywszy. Nie można jednak wykluczyć, że pojawi się potrzeba, również w naszym gronie, budowy szerszej płaszczyzny. Dzisiejsze spotkanie ma przecież służyć między innymi bliższemu poznaniu się grup i środowisk, które przyjęły za swoją ideę wolności. Otwartych kwestii jest znacznie więcej, pojawią się z pewnością w trakcie dyskusji.

Nie proponujemy nikomu gotowego programu, nie mamy porwijających wizji, nie przeprowadzamy spektakularnych akcji. Mamy jednak własne wyobrażenie Polski przyszłości, wyobrażenie wyrastające z przyjętych przez nas elementarnych zasad i wartości. Chcemy zmierzać do Polski, w której władza pochodząca będzie z woli wyborców, ale która równocześnie będzie władzą ograniczoną prawem i obywatelskimi gwarancjami, w której uznawać się będzie pierwszeństwo osoby przed instytucją, w której zagwarantowane będzie prawo do własności, gdyż wolność wymaga własności. "To nic nowego!" - ktoś powie. I będzie miał rację. Ale wszelkie nowe pomysły, te wszystkie "trzecie drogi", "nieburżazyjne społeczeństwa obywatelskie", "socjalizmy z ludzką twarzą", "solidaryzmy" tracą utopię i polityczną fikcją. Tego towaru mamy wciąż jeszcze w nadmiarze.

Polacy stają się powoli społeczeństwem obywatelskim, z całkiem niezłe wykształconymi elitami politycznymi, ze wzrastającą kulturą polityczną. Ostatnie dziesięć lat zdynamizowało proces otwarzania, czy powstawania *civil society*. "U ludów źle rządzonych - pisał Tocqueville - łatwo budzi się pragnienie, by rządzić się samodzielnie; ale takie umiłowanie niezależności, zrodzone ze szczególnego i przejściowego zła, które niesie ze sobą despotyzm, nigdy nie jest trwałe; przemija wraz z przyczyną, która dała mu istnienie; ludzie sądzą, że kochają wolność, tymczasem okazuje się, że jedynie nienawidzili władcy i pana". Z perspektywy tych właśnie dziesięciu lat widać, że nie o Polakach są to słowa. Przynajmniej nie o wszystkich.

Lech Mażewski

MECHANIZM RZĄDZENIA W NOWEJ KONSTITUCJI

Do niedawna wydawało mi się, że pierwszoplanowym zadaniem jest zastąpienie martwej już w Polsce struktury totalitaryzmu instytucjami praworządneho państwa autorytarneho. Przypomnę tylko, że przez praworządne państwo autorytarne rozumieć należy ustrój państwowy, w którym władza publiczna nie posiada, co prawda, demokratycznej legitymacji /a więc jej działania nie są oparte na woli większości wyrażonej w wolnych wyborach/, ale w swych działaniach jest ograniczona i kontrolowana. Istotne jest tu, że limity w funkcjonowaniu autorytarnej władzy mają zarówno charakter faktyczny, jak instytucjonalny.

Koncepcję autorytarneho państwa praworządneho traktować należy jako konieczne minimum, minimalny program reformy państwa, utrzymujący z konieczności monopol władzy politycznej w rękach aktualnej warstwy rządzącej. Tymczasem - w wyniku dwóch fal strajkowych - zmienił się układ stosunków między władzą a społeczeństwem. Możliwe może okazać się naruszenie przez opozycję polityczną monopolu władzy politycznej pozostającego w rękach komunistów.

NOWA KONSTITUCJA

Partycypacja opozycji w sprawowaniu władzy politycznej wymaga wypracowania innego, niż dotychczasowy, mechanizmu rządzenia. Konstytucja z 1952 roku - oparta na bezkonfliktowej wizji rozwoju państwa i społeczeństwa - musi być zastąpiona przez nową ustawę zasadniczą. Konieczne byłoby tu nawiązanie do tradycji kompromisu dylatoryjnego. Chodziłoby zatem o ustanowienie takiej formuły, w której nie rozstrzyga się zagadnienia władzy w sposób ostateczny, lecz oddaje się jego każdorazowe rozstrzygnięcie dynamice sił ustrojowych, gwarantując równocześnie każdej z istniejących sił jej własne stanowisko w aparacie rozstrzygającym.

W nowej konstytucji budowę centralnego aparatu państwa oprócz należy na funkcjonowaniu dwóch instytucji: monokratycznej głowy państwa i dwuzłobowego parlamentu. Działanie tych organów winno dać silną władzę państwa /silną *consensusum* obywateli, a nie użyciem przemocy/ oraz instytucjonalną strukturę kompromisu między władzą a społeczeństwem. Nowy model władzy publicznej mógłby również odegrać istotną rolę w czekającym Polskę przechodzeniu - zapewne bolesnym - od gospodarki nakazowej do rynkowej.

POZYCJA USTROJOWA PREZYDENTA

Prezydent Rzeczypospolitej pochodziłby z wyborów bezpośrednich, lecz prawo zgłaszania kandydatur na ten urząd /dwie osoby/ miałaby tylko PZPR. Kadencja trwałaby 7 lat, ale istniałaby zakaz reelekcji. Prezydent - obok tradycyjnych uprawnień głowy państwa parlamentarnego - wyposażony byłby w szereg kompetencji osobistych. Wśród nich najważniejsze to: nominacja i zwalnianie Zwierzchnika Sił Zbrojnych, mianowanie Naczelnego Dowódcy na czas wojny, uprawnienia związane z

wprowadzaniem i przebiegiem stanów nadzwyczajnych, mianowania i zwalniania Prezesa Rady Ministrów, możliwość określenia osobnym dekretem swego bezpośredniego stosunku do ministrów: spraw wewnętrznych, obrony narodowej i spraw zagranicznych, prawo zawieszającego weta ustawodawczego, oraz nieograniczoną możliwość rozwiązywania parlamentu przed upływem kadencji. Za czynności urzędowe nie ponosiłby odpowiedzialności politycznej, a jedynie karną i konstytucyjną na podstawie zgodnych uchwał obu izb.

Ratio legis takiego rozwiązania jest uniezależnienie głowy państwa, dzięki sposobowi powoływania, od parlamentu i stworzenie mu równej z nim legitymacji do sprawowania władzy. Ogół uprawnień osobistych pozwala prezydentowi na ciągłe i aktywne uczestniczenie w życiu politycznym, szczególnie na sprawy wewnętrzne, obrony narodowej i prowadzenia polityki zagranicznej, które mogą być powierzone wyłącznie jemu, z pominięciem rządu. Prawo weta zawieszającego oraz nieograniczona możliwość rozwiązywania parlamentu oznaczają głęboką ingerencję w działalność legislatywy.

Wobec tak olbrzymiej władzy powstaje problem odpowiedzialności za jej sprawowanie, gdyż prezydent ponosi jedynie odpowiedzialność karną lub konstytucyjną. Ten stan rzeczy jest oczywiście nie do przyjęcia, bowiem nie jest spełniona jedna z głównych zasad ustroju konstytucyjnego, wedle której posiadanie efektywnej władzy musi być skorelowane z odpowiedzialnością za jej dzierżenie. Czy w mechanizmie funkcjonowania proponowanego systemu ustrojowego nie tkwią przesłanki dla wytworzenia się odpowiedzialności politycznej?

W tego typu systemach ustrojowych prezydent ponosi odpowiedzialność polityczną, gdy ubiega się o ponowny wybór. Jego reelekcja byłaby wrazem zaufania rządu natomiast brak wyboru odmową tego zaufania. W proponowanym przez mnie modelu taki sposób wytworzenia się odpowiedzialności politycznej nie wchodzi w grę ze względu na zakaz reelekcji.

Nie oznacza to jednak braku w ogóle możliwości wytworzenia się odpowiedzialności politycznej prezydenta. Sytuacja taka zaistnieje, gdy prezydent rozwiąże Izby i rozpíše wybory powszechne. W tym wypadku odpowiedzialność wpyływa z jego osobistej kompetencji dotyczącej nieograniczonego prawa rozwiązania izb. Do prerogatyw prezydenta należą mianowanie i zwalnianie premiera, a rząd przez niego powołany, aby mógł funkcjonować, musi mieć zaufanie parlamentu. Rozwiązanie izb zazwyczaj następuje w momencie konfliktu między nimi a rządem. Konflikt ten może wynikać przede wszystkim z utraty zaufania przez gabinet. Wówczas prezydent stanąłby wobec alternatywy: albo zdyktaruje dotychczasowy rząd i powoła nowy cieszący się zaufaniem parlamentu, albo zachowa rząd cieszący się jego zaufaniem, a nie mający zaufania parlamentu i rozwiąże parlament.

W tym ostatnim wypadku prezydent, rozwiązując Izby, angażuje tylko swój autorytet i jeśli wynik wyborów powszechnych będzie niekorzystny dla niego, tzn. większość w Izbie Posłów będzie mu nieprzychylna, praktycznie nie będzie zdolny do dalszego rządzenia. Oczywiście, posiada on możliwość samodzielnego kierowania sprawami zagranicznymi, wewnętrznymi i obronnością, ale opieranie polityki wyłącznie na tym byłoby równoznaczne z wprowadzeniem stanu wyjątkowego. Pozostaje mu zatem alternatywa: albo się ugiąć przed wolą większości parlamentarne, albo podać się do dymisji. Jeśli się ugnie, straci możliwość korzystania z szerokich uprawnień konstytucyjnych. Rzeczywista więc alternatywa, jaka przed nim stanie, to: podać się do dymisji, czy zostać do tego przymuszonym przez większość Izby Poselskiej, realizującą w ten sposób wolę ludu wyrażoną w wyborach powszechnych. W takiej sytuacji doszłoby

Konstrukcja prezydentury jest instytucjonalnym przejawem kompromisu między władzą a społeczeństwem. Kompromis ten umożliwia stałe zarówno w sposobie powoływania /na drodze wyborów bezpośrednich/, ale kandydatów może jedynie zgłaszać PZPR/, jak w zakresie kompetencji prezydenta /głowa państwa może decydować m.in. o sprawach wewnętrznych, obronności i polityce zagranicznej/. Ważnym ograniczeniem władzy prezydenta jest jednak zakaz reelekcji. Zasada niereelekcji powinna umożliwić perłodoczną renowację aparatu władzy poprzez stałe odnawianie i krążenie elit, choć w ramach tego samego szerokiego establishmentu. Innym sposobem ograniczenia władzy głowy państwa jest odpowiedzialność polityczna prezydenta, wyływająca z jego osobistej kompetencji dotyczącej nieograniczonego prawa rozwiązyania izb.

Prezydent w prezentowanej koncepcji przemienia się z *magistratu-re morale*, jak to jest w klasycznym państwie parlamentarnym, w *pouvoir effectif*. Pozycja prezydenta jako *pouvoir effectif* może przybrać dwójaką formę. Po pierwsze, dysponując możliwością powoływania i odwoływania premiera oraz rozwiązyania izb, może on w normalnym biegu spraw utrzymywać równowagę między władzami, nie angażując się jednak w ewentualne konflikty między nimi. Po drugie, gdy normalny bieg spraw zostanie zachwiany lub zniszczony, opierając się na prerogatywach i uprawnieniach wyływających z regulacji stanów nadzwyczajnych może narzucać własne koncepcje rozwiązania zaistniałego kryzysu. W takiej sytuacji utraciłby on oczywiście swoją dotychczasową pozycję, która i tak przetłumaczy koncepcję tradycyjnej *pouvoir neutre* i stałby się podmiotem rozstrzygającym, ale tylko do czasu ujawnienia się pozytywnej woli ludu. Niemożność ujawnienia się tej woli lub jej nieuszanowanie przez prezydenta musi prowadzić do narodzin permanentnego stanu wyjątkowego.

POZYCJA USTROJOWA PARLAMENTU

Sejm składałby się z dwóch, w zasadzie równorzędnych, izb: Izby Polskiej i Senatu. Jednak tylko jedna z nich, tj. Izba Poselska, pochodziłaby z wyborów powszechnych, druga zaś izba, tj. Senat, składałby się w połowie z przedstawicieli samorządów zawodowych, gospodarczych i terytorialnych sfederowanych w Naczelnej Izbie Gospodarczej, połowę zaś mianuje na czas kadencji prezydent na wniosek premiera i partycypacji na uchwałę rządu. Wybory do Izby Poselskiej odbywałyby się w oparciu o większościową ordynację wyborczą. Do zadań parlamentu należałoby przede wszystkim działalność ustawodawczą /dekretowanie prezydenckie może odbywać się jedynie z upoważnienia parlamentu w okresach międzysesyjnych/ oraz kontrola rządu /m.in. możliwość pociągania do odpowiedzialności politycznej/.

Podporządkowanie działań parlamentu ustawie zasadniczej osiągniemy poprzez funkcjonowanie Trybunału Konstytucyjnego, orzekającego m.in. o zgodności ustaw z konstytucją. Obecny reżim prawny TK wymaga jednak zmian: Ustrojodawca, zastępując się iluzoryczną i koniecznieścią zachowania zwierzchniej pozycji Sejmu, ustanowił taki model Trybunału, którego nie można w pełni uznać za sąd konstytucyjny. Stanie się to dopiero wtedy, gdy skutkiem kontroli aktów ustawodawczych będzie odmowa stosowania kwestionowanego aktu lub uchylenie mocy prawnej całego aktu względnie jego przepisu. Obecna kontrola o mocy jedynie opinii nie może więc być zaliczona do sądownictwa konstytucyjnego. Nawet przy spełnieniu podanego kryterium, skuteczność kontroli ustaw jest uzależniona od niedopuszczenia do zmiany konstytucji przez ciało ustawodawcze, gdyż w przeciwnym razie parlament według swego uznania może każdorazowo dostosować ustawę zasadniczą do tekstu kwestionowanego aktu.

Izba Poselska - w przeciwieństwie do prezydenta - pochodziłaby z całkowicie demokratycznych wyborów, organizowanych przez konkurujące o władzę partie polityczne. PZPR miałaby tu pozycję jednego z kilku stronnictw, a jej wpływ na forum parlamentu zależałby od wyników głosowania. Wprowadzenie większościowej - a nie proporcjonalnej ordynacji wyborczej do Izby Poselskiej może pozbawić parlament charakteru organu będącego mniej lub bardziej wiernym odbiciem poglądów występujących w społeczeństwie, ale dzięki temu może stać się na organem zdolnym do udziału w rządzeniu przez wyłonioną poprzez siebie większość. Do powstania takiej większości przyczynić się może właśnie większościowa ordynacja. Chociaż zrównanie w prawach obu izb, z których jedna nie ma mandatu pochodzącego bezpośrednio od społeczeństwa, zmniejsza znaczenie reprezentacji narodu, ale sposób powoływania Senatu jest z jednej strony - kolejnym elementem kompromisu, z drugiej zaś umożliwia pozytywną działalność państwową siłom zgrupowanym w Naczelnej Izbie Gospodarczej.

Z przedstawionych propozycji wynika pomniejszona pozycja parlamentu będąca wyrazem reakcji na złe funkcjonowanie ustroju pod rządami konstytucji z 1952 r. W nowej ustawie zasadniczej Izba Poselska ma być zrównoważona przez w zasadzie równorzędny z nią Senat, ale tylko jedna z izb może powołać się na bezpośredni mandat od narodu. Wydaje się, że w wypadku konfliktu między izbami właśnie ten czynnik przeważałby, gdyby taka była wola wyborców, na rzecz faktycznej nadrzędności Izby Poselskiej.

RZĄD: MIĘDZY PREZYDENTEM A PARLAMENTEM

Pozycję rządu w prezentowanym systemie ustrojowym wyznaczają trzy postanowienia. Z jednej strony jest to prawo prezydenta do powoływania i odwoływania premiera oraz możliwość bezpośredniego podporządkowania sobie przez głowę państwa kilku ważnych ministerstw, z drugiej zaś przeciwwagą dla kompetencji jest możliwość pociągnięcia przez parlament rządu do odpowiedzialności politycznej.

Konieczne staje się zatem rozważenie, w jakim stopniu prezydent może wpływać na działalność rządu. Czy uprawnienia, którymi on dysponuje, pozwalają mu kierować pracami gabinetu, tak aby znać, że ten ostatni realizuje politykę prezydenta? Czy też wręcz przeciwnie, uprawnienia te są zbyt małe i wtedy oczywiście rząd będzie miał więcej samodzielności w działaniu i będzie mógł prowadzić własną politykę, niezależną od prezydenta.

Podstawowym uprawnieniem prezydenta wobec rządu jest powoływanie i odwoływanie premiera, które należy do jego prerogatyw. Na wniosek powołanego przez siebie premiera, prezydent mianuje ministrów. Jednocześnie rząd nie ma jednorodnego charakteru, ponieważ z ogólnej zasady, że prezydent utrzymuje stosunki z ministrami przez premiera, wyłączonych może być trzech ministrów, co na pewno nie sprzyjałoby prowadzeniu samodzielnej polityki przez rząd jako całość.

Ażeby ostatecznie odpowiedzieć na pytanie, czyją politykę będzie realizował rząd, musimy się zastanowić nad jeszcze jedną kwestią, a mianowicie: jaka zaistnieje sytuacja w wypadku konfliktu między prezydentem a premierem. Zdymisjonowanie premiera zaliczone zostało do prerogatyw prezydenckich, co oznacza, że w zasadzie nie może być żadnej sytuacji konfliktowej, gdyż zostanie ona natychmiast rozwiązana przez prezydenta na jego korzyść. Oczywiście jednak wydaje się, że pozostający w konflikcie z prezydentem premier zwróci się o pomoc do parlamentu. Konflikt przeniosłby się więc na forum parlamentu i gdyby parlament poparł rząd, a prezydent ze swego uprawnienia skorzystał i rozwiązał parlament, spór rozstrzygnąłby naród w wyborach powszechnych.

REGULACJA STANÓW NADZWYCZAJNYCH

Istotnym elementem przyszłej konstytucji będzie regulacja stanów nadzwyczajnych. Dużą rolę w ich funkcjonowaniu ma do odegrania prezydent, w związku z czym przysługiwać mu będą określone środki prawne, poza uprawnieniami osobistymi. Użycie nadzwyczajnych pełnomocnictw następuje w celu ochrony konstytucyjnego porządku, a nie jego likwidacji bądź zmiany. Nie może przeto stan nadzwyczajny służyć jako pretekst do zmiany systemu sprawowania władzy. Stąd też konieczna jest radykalna reforma dotychczasowej regulacji stanów nadzwyczajnych w PRL.

Do 12 grudnia 1981 r. PRL nie posiadała żadnej prawnej regulacji stanów nadzwyczajnych, poza postanowieniem art.33 ust.2 konstytucji, że Rada Państwa ma prawo wprowadzić stan wojenny na całym lub części terytorium PRL ze względu na obronność lub bezpieczeństwo państwa. Obecną regulację regulację stanów nadzwyczajnych stanowił dekret z mocą ustawy z 12 grudnia 1981 r. o stanie wojennym i ustawa z 5 grudnia 1983 r. o stanie wyjątkowym. Tylko regulacja instytucji stanu wyjątkowego spełnia w jakimś stopniu, bo nie całkowicie /np. karygodny brak udziału parlamentu w podejmowaniu decyzji o wprowadzeniu i czasie trwania tego stanu/, wymogi demokratycznego reżimu prawnego. Zupełnie natomiast nie mieści się w republikańskiej tradycji obecny reżim prawny stanu wojennego. Sejm nie uczestniczy w żaden sposób ani w podejmowaniu decyzji o jego wprowadzeniu, ani o czasie trwania; co więcej, jest on ustanawiany bezterminowo, co może być wykorzystane do kreowania antykonstytucyjnej dyktatury.

Nowa konstytucja musi stanowić, że stan wyjątkowy wprowadza się na podstawie dekretu prezydenta, opartego na uchwale RM. W tym momencie z mocy prawa winien zebrać się parlament, który może żądać zniesienia lub czasowego ograniczenia stanu wyjątkowego. Usuniecie stanu wyjątkowego następuje w drodze wydania bądź dekretu prezydenta, opartego na uchwale RM, bądź poprzez uchwałę parlamentu uchylającą dekret prezydenta. W wypadku natomiast stanu wojennego decyzję o jego wprowadzeniu podejmuje sam prezydent, ale za zgodą obu izb parlamentu. Dekret prezydenta określi ponadto czas trwania stanu wojennego. Zaś wraz z postanowieniem o stanie wojny powinna zapadać decyzja prezydenta o powołaniu Naczelnego Dowódcy Sił Zbrojnych na ten czas. Stanowisko Naczelnego Dowódcy na czas wojny powinno być zarejestrowane w konstytucji tak, jak stanowisko Zwierzchnika Sił Zbrojnych i Komitet Obrony Kraju.

Nowa konstytucja powinna określić podstawowe konsekwencje prawne dotyczące funkcjonowania naczelných organów państwa, zwłaszcza w razie wprowadzenia stanu wojny /np. automatyczne przedłużenie kadencji parlamentu i wybieralnych organów samorządu terytorialnego, ewentualnie prawo do tworzenia organów nadzwyczajnych i ograniczanie kompetencji organów istniejących itp./ oraz stanu wojennego. Ponadto winno wyraźnie określić się, jakie podstawowe konsekwencje w sferze politycznej obywatela może wnieść ze sobą każdy rodzaj stanu nadzwyczajnego, niezależnie od tego, że w szczególności regulacje te powinny być zawarte w odpowiednich ustawach.

Proponowane zmiany w reżimie prawnym stanów nadzwyczajnych stanowią niezbędne minimum przed groźbą ich nadużycia na niekorzyść obywateli i społeczeństwa w ogóle. Musimy pamiętać jednak, że żadna regulacja stanu nadzwyczajnego nie daje gwarancji efektywnej kontroli nad nadzwyczajnymi pełnomocnictwami. Nie powinno oznaczać to wszakże rezygnacji z wypróbowanych w krajach o demokratycznej kulturze politycznej i prawnej metod kontroli parlamentarnej nad wprowadzeniem,

przebiegiem i zakończeniem stanu nadzwyczajnego. Zakres parlamentarnej kontroli była - jak wykazuje praktyka - ograniczony, nie tyle nawet za pomocą środków prawnych, ile na drodze samoograniczenia się legislatury. Według bowiem ogólnego przekonania stan nadzwyczajny powinien pozostawić dużą swobodę władzy wykonawczej i ją obarczać odpowiedzialnością za działania z tego stanu wynikające.

INSTYTUCJONALNE GWARANCJE PLURALIZMU SPŁĘCZNEGO

Władza prezydenta potrzebuje przeciwwagi. Z pewnością może być nią współdziałanie parlamentu w rządzeniu państwem, jeśli zdoła on wyłonić z siebie stabilną większość. Może się to jednak okazać za mało. Stąd konieczne jest stworzenie instytucjonalnych gwarancji pluralizmu społecznego - obok politycznego - jako hamulca władzy prezydenckiej. Podstawowe znaczenie - poza urealnieniem prawa do swobodnego zrzeszania się - może mieć tu przywrócenie samorządu terytorialnego wraz z demokratycznym prawem wyborczym do jego organów oraz instytucjonalizacja innych przejawów niezależnej działalności społecznej.

Idea samorządu terytorialnego została w Polsce powojennej odrzucona, gdyż zakłada ona niejako przyrodzoną bądź naturalną sferę uprawnień samorządowych, a w konsekwencji traktuje samorząd jako system przeciwstawny państwu. W miejsce opróżnione przez samorząd terytorialny sięgnięto po leninowską koncepcję rad. W koncepcji tej rady pełnią jednocześnie funkcje organów samorządu i organów władzy państwowej, które to funkcje - mimo ich odmienności - nie mogą być jakoby w państwie socjalistycznym sobie przeciwstawiane.

Naszym celem winna być walka o przywrócenie autentycznej samorządności lokalnej w postaci samorządu terytorialnego przynajmniej na szczeblu gminy. Nie wystarczy tu tylko, aby rady narodowe mogły być podmiotem praw majątkowych i posiadać osobowość cywilno-prawną, jak ma się to obecnie. Ponadto konieczne jest przedmiotowe wyodrębnienie sfery działań samorządu ze sfery działań państwa. Istnienie takiej sfery równoznacznej z funkcjonowaniem samoistnego władztwa samorządowego, byłoby podstawą do nadania organom samorządu podmiotowości publicznoprawnej. I dopiero wówczas można by mówić o restytucji samorządu terytorialnego w Polsce.

Jeśli odtworzenie instytucji samorządowych - na początku na szczeblu gminy - ma być elementem nowego mechanizmu rządzenia, to może mieć ono w chwili obecnej jedynie niepełny charakter. W ustroju przyszłego samorządu terytorialnego musi nastąpić przesunięcie punktu ciężkości - w zakresie bieżącej kompetencji administracyjnej - z organu stanowiąco-kontrolującego /rada gminna lub rada miejska/ na organ zarządzający /zarząd gminy lub zarząd miejski/, a w jego obrębie z zarządu kolegiального na zarząd jednoosobowy /naczelnik gminy lub prezydent miasta/, na powoływanie którego wpływ winien zachować czynnik rządzący. Wydaje się, że tak daleko idący kompromis jest obecnie konieczny.

Ale nawet te głębokie ustępstwa co do ustroju przyszłego samorządu lokalnego nie przyniosą pożądaných efektów, jeśli nie będzie im towarzyszyło powszechne prawo wyborcze. Bowiem cechą rozpoznawczą związków samorządowych jest nie tylko wydzielenie z hierarchii państwowej, ale również rzeczywisty udział czynnika obywatelskiego /elementu społecznego/, co najmniej w zakresie funkcji stanowienia i kontroli. Tylko samorząd pochodzący z demokratycznych wyborów, a nie z partyjnej nominacji, będzie w stanie wykorzystać istniejące, chociaż z pewnością ograniczone, kompetencje. Przemianę powszechnego prawa do głosowania w powszechne prawo wyborcze można uzyskać tylko w jeden sposób - poprzez przyznanie prawa do zgłaszania kandydatów do organów samorządu terytorialnego każdemu obywatelowi.

Ale samorząd terytorialny jest tylko jednym z rodzajów działań społecznych, które winny znaleźć swoją instytucjonalizację w nowej konstytucji. Generalnie należy dążyć do pozabawienia państwa wpływu na te wszystkie działania, które mogą być wykonywane przez siły społeczne w postaci różnego rodzaju form samorządowych, organizacji społecznych i stowarzyszeń oraz powoływanych do życia *ad hoc* inicjatyw obywatelskich.

Wyrazem tej dążności winny być postanowienia konstytucji podnoszące samorząd do rzędu jednej z podstawowych instytucji ustroju państwa. Określona musi być również linia graniczna między działalnością organów państwa /rządowych/ a działalnością zrzeszeń społecznych, zarówno przymusowych /pochodnych w stosunku do państwa/, jak ogółu zrzeszeń dobrowolnych. W tym pierwszym wypadku - obok samorządu terytorialnego - w grę wchodzi różnego rodzaju samorzady gospodarcze i zawodowe, w drugim zaś możliwość zawiązywania dobrowolnych organizacji społecznych tj. stowarzyszeń i swoboda ich działalności w granicach prawa.

Przedstawiciele samorządów gospodarczych i zawodowych, członkowie samorządu terytorialnego, wreszcie delegaci senatów uczelni ekonomicznych oraz stowarzyszeń ekonomicznych i technicznych tworzyliby Naczelną Izbę Gospodarczą, która miałaby prawo wypowiadać się we wszystkich sprawach dotyczących gospodarki narodowej, a także z jej gro-
na wyłaniałaby się połowa składu Senatu. Szczeroby tej instytucji regulowałaby specjalna ustawa.

Gruntownej zmianie musi ulec prawo o stowarzyszeniach. Obowiązujące w tym zakresie rozporządzenie prezydenta RP z 1932 r. odpowiada logice władzy biurokratycznej i centralistycznej, której istota polega na usiłowaniu ogarnięcia całości życia społecznego urzędowym nadzorem. Zasada się na niechęci wobec wszystkiego, co nie jest odgórnie sterowane, przewidziane, koncesjonowane, kontrolowane i regulowane, co wymyka się z pola obserwacji urzędu i jego funkcjonariuszy. Już sama prawnicza konstrukcja rozporządzenia poprzez pojęcie formalnej precyzji z niedookreślonością, pozostawiającą szerokie pole swobodnemu uznaniu, sprzyja omnipotencji władzy. Zasadniczą "zaletą" tego aktu jest klauzula generalna głosząca, że stowarzyszenie może być zarejestrowane wtedy, gdy "odpowiada względem pożytku społecznego". A o tym, co jest "względem pożytku społecznego" rozstrzyga arbitralnie administracja.

Jaki powinien być nowy model prawa o stowarzyszeniach? Teoretycznie możliwe są trzy rozwiązania. Pierwsze polegałoby na przyjęciu procedury czysto ewidencyjnej, zaś kontrola nad działalnością swobodnie tworzonych stowarzyszeń /aż po ich rozwiązywanie/ dokonywana byłaby na drodze postępowania przed niezawisłym sądem powszechnym lub administracyjnym. Drugie rozwiązanie polegałoby na przekazaniu procedury rejestracyjnej w ręce powszechnych sądów, jak ma to miejsce w stosunku do związków zawodowych. I wreszcie trzecie sprowadzałoby się do utrzymania prawa do rejestrowania stowarzyszeń przez administrację, ale z możliwością odwołania się od jej decyzji do Naczelnego Sądu Administracyjnego.

Bez względu na to, które rozwiązanie wybierzemy, w każdym wypadku powinna być określona klauzula "pożytku społecznego" i jedynym kryterium dopuszczenia stowarzyszenia lub zakazania jego działalności powinno być funkcjonowanie w zgodzie lub niezgodzie z obowiązującym prawem.

Alexis de Tocqueville sformułował pogląd, iż rzeczywistą szkołą obywatelnienia jest samorząd lokalny /gminny/. Bowiem tu rozwijają się umiejętności polityczne i poczucie przynależności do szerszej zbiorowości. Im bardziej aktywne życie polityczne na szczeblu lokal-

nym, tym większe szanse na to, że szerokie rzesze społeczeństwa będą czuły się współodpowiedzialne za losy swego kraju. Ale samorządność lokalna jest jedynie jednym ze szczebli uczestnictwa w życiu politycznym. Następnym jest uczestnictwo w stowarzyszeniach o charakterze funkcjonalnym, jak związki zawodowe i organizacjach broniących określonych interesów i wartości społecznych, jak ochrona środowiska naturalnego i inne. Ostatnim zaś udział w życiu *stricto* politycznym kraju. W zasadzie można stwierdzić, że rozwój uczestnictwa w jednej sferze wpływa pozytywnie na inne typy uczestnictwa. W konsekwencji centralny aparat państwa - zorganizowany na wzór republiki prezydencko-parlamentarnej - otrzymałby przeciwwagę w postaci różnorodnych form aktywności społecznej.

CHARAKTER PRAWNY NOWEGO USTROJU

Na pierwszy rzut oka, proponowany system ustrojowy jest jakimś rodzajem prezydenjalizmu. W rzeczywistości jednak tak nie jest, gdyż brak jest tu ścisłego rozdziału między legistatwą a egzekutywą. Nie istnieje również koncentracja funkcji głowy państwa i szefa rządu, co jest niezbędne dla tego systemu ustrojowego.

Dość powszechnie za kryterium rządów parlamentarnych przyjmuje się odpowiedzialność polityczną ministrów przed parlamentem. Warunek ten jest spełniony. Oznaczałoby to, że proponowany system ustrojowy jest rodzajem parlamentaryzmu, chociaż oczywiście występują w nim instytucje ustrojowe, które są z nim sprzeczne. Np. prezydent pochodzi z bezpośrednich wyborów, jednak nie w pełni demokratycznych, posiada szereg uprawnień osobistych, może bezpośrednio kierować obronnością kraju, sprawami wewnętrznymi i polityką zagraniczną. Nastąpiło również ograniczenie praw izby pochodzącej z wyborów powszechnych przez ustanowienie prawie równorzędnego z nią Senatu oraz przez zwiększony wpływ prezydenta na pracę parlamentu /możność rozwiązania izb/ i na proces ustawodawczy /względne veto/.

Współcześnie, obok cech formalnoprawnych, główną rolę w klasyfikacji systemów ustrojowych odgrywa system partyjny funkcjonujący w ramach schematu prawnego przewidzianego w konstytucji. Ten sposób myślenia prawniczego stara się ująć system ustrojowy w jego funkcjonowaniu, zaś czynnikiem dynamizującym jest tu działalność partii politycznych. Bez ich istnienia parlamentaryzm jest jedynie martwą strukturą formalnoprawną. Ustrój polityczny rozpatrywany dynamicznie to także praktyka konstytucyjna, szczególnie ważna w pierwszym okresie działania nowego systemu ustrojowego. Istotnym czynnikiem w jej kształtowaniu jest osobowość ludzi piastujących najwyższe urzędy w państwie. Giętki, a nawet nie w pełni konsekwentny, ustrój proponowany przeze mnie dopuszczaliby, gdyby był realizowany w praktyce, różne interpretacje.

Nie wiedząc, jaki system partyjny powstanie w przyszłej Polsce, ani nie znając związanej z nim praktyki ustrojowej, rozważania na temat charakteru polityczno-prawnego proponowanego ustroju muszą ograniczyć się do analizy jego cech formalnoprawnych. Jedną z możliwych interpretacji mogłoby być wytworzenie systemu prezydenckiego, gdyby prezydent osiągnął taki wpływ na pracę gabinetu, że wyeliminowałby premiera, przejmując jego kompetencje. Inną możliwością byłoby powstanie jakiegoś rodzaju systemu kancierskiego, gdzie część funkcji prezydenta przejąłby premier, którego działania byłoby oparte na silnej większości parlamentarnej.

Jednak wydaje się, że najbardziej prawdopodobny rozwój wypadków doprowadziłby do powstania dualistycznego systemu parlamentarnego o wyraźnym nachyleniu ku prezydenjalizmowi /inaczej systemu prezydencko-

parlamentarnego/. Aby taka sytuacja zaistniała musi być spełniony warunek natury politycznej, a mianowicie większość parlamentarna i prezydent muszą posiadać przynajmniej zbliżony program polityczny. Warunkiem stabilnego funkcjonowania tego systemu jest zatem pewien minimalny *consensus* między głównymi siłami politycznymi posttotalitarnej Polski. Dzisiaj może się wydawać to zupełnie nierealne, ale w Polsce już tyle rzeczy rzeczy całkowicie nierealnych stało się realnymi, że nie należy tego wykluczać.

MOŻLIWOŚCI DALSZEJ EWOLUCJI USTROJU

Proponowany przeze mnie nowy mechanizm rządzenia wraz z instytucjami praworządneho państwa autorytarneho jest próbą konstrukcji ustroju Polski posttotalitarnej, a więc systemu już nie totalitarneho, ale jeszcze nie w pełni demokratycznego. W tym modelu staram się nie rozstrzygać zagadnienia władzy w sposób ostateczny - bo na razie jest to po prostu niemożliwe - ale oddać każdorazowe jego rozstrzygnięcie dynamice sił ustrojowych, gwarantując równocześnie każdej z nich jej własne stanowisko w aparacie rozstrzygającym.

Prezentowany system ustrojowy, gdyby był stosowany w praktyce, może przybierać różnorodne kształty instytucjonalne. Zależy jest to przede wszystkim od siły politycznej głównych aktorów życia publicznego w posttotalitarnej Polsce oraz od zmian zachodzących w ZSRR. Zwiększenie się znaczenia elementu społecznego może np. doprowadzić do sytuacji, w której zostanie zniesiony monopol PZPR na zgłaszanie kandydatów na urząd prezydenta lub nastąpi ograniczenie albo wręcz odebranie głowie państwa prawa obsadzania miejsc w Senacie. W sprzyjających okolicznościach mogłoby to wiesć do próby eliminacji partii komunistycznej jako pośrednika w porozumiewaniu się z Moskwą. Instytucja prezydenta, który może bezpośrednio kierować polityką zagraniczną i obronnością, a jednocześnie posiada zaufanie narodu, udzielone mu w demokratycznych wyborach, stanowi dobry punkt wyjścia dla budowy struktury kompromisu zewnętrznego między polskim społeczeństwem a ZSRR. W sytuacji zaś Polski niepodległej system parlamentarny z wyraźnymi elementami prezydcjalizmu - być może po pewnych poprawkach - będzie bardzo przydatny w stabilizacji suwerennego państwa.

Tak więc w proponowanej strukturze władzy mogą pomieścić się jej różne modele, w grę mogą wchodzić rozliczne rozwiązania ustrojowe, zależne od aktualnej sytuacji politycznej, od realnego układu sił. W każdym momencie władza miałaby jednak charakter zinstytucjonalizowany, wpisując się w obowiązującą ustawę zasadniczą, nawet za cenę jej częściowych przekształceń. W ten sposób wróciłibyśmy na szlak państwa konstytucyjnego, państwa rządzącego się prawem, a nie arbitralną decyzją nieodpowiedzialnych przed społeczeństwem polityków.

LECH MAŻEWSKI

Janusz Lewandowski i Jan Szomburg

WŁASNOŚĆ JAKO PRÓG REFORMY GOSPODARCZEJ

PROGI MYŚLOWE REFORMY

W toku gorącej debaty ekonomicznej i sporów legislacyjnych z lat 1980/81 fakt absolutnej dominacji własności państwowej, wyrażający się 85-procentowym udziałem w produkcji globalnej przemysłu, nie był postrzegany jako istotna przeszkoda na drodze przełomowej reformy gospodarczej. Problematyka własności nie mieściła się w głównym nurcie dyskusji.

Odległy był czas, gdy wyobraźnia ekonomistów owładnięta była wizją gry rynkowej organizowanej przez centralnego planistę. Kiedy szuflady ekonomistów wypróżniły się w odpowiedzi na zapotrzebowanie publiczne, okazało się, że pokonany został już próg myślowy rynkowej samoregulacji. Poszukiwano adekwatnego modelu zarządzania, likwidującego doszczętnie system nakazowo-rozdzielczy i kreującego samodzielnie przedsiębiorstwa. Modelowanie systemu gospodarczego, mającego za swe podstawowe ogniwo przedsiębiorstwo "3 x S", było swoistym paradygmatem tego czasu.

Skupiając uwagę na konsekwentnym zerwaniu podległości przedsiębiorstwa wobec centrum i na czytelnym podziale ról między samorządem a dyrektorem, zarówno ekonomiści niezależni jak i ekonomiści dworscy zepchnęli na margines dyskusji problematykę odpowiedzialności ekonomicznej za wyniki gospodarowania i kwestie własności. Przypomnijmy, że "Sieć" szybko wycofała się, w ogniu krytyki, z niezbyt zrecznym formuły własności załogowej, przyjmując w swoim projekcie pr z e d s i ę b i o r s t w a s p o ł e c z n e g o następującą konstrukcję własności /cytat z materiałów "Sieci"/: "Właścicielem środków produkcji jest całe społeczeństwo. Organ założycielski w imieniu państwa powierza część mienia ogólnonarodowego w dyspozycję przedsiębiorstwa jako osoby prawnej. Przedsiębiorstwu służą wszelkie prawa do powierzonego sobie mienia, załoga natomiast zarządza przedsiębiorstwem przy pomocy organów samorządowych. Czyli to nie załoga jest właścicielem, w związku z tym zarzut o tworzeniu własności grupowej jest bezzasadny".

Sporadycznie tylko słyszało się zarzuty, że o ile samorząd bez realnych uprawnień współwłaściciela jest ozdobnikiem i fasadą, to samorząd z gestią współwłaściciela, lecz bez jego współodpowiedzialności jest zabawą w gospodarkę. Jeśli mówiło się o odpowiedzialności, to na ogół w sensie pozytywnym, to znaczy o premiach i udziałach w zysku. Nie zajmowano się kwestią dostosowania kompetencji decyzyjnych samorządu do stopnia ryzyka ponoszonego przez załogę, toczono bowiem ostry bój o wystarczający zakres kompetencji, by przedsiębiorstwo stało się rzeczywiście samodzielne i samorządne. Ostateczna treść ustaw o przedsiębiorstwach państwowych i samorządzie załogi przedsiębiorstwa państwowego stanowiła kompromis polityczny, wynikły z przetargu między władzą a "Solidarnością" - był to spór o stopień dyspozycyjności gospodarki wobec polityki, decydowały tu nie argumenty, ale przede wszystkim fakty dokonane i demonstracje siły. Regulacja przyjęta przez Sejm w dniu 25 września 1981 roku definiuje przedsiębiorstwo jako podmiot "gospodarujący wydzielonym mu i nabytym mieniem, stanowiącym część mienia ogólnonarodowego", i ten akurat zapis nie wzbudził kontrowersji.

Omijanie tej kwestii, podyktowane w pewnej mierze względami taktyki politycznej, nade wszystko dokumentuje i odzwierciedla ówczesny sposób diagnozowania źródeł niesprawności gospodarczej "realnego socjalizmu" - akcent padał na biurokratyzację systemu oraz nieformalną polityzację poprzez mechanizm nomenklatury.

W efekcie, akty prawne stanowiące w założeniu kamień węgielny nowego, zreformowanego porządku ekonomicznego, sankcjonowały i zamrażały poststalinowski układ stosunków własnościowych w przemyśle, będący następstwem ustawy nacjonalizacyjnej z 3 stycznia 1946 roku oraz nadszycia starego dekretu z 16 grudnia 1918 roku, którym posłużono się po wojnie, by bezzwrotnie przejąć pod zarządek państwowy większość przedsiębiorstw średnich i małych, nie objętych aktem nacjonalizacji. Triumfowała jeszcze raz, za cichym przyzwoleniem strony społecznej, doktryna jednolitej i niepodzielnej własności państwowej, nastrożająca ogromne problemy przy próbach jej integracji z systemem prawa cywilnego, zastępującym stopniowo administracyjną regulację obrotu gospodarczego /1/.

Ten zachowawczy sposób ujęcia problematyki własnościowej rzutował nieuchronnie na treść dalszych aktów prawnych, w tym przede wszystkim na ustawę o poprawie gospodarki przedsiębiorstwa państwowego oraz o jego upadłości z 29 czerwca 1983 roku. Zapisana w niej odpowiedzialność członków rady pracowniczej i załogi jest raczej symboliczna. Polega na pozbawieniu członków rady pracowniczej biernego prawa wyborczego w okresie pięciu lat od daty odwołania rady /z możliwością uchylecia tej łagodnej przecieży sankcji przez sąd/. Trudno o lepszy przejaw państwowego paternalizmu, nieodwołalnie zespolonego z gospodarczym etatyzmem /2/.

Wypełnianie przestrzeni prawnej nowymi przepisami, coraz bardziej oddalającymi się od ducha i litery kompromisu wynegocjowanego w roku 1981 następowało w okresie, kiedy myśl reformatorska dokonywała poważnych przewartościowań. Sumaryczny efekt realny poczynań reformatorskich w krajach "realnego socjalizmu", mianowicie brak oczekiwanego przełomu efektywnościowego, niemożliwość zbudowania systemu o jakościowo lepszych parametrach ekonomicznych, zdołnego współzawodniczyć z gospodarką rynkową Zachodu i trwale zażegnać groźbę buntu niezadowolonej ludności, dowodził, że reformy nie sięgnęły rzeczywistych źródeł trwałej niewydolności gospodarczej naszego systemu. Stawia to pod znakiem zapytania sens i szczerłość wysiłku reformatorskiego zamykającego się w obrębie doskonalenia i "dalszego doskonalenia" systemu zarządzania, to znaczy układów decyzyjnych. Rzeczywistość ośmieszyła wprost niektóre regulacje prawne, takie jak wspomniana wyżej ustawa o upadłości czy ustawodawstwo antymonopolistyczne, wzięte jakby z innego świata.

REHABILITACJA KAPITAŁU

W ramach ogólniejszych przewartościowań zmienia się na naszych oczach słownik ekonomiczny. Szereg pojęć, zapładniających wizję reformatorską z roku 1956 a nawet 1980, trafiło już do lamusa. W to miejsce tylnymi drzwiami, wprowadza się do debaty publicznej, takie pojęcia jak rynek kapitałowy, akcje i obligacje czy prawa własności.

Aktualizuje się głos Ludwiga von Misesa, który przed górą sześćdziesięciu laty uprzedzał, że centralną postacią zdrowej gospodarki jest przedsiębiorca i że postać menadżera nie może

być dla niej substytutem. Aktywność szefów zachodnich korporacji rodzi mylną ocenę ich rzeczywistej roli gospodarczej, przesłania mianowicie fakt, iż menadżerowie działają zawsze w ramach zakreślonych przez decyzyjny kapitał, od których zależy powstanie, wzrost, łączenie lub likwidacja przedsiębiorstw i którzy ponoszą rzeczywiste ryzyko gospodarowania. Funkcjonowanie przedsiębiorstw, pisał Mises, odbywa się w ramach parametrów i tendencji rynkowych, wyznaczonych w ostatecznym rozrachunku przez inne czynniki, aniżeli splot operacji menadżerskich. "Czynności menadżerów, dokonywane przez nich akty kupna i sprzedaży, stanowią za ledwie ułamek całości operacji rynkowych. Rynek kapitalistyczny pełni ponadto wszystkie funkcje związane z alokacją dóbr kapitałowych między różne gałęzie produkcji. Przedsiębiorcy i właściciele kapitału zakładają korporacje i inne firmy, powiększają lub zmniejszają ich wielkość, likwidują je lub je łączą z innymi przedsiębiorstwami, kupują i sprzedają akcje i obligacje już istniejących oraz nowo powstających korporacji, udzielają, wycofują lub odzyskują kredyty - słowem pełnią wszystkie te czynności, których całość określamy mianem rynku kapitałowo-pieniężnego. Właśnie owe transakcje finansowe ukierunkowują produkcję w sposób pozwalający optymalnie zaspokoić najpilniejsze potrzeby konsumentów. Transakcje te konstytuują rynek jako taki. Jeśli się je wyeliminuje, nie zachowa się żadna autentyczna część rynku. To, co pozostaje, jest elementem, który nie może egzystować samodzielnie i nie może funkcjonować w roli rynku..." /3/.

Praktyka "realnego socjalizmu" w pełni potwierdziła te obawy. Doświadczenia Polski i Węgier pozwalają docenić przenikliwość i wagę argumentów Misesa na temat rachunku ekonomicznego w socjalizmie. Rynek kapitałowy i finansowy, instytucjonalnie ujęte w giełdy /pokazywane do niedawna w naszych środkach przekazu jako ucieleśnienie kapitalistycznego zła, miejsca hałaśliwej krzątaniny ludzi ogarniętych amokiem spekulacji/, porządkują i ukierunkowują bieżącą działalność gospodarczą; są integralnym zapieczem rynków towarowych i fundamentem racjonalnych operacji menadżerskich.

Mises mylił się w ocenie trwałości tak niepraktycznego, jego zdaniem, systemu jak socjalizm, ale trafnie zlokalizował główną przyczynę nieefektywności: w wyniku obniżenia stopnia porównywalności celów i środków w kategoriach pieniężnych, gospodarce socjalistycznej obcy jest zo biektyzowany rachunek ekonomiczny, w wyniku braku realnych właścicieli kapitału nie istnieje racjonalna alokacja zasobów /4/.

Dogodny kiucz analityczny do rzeczywistości gospodarczej "realnego socjalizmu" znajdujemy w teorii "praw własności" *property right's school*, która - częściowo z inspiracji Misesowskiej - rozwinęła się po II wojnie światowej w USA, a od kilku lat zaczęła być modna w Polsce. Teoria ta zajmuje się systematyczną analizą naukową różnorakich instytucji własnościowych oraz specyficznych dla nich wiązek praw własności /5/.

Teoria ta ugruntowała związek prywatnej własności, czyli wiązki praw ekskluzywnych /domkniętych/ i swobodnie transferowalnych /przekazywalnych/ z możliwością dokonywania pełnej wyceny zasobów, to znaczy właściwym uwzględnieniem konkurencyjnych korzyści bieżących i potencjalnych korzyści przyszłych. Po wtóre, utożsamia własność prywatną z szansą minimalizacji tzw. kosztów transakcyjnych, czyli kosztów informacji, negocjacji i kosztów egzekucji umów. Konkurencja oraz dobrowolna przekazywalność praw własności na rynku pełnią pozytywne funkcje - kumulują wiedzę pochodzącą od wszystkich potencjalnych właścicieli, dotyczącą sposobu użytkowania zasobów. Dobrowolna przekazywalność praw własności gwarantuje, że spożytkowany będzie ten rodzaj wiedzy, który ma największą wartość.

Szkola praw własności eksponuje rolę właściciela, jako pośrednika między potrzebami dziś i jutra. Jego bogactwo zależy od tego, na ile trafnie uwzględni konkurujące ze sobą roszczenia teraźniejszości i przyszłości; przy jego braku górę biorą roszczenia dzisiejszej generacji. Osoba właściciela, podmiotu klasycznej triady uprawnień - posiadania rzeczy, korzystania z niej i rozporządzania - warunkuje pełną wycenę zasobów, zapewnia, że ich użytkowanie staje się *fully priced*, a cały system - gwarantujący jednostkom realizowanie skapitalizowanej wartości spodziewanych korzyści w aktualnych cenach transferu zasobów - staje się dynamiczny i innowacyjny. Dotyczy to zarówno klasycznej wartości prywatnej jak i domkniętych oraz dobrowolnie przekazywalnych udziałów majątkowych, których najbardziej rozpowszechnionym przejawem są akcje, nawiązujące do znanej już z prawa rzymskiego instytucji własności "na częściach ułamkowych".

Spojrzenie z tego punktu widzenia rzuca interesujące światło na dotychczasowy kierunek reform w krajach "realnego socjalizmu", omijając w gruncie rzeczy problematykę własnościową sensu *stricto*.

Podział uprawnień własnościowych pomiędzy organ założycielski, samorząd pracowniczy i dyrektora, wyrastający z kompromisu politycznego roku 1981, wprowadził na arenę gospodarczą kolejnych nominalnych współwłaścicieli, nowe podmioty amorficznej własności ogólnonarodowej, obok jej tradycyjnego powiernika, jakim jest administracja. Nie był to jednak krok do przodu w dziele kreowania systemu efektywnych decyzji własnościowych i odpowiedzialności majątkowej. Nadal nikt nie traci na dekapitalizacji majątku przedsiębiorstw państwowych. Nie funkcjonuje nawet kategoria ekonomicznej dekapitalizacji. Pozostajemy wciąż w kręgu buchalteryjnej wyceny majątku, niezależnej od jego bieżącej rentowności i wartości dochodów, jakie może on przynieść w przyszłości.

Poruszanie się na dotychczasowej osi reformy nie przybliżyło nas do gospodarki, w której reprezentowane są interesy własności, wnosząc do systemu ekonomicznego nową, opisaną wyżej logikę, w miejsce ustępującej logiki zarządzania biurokratycznego. Przemiana środków trwałych w kapitał nie nastąpi bez domknięcia i transferowalności praw własności, bez wykreowania na głównej arenie gospodarczej nowych podmiotów gry ekonomicznej, specjalizujących się we własności, zainteresowanych maksymalizacją dochodów od kapitału i sprawujących z tego punktu widzenia kontrolę nad operacjami menadżerów. Muszą także zaistnieć warunki systemowe po temu, by interesy własności wpłynęły w ruch mechanizm napędowy gospodarki, jakim jest rynek kapitałowy i pieniężny, obiektywizujący rachunek ekonomiczny i zapewniający przepływ kapitałów w społecznie pożądanych kierunkach.

Wśród tych warunków systemowych, oprócz budowy infrastruktury rynku kapitałowego, na plan pierwszy wybija się problem politycznych gwarancji i stabilności reguł gry, a w szczególności gwarancji dla uprawnień własnościowych. Nie chodzi przy tym o zapisy formalne, nawet rangi konstytucyjnej, ale o mechanizm sprawowania władzy, zabezpieczający interesy własnościowe przed biurokratycznym woluntaryzmem. Praworządność jest warunkiem autentycznej własności i autentycznej przedsiębiorczości - są to elementarne zależności.

ETATYZM PO NOWEMU?

Wnioski z dotychczasowych doświadczeń wyciągają wszyscy. Pod koniec 1988 roku zarysowuje się nowa filozofia gospodarcza rządu, zakładająca między innymi, jako główny kierunek strategiczny, reorganizację przedsiębiorstw państwowych /6/. Proponuje się mianowicie przekształcenie dzisiejszych przedsiębiorstw państwowych w spółki z udziałem Skarbu

Państwa. Udział Skarbu Państwa ma się wyrażać wartością kapitału, będącego równowartością funduszu statutowego w środkach trwałych oraz funduszu statutowego w środkach obrotowych. Od tego kapitału przedsiębiorstwo płaciłoby stałą dywidendę na rzecz budżetu w wysokości obowiązującej w danym roku podstawowej stopy procentowej przez NBP w zależności od wskaźnika inflacji. Oznaczałoby to likwidację dzisiejszego organu założycielskiego i wprowadzenie w to miejsce kontroli kapitałowej. Przedsiębiorstwo otrzymuje całkowitą swobodę gospodarowania majątkiem pod warunkiem wywiązywania się z podstawowego zobowiązania wobec państwa, jakim jest dywidenda, od powierzonego kapitału.

Ekstrapolując ten kierunek reformy otrzymujemy wizję *quasi* gry kapitałowej, której uczestnikami są spółki państwowe i mieszane, z ewentualną gieldą "wartości funduszy przedsiębiorstw", z prawem emisji akcji i obligacji, możliwością wykupu jednych firm przez drugie itp. Ten projekt reorganizacji sektora państwowego zdaje się dostrzegać potrzebę zaszczerpienia naszej gospodarce elementów rynku kapitałowego i zwiększenia adaptacyjności struktury podmiotowej. Ale - tak jak pozostałe propozycje zmiany form dysponowania majątkiem państwowym - obciążony jest grzechem pierworodnym: obiecuje więcej niż zawiera w sobie formuła własności publicznej jako taka. Doświadczenie krajów Europy Zachodniej demonstruje nieprzekraczalne granice racjonalizacji sektora państwowego, który tam jest fragmentem wymagającej, konkurencyjnej i utwardzonej finansowo struktury gospodarczej. Najpierw próbowano "komercjalizacji" sektora publicznego, potem jego "deregulacji", decydując się w końcu na prywatyzację. Wydaje się, że referowana wyżej koncepcja mieści się na poziomie "komercjalizacji". Należy zakładać z góry, że osiągalny u nas stopień racjonalizacji spółek państwowych będzie znacznie niższy niż na Zachodzie, zaś logika nadzoru administracyjnego będzie zawsze odmienna, niż kontrola ze strony prywatnych akcjonariuszy. Administracja reprezentuje logikę biurokracji i nie jest w stanie przestawić się na logikę gry kapitałowej. Decydują o tym nie stany formalno-prawne, ale całokształt stosunków gospodarczo-politycznych.

W warunkach niezdemokratyzowanej struktury politycznej można założyć, że projektowanie spółki Skarbu Państwa jako dominującego typu przedsiębiorstwa stanowi iluzoryczny krok naprzód w stosunku do modelu przedsiębiorstwa "3 X 5". Niebezpieczeństwo politycznej obszaru gospodarczego nie maleje, obietnica uzyskania przetomu efektywnościowo jest wątpliwa.

Drugim zasadniczym elementem nowej filozofii gospodarczej rządu jest swoboda podejmowania działalności gospodarczej. Można liczyć na szybkie efekty uchylecia niektórych barier rozwojowych sektora państwowego i odblokowania ludzkiej inicjatywy, ale należy pamiętać o proporcjach. Sektor państwowy posiada wciąż 83,5% udziału w produkcji globalnej /dane z 1987 r./, sektor prywatny - ponad 3%. Proporcje są prawie takie same, jak na początku lat osiemdziesiątych, na progno reformy. Dlatego program odrodzenia gospodarczego poprzez stworzenie wolnego pola dla aktywności gospodarczej społeczeństwa nie jest wystarczający. Cofanie się etatyzmu w dziedzinach kapitałochłonnych byłoby procesem zbyt powolnym.

Ale nie tylko tempo procesów wyzwolonych w ramach doktryny równoprawnienia sektorów jest tu problemem. Zasadnicze obawy budzi możliwy efekt symbiozy pomiędzy obumierającym stopniowo sektorem państwowym a nową przedsiębiorczością, której przejawem są spółki handlowe - coraz częściej tworzone przez przedsiębiorstwa państwowe - działające w oparciu o majątek trwały, powierzone materiały i zasoby ludzkie firmy macierzystej. Można wtedy mówić o lepszych efektach "strumieniowych", ale spójnienie na ten proceder z punktu widzenia hipotetycznego właściciela majątku, zainteresowanego ochroną substancji ekonomicznej

cznej i jej odtworzeniem, rodzi wątpliwości. Okazuje się to zalegalizowanym pasożytnictwem na majątku państwowym, czyli niczym. Problem tkwi w tym, że interesy własności nie są tu reprezentowane. Inne wątpliwości pojawiają się wówczas, gdy spojrzymy na symbiozę przedsiębiorstw państwowych i spółek z punktu widzenia budowy rynku i zdrowej konkurencji: powstają bowiem obiegi zamknięte, niedostępne dla outsiderów. Nie tanieść usług decyduje o akwizycji zleceń, ale układ personalny - lokowanie się dyrektorów firm państwowych i wpływowych osób pozyskiwanych z lokalnego establishmentu w radach nadzorczych spółek lub obejmowanie przez nich udziałów prywatnych stanowi o politycznym i socjologicznym obliczu tego procesu.

Tego typu reakcje zachodzące już teraz między sektorami każą sceptycznie spojrzeć na perspektywę zwycięskiej rywalizacji "nowego" żywiołu przedsiębiorczości ze "starym" sektorem państwowym, poszukującym nowej formuły organizacyjnej. Zamiast spodziewanej rywalizacji możemy być świadkami trwałego kompromisu, patologicznej symbiozy, reprodukcją chorą tkankę zetatyzowanej gospodarki.

EKONOMICZNA ALTERNATYWA

Rewitalizacja sektora państwowego poprzez wprowadzenie nowych form dysponowania kapitałem państwa ma swoje wyraźne, nieprzekraczalne granice. Naturalny rozkład etatyzmu byłby z kolei procesem zbyt długotrwałym i zatrującym całe gospodarcze otoczenie. Dlatego potrzebny jest akt eutanazji: szeroko zakrojona parcelacja majątku państwowego.

Włączając się w obecny nurt dyskusji na temat kierunków przebudowy gospodarki "realnego socjalizmu" proponujemy odgórnie przekształcenie amorficznej własności państwowej w zdecentralizowany system indywidualnych i dobrowolnie przekazywalnych uprawnień w stosunku do istniejącego majątku produkcyjnego /8/. To odróżnia naszą propozycję od pojawiających się ostatnio programów przebudowy własności państwowej we własność grupową, poprzez nieodpłatne rozdanie lub wyprzedaż udziałów majątkowych załogom pracowniczym. Akcjonariat pracowniczy, czyli związanie uprawnień majątkowych ze stosunkiem pracy, usztywnia naszym zdaniem obecną wysoce wadliwą strukturę produkcyjną. Nie stwarza też, ze swej istoty, przesłanek dla rynku kapitałowego /9/.

Treścią naszej propozycji jest powszechne uwłaszczenie, to znaczy realne przeniesienie uprawnień własnościowych z administracji państwowej na szerokie rzesze społeczeństwa. Musi to być radykalne odpaństwowienie gospodarki, nie tylko w sensie formalnym lecz i efektywnym, to znaczy musi prowadzić do narzucenia przedsiębiorstwom innych niż dotąd kryteriów kontroli ekonomicznej i do likwidacji gospodarczego paternalizmu.

Sytuacja kraju wyznacza strategię uwłaszczenia. Dochodzimy tu do podnoszonego często w dyskusjach problemu stąbości kapitałowej społeczeństwa jako bariery reprivatyzacji. Podkreślona wcześniej potrzeba radykalnego odpaństwowienia gospodarki narzuca jasne stanowisko w sprawie kwestii "wyprzedaż, czy nieodpłatne przekazanie". Budowa powszechnego akcjonariatu poprzez wykup mienia państwowego nie jest zadaniem realnym. Sprzedaż akcji może mieć charakter uzupełniający w stosunku do nieodpłatnego rozprawdzenia, w takiej proporcji, w jakiej zasoby ludności pozostają w stosunku do wartości majątku państwowego/10/

Znane nam, niebagatelne racje przemawiające za wyprzedażą, jako czynnikiem przywracania równowagi budżetowej i rynkowej, muszą ustąpić przed prostymi koniecznościami. Horyzont czasowy reprivatyzacji w formie wykupu akcji, szacowany przez optymistów na piętnaście,

dwadzieścia lat, a przez pesymistów na sto lat i więcej, przesądza o odbiorze społecznym tego wariantu przebudowy gospodarczej. Żaden program operujący tak odległą perspektywą nie jest w stanie pobudzić wyobraźni masowej, wyrwać z nastroju apatii i niewiary, zapobiec "chorobie emigracyjnej". Gospodarce i społeczeństwu potrzebny jest obecnie zwrot, wyrwanie z letargu, przełom w warstwie realnej i psychologicznej - taki, jaki przeżyło społeczeństwo Niemiec Zachodnich w roku 1948. Jeśli od wielu lat dryfuje się bez nadziei, o czym dobitnie świadczy odpływ emigracyjny ludzi młodych, to o reformie należy myśleć w kategoriach nieciągłości zwrotu, nie zaś procesów piętnastoletnich, dwudziestoletnich.

Wydaje się, że akt parcelacji mienia państwowego, w wyniku którego w każdym polskim domu powstaje uprawnienie majątkowe, które niebawem będzie można wypróbować na giełdzie, posiada walory mobilizacyjne. W wielkim skrócie wyobrażamy sobie taką operację następująco: wszystkie osoby fizyczne od 18 lat w górę, będące obywatelami polskimi otrzymują bony majątkowe o jednakowym nominalnie wynoszącym wedle wstępnych szacunków około 2 mln zł. Bony majątkowe są imienne i nie mogą być przedmiotem obrotu, mogą być wykorzystane tylko w jednym kierunku - jako uprawnienie do objęcia akcji o ekwiwalentnej wartości. Ustala się i ogłasza publicznie harmonogram reprzywaty - z a c j i, to znaczy podaje terminy, w których akcje poszczególnych przedsiębiorstw wprowadzone zostaną do obrotu na giełdach regionalnych. Posiadacz bonu majątkowego sam wybiera moment, w którym pojawia się na giełdzie w roli potencjalnego akcjonariusza lub powierza bon maklerowi giełdowemu.

Oprócz nieodpłatnego przejmowania udziałów za pośrednictwem bonów majątkowych, każdemu przysługuje prawo wykupu dowolnej ilości akcji dowolnego reprzywatyzowanego zakładu pracy. Oprócz emisji akcji zwykłych /na okaziciela/ zakładamy emisję akcji uprzywilejowanych danego zakładu pracy, adresowanych do jego załogi. Załoga może przejmować te akcje za bony lub kupować je z bonifikatą, zapewniając w ten sposób sobie odpowiednią siłę głosu na zebraniu akcjonariuszy. Tak widzimy - w uprzywilejowaniu załogi - rozwiązanie problemu kontroli nad zakładem pracy w okresie przejściowym oraz wyjście naprzeciw aspiracjom samorządowym w nowych warunkach. Szczególne prawa przysługiwałyby także załogom zakładów deficytowych, w których rozdysonowanie majątku dokonywałoby się bez pośrednictwa obrotu giełdowego, z prawem pierwokupu /kredytowanego/ zarezerwowanych dla pracowników.

Parcelacja objęłaby swym zakresem wszystkie przedsiębiorstwa sfery konkurencyjnej, przy pozostawieniu udziałów Skarbu Państwa w niektórych zakładach przemysłu kluczowego.

UWŁASZCZENIE JAKO TRANSFORMACJA SPOŁECZNA

Nasza propozycja, idąca tak daleko, wynika z diagnozy rzeczywistości gospodarczej naszego kraju i krytycznej weryfikacji innych prezentowanych współcześnie opcji reformatorskich, które - w kontekście istniejących zagrożeń i wyzwań cywilizacyjnych - okazują się półśrodkami. Ani administracja, zainteresowana efektami rzeczowymi i strumieniowymi, ani załogi pracownicze, zainteresowane przede wszystkim dochodami bieżącymi, nie są w stanie realizować interesów własności, rzecznika potrzeb przyszłości i uczestnika gry kapitałowej. Interesy własności nie mogą być symulowane przez sztuczne ciała, nominalni właściciele nie mogą występować na giełdzie, "socjalistyczny" rynek kapitałowy nie może być błądą imitacją zachodniego oryginału. Nie pomogą protezy, które mają nakłonić nominalnych właścicieli do zachowań "jak gdyby" ponosili rzeczywiste ryzyko. Muszą być w grze interesy

majątkowe konkretnych podmiotów, zaś organizowany system powinien im gwarantować możliwość zrealizowania skapitalizowanej wartości posiadanych zasobów.

Proponujemy najkrótszą drogą do rozruchu takiego systemu i wykreowania warstwy ludzi "specjalizujących się w własności". Nie ulega wątpliwości - weryfikuje się to empirycznie - że zachodzi istotna różnica pomiędzy kontrolą sprawowaną nad przedsiębiorstwem, za pośrednictwem mechanizmu giełdowego, przez miliony drobnych akcjonariuszy, a kontrolę sprawowaną "w imieniu społeczeństwa" przez państwową administrację.

Czas nagli. Należy porzucić złudzenia, że możemy oprzeć nasz rozwój cywilizacyjny na jakościowo odmiennych mechanizmach ekonomicznych niż te, które stanowią o dynamice świata zachodniego. Dlatego, opowiadając się generalnie za pluralizmem form i dobrowolnością rozwiązań, upatrujemy w reformie stosunków własnościowych próg reformy gospodarczej, widzące ogniwio transformacji "realnego socjalizmu" w system gwarantujący wyższą sprawność gospodarowania.

Szkicując projekt uwłaszczenia, widzimy w tym przede wszystkim rozwiązanie ekonomiczne. Dostrzegamy zarazem wymiar społeczny proponowanej operacji. Uruchomiony zostanie bowiem proces transformacji społeczeństwa na jej mnióków w społeczeństwo o zróżnicowanej strukturze dochodów, w którym obok rzeszy ludzi poprzestających na dochodach z pracy, pojawi się warstwa udziałowców, przedsiębiorców i rentierów.

Wymiar socjologiczny reprivatyzacji sektora publicznego był mocno akcentowany wszędzie tam, gdzie była to operacja zorientowana na drobny akcjonariat. Tak było z programem "kapitalizmu ludowego", proklamowanym przez Ludwika Erharda na zjeździe CDU w Hamburgu w roku 1957 i późniejszą reprivatyzację sektora publicznego w Austrii, gdzie także, w założeniu, chodziło o *soziale Privatisierung*. Motyw społeczny spleta się wyraźnie z motywem fiskalnym w licznych, szeroko zakrojonych przedsięwzięciach reprivatyzacyjnych doby współczesnej. Otwarcie deklarowanym celem konserwatystów brytyjskich jest *people's capital market*. Jest to świadoma operacja kreowania - poprzez bezpośrednie, a nie pośrednie kapitalizowanie oszczędności - szerszej warstwy *risktaking individuals*, niezbędnych w dziele rewitalizowania gospodarki, budowania kultury gospodarczej /*enterprise culture*/. Tak jest również we Francji i innych krajach bogatych, ale także w Brazylii i Chile oraz innych krajach rozwijających się.

Także dla nas ten społeczny aspekt dezetatyzacji gospodarki odgrywa bardzo istotną rolę. To, co proponujemy, można nazwać parcelacją majątku państwowego, wywłaszczeniem państwa czy reprivatyzacją, ale my akcentujemy świadomie, iż jest to powszechne uwłaszczenie. W istocie jest to uspołecznienie własności poprzez rozdanie i wyprzedż realnych uprawnień majątkowych w ręce ludzi, którzy pozostają nominalnymi właścicielami na mocy konstytucji. Rozproszenie własności, upowszechnienie własności prywatnej jest realniejszą formą uspołecznienia aniżeli formalne zapisy, pozostające w jawnym rozdźwięku z rzeczywistością. We własności państwowej nie ma bowiem nawet śladu uspołecznienia, śladu zarządzania gospodarką przez "zrzeszonych producentów", o których snił Marks.

Obecny układ stosunków własnościowych jest nie tylko pułapką ekonomiczną, ale także pułapką socjologiczną i antropologiczną, jest przesłanką społecznej samototalizacji. Rozwinięty na taką skalę etatyzm jest przyczyną ułomności wszystkich innych, niekolektywnych form własności, obecnych od dawna w naszym rolnictwie i rzemiośle, a rozwijających się stopniowo w przemysle.

Uwłaszczenie, odbudowa autentycznej własności jest więc także próbą wydobycia się z pułapki socjologicznej. Tak rozumiał Wilhelm Roepke istotę swego programu deproletaryzacji i taka jest treść hasła *redemptio proletariorum*, zaczerpniętego z katolickiej nauki społecznej /11/. Z uwagi jednak na późniejszą ewolucję tej nauki, przewartościowania widoczne szczególnie w encyklikach Jana Pawła II przywołanie tylko tego patronatu nad dziełem rehabilitacji własności prywatnej, co przytrafiło się autorom "Karty prywatnej przedsiębiorczości" z kwietnia 1987 roku, wydaje się lekkim nadużyciem. Szukając korzeni ideowych naszego programu, wskazujemy raczej na tradycję liberalną, eksponującą konsekwentnie, od czasu angielskich wigów, znaczenie własności prywatnej jako fundamentu wolności osobistej i pomysłowości gospodarczej całości. Nawiązując do tej tradycji, proponujemy radykalne wyjście z załków etatyzmu. Przejście od tego sztucznego tworu do pluralistycznego modelu stosunków własnościowych polegałoby na pokonaniu pewnego progu, który nazywamy uwłaszczeniem, oczekując, że to stworzy warunki dla dalszej swobodnej ewolucji struktury własnościowej w Polsce, z wykorzystaniem mechanizmu rynku kapitałowo-pieniężnego jako regulatora tych przemian.

JANUSZ LEWANDOWSKI
JAN SZOMBURG

PRZYPISY

1. A. Stelmachowski, *Wstęp do teorii prawa cywilnego*, Warszawa 1984, s. 52 i nast., 303 i nast.
2. Niektóre problemy własności i odpowiedzialności, pozostawione bez odpowiedzi w latach 1980/81 sygnalizuje J. Lewandowski, J. Szomburg, *Samorząd w dobie "Solidarności"*, Londyn 1985.
3. L. von Mises, *Niemożliwość rachunku ekonomicznego w socjalizmie*, w: *Human Action*, cyt. za "Przegląd Polityczny" 1985, nr 6, s. 72.
4. tamże.
5. J. Strzelecki, *Teoria praw własności: geneza, podstawowe pojęcia i twierdzenia, uwagi o zastosowaniu do analizy gospodarki socjalistycznej*, Warszawa 1984.
6. Rozmowa z ministrem finansów Andrzejem Wróblewskim /w:/ "Życie Gospodarcze", 1988, nr 10.
7. Zob. M. Świecicki, *Reforma własnościowa*, referat na seminarium "Propozycje przekształceń polskiej gospodarki", Warszawa 1988.
8. Wykorzystujemy tu fragmenty naszego referatu na seminarium "Propozycje przekształceń polskiej gospodarki", Warszawa 1988, *Uwłaszczenie jako fundament reformy społeczno-gospodarczej. Zarys programu*.
9. zob. R. Krawczyk, *Skrypt do kapitału*. "Przegląd Tygodniowy" 1985, nr 49.
10. Zob. S. Kawalec, *Zarys programu prywatyzacji polskiej gospodarki*, referat na seminarium "Propozycje przekształceń polskiej gospodarki", Warszawa 1988.
11. W. Roepke, *Civitas Humana. A Human order of Society*, London 1948.

NOWA PRZEDSIĘBIORCZOŚĆ W GDAŃSKU OCENA ZJAWISKA

UWAGI WSTĘPNE

Obserwowany w ostatnich latach szybki wzrost liczby przedsiębiorstw, powstawanie wielu małych firm, znaczne zróżnicowanie form ich działania, styl pracy odmiennej od stylu "jednostek gospodarki uspołecznionej", to niewątpliwie nowe zjawisko w polskim życiu ekonomicznym. Zostało to dostrzeżone przez ekonomistów, polityków i dziennikarzy. Pojawiły się wypowiedzi sygnalizujące i oceniające to zjawisko. Wyrażane są nadzieje, że ruch tworzenia wielu małych niezależnych przedsiębiorstw stworzy nowe warunki do prowadzenia gry rynkowej, że zdynamizuje polską gospodarkę i nada jej nowy kształt.

Dotychczasowe oceny tych przemian w polskiej gospodarce nie są, niestety, oparte o rzetelne, poprawne metodologicznie badania. Nie ma bowiem dotąd opracowań pozwalających na udzielenie odpowiedzi na takie podstawowe pytania, jak na przykład:

- o jakich przedsiębiorstwach mówimy, czyli według jakich kryteriów należy zaliczać nowe przedsiębiorstwa do ruchu nowej przedsiębiorczości?
- jaki jest ilościowy wymiar tego zjawiska, mierzony liczbą powstałych firm, poziomem ich obrotów i zatrudnienia?
- jakim dysponują potencjałem kapitałowym?
- jaki jest ich zakres działalności gospodarczej?
- jakie procesy ekonomiczne i społeczne zachodzą wewnątrz tych przedsiębiorstw?

Ukazujące się na ten temat informacje są fragmentaryczne, o dosyć niskim stopniu wiarygodności. Z reguły nie jest znany sposób ich gromadzenia i opracowania. Nie mogą więc one stanowić podstawy do wyciągnięcia zbyt daleko idących wniosków. Wyraźnie jednak wskazują na wagę problemu.

Prezentowany referat jest również w dosyć dużym stopniu obciążony wymienionymi brakami. Autorzy podjęli próbę uzyskania źródłowych informacji, lecz efekty tej pracy nie są zadawalające. Wykorzystaliśmy również wyniki naszych obserwacji, prowadzonych w trakcie kontaktów z młodymi firmami, w tym zwłaszcza w pracy doradczej, jednak całość materiału pozwala na podjęcie próby przeprowadzenia tylko wstępnej charakterystyki zjawiska.

ROZWÓJ NOWYCH FIRM W WOJEWÓDZTWIE GDAŃSKIM W LATACH 1982-1988

Pod pojęciem firm zaliczanych do nowej przedsiębiorczości będziemy dalej rozumieli te przedsiębiorstwa, które odpowiadają następującym cechom:

- powstały po roku 1981,
- działają jako spółdzielnie, spółki akcyjne i z ograniczoną odpowiedzialnością, niezależnie od tego, czy zostały zaliczone do jednostek gospodarki uspołecznionej, czy nieuspołecznionej,
- zostały założone w celu stworzenia korzystniejszych warunków pracy ich rzeczywistym założycielom, to znaczy zapewniające ograniczenie ingerencji aparatu partyjnego i administracyjnego w działalność tych organizmów gospodarczych, pozwalające na uzyskanie satysfakcji z wykonywanej pracy i zapewniające osiągnięcie relatywnie wysokiego poziomu wynagrodzenia za wykonywaną pracę.

Ruch tworzenia nowych przedsiębiorstw został zapoczątkowany w województwie gdańskim w roku 1982. W początkowym okresie utworzono nowe spółdzielnie pracy, zrzeszone w CZSP i CZSB. Można ocenić, że w pierwszych dwóch latach powstało około 15-20 nowych spółdzielni. Tempo wzrostu liczby tego typu przedsiębiorstw nie zwiększyło się w następnych latach poważnie. Można ocenić, że na koniec roku 1988 będzie funkcjonowało na terenie województwa gdańskiego między 80 a 100 nowych spółdzielni pracy.

Znacznie dynamiczniej rozwijały się w omawianych latach spółki prawa handlowego. Rozwój spółek z ograniczoną odpowiedzialnością oraz spółek akcyjnych w latach 1982-1988, przyjęty według liczby spółek zarejestrowanych w sądzie, przedstawiał się następująco: rok 1982 - 4 spółki, rok 1983 - 2 spółki, rok 1984 - 7 spółek, rok 1985 - 23 spółki, rok 1986 - 76 spółek, rok 1987 - 534 spółki, rok 1988 - 869 spółek /stan na dzień 5 grudnia 88/.

Spółki powstałe w latach 1982-1984 to spółki tworzone przez duże przedsiębiorstwa państwowe, między innymi ze względu na dogodność takiego rozwiązania w ich działalności na rynkach zagranicznych. Nie można więc zaliczyć ich do firm nowej przedsiębiorczości.

Od roku 1985 rozpoczyna się proces powoływania spółek przez nowo powstałe spółdzielnie, niekiedy między spółdzielniami, niekiedy z przedsiębiorstwami państwowymi, niekiedy z osobami fizycznymi, najczęściej jednak z przewagą kapitału z sektora uspołecznionego, dzięki czemu posiadają one status jednostek gospodarki uspołecznionej. Od roku 1986 nasila się ruch zakładania spółek przez osoby fizyczne. Spółki te zaliczane są do jednostek gospodarki nieuspołecznionej. Ogromną większość spółek utworzonych po roku 1984 można zaliczyć do firm nowej przedsiębiorczości.

Interesującym może być fakt, że stosunkowo wiele spółek przez pewien czas po zarejestrowaniu nie podejmuje działalności gospodarczej. Świadczyć może o tym fakt, że do końca września 1988 roku w województwie gdańskim podjęto działalność gospodarczą 437 spółek zaliczanych do jednostek gospodarki uspołecznionej, a w samym Gdańsku 203 spółki zaliczane do jednostek gospodarki nieuspołecznionej, można więc ocenić, że w województwie gdańskim podjęto działalność gospodarczą nie więcej, niż 400 spółek "jgn". Biorąc pod uwagę podane liczby, można z dużym prawdopodobieństwem założyć, że na terenie województwa gdańskiego działa pod koniec 1988 roku około 900-1000 firm nowej przedsiębiorczości, przy 1515 spółek zarejestrowanych do początku grudnia br. Niemniej jednak ta nowa przedsiębiorczość tworzy w wymiarze ilościowym zupełnie nową sytuację. Otóż według stanu na dzień 1 stycznia 1988 r. w województwie gdańskim działało około 1452 przedsiębiorstw uspołecznionych /bez spółek "jgu"/, a więc ilość przedsiębiorstw uległa podwojeniu.

POTENCJAŁ EKONOMICZNY I DZIAŁALNOŚĆ GOSPODARCZA NOWYCH FIRM

Dane dotyczące działalności gospodarczej i potencjału ekonomicznego nowych firm są praktycznie prawie zupełnie niedostępne, ponieważ firmy te bardzo niechętnie udzielają informacji na ten temat, posiadamy zatem tylko dane z rejestru handlowego. Wydaje się jednak, że nasze obserwacje dają podstawę do naszkicowania przynajmniej ogólnego obrazu w tej dziedzinie.

Większość nowo powstałych firm rozpoczęła działalność gospodarczą z bardzo niskim wkładem kapitałowym. W powstających spółdzielniach pracy wkłady członkowskie kształtowały się w granicach kilkadziesiąt do kilkuset tysięcy złotych. Spółki "jgu" były tworzone w oparciu o wkła-

dy od 300 do kilkuset tysięcy złotych, przy czym na podstawie naszych obserwacji oceniamy, że najczęściej wkłady te mieściły się w granicach między 100 a 200 tysięcy złotych. Bardziej zróżnicowane były wkłady spółek "jgn". Obok wkładów na poziomie zbliżonym do "jgu" występowały znacznie wyższe wkłady w tych przypadkach, gdy wspólnicy wnosili swój wkład w postaci budynków, maszyn i materiałów.

W takiej sytuacji nowe przedsiębiorstwa były zmuszone pokrywać swoje wydatki z bieżących przychodów, nie mając możliwości korzystania z kredytów bankowych. Nie miały one również źródeł finansowania nawet niewielkich inwestycji. Mimo takich trudności firmy te osiągnęły sprzedaż ze swojej działalności w pierwszym roku działalności na poziomie 20-100 mln złotych, a w następnym na poziomie 50-200 mln zł. Niektóre firmy stosują specyficzną technikę kredytowania i one z reguły odnoszą największe sukcesy na rynku, najszybciej się rozwijają, a ich pracownicy są najlepiej opłacani. Braki środków można bowiem uzupełnić kosztem kontrahentów, wykonawców lub zakładów pracy, w których pracują wykonawcy. Ponadto np. zwłoka w terminie płatności może dać firmie handlującej sprzętem komputerowym więcej, niż dochód z marży. Można sprzedawać programy komputerowe napisane na uczelni przez firmę, która nie ma ani jednego komputera własnego, można udziałowcom lub akcjonariuszom nie płacić dywidendy, bo procesy sądowe są tanie, lista pomysłów jest tu przeogromna.

Zakres działania nowych firm obejmował prawie wyłącznie świadczenia różnego rodzaju usług, w większości nie wymagających stosowania specjalistycznego sprzętu. Do najczęściej występujących usług można zaliczyć

- usługi remontowe, w tym zwłaszcza antykorozyjne polegające na malowaniu konstrukcji stalowych, przy czym specjalnością wielu młodych firm stało się wykonywanie usług na dużej wysokości;
- wszelkiego typu szkolenia;
- usługi doradcze;
- usługi w dziedzinie informatyki;
- pośrednictwo i handel, montaż sprzętu elektronicznego.

Na wszystkie wymienione rodzaje usług występowało i nadal występuje na rynku bardzo poważne zapotrzebowanie, niezaspakajane w wystarczającym stopniu przez stare przedsiębiorstwa państwowe i spółdzielcze. Większość nowych firm w znacznym stopniu bazuje na pracownikach zatrudnionych na zasadzie umowy-zlecenia. Częstym modelem jest tu taki układ, że pracownicy administracyjni oraz organizatorzy działalności gospodarczej są pracownikami etatowymi, a bezpośredni wykonawcy pracują na podstawie umowy-zlecenia.

Przeclętny obraz nowej firmy można naszkicować w następujący sposób:

1. Firma prowadząca działalność ekspercką, szkoleniową oraz usługi w dziedzinie informatyki zatrudnia 10-30 osób na etatach, posiada obroty rzędu 30 do 100 mln zł, korzysta z usług specjalistów zatrudnionych w innych przedsiębiorstwach i na uczelniach.
2. Firma prowadząca działalność remontowo-budowlaną zatrudnia 30 do 100 osób na etatach, posiada roczne obroty na poziomie 50 do 200 mln zł. Zatrudnia uczniów, studentów, pracowników innych przedsiębiorstw na podstawie umowy-zlecenia.
3. Firma prowadząca pośrednictwo handlowe głównie sprzętem elektronicznym zatrudnia 10-30 osób, a obroty wynoszą od kilkuset milionów do kilku miliardów.

PRZESŁANKI TWORZENIA NOWYCH FIRM

Charakterystyka przesłanek, jakimi kierowali się założyciele nowych firm jest bardzo trudna, gdyż nie prowadzono w tej dziedzinie bieżących badań. Obserwując ten ruch i uczestnicząc w nim prawie od po-

czątku, wyrobiliśmy sobie na ten temat pogląd, który w tym punkcie prezentujemy. Musimy jednak podkreślić, że nie dysponujemy wystarczającymi materiałami dla pełnego udokumentowania naszych twierdzeń.

Motywacje tworzenia nowych firm najlepiej jest, naszym zdaniem, prześledzić na procesie powstawania spółdzielni pracy. Wydaje się nam, że można z tego punktu widzenia wyróżnić następujące rodzaje przedsiębiorstw:

1. Spółdzielnie tworzone przez członków "Solidarności" oraz NZZ, którzy nie mogli lub nie chcieli pracować w zakładach uspołecznionych. Ich dążenia można, w ogólnym zarysie, scharakteryzować następująco:
 - niezależnienie od wpływu aparatu partyjnego i administracyjnego,
 - zapewnienie pomocy represjonowanym kolegom,
 - tworzenie niezależnego środowiska,
 - zapewnienie swoim członkom niezależności materialnej; przy czym cele te wymieniono według przyjmowanej hierarchii ważności.
2. Spółdzielnie tworzone przez działaczy organizacji studenckich o charakterze socjalistycznym, działaczy aparatu partyjnego i związków zawodowych o charakterze socjalistycznym. Mamy mniejsze rozeznanie co do motywacji założycieli tych spółdzielni. Na podstawie poczynionych obserwacji możemy jednak sformułować pogląd, że dążeniem założycieli było osiaganie godziwych zarobków, lecz także odejście od dotychczasowej działalności politycznej czy związkowej, znalezienie satysfakcji z wykonywanej pracy, uzyskanie większej niezależności. Hierarchii preferencji nie potrafimy ustalić.
3. Spółdzielnie tworzone przez założycieli niez zaangażowanych w większym stopniu w działalność polityczną i społeczną, jednak niezadowolonych z dotychczasowej pracy i zarobków, szukających możliwości rozwoju.

We wszystkich tych trzech grupach dominowali ludzie młodzi, w przedziale wieku 20-30 lat, a dominantą będzie zapewne wiek między 23 a 25 lat.

Większość spółek była tworzona w latach 1986-1987 przez spółdzielnie pracy lub ich spółki. Przyczyny, dla których tworzono spółki, były bardzo różnicowane. Wydaje się, że do najważniejszych można zaliczyć:

1. Stworzenie możliwości dalszego rozwoju organizacji, ograniczonego istniejącym systemem zarządzania gospodarką narodową.
2. Umożliwienie emancypacji członkom spółdzielni, nie mogącym znaleźć wystarczającego pola działania we własnej spółdzielni.
3. Stworzenie dodatkowych możliwości uzyskiwania dochodów kierowniczemu personelowi spółdzielni /dodatkowe zatrudnienie, wynagrodzenie za pracę w radach nadzorczych i zarządach spółek, wysokie oprocentowanie udziałów osób fizycznych.
4. Podejmowanie nowych rodzajów działalności, nie mieszczących się w istniejącym profilu założycieli, a rokujących osiaganie bardzo dobrych wyników ekonomicznych.

Już nawet z tego zestawienia wynika, że nie chęć zainwestowania kapitału, a ambicje ludzi i konieczność absurdałnej często gry z budżetem to motywy decydujące.

NIKOTÓRE PROCESY EKONOMICZNE I SPOŁECZNE ZACHODZĄCE W NOWYCH PRZEDSIĘBIORSTWACH

Nasze spostrzeżenia dotyczące omawianej w tym punkcie problematyki są głównie podsumowaniem doświadczeń zdobytych w trakcie świadczenia w latach 1983-1988 w różnym zakresie usług doradczych dla ponad 30 firm. Zarysować chcemy tu następujące zagadnienia:

- relacje ekonomiczne,

- rozwój osobowości,
- przemiany w zainteresowaniach i preferencjach,
- kształtowanie się stosunków międzyludzkich.

Mówiąc o relacjach ekonomicznych należy zwrócić uwagę na następujące zjawiska:

1. Bardzo wysoki udział wynagrodzeń w kosztach działalności. Początkowo kształtował się on na poziomie 50 do 70% z wyraźną tendencją spadkową w kolejnych latach działalności.
2. Wolno postępujący wzrost majątku trwałego.
3. Finansowanie działalności gospodarczej prawie wyłącznie ze środków własnych i pasywów stałych.
4. Poziom płac znacznie przekraczający poziom osiągnięty w przedsiębiorstwach państwowych, przy czym zauważa się od roku 1988 duże zmniejszanie tych różnic.
5. Stosunkowo niski poziom kosztów ogólnych, w tym zwłaszcza administracyjnych. Udział tych kosztów wskazuje jednak w kolejnych latach niezbyt silną, lecz wyraźną tendencją wzrostu.
6. Wydajność pracy znacznie wyższą, w porównaniu do przedsiębiorstw państwowych, mimo niskiego technicznego uzbrojenia pracy.

Bardzo ważne wydają się przemiany w osobowości członków tych społeczności. Kierowania przedsiębiorstwami, zwłaszcza w początkowym okresie, podejmowali się młodzi ludzie praktycznie zupełnie bez doświadczenia w pracy zawodowej. Korzystali oni z różnych form doradztwa, a także starali się zatrudniać księgowych o wysokich kwalifikacjach. Zdziawiająca jest jednak szybkość, z jaką ci młodzi ludzie się uczyli. Wykazywali oni i wykazują dalej ogromną skłonność do innowacyjności, ryzyka oraz umiejętności wyszukiwania nowych pól działania, pozwalających na robienie dobrych interesów. Bardzo szybko potrafili się oni stać równorzędnymi partnerami dla swoich klientów - kierowniczego personelu przedsiębiorstw państwowych. Z niedoświadczonych, niepewnych młodych ludzi szybko przekształcali się w rzutkich nowoczesnych menedżerów. Jako ciekawostkę można tu odnotować, że w niewielkim stosunkowo stopniu zmienili swój wygląd zewnętrzny.

Działalność personelu kierowniczego nowych firm była i jest skierowana głównie na zewnątrz. Wydaje się, że dosyć często posiadają oni skromne umiejętności kierowania zespołami pracowniczymi.

Zastanawiając się nad przemianami w zainteresowaniach i preferencjach pracowników nowych firm szczególną uwagę zwróciliśmy na firmy w większym lub mniejszym stopniu związane ze środowiskami opozycyjnymi. Próbowaliśmy odpowiedzieć sobie na pytanie w jakim stopniu pracownicy tych firm są wierni tym ideałom, z którymi rozpoczęli pracę. Nie ma na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi. Pewne zjawiska są jednak dosyć symptomatyczne. Zaliczyć do nich można:

1. Odchodzenie części pracowników od działalności politycznej i społecznej. Częściowo wynika to z silnego zaangażowania się w pracę zawodową przynoszącą korzyści ekonomiczne, a częściowo ze znalezienia satysfakcji w pracy zawodowej.
2. Uznawanie przez przytłaczającą większość członków tych społeczności zasadności i potrzeby świadczenia na rzecz kolegów silnie zaangażowanych w opozycyjną działalność społeczną oraz wspierania działalności niezależnej.
3. Wyłonienie się grupy przywódców, zaangażowanych ideowo, posiadających duży autorytet moralny i obdarzonych mandatem zaufania przez społeczność przedsiębiorstwa. Mają oni ogromny wpływ na oblicze ideowe całego zespołu.

Ważnym problemem jest kształtowanie się stosunków międzyludzkich w nowych przedsiębiorstwach. Według naszego rozważania, sytuacja kształtuje się w młodych firmach bardzo różnie, co wydaje się zupełnie zrozumiałe. Na wstępie warto zwrócić uwagę na fakt, że najczęściej

firmy te tworzyli młodzi ludzie, wcześniej związani ze sobą działalnością w uczelniach, w organizacjach społecznych, związkach zawodowych lub tworzący oparte na innych zasadach grupy nieformalne. Wspólne wejście w jedno przedsiębiorstwo spowodowało wystąpienie nowych relacji między nimi, relacji przełożony - podwładny. Nie byli oni na ogół do tej zmiany wystarczająco przygotowani. Podejmowane próby ułożenia tych stosunków na płaszczyźnie koleżeńskej wpływały niekiedy ujemnie na wyniki pracy. Wywoływało to i wywołuje dosyć liczne konflikty, a podejmowane próby utrzymania dotychczasowego układu stosunków w wielu przypadkach kończyły się niepowodzeniem.

Dodatkowym czynnikiem, komplikującym stosunki międzyludzkie, był niekiedy niewłaściwy dobór szefów firm. Zdarzały się przypadki, że ten, kto był dosyć wyraźnym przywódcą grupy w poprzednim układzie, był mniej sprawny i dynamiczny w zarządzaniu przedsiębiorstwem, niż niektórzy podlegli mu koledzy. Doprowadzało to w niektórych przypadkach do dramatycznych spięć, powodujących odejście niektórych członków zespołu. Dosyć częstym rozwiązaniem było w takim przypadku odwołanie najbardziej dynamicznych jednostek lub zespołów tworzonych przez ich dotychczasową firmę. Rozwój firm powodował napływ nowych pracowników. Dosyć typowym w takim przypadku bywał konflikt między tak zwanymi członkami założycielami a nowo zatrudnionymi. Konflikty te można często opisać według formuły: ci nowi myślą tylko o zarobkach, nie identyfikują się z firmą, małe znaczenie ma dla nich atmosfera w zespole i jego ideały, ci starzy chcieliby ciągnąć korzyści z faktu, że są założycielami, zajęli najbardziej lukratywne stanowiska, musimy na nich pracować. Przebieg tych konfliktów bywał niekiedy bardzo ostry. Częściej jednak spotykaliśmy się ze stwierdzeniem: "to już jednak nie ta sama firma, popatrz, jak oni się zmienili".

PROBLEM PATOLOGII

Przy omawianiu problematyki nowej przedsiębiorczości dosyć często zwraca się uwagę na problem patologii w działalności gospodarczej, w tym zwłaszcza na następujące objawy:

1. Konieczność tworzenia wysokiego poziomu kosztów własnych, szczególnie w początkowym okresie działalności, gdyż stanowi to podstawę do ustalania ceny za świadczone usługi.
2. Podejmowanie działalności pozornej, mającej na celu omijanie nieżyciowych przepisów.
3. Ograniczone możliwości płacenia według zasady "dobra płaca za dobrą pracę". Zmusza to przedsiębiorstwa do podejmowania różnych działań niezgodnych z przepisami, np. wprowadzanie tzw. "martwych dusz".
4. Szeroko rozbudowany system łapówkarski. Często przypadkiem jest dawanie łapówki za otrzymanie zlecenia na wykonanie pracy. Pow szechnie stosowane jest dawanie łapówek w zamian za przydział surowców, materiałów, maszyn i urządzeń potrzebnych do prowadzenia działalności gospodarczej.

Są to jednak zjawiska wynikające z logiki działania systemu ekonomicznego. Są one patologią, jeżeli przyjmiemy wzorzec gospodarki rynkowej, natomiast są prawidłowością dla naszego, sztucznie skonstruowanego systemu.

ZNACZENIE NOWEJ PRZEDSIĘBIORCZOŚCI DLA PRZEMIAN W SYSTEMIE EKONOMICZNYM POLSKI

Udział nowej przedsiębiorczości w wytworzeniu dochodu narodowego jest nawet w województwie gdańskim, zupełnie marginesowy. Nowe przedsiębiorstwa, powstające z inicjatyw oddolnej nie mają szans na to.

aby stać się silnymi ekonomicznie, dobrze technicznie uzbrojonymi organizmami gospodarczymi, inicjującymi postęp techniczny i technologiczny. Nie mogą one więc stanowić poważnej konkurencji dla dużych dysponujących ogromnymi kapitałami i potencjałem wytwórczym przedsiębiorstw państwowych. Ta pesymistyczna ocena wynika z faktu, że wszystkie one dysponują bardzo niewielkim kapitałem, a systemy podatkowy i kredytowy nie pozwalają, nawet w horyzoncie wieloletnim, na zgromadzenie kapitału niezbędnego do przekształcenia ich w małe lub średnie przedsiębiorstwa stojące na wysokim poziomie technicznym. Skazane są one więc na świadczenie usług nie wymagających drogiego, specjalistycznego oprzyrządowania oraz produkcję prostych, nienowoczesnych wyrobów. Nie można więc oczekiwać, że dalszy wzrost ich liczby będzie istotnym czynnikiem restrukturyzacji gospodarki narodowej.

Rozwój nowej przedsiębiorczości ma jednak poważne znaczenie dla przemian zachodzących w ekonomice naszego kraju. Twierdzenie to opieramy na następującym rozumowaniu:

1. Powstawanie nowych przedsiębiorstw pozwoliło już obecnie na znaczne zwiększenie kadry sprawnych, rzutkich menedżerów, dobrze radzących sobie z rozwiązywaniem trudnych problemów gospodarczych.
2. Odpływ fachowców z przedsiębiorstw państwowych i brak dopływu młodych, dynamicznych pracowników już obecnie zmusił wiele tych przedsiębiorstw do rewizji dotychczasowej polityki kadrowej, poprawy wykorzystania posiadanego potencjału ludzkiego i poprawę warunków płacowych.
3. Istnieją realne możliwości zmiany polityki gospodarczej, polegające na wspieraniu nowych przedsiębiorstw i tworzeniu konkurencji dla niesprawnych przedsiębiorstw państwowych, mocno broniących swych pozycji monopolistycznych. Problem polega jednak na tym, czy władza jest w stanie nie tylko zrozumieć, że w tym leży szansa zmiany naszej sytuacji gospodarczej, ale również wykorzystać tę szansę. Nie jesteśmy w tym przypadku optymistami.

JAN KRZYSZTOF BIELECKI
JAN MAJEWSKI

Bolesław Kościukiewicz, Zbigniew
Markowski i Witold Toczyski

W POSZUKIWANIU MODELU REGIONALNEGO

W dyskusji nad reformą systemu publicznego i ekonomicznego w naszym kraju, główne zainteresowanie skupia się na przebudowie całego systemu, bądź warunków mikroekonomicznych. Możliwość przecięcia gordyjskiego splotu uwarunkowań doktrynalnych i politycznych oraz barier rozwojowych dostrzegamy w wykorzystaniu i wzmocnieniu współzależności pomiędzy różnymi sferami życia społecznego i gospodarczego w skali regionu. Uważamy, iż rekonstrukcja elementów i mechanizmów rozwoju regionalnego stwarza szanse zwiększenia efektywności społecznej gospodarowania, przy jednoczesnym zapewnieniu możliwości korygowania rozbieżności pomiędzy interesami podmiotów gospodarczych a interesami społeczności regionalnej.

WĄTPLIWOŚCI "PUNKTU ZWROTNEGO"

Spółeczeństwo i gospodarka kraju znalazły się w punkcie zwrotnym. Stare paradygmaty rozwoju i "nowe" zakłęcia mające ożywić sposób funkcjonowania dotychczasowego ładu społecznego, gospodarczego i politycznego przeżyły się i nie przyniosły oczekiwanych skutków. Nowe znajdują się nadal w fazie poszukiwań. Obszar poszukiwań wyznaczony jest z jednej strony dążeniem do "uszlachetniania" rozwiązań dotychczasowych, z drugiej zaś mirażem całkowitej liberalizacji gospodarki. Syndrom punktu zwrotnego wypierając frustrację i zniechęcenie, zaowocował ożywionymi poszukiwaniami sposobów wydobycia się z dryfu rozwojowego. Znamienne jednak, że w oficjalnej retoryce reformatorskiej, poczynając od trzech "s" poprzez dwa etapy reformy i na planie konsolidacji kończąc, znacznie więcej miejsca zajmuje problematyka gospodarcza, instytucjonalna czy nawet społeczna, niż regionalna. Budzi ona również mniejsze zainteresowanie społeczeństwa. Środowiska niezależne także nie wydają się przywiązywać większej wagi do kwestii regionalnej.

Regionalizm w naszym kraju zamiera. Poznaniak przestał być poznaniakiem. Powoli przestaje być wiadomo, na czym polega specyfika województwa krakowskiego. Mazurów prawie już w ogóle nie ma, bo w większości wyemigrowali. Potęguje się wrażenie stopniowej homogenizacji przestrzennej i kulturowej kraju, a także unifikacji wewnątrzregionalnej. Na tym tle rysują się pewne wątpliwości.

Wą t p l i w o ś ć 1. Czy potrzebny jest nam jakikolwiek model regionalny? Czy poprawy kondycji regionu nie można osiągnąć poprzez uruchomienie tak hołubionych przez liberałów mechanizmów, jak konkurencja, wolna przedsiębiorczość, rynek kapitałowy, itp? Czy region jest na tyle odrębnym podmiotem, by warto było tracić czas na poszukiwanie jakiejś wizji jego rozwoju i kształtu docelowego?

Wą t p l i w o ś ć 2. Czy w poszukiwaniu sposobu rewitalizacji regionu może znaleźć zastosowanie doktryna liberalna, a jeśli tak, to w jakim zakresie? Czy ewentualne ograniczenia wynikają z realiów obecnej sytuacji, czy też są uwarunkowane odrębnościami rozwoju i funkcjonowania układów przestrzennych?

Wą t p l i w o ś ć 3. Czy poszukiwania lepszego jutra dla układów regionalnych można prowadzić w ramach ukształtowanego w 1975 roku administracyjnego podziału kraju?

OGRANICZENIA WYBORU

Wracając do pierwszej w podniesionych wątpliwości wypada wskazać na co najmniej dwojakie uzasadnienie celowości dyskusji nad modelem regionu. Przede wszystkim nie do przyjęcia jest utrzymanie dotychczasowego modelu relacji między układami działowogąźciowymi i regionami oraz między centrum a regionami. Relacje te plasowały bowiem region jako podmiot ubezwłasnowolniony i w realizacji niejasnych interesów *lobbies* przemysłowych i gospodarczych interesów centrum. Istotą tego typu wzorców rozwoju regionalnego i funkcjonowania systemów regionalnych najlepiej oddaje to, co umownie można nazwać syndromem "neokolonializmu wewnętrznego". Jest to nadmierna eksploatacja regionów o przewadze zbyt wąsko i jednostronnie rozumianych funkcji egzogenicznych, z drugiej zaś wymuszona wyprzedaż przez te regiony najcenniejszych wartości przestrzeni regionalnej w warunkach, gdy *terms of trade* w bardzo ograniczonym stopniu kształtowane były przez podmioty regionalne.

Ponadto wprowadzenie do poszukiwań dróg wyjścia z impasu społecznego i gospodarczego pierwiastka regionalnego oznacza wzbogacenie ich o nową filozofię uwzględniającą m.in. wymiar przestrzeni, kulturowy,

więzi wspólnotowej, ładu przestrzennego, ochrony i kształtowania środowiska przyrodniczego. We współczesnych paradygmatach regionalistyk istotne miejsce zajmuje taki cel rozwoju regionalnego, jakim jest gódrzenie rozwoju społecznego, gospodarczego i ochrony środowiska. Dyskusja nad pożądanym sposobem funkcjonowania regionu wprowadza do debaty nad reformą świadomości przestrzennych, regionalnych przyczyn i wymiarów kryzysu. Wskazuje jednocześnie na rolę przestrzennych różnicowań w ożywieniu systemu społeczno-gospodarczego.

Jeśli idzie natomiast o drugą z wymienionych wcześniej wątpliwości, to granice możliwości zastosowania koncepcji uzdrowienia regionu wywodzących się z ducha liberalizmu limitowane są nie tylko uwarunkowaniami doktrynalnymi i stopniem degradacji ekonomicznej i społecznej regionu, a także nieprzeznosnością i niepodzieinością niektórych unikatowych wartości przestrzennych /wartości kulturowe, krajobraz, położenie, zasoby środowiska, itp./ . Dotyczy to w równej mierze skali wewnątrzregionalnej i międzyregionalnej. Oczywiście inny charakter mają ograniczenia wynikające z realnej oceny możliwości wyrwania się w stosunkowo krótkim czasie z paraliżujących swobodę pęt stalinowskiego modelu gospodarowania. Mamy tu przede wszystkim na myśli pewne zbrutalizowanie zinstytucjonalizowanych stosunków społecznych, wykształcone i utrzymujące się postawy rewindykacyjne, niewiążące w możliwości ewolucyjnej poprawy, by nie wspomnieć o ograniczeniach natury gospodarczej.

W sumie uważamy, iż poszukiwanie modelu regionalnego będzie oznaczać przywołanie tych wartości i instytucji, które rozszerzać będą autonomię lokalną i regionalną, a także swobodę gospodarowania. Zadaniem państwa, władz byłoby natomiast regulowanie, ingerowanie w te dziedziny życia, które nie mogą być skutecznie rozwiązywane przez autonomiczne podmioty gospodarcze i regionalne.

O rozwiązaniu trzeciej wątpliwości decydują przede wszystkim względy pragmatyczne. Podzielając pogląd wyrażony w ekspertyzie PAN /1/ uważamy, że obecny administracyjny podział kraju ma wiele wad. Zaliczyć do nich można np. oderwanie administracyjnych granic województw od rzeczywistości ukształtowanych przestrzennych powiatań społecznych, gospodarczych oraz czynników historycznych. Wielce dyskusyjne jest istnienie kilku nowych województw. Podział ten wymaga korekt. Jakkolwiek jest to zabieg czasochłonny i skomplikowany, powinien być jednak przeprowadzony. Koszty utrzymania fikcji są bowiem dużo wyższe. W naszym referacie abstrahujemy jednak od pożądanego modelu regionalizacji gospodarczej i administracyjnej.

OPCJE REGIONALNE

Sposoby podejścia do filozofii i problemów rozwoju regionalnego bez wątpienia nacechowane są dwubiegową rozpiętością pomiędzy bezpośrednią regulacją całej sfery życia publicznego przez centrum, a wolnym i demokratycznym procesem integrowania się społeczności regionalnych i lokalnych. Poszukując dróg rewitalizacji regionu, stawiamy zatem wobec różnorodnych opcji będących źródnicowaną reakcją wobec filozofii dryfu cywilizacyjnego i opieszalych reform.

Opcja reformistyczno-planistyczna. Polega na włączeniu się w kanały oficjalnej aktywności społecznej i politycznej. Jest to poszukiwanie, tęsknota do racjonalności ekonomicznej bez konieczności dokonywania większych zmian, zwłaszcza politycznych czy też systemowych. Typowym przedsięwzięciem takiej opcji jest program "Gdańsk 2000", który zawiera tyleż dobrej woli autorów, co i pobożnych życzeń. W wielu przypadkach wiara w to, że administra-

cja regionalna i władza lokalna są w stanie wywołać bądź ożywić procesy rozwojowe, zastępuje samą ich realizację. Świadczy to często o braku znajomości współczesnych uwarunkowań rozwoju regionu.

Istota działań w ramach tej opcji zawiera się w dążeniu do uporządkowania regionu i jego rozwoju w postaci planu zagospodarowania przestrzennego województwa i planu rozwoju społeczno-gospodarczego. Intencją jest ujęcie zamierzeń w postaci wskaźników i skwantyfikowanych celów rozwoju. Planuje się rozwój branż, zagadnienia demograficzne i gospodarcze próbuje się kojarzyć z szacunkiem potrzeb mieszkaniowych, te zaś z podażą terenów uzbrojonych, itd. Rutyna planistyczna i paternalistyczne narzucenie celów i wzorców rozwoju dominują tu nad różnorodnością i niezdeterminowanym do końca przebiegiem rzeczywistego procesu rozwoju, a także pomijają całą sferę wolności wyboru w jednostki i grup społecznych.

Obecny charakter planowania regionalnego jako instrumentu regulacji rozwoju regionalnego z przyczyn systemowych nie może osiągnąć wystarczającej skuteczności. Cięży na nim bowiem takie samo piętno, jak na systemie planowania centralnego. Opiera się ono na przekonaniu pełnym zarozumiałości, iż można przewidzieć bogactwo form i możliwości rozwoju i wybrać /"zoptimalizować"/ odpowiednie drogi i sposoby ich realizacji.

Stabością nową generacji planów regionalnych jest nie tylko rachityczna część społeczno-gospodarcza, ale i zasadnicza trudność związana z przejściem na sterowanie rozwojem regionu za pośrednictwem mechanizmów ekonomicznych. Plany te wkraczają w swoją pułapkę - muszą uwzględnić wiele istotny komponent, jakim jest wzrastająca niezależność i samodzielność podmiotów gospodarczych, a także brak realnego dla nich wsparcia społecznego. To zaś zmusza planistów i władze lokalne do traktowania planowania regionalnego jako podstawy do prowadzenia swoistej gry, nastawionej na realizację przyjętych celów strategicznych. Takiej gry nie może prowadzić mało kompetentny pracownik aparatu biurokratycznego, kierujący się podejściem przetrwania i nie narażania się.

Nie wdając się w głębszą analizę nieskuteczności sterowania rozwojem poprzez planowanie w jego dotychczasowej postaci, pozostajemy przy stwierdzeniu, że jest to - jak dotąd - sztuka dla sztuki, której towarzyszy milczenie społeczności lokalnych.

Opcja pianistyczno-reformistyczna, w jej obecnej wersji, nie rokuje nadziei na szybkie wyprowadzenie regionu, jako podmiotu, ze stanu niemocy i patologii rozwojowych. Jest ona zbyt długotrwała, a tym samym zbyt kosztowna społecznie.

O p c j a a k c j i s p o ł e c z n e j . Polega na poszukiwaniu tych dziedzin życia regionu, które można wyrwać z państwowej gestii i roztoczyć nad nimi nadzór społeczny. Są to m.in. przedsięwzięcia zmierzające do restytucji szkolnictwa prywatnego, służby zdrowia, turystyki i lokalnych inicjatyw produkcyjnych, handlowych, społeczne i niezależne ruchy i inicjatywy ekologiczne, stowarzyszenia regionalne, regionalne izby handlowe, itp. Mają one wyraźne i konkretne cele. Są one również wyrazem dążenia do stworzenia innych, alternatywnych form życia społecznego i ekonomicznego w skali lokalnej i regionalnej, a także gotowości współdecydowania w rozwiązywaniu problemów rozwojowych. Nade wszystko są one również dowodem wzbogacania skali wartości gospodarczych, społecznych i politycznych, które powinny być brane pod uwagę w procesie podejmowania decyzji. Należy jednak być świadomym barier i ograniczeń, na które tego typu ruchy i inicjatywy napotykają.

Zakres podejmowanych dotąd akcji społecznych o różnym zasięgu i skali obejmuje na ogół trzy płaszczyzny:

- badawczo-pragmatyczną, związaną z wypracowaniem programów, środków naprawy wybranego pola rzeczywistości regionalnej,
- płaszczyznę rozważań ogólnych, intelektualno-krytycznych, skupiającą na ogół środowiska intelektualne /np. Gdańska Inicjatywa Obywatelska/,
- płaszczyznę polityczną.

I właśnie wejście na płaszczyznę polityczną, będące często warunkiem realizacji ważniejszych inicjatyw społecznych, stanowi barierę wyznaczającą zakres skuteczności omawianej opcji. Polityczna płaszczyzna działań nie może być - jak dotąd - sferą aktywności społecznej, ponieważ jest ona zarezerwowana dla oficjalnej władzy politycznej i prawie całkowicie przez nią zmonopolizowana. Poszerzenie jednak obszarów, gdzie różne grupy społeczne i jednostki, kierując się pragmatycznym nastawieniem, przyczyniają się do spełnienia rzeczywistych potrzeb społecznych, sprzyja niewątpliwie również poszerzaniu obszarów woiności politycznej.

O p c j a s a m o r z ą d o w a . Wydaje się wyraźnie nawiązywać do sugerowanej swego czasu przez O. Sika /2/ "trzeciej drogi" oraz samorządowej koncepcji Sieci z początku lat osiemdziesiątych. Najogólniej rzecz ujmując, jej istota sprowadza się do próby kojarzenia mechanizmu rynkowego z gospodarką państwową poprzez przekształcenie własności państwowej we własność grupową /załogową/ z możliwością wzmocnienia i urealnienia samorządności pracowniczej. Nie wdając się w głębszą analizę różnych, dyskutowanych w tym zakresie możliwości, pragniemy stwierdzić, że jest to wiązka pomysłów nawiązująca do idei doskonałenia zarządzania majątkiem państwowym.

O p c j a r y n k o w o - l i b e r a l n a . Silnie podkreśla konieczność odpaństwowienia form życia społecznego i urynkwienia gospodarki. Jej zwolennicy wskazują, że im mniej zakazów i nakazów oraz metod administracyjnych w zarządzaniu regionem, tym lepiej. Efektywna demokracja wsparta mechanizmem rynkowym sprawia, iż najlepsze decyzje dotyczące rozwoju regionu - z punktu widzenia regionu - podejmą sami jego mieszkańcy. Planowanie regionalne - w obecnym rozumieniu - w ramach tej opcji jest działanością pozorowaną.

O p c j a k o n t e s t a c y j n a . Polega na odrzuceniu zarówno obecnej filozofii rozwoju regionalnego, jak i dotychczasowych metod sprawowania władzy regionalnej. Nie negując znaczenia kontestacji jako formy dezaprobaty dla istniejącego porządku rzeczy, uważamy jednak, że nie stanowi ona wystarczającej podstawy do budowania wizji nowego, lepszego regionu.

OCENA

Zarysowany wyżej skrótowy przegląd dotychczasowych, ważniejszych kierunków poszukiwań reformatorskich w naszym kraju, wyraźnie wskazuje na dwie zasadnicze tendencje:

- próba ujęć globalnych, czyniących region /jako całość/ podmiotem i przedmiotem reform; ujęcia te mieszczą się w mało skutecznej opcji reformatorsko-planistycznej związanej z tzw. ulepszaniem stanu istniejącego;
- poszukiwania nowych jakościowo rozwiązań, czerpiących m.in. z dorobku różnych nurtów i doktryn społecznych i filozoficznych, dla których przedmiotem i podmiotem nie jest region jako całość; mają one raczej charakter pragmatyczny i sektorowy, niż przestrzenny.

Ocena efektów dyskutowanych opcji regionalnych niedwuznacznie wska-

pryzmat regionalny, w toku dotychczasowej reformy dokonano już wiele działań i modyfikacji. W sferze prawnej przywrócono istotną instytucję, jaką jest własność komunalna. W sferze ekonomicznej umożliwia się w sposób kontrolowany rozwój prywatnej i grupowej przedsiębiorczości, dokonuje się /niestety powolnych!/ przemian systemu bankowego, a nawet symptomatycznych przemian własności państwowej, itp. Powróciła to debata publicznej kwestii samorządności terytorialnej, a także wielowymiarowego pluralizmu. Tempo tych przemian, a także ich zakres jest zbyt wolny, a przede wszystkim nie dotyczą one fundamentalnych instytucji i mechanizmów życia publicznego i gospodarczego. Nie są w stanie jeszcze skruszyć skorupy paternalistycznego państwa, opartego na nieefektywnej gospodarce i niepluralistycznym porządku społecznym.

W Polsce niegdyś szala rozwiązań mocno, a nawet zupełnie, przechyliła się na rzecz monocentrycznej władzy, która podporządkowała sobie społeczności lokalne tak dalece, że wywołała ich systemowe i trwałe uzależnienie. Toteż nawet gdy nacisk centrum na pełne sterowanie i kontrolę zelżał, tamiąc zasadę "nic o was bez was", to w miejsce to nie powstał nic, co można by uznać za społeczność lokalną świadomie decydującą o kierunku rozwoju.

Oczywiście pogląd o upodmiotowieniu się regionów można uznać za uproszczony, to jednak wydaje się on tak długi słuszny, jak długi samorządy terytorialne będą bardziej emanacją władzy centralnej, niż reprezentantem społeczności terytorialnej /regionalnej, wojewódzkiej/.

Wspomniane przedsięwzięcia nie tamią wlec mechanizmu nazwanego przez J. Staniszkis mechanizmem przyczynowości strukturalnej /3/. W konsekwencji, w interesującej nas płaszczyźnie nie ma rzeczywistych możliwości określenia w danym okresie atrybutów interesu regionalnego, odpowiadającego interesom i wartościom społeczności lokalnych i regionalnych.

Krytyczna ocena opcji regionalnych wyraźnie wskazuje na brak jakiegokolwiek przejrzystej wizji regionu i jego roli w gospodarce. Nie chodzi tu przy tym o wykłópowany model porządkujący, ustalający cele rozwojowe regionu, środki i sposoby ich realizacji itp., będący jakby mutacją dotychczasowych działań uszlachetniających system sterowania regionem poprzez plan i paraliżującą dominację nieokreślonego interesu ogólnospołecznego /państwowego?/.

Jakie zatem mechanizmy należy uruchomić, aby pobudzić i wzmocnić u aktorów sceny regionalnej aktywność, skłonność do ryzyka, inicjatywę i wiarę w sukces, a z drugiej strony konstruktywnie wykorzystać poczucie więzi i tożsamości regionalnej, czy też odrębności interesów lokalnych?

W POSZUKIWANIU ODMIENNEJ "FILOZOFII" ROZWOJU REGIONU

K o n s t y t u c j a r e g i o n u . Punktem wyjścia w poszukiwaniu odmiennej wizji regionu może być daleka reminiscencja *Konstytucji wolności* F. von Hayeka /4/. Tworzenie zrębów takiej swoistej liberalnej konstytucji regionu wypada zacząć od stwierdzenia, że region nie jest i nie może być jedynie tworem administracyjnym ułatwiającym sprawne realizowanie administracyjnych, politycznych i gospodarczych funkcji centrum.

Region jest obszarem realizującym korzyści integracji, wzajemnego dopełniania i konkurencji aktorów sceny regionalnej. Na szczeblu władzy regionalnej powinny internalizować się tzw. zewnętrzne koszty działalności regionalnych podmiotów gospodarujących.

Wiodącą, aksjologiczną i pierwotną wartością /celem rozwoju/ regionalnego jest tworzenie warunków dla realizacji wolności indywidualnej

i wolności zbiorowej. Przekładając to ogólne wyznanie wiary na wymiar przestrzenny, regionalny, możemy stwierdzić, że idzie tu głównie o współistnienie - obok rozszerzającej się wiązki praw własności - takich wartości jak:

- wolność do wyłącznego posiadania i dysponowania pewną wydzieloną częścią przestrzeni, tj. przestrzenią prywatną,
- wolność grup społecznych, etnicznych, sąsiedzkich, społeczności lokalnych do posiadania i dysponowania przestrzenią publiczną,
- prawo dostępu do przestrzeni publicznej i elementów jej zagospodarowania wraz z możliwością współkształtowania i współdecydowania o charakterze jej użytkowania i zagospodarowania,
- wolność wyboru miejsca zamieszkania, miejsca pracy i miejsca spędzania czasu wolnego /lub inaczej; wolność od przypisania do miejsca pracy, miejsca zamieszkania i mieszkania oraz wolność od konieczności migracji/,
- prawo do życia w zdrowym, bezpiecznym, zrozumiałym środowisku przestrzennym.

Strategia i technika realizacji. Zaprezentowane wyżej wartości aksjologiczne tworzą jakby naturalną konstytucję regionu. Niezależnie jednak od tego, mają one również swój wymiar instrumentalny, pragmatyczny. W kompozycji z przedsiębiorczością i deregulacją gospodarki, wolnością stowarzyszeń i innymi rozwiązaniami sektorowymi, dają one szansę wyrwania regionu ze ścieżki stagnacji sterowanej motywacją braku i niesamodzielności, związanego z tym permanentnego przetargowo-uznaniowego kontredansa z Centrum. Byłoby to jednocześnie wprowadzenie regionu na tory samodzielności, zdolności podejmowania wyzwań rozwojowych i ponoszenia ryzyka.

Stwarzają one szansę nie tylko wyrwania wycinków działalności regionalnej, ale i całych regionów, spod obowiązków państwa zarówno co do celów, jak i kierunków rozwoju oraz łaskawości w uruchamianiu rzeczowych i finansowych instrumentów rozwoju. Z kolei wzmocnienie regionu w systemie prawno-ekonomicznym może stać się zaczynem zasadniczych reform o znacznie szerszym zasięgu, a także wzrostu gospodarczego.

Wykorzystanie tych szans jest celem strategicznym proponowanej filozofii rozwoju regionalnego. Nie ulega jednak wątpliwości, że konkretne sposoby praktykowania filozofii regionalnej muszą być i będą różne. Wynika to chociażby ze wspomnianej już specyfiki przestrzennych uwarunkowań rozwoju.

Proces ograniczania kontroli państwa nad rozwojem regionu, proces rewitalizacji regionu musi przebiegać ewolucyjnie. Należy się zgodzić z J. Kornalem /5/, iż na drodze do zwiększenia samodzielności ekonomicznej wspólnot i jednostek trzeba pokonać przynajmniej dwie istotne bariery, czy też ograniczenia. Mamy tu na myśli władzę biurokracji i mocno ograniczone możliwości wyboru, wynikające zarówno z braku równowagi na rynku produkcji i konsumpcji, a także wynikające z narzuconego wzorca wyboru, ściślej mówiąc pewnej jego wiązki. Mając zaś na uwadze splot uwarunkowań doktrynalnych, politycznych i ekonomicznych, uważamy, iż proces ten powinien przebiegać dwupłaszczyznowo. Jeden poziom to zmiany struktury i cech systemowych i w ich ramach postępująca efektywna decentralizacja zarządzania oraz rekonstrukcja samorządności lokalnej zmierzająca do realnego upodmiotowienia samorządów terytorialnych i oddzielenia ich funkcji przedstawicielską czy też reprezentanta władzy państwowej /problem ten jest już jednak przedmiotem odrębnych rozważań/.

Drugi poziom, to odbudowa pewnych kategorii i powiązań w sferze gospodarczej i społecznej, umożliwiającą skuteczne przeniesienie re-

lacji władza centralna - społeczność regionalna i władza wojewódzka - społeczność lokalna z pola administracyjnego, na płaszczyznę gry ekonomicznej kontrolowanej systemem prawnym.

Oznacza to potrzebę odmiennego spojrzenia zarówno na niektóre podstawowe kategorie, w oparciu o które winna się dokonać rekonstrukcja sfery gospodarczej, jak i na mechanizmy uruchamiające oczekiwania mogące z kolei pobudzić społeczną energię i wolę podjęcia trudu ciągłych dostosowań do zmieniającej się sytuacji.

W zakresie czynników zwiększających autonomię mikroekonomiczną i lokalną, zaliczyć należy wzmocnienie wiązki praw własności i ich obroty /np. dotyczące nieruchomości, gruntów/, realne upodmiotowienie ekonomiczne jednostek /gmin, miast, regionów, a nie ich rad przedstawicielskich/, swobodę tworzenia poziomych relacji między podmiotami gospodarczymi.

Co do potrzeby otwierania nowych pól aktywności mogących sprzyjać efektywności mikroekonomicznej w skali lokalnej, a także umocnieniu zespołu motywacji rozwoju, wydaje się nam, iż takie szanse stwarza przyznanie samorządom lokalnym prawa wejścia w bezpośrednie związki handlowe, kooperacyjne, usługowe i kapitałowe z zagranicznymi osobami prawnymi. Jak wskazują dotychczasowe doświadczenia, działalność ta nie zagraża istotnym interesom państwa, czy też tożsamości regionalnej. Wręcz przeciwnie, sprzyja procesom dostosowawczym, a nade wszystko elastyczności danej społeczności regionalnej, bądź lokalnej w dostosowywaniu się do zmiennych warunków otoczenia regionalnego, wywołanych zmianami technologii, warunków gospodarowania, ochroną środowiska przyrodniczego. Sprzyja również pobudzeniu postaw przedsiębiorczych, przepływowi idei, informacji, a także rosnącej odpowiedzialności społeczności lokalnych i regionalnych za jej własne losy rozwojowe. Tego typu rozwiązania mogłyby stanowić istotną szansę rozwojową dla większości regionów nadgranicznych, nadmorskich, materializujących i wykorzystujących we własnym zakresie rentę położenia.

Bardzo ważkimi niestety, często niedocenianym czynnikiem rozwoju regionalnego jest czynnik ludzki. Uaktywnienie społeczności lokalnych i regionalnych w procesie wydobywania regionu z dryfu rozwojowego wymaga odejścia od traktowania czynnika ludzkiego wyłącznie jako zasobu pracy. Oznacza natomiast konieczność podejmowania działań, które nie tylko przyczyniają się do ochrony zdrowia, ale wzmacniają również poziom wiedzy, kształtują postawy, zdolności, a przede wszystkim stwarzają szanse życiowe i tym samym poczucie satysfakcji. Nietrudno wykazać, że takie możliwości są regionalnie bardzo zróżnicowane, co oznacza wywołanie potrzeby konkurencji pomiędzy regionami o ludzi o najwyższych kwalifikacjach i wartościach, a także wzmocnienie cech-wyróżników danego regionu. Zakres możliwych i koniecznych działań jest tu szeroki. W systemie oświatowym oznacza to m.in. odejście od monopolu oświatowego i dotychczasowego monolitu tego systemu wraz z jego jednostronnymi funkcjami. Szkoła powinna zróżnicować swe usługi dostarczając je różnym grupom społecznym i niekoniecznie nieodpłatnie. Powinno się przywrócić szkołom prawo nawiązywania bezpośrednich kontaktów z podobnego typu placówkami zagranicznymi. Podobnie istotnej zmianie powinien ulec sposób funkcjonowania wyższej edukacji. To wszystko zaś mogłoby stworzyć regionalne centra, bieguny wzrostu przyciągające inwestycje.

Niezwykle istotnym problemem, związanym z rewitalizacją regionów, jest kwestia roli i zakresu oddziaływania władz na przebieg procesów rozwojowych. Idzie tu zarówno o pozycję i kompetencje centrum w odniesieniu do regionów, jak i relacje między władzami wojewódzkimi a władzami lokalnymi. Generalną zasadą powinno być tu ograniczenie ingerencji władz tylko do takich dziedzin działalności, takich decyzji, które

żadną miarą nie mogą być podjęte na niższych szczeblach. Do takich dopuszczalnych obszarów ingerencji władz w proces rozwoju regionu należy poza obroną narodową, stosunkami międzynarodowymi, itp., baczenie na relacje pomiędzy korzyściami producenta, a korzyściami i potencjalnymi stratami społeczności lokalnych i regionalnych.

Rewitalizacja regionów wymaga również odejścia władz regionalnych od instrumentów /narzędzi/ administracyjnych typu nakazy i zakazy, z wyjątkiem być może niektórych zagadnień związanych np. z ochroną i kształtowaniem środowiska przyrodniczego /6/.

Znacznie większą rolę należałoby natomiast przypisać narzędziom właściwie administracyjnym, lecz posiadającym charakter informacji kierowanej do ogółu społeczeństwa, do jednostek gospodarczych oraz instytucji. Instrumenty tego typu miałyby za zadanie obniżenie tzw. kosztów transakcyjnych, a więc określonych zasobów czasu, informacji i innych zasobów niezbędnych do przeprowadzenia określonej transakcji bądź rozpoczęcia działalności. Informowałyby o nowych obszarach aktywności społecznej i gospodarczej, o warunkach uruchomienia danej działalności. Realizacja tego postulatu jest jednakże wątpliwa bez wcześniejszego uruchomienia na przykład monitoringu środowiska przyrodniczego, monitoringu zmian społecznych, badań nad jakością życia w wymiarze regionalnym, rozbudowy systemu statystyki regionalnej i lokalnej oraz wyrwania systemu informacji spod monopolu państwa.

W tej grupie administracyjno-prawnych narzędzi sterowania procesem rozwoju regionalnego powinny się również znaleźć tzw. reguły gry regionalnej, czyli wszelkie reguły kredytowania, udzielania koncesji, zawierania umów lokalizacyjnych, ustalania wysokości i zasad obrotu prawami emisji zanieczyszczeń, itp.

Główny ciężar gatunkowy spoczywać jednak musi na przestrzennie zróżnicowanych instrumentach ekonomicznych i finansowych, takich jak opłaty, ułgi, podatki, oprocentowanie, kredyty, subsydia, renta gruntu. W przypadku instrumentów finansowych, szczególnie istotne jest wzbogacenie ich dotychczasowej funkcji fiskalnej i redystrybucyjnej o zadania regulujące i stymulujące, dostosowane do progu czułości regionalnych podmiotów gospodarczych.

Zmianie powinna również ulec rola i formuła dotychczasowego planowania regionalnego. Powinno ono ewoluować w kierunku planowania strategicznego, czy wręcz tylko polityki regionalnej. Prowadzenie stonowanej polityki regionalnej stawia w zupełnie odmiennym świetle pozycję władz regionalnych. Trudno bowiem wyobrazić sobie, by administracja sama podcięta gałąź, na której siedzi. Oczekiwać tego należy od regionalnych elit politycznych, społecznych i gospodarczych, nowo powstających stowarzyszeń oraz ciał samorządowych, wywierających nieustanną presję na władze administracyjne i polityczne.

Zrozumiałe tedy, że do inicjowania zmian w sposobie funkcjonowania regionów najbardziej predysponowane wydają się być województwa, bogate w kapitał ludzki i organizacyjny, który "przetarł" się już w konfrontacji ze skostniałym, często zachowawczym i inercyjnym systemem upaństwowionej gospodarki i upaństwowionego społeczeństwa. Działania takie mogą wywołać efekt naśladownictwa w innych regionach.

Niektóre dylematy liberalnej wizji regionu. Jedną z zasadniczych kwestii myśli liberalnej jest przeciwstawienie wolności równości, na korzyść tej pierwszej. Tam jednak, gdzie przedmiotem rozważań jest możliwość wszczęcia ducha liberalizmu do procesu rozwoju regionalnego, napotykamy na pewne istotne ograniczenia stosowności.

Niezależnie od ograniczeń zarysowanych we wcześniejszej części referatu, pragniemy zwrócić uwagę na specyficzną, przestrzenną wykład-

nię równości szans poszczególnych obszarów i związaną z tym kwestią sprawiedliwych zróżnicowań międzyregionalnych i wewnątrzregionalnych.

Przestrzenne zróżnicowanie szans rozwoju może mieć podłoże obiektywne, ale i może być objawem paraliżu rozwojowego wynikającego z dotychczasowej polityki gospodarczej i regionalnej /np. 27 obszarów zagrożenia ekologicznego/. W związku z tym, mówiąc o wizji regionu przyszłości, trzeba również mieć na uwadze następujące dylematy i ich konsekwencje:

- czy kryteria sprawiedliwych zróżnicowań regionalnych powinny być w jakiś sposób ustalane normatywnie /przez władze, niezależne organizacje?/, czy też sprawiedliwe jest to, co kształtuje się w wyniku mniej lub bardziej autonomicznych procesów rozwoju regionalnego?
- czy istnieją jakieś obiektywne granice, również czasowe, wspomaganie regionów i obszarów stagnacyjnych poprzez interwencyjne działania państwa?
- czy granice te powinny być ustalane przez bezpośrednie władze państwowe, czy też w jakiś inny sposób?

Dylematy te wyznaczają kierunek dalszych poszukiwań tego, co nazwalibyśmy odmienną filozofią rozwoju regionalnego. Wskazują na potrzebę efektywnej demokracji umożliwiającej sieci zreformowanych samorządów regionalnych i lokalnych podjęcie trudu negocjacyjnego rozwiązywania dylematów rozwojowych w warunkach niepewności i wielorakich celów rozwoju //7/.

Być może zarysowana przez nas wizja jest utopią. Nie ma jednak lepszego sposobu falsyfikacji utopii, niż podjęcie wysiłku wprowadzenia jej w życie.

BOLESŁAW KOŚCIUKIEWICZ
ZBIGNIEW MARKOWSKI
WITOLD TOCZYSKI

PRZYPISY:

1. Por. np. *Podział administracyjny kraju. Poglądy i opinie*. "Biuletyn KPZK PAN" Warszawa 1984, z. 126 oraz *Podział administracyjny kraju. Studia, materiały, dyskusja*. "Biuletyn KPZK PAN" 1986, z. 128.
2. O. Sik, *Argumente fur den Dritten Weg*, Hamburg 1973.
3. J. Staniszkis, *Własność - racjonalność - dynamika - struktura. Próba zrozumienia realnego socjalizmu*, "Przyjaciel Nauk" 1984-1985, nr 1-2.
4. F. von Hayek, *Konstytucja wolności*, WERS, Warszawa, Wrocław 1987.
5. J. Kornai, *Individual Freedom and Reform of the Socialist Economy*, "European Economic Review" 1988, nr 32, s. 233-267.
6. Problematyka ta jest szerzej dyskutowana w: B. Kościukiewicz, Zb. Markowski, W. Toczycki, *Wyprzedaż przyrody*, "Wektor gospodarki" 1988, nr 10.
7. Wyczerpujący przegląd metod podejmowania decyzji regionalnych w warunkach wielorakości celów rozwoju regionalnego zawiera m.in. *Handbook of Regional and Urban Economics*, Vol. I. /ed. P. Nijkamp/, North Holland, Amsterdam, New York, Oxford, Tokyo 1986, s. 504 i dalsze.

Lech Mażewski

MODEL WŁADZY LOKALNEJ

Spółeczeństwo polskie jest społeczeństwem biurokratyzowanym, a więc zbiorowością ubezwłasnowolnioną. Do niedawna jedyną aktywną w nim siłą była administracja. Jakikolwiek objaw niezależnej inicjatywy społecznej jest przez nią bądź tępiiony, bądź przekształcany w działalność administracyjną. Administracja nie toleruje więc samorządności i inicjatywy obywatelskiej. Prowadzi to do apatii i obojętności członków społeczeństwa na sprawy publiczne. Jedyna forma solidarności, jaką potrafią z siebie wyrzesać, to negatywna solidarność wobec władzy. Ale solidarność ta prowadzi tylko do dalszego zwiększania centralizacji oraz usztywniania się systemu. Zmiany występują tu jedynie w okresie kryzysów politycznych i buntu społeczeństwa przeciwko władzy. Nie prowadzi to jednak do głębszych zmian w organizacji społeczeństwa, a zatem nie usuwa samej przyczyny jego etatyzacji,

Niekiedy uważa się, że siła państwa zależy od zakresu problemów, które może ono rozstrzygać. Współcześnie jednak twierdzi się, że im więcej prerogatyw zdobywa państwo, tym bardziej staje się bezsilne. Za formalną strukturą administracji rozwijają się powiązania nieformalne, które stają się bardziej znaczące niż formalna zasada. Działania te paraliżują inicjatywę państwa, przeciążając je drobnymi sprawami, co uniemożliwia podejmowanie kroków o charakterze strategicznym, które mogłyby doprowadzić do zwiększenia autonomii centrum. Najlepszym zatem sposobem wzmocnienia władzy centralnej - tak potrzebnej w czekającym Polskę przechodzeniu do demokratycznego kapitalizmu - jest pozbycie się przez tę władzę znacznej części prerogatyw na rzecz niezależnych układów instytucjonalnych, uruchomienie różnorodnych mechanizmów regulacyjnych, ożywianie życia publicznego. W takich warunkach bowiem centralny ośrodek władzy /rząd/ może zająć się sprawami strategicznymi bez tracenia kontroli nad zagadnieniami bardziej szczegółowymi. Zagadnieniami tymi, a w szczególności modelem władzy lokalnej, zajmę się w niniejszym tekście.

UCZESTNICTWO W ŻYCIU PUBLICZNYM A SAMORZĄDNOŚĆ LOKALNA

Różni ludzie uczestniczą w różnym stopniu w podejmowaniu różnych decyzji, a są też tacy, którzy praktycznie nie uczestniczą w życiu publicznym. Pytanie, kto uczestniczy w podejmowaniu jakich decyzji i w jaki sposób, jest jednym z kluczowych ze względu na rozkład wiedzy w społeczeństwie. Podstawową kwestią w problematyce uczestnictwa jest instytucja obywatelstwa. Na jej współczesny kształt składają się trzy elementy: cywilny, polityczny i społeczny. Element cywilny obejmuje prawa konieczne dla zapewnienia swobody jednostki: wolność osobistą, wolność słowa, myśli i przekonań, prawo do posiadania własności i zawierania ważnych kontraktów oraz prawo do sądowego wymiaru sprawiedliwości. Element polityczny obejmuje prawo uczestniczenia w sprawowaniu władzy politycznej, bądź w charakterze członka ciała wyposażonego w prawomocną władzę, bądź jako wyborcy członków takiego ciała. Ele-

ment społeczny zawiera prawo do minimum standardu materialnego oraz prawo do uczestnictwa w dziedzictwie kulturalnym narodu. Z realizacją elementu cywilnego wiąże się działalność instytucji sądowniczych, elementowi politycznemu odpowiadają instytucje parlamentarne i lokalne instytucje samorządowe, z elementem społecznym wiąże się oświata i różnorakie świadczenia publiczne.

Koncepcja obywatela zakłada, podobnie jak ekonomiczna koncepcja konsumenta, że każdy człowiek zdolny jest do racjonalnego działania. Opieramy się więc tu na racjonalistycznej wizji człowieka. Założenie racjonalności jednostki jest konieczną przesłanką postulatu równości i uczestnictwa szerokich kręgów społeczeństwa w rozstrzygnięciu podstawowych problemów i kontroli nad działalnością rządu.

Istnieją jednak pewne warunki konieczne, aby mogło wystąpić uczestnictwo w podejmowaniu decyzji. Można wymienić dwa takie warunki. Po pierwsze, autentyczne uczestnictwo może wystąpić w warunkach współzależności interesów. Po drugie, konieczny jest pewin, dość znaczny, stopień symetrii w stosunkach społecznych. Współzależność interesów wyklucza sytuację gry o sumie zerowej, tj. uczestnictwo nie może wystąpić, gdy jedna ze stron zaangażowanych w konflikt ponosi tylko straty w wyniku zwycięstwa drugiej strony i gdy klęska przekreśla lub poważnie ogranicza szanse korzyści w przyszłych decyzjach. Natomiast nie wynika stąd postulat zgodności interesów. W sytuacji całkowitej zgodności interesów demokratyczne uczestnictwo w ogóle nie jest potrzebne. Postulat symetrii i stosunków społecznych implikuje względną równość obywateli. Żaden z obywateli lub żadna z grup obywateli nie może być tak silna, aby zmusić pozostałych do ponoszenia w sposób trwały strat w ramach danego układu stosunków.

We współczesnej Polsce żaden z tych warunków nie jest całkowicie spełniony. Nie ma bowiem ani takiej współzależności interesów między grupą rządzącą a innymi grupami społecznymi, aby wykluczona była gra o sumie zerowej; nie ma też dostatecznej symetrii między siłą obozu władzy a społeczeństwem. W takich okolicznościach dochodzi do ukształtowania się społeczeństwa biurokratycznego, w którym państwo uzyskuje znaczną autonomię w stosunku do społeczeństwa. Sytuacja taka wymaga stworzenia potężnej administracji państwowej, która chce przeniknąć do wszystkich sfer życia społecznego. Jedynym skutecznym *antidotum* na rozrost administracji - poza, oczywiście, funkcjonowaniem rynku - jest wzrost uczestnictwa w życiu publicznym.

Najbardziej podstawowym poziomem uczestnictwa w życiu publicznym jest samorządność lokalna. Alexis de Tocqueville sformułował pogląd, iż rzeczywistą szkołą uobywatelnienia jest samorząd gminny. Bowiem tu rozwijają się umiejętności polityczne i poczucie przynależności do szerszej zbiorowości. Im bardziej aktywne życie polityczne na szczeblu lokalnym, tym większe szanse na to, że szerokie rzesze społeczeństwa będą czuły się współodpowiedzialne za losy kraju.

Idea samorządu terytorialnego została w Polsce komunistycznej odrzucona, gdyż zakłada niejako przyrodzoną bądź naturalną sferę uprawnień samorządowych, a w konsekwencji traktuje samorząd jako system przeciwstawny państwu. W miejsce opróżnione przez samorząd terytorialny sięgnięto po leninowską koncepcję rad. W koncepcji tej rady pełnią jednocześnie funkcję organów samorządu i organów władzy państwowej, które to funkcje - mimo ich odmienności - nie mogą być jakoby w państwie socjalistycznym sobie przeciwstawiane.

Lenin traktował samorządność rad jako ich immanentną cechę, nierozdzielnie związaną z samą istotą pojęcia rad. Rady nie są zatem samorządem w znaczeniu strukturalnym, czyli jako odrębne od organizacji pań-

stwowej instytucje, ale cecha samorządności przysługuje radom właśnie jako organom państwa. Słowem, chodzi tu o funkcjonalne, a nie strukturalno-organizacyjne, rozumienie samorządności. Obie sfery działania rady - jako organu działania władzy państwowej i samorządu - są zatem nieodłączne, co zgodne jest ze stanowiskiem Lenina, iż samorządność jest cechą rady. W takiej sytuacji staje się zrozumiałą podstawa do głoszenia oficjalnego poglądu, iż w ustroju socjalistycznym samorząd przestaje być instytucją przeciwstawną państwu, gdyż jest z państwem socjalistycznym tożsamy. Tak więc instytucja samorządu terytorialnego staje się w ogóle zbędna, zamiast niego pojawia się "samorząd państwowy". Ideologia osiąga tu swój triumf.

Charakterystycznym dla lat 1944-50 było istnienie systemu rad narodowych przy jednoczesnym utrzymaniu wielu form organizacyjnych administracji terenowej i samorządu terytorialnego z okresu międzywojennego. Dualizm ten zlikwidowany zostaje ustawą z 20 marca 1950 r. o radach narodowych jako jednolitych organach władzy państwowej. Owa ustawa zniósła podział na administrację rządową i samorządową oraz przekształciła rady narodowe w organy władzy państwowej, nadając przydiom rad narodowych dotychczasowe uprawnienia terenowych organów administracji państwowej.

Nieśmiałą próbą powrotu do idei samorządu terytorialnego była reforma władzy lokalnej w latach 1972-75, utwierdzona ustawą o systemie rad narodowych i samorządu terytorialnego z 20 lipca 1983 r. Nowa ustawa - w przeciwieństwie do ustawy o radach narodowych z 1950 r., która odrzuciła dualizm terenowych instytucji ustrojowych - wyraźnie rozgranicza rady narodowe i terenowe organy administracji państwowej jako odrębne elementy strukturalne. Zamiast jednak dualizmu charakterystycznego dla stanu prawnego sprzed 1950 r. w niepomlery sposób wzmocniono centralny aparat wykonawczo-zarządzający. Zastąpiono bowiem kolegialny i podwójnie podporządkowany /w poziomie radom, w pionie kiercznim organom administracji państwowej/ aparat wykonawczo-zarządzający rad, jednoosobowymi i hierarchicznie podległymi organami administracji. Należy zatem stwierdzić, że obowiązująca dotychczas ustawa, mimo wyodrębnienia organu administracji państwowej ze struktury rady, a w konsekwencji rozgraniczenia obu tych instytucji ustroju lokalnego oraz powrotu do terminu "samorząd terytorialny" nie stanowi istotnego kroku ku restytucji korporacji samorządowych.

Ustawą z 16 czerwca 1989 r. znolizowano obowiązującą dotychczas ustawę o radach narodowych. Trzeba powiedzieć, że powyższa nowelizacja jest krokiem naprzód w procesie przywracania instytucji rzeczywistego samorządu lokalnego w Polsce. Najważniejszą sprawą są tu postanowienia zawarte w art. 52 pkt. 2 ustawy, w myśl których rady narodowe jako "organy samorządu terytorialnego prowadzą samodzielną działalność gospodarczą, dysponują mieniem komunalnym wydzielonym na podstawie ustaw oraz stanowią samodzielną podmiot gospodarczy uczestniczący w obrocie cywilnoprawnym na zasadach określonych dla osób prawnych". Oznacza to nadanie osobowości cywilnoprawnej radom narodowym, a więc możliwość bycia przez nie podmiotem różnego rodzaju uprawnień majątkowych.

Bez wątplenia wzmacnia to rzeczywistą samorządność lokalną, ale nie jest równoznaczne z przywróceniem samorządu terytorialnego. Co prawda, rady narodowe mogą być już podmiotem praw majątkowych, ale nadal nie ma sfery działań samorządu przedmiotowo wyodrębnionych ze sfery działań państwa. Skoro nie ma takiej sfery równoznacznej z istnieniem samoistnego władztwa samorządowego, mogącego doprowadzić do nadania organom samorządu podmiotowości publicznoprawnej, to nie może być mowy o restytucji samorządu terytorialnego.

Walka o samorząd terytorialny w Polsce nie powinna wynikać tylko z postulatu uczestnictwa obywateli w życiu publicznym. Istotne jest

również to, że względnie oddzielone od siebie szczeble w strukturze państwa zmniejszają niebezpieczeństwo przeciążenia centrali sytuacjami konfliktowymi. Polityczna zdolność rozwiązywania konfliktów jest ograniczona. Gdy wszystkie ważne decyzje polityczne zbiegają się na szczeblu państwa, przeciążenie konfliktami jest prawdopodobne. W dobrym systemie politycznym potrzebne są liczne szczeble, względnie samodzielne w stosunku do szczebli wyższych, aby można było przeciwdziałać właściwej ludzkiej tendencji /organizacyjno-socjologicznej/ do przesuwania decyzji coraz wyżej /zabezpieczenie przed przeciążeniem konfliktami/.

USTROJ I FUNKCJONOWANIE GMINY

Sprawą istotną dla funkcjonowania samorządu jest decentralizacja czynności administracyjnych zgodnie z podstawowymi zasadami demokracji. Przyjmując, że samorząd stanowi integralne ogniwo funkcjonowania państwa, należałoby władzom lokalnym powierzyć te sprawy, które potrafią one w ramach swych możliwości właściwie załatwić. Ustanowienie organów gminnych i ich współpraca oparta ma być na zasadach demokratycznych. Podstawowe rozgraniczenie między autonomiczną sferą kompetencji gminnych, a funkcjami powierzonymi im przez państwo, powinno wynikać z konstytucji. W ramach autonomicznej sfery działań gminy nie powinny być związane z jakimikolwiek zarządzeniami lub instrukcjami władz centralnych. Kompetencje nadzorcze tych władz mogą wynikać tylko z prawa konstytucyjnego.

U s t r ó j g m i n n y . Samorząd terytorialny stopnia podstawowego /gminny/ winien być zorganizowany według takiego samego schematu organizacyjnego, który obejmuje: 1/ zgromadzenie przedstawicielskie społeczności lokalnej /rada gminna lub rada miejska/; 2/ organ wykonawczo-zarządzający /zarząd gminny lub zarząd miejski/; 3/ naczelnika gminy lub prezydenta miasta oraz 4/ personel administracyjny. Elementem zmiennym jest tu jedynie liczba członków rady gminnej i zarządu gminy, która zależy od liczby ludności gminy.

R a d a g m i n n a . Radnych wybiera się w wyborach demokratycznych, w systemie większości bezwzględnej, a więc w dwóch turach. Radzie gminnej przewodniczy naczelnik gminy, który dysponuje głosem decydującym lub doradczym - zależnie od tego, czy jest on członkiem danej rady, czy też nie. Rada zbiera się po zwołaniu przez zarząd gminny, wówczas, gdy wymagają tego sprawy wchodzące w zakres jej kompetencji. Rada gminna ma generalną i zasadniczą kompetencję we wszystkich sprawach o zasięgu lokalnym. Dysponuje ona prawem wydawania przepisów. Ma również prawo określania statusu urzędników gminnych, powoływania ich /o ile ustawa nie zastrzeże tego uprawnienia dla innych organów/, zarządu majątkiem i finansami gminy. Poza tym rada jest właściwa do rozpatrywania każdej sprawy, która została jej przekazana przez władzę wyższego stopnia, np. w drodze ustawy.

Z a r z ą d g m i n n y . W skład zarządu wchodzi naczelnik gminy /prezydent miasta/, który przewodniczy mu z mocy prawa oraz członkowie, których wybiera ze swego grona rada na czas kadencji. Jest to organ kolegialny, tzn. członkowie zarządu nie mają w zasadzie żadnych uprawnień indywidualnych. Zarząd zbiera się w terminach ustalonych w regulaminie, a ponadto, gdy jest to konieczne, zwołany przez przewodniczącego. W zakresie zarządzania sprawami gminy do obowiązków zarządu należy przygotowanie spraw oraz wykonanie zarówno uchwał rady, jak własnych. Warto jednak zauważyć, że w dziedzinie spraw porządkowych zarząd może działać tylko wyjątkowo na mocy wyraźnego przepisu prawa. Poza tym na-

leży do niego bieżący zarząd sprawami gminy. W zakresie zarządzania sprawami ogólnymi zarząd może na mocy wyraźnego przepisu prawa, wykonać ustawy, jak również spełniać pewne zadania specjalne.

Naczelnik gminy / prezydent miasta /. Naczelnika gminy powołuje i odwołuje rada gminna na czas nieokreślony, wpływ czynnika rządzącego na wybór naczelnika gminy polegać będzie na tym, że kandydaci do tego urzędu przedstawiani są po porozumieniu zarządu gminy z wojewodą. Odwołanie następuje na wniosek wspólny wojewody i zarządu gminy. Naczelnik, który nie jest członkiem rady, przewodniczy zarządowi i tam dysponuje głosem decydującym, jednakże w radzie jego uprawnienia sprowadzają się tylko do przewodniczenia i dysponowania głosem doradczym. Jako urzędnik władzy gminnej naczelnik jest jej przedstawicielem. Z tego tytułu jest szefem administracji gminy i przełożonym jej urzędników. Należy doń prawo podpisu, jednak w zasadzie z kontrasygnatą sekretarza. Równocześnie naczelnik jest przedstawicielem władzy centralnej i poza uprawnieniami porządkowymi wykonuje ustawy, o ile nie zostało to wyraźnie zastrzeżone dla zarządu. Ma również prawo interweniować w sprawy zarządu zdecentralizowanych służb publicznych, organizowanych w ramach gminy.

Personel gminy. Rozmiary personelu zależą, co jest oczywiste, od wielkości gminy. Zasadniczo we wszystkich gminach działa sekretarz gminy. Stanowi on główną sprężynę administracji gminy. Odpowiada za należyte działania agend administracyjnych gminy. Jest obecny na posiedzeniach rady i zarządu. Redaguje protokoły z tych posiedzeń. Gmina na również generalnego poborcę podatków. Rekrutacja personelu odbywa się na zasadzie konkursu.

Partie polityczne na szczeblu gminy. W większych jednostkach lokalnych spotkamy się zapewne z działalnością ogólnokrajowych partii politycznych. Natomiast w małych gminach wybory odbywać się będą najczęściej pod wpływem osób lub interesów o bardziej lokalnym znaczeniu. W celu umożliwienia dokonywania wyboru osób niezależnie od listy partyjnej, na której figurują, ustawa o wyborach gminnych powinna zezwolić wyborcy na głosowanie na kandydatów z różnych list, jeśli tylko liczba wybranych kandydatów nie przekroczy liczby mandatów do obsadzenia. System taki będzie występował wyłącznie na szczeblu gminy.

Partie będą odgrywać też dużą rolę w wyborach członków zarządu i naczelnika. Członkowie zarządu, jak wiadomo, są wybierani spośród członków rad gminnych. Jeśli więc partia ma w radzie większość, wszyscy członkowie zarządu będą się z niej rekrutować. Jeśli natomiast większość zostanie uzyskana tylko przez sojusz różnych partii, porozumienie między nimi określi liczbę członków zarządu przypadającą każdej z nich. To, co napisałem, przy uwzględnieniu wpływu czynnika rządzącego, odnosi się do wyboru naczelnika. Partia lub partie dysponujące większością będą więc odpowiadać za zarządzanie sprawami gminy w czasie kadencji, pod kontrolą przedstawicieli mniejszości. Na tym polegają demokratyczne reguły gry.

Nadzór administracyjny. Środki nadzoru ogólnego - zawieszanie i uchylanie - mogą być zastosowane wobec wszystkich aktów władz gminnych, które naruszają prawo. Prawem tym dysponuje wojewoda, który działa jako przedstawiciel władzy centralnej. W pewnych, ściśle określonych przypadkach, gdy organy gminy nie działają, władza nadzorcza może wstąpić w wykonywanie ich uprawnień. Możliwe są wówczas dwie formy postępowania: działanie z urzędu lub wystąpienie specjalnego komisarza.

Uczestnictwo obywateli. System demokratycznych wyborów członków rady gminnej będzie stanowić niewątpliwie środek, któ-

ry umożliwi obywatelom uczestniczenie w życiu gminy. Wybór przedstawicieli jest niezaprzeczalnym aktem uczestnictwa. Możliwość głosowania na kandydatów z różnych list pozwoli w większym stopniu brać pod uwagę osobiste walory kandydatów, bez wiązania ich z przynależnością partyjną. Ponadto udział obywateli zapewni funkcjonowanie lokalnego referendum oraz różnorodnych procedur konsultacyjnych. Do rozważenia jest wprowadzenie instytucji lokalnej inicjatywy ludowej.

Uczestnictwo obywateli realizowałoby się również za pośrednictwem grup nacisku. Na szczeblu gminy grupy te na ogół będą dążyć do konkretnych celów. Np. będą walczyć z przejawami zanieczyszczenia środowiska, bronić interesów kupców danej dzielnicy, występować przeciwko pewnym robotom publicznym. Dla zaznajomienia ze swoim punktem widzenia grupy te będą wykorzystywać prasę, radio, telewizję, korzystać z prawa petycji, które będzie zagwarantowane konstytucją, domagać się wystąpienia przez władze gminne bądź bezpośrednio interweniować u przedstawicieli politycznych.

USTRÓJ WOJEWÓDZTWA

Przechodzenie od Polski komunistycznej do demokratycznej w sposób nieuchronny rozwinię tendencję w kierunku decentralizacji, większego przekazywania uprawnień władzom lokalnym oraz rzeczywistego wzrostu autonomii lokalnej. Jednakże przekazywaniu uprawnień oraz tendencji w kierunku wzrostu autonomii lokalnej towarzyszyć będzie zjawisko przeciwne: wzrost tendencji centralistycznych, odgrywających rolę katalizatorów w odniesieniu do niektórych przynajmniej, spośród licznych przejawów interesu lokalnego, do których władze centralne będą musiały się obecnie ustosunkować. Będzie to następstwem wzrastającej intensywności, jak również rosnącej szczegółowości żądań przedkładanych przez władze lokalne w celu uzyskania środków, które w swej większości będą mogły być zapewnione jedynie przez władze centralne albo bezpośrednio, albo przez delegację części swoich uprawnień podatkowych. W konsekwencji powstanie zapotrzebowanie na średnie szczeble władzy i zarządzania, które byłyby w stanie katalizować, kontrolować i koordynować /przeciwko dublowaniu, nakładaniu się czynności i marnotrawstwu/ fragmentaryczne i często partykularne żądania przedkładane przez władze lokalne, których to żądań może być po prostu za dużo, aby władze centralne mogły je zaspokoić.

Średnim szczeblem administrowania będzie w przyszłej Polsce województwo. Województwo ma dwa zgromadzenia: jedno uchwałodawcze /czyli radę wojewódzką/, drugie doradcze /czyli wojewódzką izbę gospodarczo-społeczną/. Organem wykonawczym jest wojewoda, któremu podlega personalna administracyjny województwa.

Rada wojewódzka składa się z trzech rodzajów członków: 1/ deputowanych do Izby Posłów wybieranych z terenu danego województwa; 2/ równych im ilością członków mianowanych przez prezydenta na wniosek premiera spośród osób szczególnie zasłużonych dla danego województwa; 3/ członków wybieranych w wyborach demokratycznych przez mieszkańców województwa w ilości dwukrotnie większej, niż dwie pierwsze grupy członków rady wojewódzkiej. Wprowadzenie deputowanych do Izby Posłów wybieranych w danym województwie do rady wojewódzkiej tłumaczy się dążeniem do zapewnienia spójności między celami województwa a państwem. Natomiast uczestnictwo w pracach rady członków mianowanych przez prezydenta na wniosek premiera jest wyrazem kompromisu między władzą a społeczeństwem. Mandat członków rady wygasa jednocześnie z mandatem, na podstawie którego weszli do rady. Łączna liczba członków rady będzie kształtować się różnie, w zależności od liczby ludności danego województwa.

Rada wojewódzka ma generalną i zasadniczą kompetencję we wszystkich sprawach o zasięgu wojewódzkim. Jej pozostałe uprawnienia są *mutatis mutandis* zbliżone do kompetencji rady gminnej.

Wojewódzka izba gospodarczo-społeczna, która jest lokalnym odpowiednikiem Naczelnej Izby Gospodarczej, powoływana jest na czas trwania mandatu rady wojewódzkiej. W skład jej wchodzi trzy kategorie członków: 1/ 50% miejsc zajmują członkowie, którzy są przedstawicielami organizacji pracodawców, związków zawodowych, wolnych zawodów, rzemiosł i izb handlowych; 2/ 25% członków rekrutuje się spośród przedstawicieli gałęzi gospodarki, które są specyficzne dla danego województwa; 3/ ostatnie 25% miejsc jest przydzielonych przedstawicielom wojewódzkiego przedsięwzięć w zakresie ekologii, zdrowia, spraw socjalnych i rodzinnych, oświaty, nauki, sportu, spraw kulturalnych itp.

Wojewódzka izba gospodarczo-społeczna ma kompetencje doradcze. Uczestniczy w wypracowywaniu wojewódzkiego programu gospodarczego, informuje producentów o stanie gospodarki województwa, wydaje opinie na wezwanie wojewody w sprawie wniosków zgłaszanych w radzie wojewódzkiej. Izba zbiera się i działa na tych samych zasadach, co rada wojewódzka. Obydwa zgromadzenia mogą obradować wspólnie w celu przedyskutowania spraw wchodzących w zakres ich kompetencji, jednakże każde z nich powinno głosować osobno.

Wojewoda jest organem wykonawczym województwa. Wojewodę powołuje i odwołuje premier po wysłuchaniu opinii rady wojewódzkiej. Wojewoda, nie mając prawa weta, może jedynie nalegać, by sama rada w ciągu miesiąca ponownie zbadała decyzję, z którą on się nie zgadza. Kompetencje wojewody określone są mniej wlicząc w ten sam sposób, co kompetencje naczelnika gminy w stosunku do rady gminnej. Wojewodzie podlega personel administracyjny województwa.

Nadzór nad działalnością rady wojewódzkiej pełni specjalna komisja parlamentarna, wyłoniona wspólnie przez obie Izby Sejmu. Komisji tej przysługują ogólnie przyjęte środki nadzoru.

Uczestnictwo obywateli w działalności władz wojewódzkich jest zapewnione przez demokratyczny wybór 2/3 członków rady wojewódzkiej oraz instytucjonalizację interesów lokalnych w postaci izby gospodarczo-społecznej. Ponadto możliwość uczestnictwa będzie dawała instytucja wojewódzkiego referendum oraz częste konsultacje społeczne.

Aby wzmocnić lokalne systemy władzy i partycypacji zarówno urzędnicy lokalni, jak władze centralne, muszą zdać sobie sprawę z potrzeby przynajmniej jednego pośredniego szczebla administracji między nimi, tj. zapotrzebowania na jakąś formę regionalizmu administracyjnego. Władze centralne, które w przeszłości mogły pozwolić sobie na czynienie zadość przejawom interesu lokalnego przez procedury dekoncentracyjne, tj. przez przedstawicieli władz centralnych rezydujących w terenie głównie dla celów nadzoru, obecnie będą musiały pogodzić się z nieco podzieloną lojalnością, uwzględniającą zarówno interesy lokalne, jak interes centralny. Wymóg, aby władze lokalne zwiększyły stopień udziału lokalnych grup interesu w narodowych projektach gospodarczych, powoduje z jednej strony większą niezależność władz lokalnych od centralnych oraz konieczność silnej reprezentacji interesów lokalnych wobec władz centralnych, z drugiej zaś interesów ogólnonarodowych wobec społeczności lokalnych. Postulatem tym próbuje sprostać nowy ustrój województwa.

FINANSE JEDNOSTEK LOKALNYCH

Sprawa finansów wywiera istotny wpływ na samodzielność lokalną. Nie możemy oczekiwać, aby władze lokalne były całkowicie niezależne. Z tym wszyscy się zgadzamy. Właściwie problem leży w równowadze między kontrolą centralną a autonomią lokalną. Sprawa finansów powoduje, że problem równowagi staje się tu wyjątkowo trudny. Czy władze centralne mogą udzielać pomocy finansowej władzom lokalnym bez ich kontrolowania - oto podstawowa kwestia.

Władze lokalne opierają się na dochodach z opodatkowania ludności lub dotacjach państwowych. Oba te źródła nie wystarczają do rozwiązania istniejących problemów. Jakie jest wyjście z tego impasu? Czy władze lokalne powinny korzystać w większym stopniu z subsydiów przyznawanych przez władzę centralną, czy też powinny szerzej uczestniczyć w źródłach dochodów centralnych?

Władza centralna, która finansuje jednostki lokalne, próbując zrównoważyć ich budżety, najczęściej sprawuje też nad nimi kontrolę. W państwach zachodnich, próbując rozwiązać to zadanie, stosuje się pewien schemat finansowy: władze centralne przeznaczają na rzecz jednostek lokalnych pewną sumę, co nie pociąga za sobą żadnej kontroli. Problem leży w tym, że każda jednostka lokalna otrzymuje tę samą sumę, bez względu na zróżnicowanie rzeczywistych potrzeb. Podjęto wysiłki, aby ustalić zasady, według których dotowano by wszystkie jednostki lokalne, ale z uwzględnieniem ich sytuacji. Nie można brać pod uwagę tylko potrzeb mieszkańców w zakresie usług społecznych, ale należy także uwzględnić możliwości władz lokalnych w zakresie podniesienia własnych dochodów.

W przyszłej Polsce - przy niedoborze funduszy własnych jednostek lokalnych - deficyt władz lokalnych powinien być częściowo tylko pokrywany subwencjami. Na czoło natomiast powinna wysunąć się tendencja do finansowania zadań jednostek lokalnych przez różne formy finansowania zwrotnego z funduszy publicznych. Forma taka jest na pewno znacznie bardziej mobilizująca niż subwencjonowanie. Zwalniałoby to poza tym centrum od ponoszenia szeregu wydatków publicznych, zmuszając jednostki lokalne do racjonalizacji swej gospodarki. Przyszłość pokaże, czy jednostki lokalne wobec stałego wzrostu zadań na nie nakładanych, będą w stanie spłacić zaciągnięte pożyczki. Niemniej można stwierdzić, iż są to formy umożliwiające zarówno administracji centralnej zachowanie kontroli nad działalnością terenową, jak i jednostkom lokalnym znaczny stopień rzeczywistej autonomii.

MODEL WŁADZY LOKALNEJ A UCZESTNICTWO W ŻYCIU PUBLICZNYM

Prezentowany model władzy lokalnej sprowadza się do postulatu przywrócenia instytucji samorządu terytorialnego na szczeblu gminy oraz takiego ustroju województwa, który będąc wyrazem kompromisu między władzą a społeczeństwem, dawałby możliwość kojarzenia interesu centralnego z różnorodnymi interesami lokalnymi. Właściwy układ struktur terytorialnych reprezentacji społeczeństwa ma zasadnicze znaczenie dla ukształtowania demokratycznego wpływu obywateli na działalność państwa. Ściśle z tym związana jest kwestia dyspozycji środków materialnymi na działalność publiczną. Pełna centralizacja dyspozycji tymi środkami czyni dość iluzoryczną możliwość kształtowania i wyrażania preferencji społecznych, przynajmniej w zakresie tych usług, które wymagają nakładów materialnych.

Ale samorządność lokalna stanowi tylko jeden ze szczebli uczestnictwa w życiu politycznym. Drugi stanowi uczestnictwo w stowarzyszeniach o

charakterze funkcjonalnym, jak związki zawodowe i organizacje broniące określonych interesów i wartości społecznych. Trzecim szczeblem uczestnictwa jest udział w życiu publicznym kraju. W zasadzie można by przypuszczać, że rozwój uczestnictwa w jednej sferze powinien wpływać pozytywnie na inne typy uczestnictwa. Tocqueville twierdził, że jest tak przynajmniej w przypadku uczestnictwa w polityce lokalnej. Można również przyjąć, że wysoki poziom uczestnictwa w sprawach ogólnokrajowych /myślę, że mimo wszystko możliwość taką daje ustrój zaproponowany w moim referacie *Mechanizm rządzenia w nowej Konstytucji*/ może prowadzić do większej aktywności w organizowaniu się obywateli dla obrony różnorodnych interesów wycinkowych. Możliwym sytuacjom konfliktowym między różnymi poziomami uczestnictwa będzie zapobiegać rozbudowa instytucji pośredniczących, umożliwiających osiągnięcie integracji całości bez nadmiernego uszczuplenia autonomii poszczególnych szczebli. Gdy instytucje takie istnieją i funkcjonują sprawnie, względnie łatwo mogą dostrzec i zrozumieć związki, jakie zachodzą między rozstrzyganymi przez nich sprawami, a interesami innego typu.

LECH MAŻEWSKI

Tadeusz Aziewicz

DWIE DROGI

PRZEDSIĘBIORCZOŚĆ, NIEZALEŻNOŚĆ, EWOLUCJA

Dużo się ostatnio mówi i pisze na temat zainteresowania młodych ludzi samodzielną działalnością gospodarczą. Żyjemy w regionie, w którym zjawisko powstawania nowych spółdzielni i spółek prawa handlowego opisuje się niekiedy jako prawdziwą eksplozję.

Zacząto się w roku 1982, po wejściu w życie nowej ustawy o spółdzielczości, która otworzyła młodemu - urodzonemu po 1948 roku - pokoleniu nieznaną dotąd możliwość. Sprowadzały się one do zaistnienia szansy na stworzenie prawie całkowicie niezależnego organizmu gospodarczego, bez komórki partyjnej i prezesów pochodzących z nomenklatury. Organizmu, w którym przyszła struktura była dopiero tworzona, co dawało młodym ludziom możliwość samodzielnego działania bez konieczności przebijania się przez stare, spetryfikowane układy.

Nowe spółdzielnie szybko okazały się bardziej efektywne od starszych koleżanek oraz od dużych państwowych przedsiębiorstw. Mogły zatem przeznaczać na wynagrodzenia stosunkowo duże kwoty, co powodowało powstanie legendy o możliwości dorobienia się poprzez założenie własnej firmy. Legenda okazała się nośna i przyciągała coraz to nowe rzesze kandydatów na spółdzielców.

Rozbudzona aktywność społeczna potrzebowała nowych form organizacyjnych. Pojawiło się znaczne zainteresowanie Kodeksem Handlowym i wynikającymi z niego możliwościami tworzenia spółek. Paradoksalnie ruch w kierunku ich zakładania wymusiło państwo wprowadzając w życie, w 1987 roku, przepis o 12-procentowym progu wzrostu wynagrodzeń. Dotyczył on wszystkich jednostek gospodarki uspołecznionej i ograniczał wzrost wynagrodzeń w firmie do 12% w stosunku do roku poprzedniego. Skutek był taki, że wiele efektywnych przedsiębiorstw już w drugim lub trzecim kwartale uzyskiwało poziom produkcji "pokrywający" maksymalny pułap wynagrodzeń i traciło motywację do dalszej działalności. Ucieczką od absurdu okazało się zakładanie spółek, które przejmowały od "przedsię-

biorstw-matek" tę część robót, którą tamte z uwagi na próg nie były zainteresowane i część kadry, która pracując w nowej strukturze na warunkach etatów lub na zasadzie umowy-zlecenia, uzyskiwała możliwość dodatkowych, zazwyczaj wysokich, zarobków. Często stosowaną formą stała się spółka przedsiębiorstwa z osobami fizycznymi, będącymi lokalnymi prominentami. Zjawisko stało się powszechne - u schyłku roku 1987 ambicją niemal każdej firmy stało się posiadanie spółki.

Zarysowane wyżej zmiany w połączeniu ze znacznym rozwojem sektora prywatnego stworzyły w życiu gospodarczym regionu nową sytuację. Pojawiła się znaczna ilość nowo narodzonych organizmów gospodarczych /łącznie mamy na Wybrzeżu ponad sto spółdzielni oraz ponad tysiąc pięćset spółek, przy czym liczba tych ostatnich ciągle szybko rośnie/ w znacznym stopniu odmiennych od tego, do czego od niemal pięćdziesięciu lat przyzwyczaiła się PRL.

Brak struktur partyjnych w nowo powstałych przedsiębiorstwach oraz fakt, że znalazło w nich schronienie wielu opozycyjnych działaczy, spowodowały, że zaczęto w nich mówić /trudno właściwie powiedzieć, kto uczył o pierwszy/ o zjawisku "niezależnej przedsiębiorczości" sugerując, iż mamy do czynienia z nową formą aktywności politycznej. Uzasadniały to podjęte przez niektóre środowiska próby wykorzystania przedsiębiorczości jako "trampoliny" umożliwiającej przebicie się do establiśmentu swoim działaczom. Znamienne jest kokietowanie "władzy ludowej" poprzez poparcie dla działań podejmowanych przez komunistów, oraz wyrażenie artykułowane przez owe grupy w miarę przechodzenia do tzw. "legalności" /patrz "Opinia Krakowskiego Towarzystwa Przemysłowego na temat założeń do projektu ustawy o zasadach podejmowania działalności gospodarczej" - streszczenie w "tadzie", nr 8, 1988 r./ Wyjątkiem zastępującym na szacunek jest konsekwentna postawa Aleksandra Paszyńskiego, który zarejestrował swoje Towarzystwo nie szukając cząstkowych kompromisów.

Poptynać na pojawiającej się fali próbuje także szereg ludzi do niedawna lub aktualnie związanych z nomenklaturą licząc na przetasowania w aparacie władzy, co w jakiś sposób wiąże ich interesy z interesami polityków o niezależnej proveniencji. Obie grupy przenikają się wzajemnie, co powoduje zamieszanie, którego skutkiem są pojawiające się w prasie skrajności - od apologii zjawiska, do przedstawiania go jako nosiciela korupcji.

Spotkanie pomiędzy osobami znającymi przedsiębiorczość z publicystyki, a ludźmi, którzy ją na co dzień "robią", stanowi dla tych pierwszych szok. Okazuje się, iż typowy, samodzielny działacz gospodarczy /dotyczy to przede wszystkim sektora prywatnego/ zazwyczaj pierwszy idzie na wybory i posiada "parasol" - w postaci zaprzyjaźnionego sekretarza, bądź wujka w milicji. Za niemata /ale najczęściej wymierną/ cenę szuka kontaktów wśród miejscowych prominentów, a do urzędów nie wchodzi bez bombonierki i koniaków. W zamian za poparcie, komunistyczny system daje mu najcenniejszy towar - wyjątkowość, obecność w mafii czerpiącej krociowe zyski właśnie z tego, że jest, jak jest. Powszechna możliwość wejścia na rynek oznaczałaby koniec przywilejów - konieczność robienia dobrze i tanio, przy stosunkowo mniejszych zarobkach. Z pozycji naszego przedsiębiorcy można postawić pytanie: po co?

Działaczom opozycyjnym, którzy na skutek zrządzenia losu zajęli się działalnością gospodarczą /zdecydowanie stanowią oni margines zjawiska przedsiębiorczości/, bardzo rzadko udaje się zachować "czystość ideową". Najczęściej spotyka się postawy oparte o dewizę "Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek". Narzeka się na struktury, poprzez które władza stara się kontrolować spółdzielczość, ale nie wycofuje się z

nich /przynależność do WZSP nie jest przymusowa/, gdyż ułatwiają np. załatwienie formalności paszportowych. Pisze się do podziemnej prasy, a interesy załatwia w oparciu o kontakty zaprzyjaźnionych aparatczyków, zwłaszcza, że w środowiskach nomenklatury, która przy okazji różnych przetarasowań znalazła się w niełasce spotyka się sınıbizm na kontakty z opozycją i skłonność do sprzedawania układów wynikających z dawnej pozycji w zamian za np. dyrektorski etat w spółce.

Reasumując - symbioza kwitnie, co denerwuje czasami młodszych działaczy, niekiedy dlatego, że nie zdążyli zmieścić się w układzie.

Odpowiedź na pytanie: czy "nowa przedsiębiorczość", pomimo wszystkich zarysowanych wyżej dewiacji, jest istotnym czynnikiem przyspieszającym powrót Polski do zachodniej cywilizacji, musi wiązać się z próbą określenia zasadniczego filaru, na jakim wspiera się komunistyczny system. Jeżeli przyjmiemy za słuszny pogląd, że tym elementem jest kolektywna własność środków produkcji /tak twierdzą zarówno komuniści jak i liberałowie/, to w tym przede wszystkim kierunku powinno nastąpić zasadnicze uderzenie. Zmiany w strukturze własności powinny pociągnąć za sobą zmiany w całości życia publicznego z podziałem władzy włącznie. Wszak "wolny jest ten, kto posiada środki produkcji" - jak często powtarza za Marksem Stefan Kisielewski. Z punktu widzenia tak zdefiniowanych pryncypiów istotna jest przede wszystkim ewolucja w kierunku rozbicia własności państwowej - przemiana ogromnej masy ludzi nie posiadających nic w ciągle rosnącej grupie posiadającej coś: kioski z wazrywami, bar piwny, udziały w spółce komputerowej lub spółdzielni pracy. Grupę stanowiącą załączek polskiej klasy średniej identyfikującej się z jakimś fragmentem życia społecznego w najprostszy sposób - to jest moje! Zarysowane wyżej zjawisko powstawania nowych spółdzielni i spółek /w tym również tzw. "jgu"/ uważam za istotny krok w tym właśnie kierunku - coraz dalej idącego uprzywatnienia własności.

Można z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, że prywatny właściciel, do niedawna ubek, będzie zachowywał się tak samo, jak prywatny właściciel wywodzący się z KPN-u. Jeden i drugi będzie się starał tak uprawiać swój ogródek, aby przynosił mu jak najwięcej, a ingerencja państwa może w tym jedynie przeszkadzać. Wkładając w swoją firmę znaczną ilość czasu, pieniędzy i pracy będzie chciał uzyskać pewność trwałości układu, przekazania go następnemu pokoleniu. Komunizm takiej pewności nie daje nigdy - stąd gorączkowy pęd rodzimych przedsiębiorców do natychmiastowego bogacenia się.

Powyższe czynniki, przy założeniu znacznej skali zjawiska, w sposób naturalny wymuszają określoną opcję polityczną, na pewno różną od komunistycznej. Skala jest czynnikiem chyba najistotniejszym - osiągnięcie pewnej masy krytycznej da naszym przedsiębiorcom większą pewność siebie, pozbawi ich lęku, sprawi, że nie będą już zaciekle bronić systemu, który w zamian za lojalność daje niektórym tak wielkie możliwości, a zacząną rozumować w kategoriach społeczeństwa obywatelskiego. Inaczej będziemy mieli jedynie to, co dotychczas - konkurencję w walce o przywileje.

Jeżeli spojrzymy na problem z punktu widzenia całości systemu, to nie jest istotne, skąd wywodzi się nowy "burzua", ani w jaki sposób dorobił się majątku. Ważne jest, że stając się właścicielem powłnien, jak stwierdziłem wyżej, poczuć się również obywatelem - podmiotem. Świadomy swoich praw i zdecydowanym się o nie upominać.

BYĆ INŻYNIEREM

Najwięcej jak dotychczas wątpliwości budzi problem skali - osiągnięcia owej, wspomnianej wyżej, masy krytycznej. Rozkład etatyzmu zachodzi, natomiast tempo i zakres tego zjawiska w obliczu coraz bardziej dotkliwego kryzysu rodzą zniecierpliwienie. W tej sytuacji pojawiają się próby przecięcia węzła gordyjskiego, dokonania "rewolucji kapitalistycznej". Do takich należy koncepcja Janusza Lewandowskiego i Jana Szomburga przedstawiona podczas sesji zorganizowanej w SGPiS w Warszawie.

Punktem wyjścia dla autorów jest krytyka wszystkich rozwiązań, jakie pojawiły się dotychczas w obiegu zarówno oficjalnej, jak i niezależnej myśli ekonomicznej. Bezlitośnie rozprawili się oni z wariantami: "Uszlachetnienia własności państwowej", "rad nadzorczych" i "dzierżawy mienia państwowego", poważniej traktując jedynie: "program uchylecia wszelkich barier rozwojowych", koncepcję "własności grupowej" oraz "aktywną deetatyzację". Z tej trójki rozwiązań zdecydowanie opowiedzieli się za ostatnim proponując własny pomysł zakładający "uwłaszczenie" społeczeństwa.

"Uwłaszczenie", nazwane również "uspołecznieniem własności przez prywatyzację", oznacza parcelację mienia państwowego pomiędzy wszystkich dorosłych obywateli PRL.

Jako technikę "uwłaszczenia" autorzy zaproponowali r o z d a - n i e wszystkim pełnoletnim Polakom bonów majątkowych o jednakowym nominalnie określonym poprzez iloraz wartości majątku państwowego i liczebności objętych zabiegiem. Bony mają być imienne i nie mogą stać się przedmiotem obrotu do momentu realizacji poprzez objęcie akcji na giełdzie. Od tego czasu powinno rozpocząć się funkcjonowanie rynku kapitałowego, który spowodować ma optymalizację alokacji zasobów i efektywne użytkowanie majątku.

Zarysowane wyżej ujęcie świadczy o nieporozumieniu. Państwo, jako siła wprowadzająca prywatyzację przedsiębiorstw nie jest w świetle doświadczeń lat osiemdziesiątych niczym oryginalnym. Jednak tam, gdzie takie działania miały miejsce, mieliśmy do czynienia raczej z reprivatyzacją, czyli przywróceniem własności prywatnej w tych sektorach, które przez krótki okres czasu państwo próbowało zawłaszczyć, w sytuacji kiedy zdecydowana większość gospodarki znajdowała się w rękach prywatnych właścicieli. Skali społecznego consensusu w zakresie podstaw ideowych systemu kapitalistycznego oraz dojrzałości cywilizacyjnej społeczeństw tych krajów w sferze gospodarowania nie ma sensu porównywać ze spustoszeniem, dotyczącym niemal wszystkich dziedzin życia, do jakiego doprowadzili Polskę komuniści.

W tej sytuacji proponowane rozwiązanie nie jest sięgnięciem do starych sprawdzonych wzorów, ale kolejnym wielkim eksperymentem, ogromną budowlą projektowaną przez kandydatów na inżynierów społecznych, opartą o niezbyt stabilne fundamenty.

Truizmem jest mówienie, że kapitalizm tworzył się przez stulecia /doświadczenie uczy, że nigdy dość truizmów/. Długotrwały proces powodował ruch majątku w kierunku najbardziej przedsiębiorczych, dobrze gospodarujących obywateli. Wieloletnia selekcja sprawiła, że główna jego masa znalazła się w rękach tych, których los obdarzył rzadkimi cechami - jak skłonność do ryzyka, "wycucie rynku"; środowisko - wychowaniem w duchu typowych dla tej kultury wartości; a wieloletnia nauka i praktyka - fachowością w zakresie zarządzania majątkiem. Ci właśnie obywatele stanowią elitę gospodarczą społeczeństwa, dorobek cywilizacji, której ciągłości nikt na dłużej nie przerywał.

Patrząc z tej perspektywy, w Polsce dysponujemy próżnią - wojna i czterdzieści lat rządów komunistycznych skutecznie wytrzebiły wszelkie elity. Prawdą jest, jak pisałem wyżej, że od pewnego czasu obserwujemy proces ich odbudowy. Proces przeżarty najrozmaitszymi patologiami, ale stale postępujący. Gdyby nie głębokość kryzysu, który nie pozwala nam czekać, być może ewolucja doprowadziłaby do przejmowania przez te grupy bezpośredniej - wynikającej ze stosunku własności - odpowiedzialności za główną masę majątku naszego kraju.

Skoro zakładamy, że nie mamy czasu, to musimy podjąć działania, aby ten zaczątek elit zidentyfikować i sprawić, aby do niego właśnie trafił odzyskiwany z "państwówki" kapitał. Jedyne on może wyłonić owych "nowych aktorów gry ekonomicznej reprezentujących interesy własności w celu maksymalizacji długookresowych dochodów finansowych". Czy jest to możliwe w ramach proponowanego rozwiązania?

Wdrożenie koncepcji "uwłaszczania" oznacza rozdanie uprawnień własnościowych ludziom, z których być może dziesięć procent potrafi je właściwie zużytkować. Są to swolste "perty rzucone między wleprze". Można dosyć łatwo wyedukować, że rozwijający się rynek z czasem skumuluje własność w rękach tych, którzy sprawdzą się w "czasie apokalipsy" /przekreśla to zdecydowanie egalitarny aspekt rozważań/, ale marnotrawstwo majątku następujące w międzyczasie może być tak wielkie, że przekreśli sens całej akcji.

Rozdawanie za darmo jest demoralizujące. Nie przekonuje argument, że społeczeństwo Polski nie posiada oszczędności w ilości umożliwiającej wykup majątku zawłaszczanego przez państwo. Koniecznym jest szukanie i rozważanie innych wariantów.

Myślę, że dużo lepszym rozwiązaniem byłoby stworzenie odpowiedniego systemu kredytowania, który umożliwiłby przejmowanie majątku w zamian za zobowiązanie do spłacenia jego wartości w terminie, powiedzmy, dziesięciu lat. Wycena mogłaby zostać dokonana poprzez zetknięcie popytu /w postaci m.in. zgłaszania gotowości do podejmowania zobowiązań/ z podażą /masa przedsiębiorstw przeznaczonych na sprzedaż/. Państwo mogłoby wpływać na przebieg tego procesu, choćby poprzez wspomniane bony, które oznaczałyby możliwość /przystępującą wszystkim, do określonej, być może w podobny do poprzedniego, sposób kwoty/ korzystania ze znacznych ulg w oplocowaniu. Kredyt na sumę przewyższającą określoną bonem byłby spłacany w oparciu o normalne, komercyjne zasady.

W ten sposób dokonywalibyśmy selekcji kandydatów na kapitalistów. Przejmowanie majątku wiązałoby się z podjęciem odpowiedzialności. Można spodziewać się, że wzięłyby ją na siebie nie degenerat spod budki z piwem, ale potencjalny przedsiębiorca dostrzegający możliwość wyłączenia z takiego rozdania korzyści. Jeżeli pod pojęciem równości rozumiemy równość szans, a nie rezultatów, byłoby to rozwiązanie egalitarne - każdy, kto czułby się na siłach, mógłby spróbować.

Należy tu wspomnieć również o deflacyjnym charakterze proponowanego pomysłu, szczególnie istotnym w sytuacji nadmiernej podaży pieniądza, z jaką mamy i mieć będziemy do czynienia.

Powyższe rozważania nabierają sensu jedynie w sytuacji, w której restytucja kapitalizmu w Polsce spotkałaby się z aktywnym poparciem ze strony państwa. W obecnych realiach trudno na to liczyć, a przy tym nie można zapominać, że nawet gdyby zdarzył się cud, to "niewidzialna ręka" Adama Smitha nie zadziała po tygodniu.

Zgadzam się z prof. Kurowskim, który w wywiadzie dla "Przeglądu Katolickiego" stwierdził, że szybko można wprowadzać jedynie komunizm. Przejście od systemu kapitalistycznego do "urawniłowki" jest przejściem od układu złożonego do prostego, co zawsze pociąga za sobą mniej problemów.

Nasze zadanie jest trudniejsze i nie należy się łudzić, że rozwiążemy je jakimś jednostajnym aktem. Dość już było eksperymentów i Polski roku 1988 na pewno na owe nie stać.

Reasumując, można stwierdzić, że nie ma alternatywy dla ewolucji. Mądra polityka państwa może ją jedynie przyspieszyć i zmniejszyć jej koszty. W ogólnym interesie jest zatem, aby obie drogi były jak najczęściej uczęszczane, bo obie wiodą w tym samym kierunku. Trzeba mieć nadzieję, że prędzej czy później się zbiegną.

TADEUSZ AZIEWICZ

I Gdański Kongres Liberalistów

ZAPIS DYSKUSJI /fragmenty/

Zebranych przywitał przedstawiciel gospodarzy, Gdańskiego Towarzystwa Naukowego, doc. Andrzej Zbierski, zaś oficjalnego otwarcia Kongresu dokonał w imieniu środowiska "Przeglądu Politycznego" Donald Tusk, który przekazał przewodnictwo obrad Dariuszowi Filarowi.

Referat wstępny "Prawo do polityki" wygłosił DONALD TUSK, następny referował LECH MAŻEWSKI /"Mechanizm rządzenia w nowej konstytucji"/ i po krótkiej przerwie przystąpiono do dyskusji. Rozpoczął ją ALEKSANDER HALL /Gdańsk/: "Według mnie referat kolegi Mażewskiego stawia sprawy bardzo istotne, a mianowicie kwestie systemu instytucji okresu przejściowego, niezbędnego na drodze do tego, o czym myśli olbrzymia część środowisk opozycyjnych w Polsce, czyli do pełnego systemu demokratycznego. Wiadomo, że opozycja polityczna zrodziła się właśnie z generalnego zakwestionowania systemu komunistycznego i wiadomo, że tą alternatywą, którą wysuwała, był ustrój demokratyczny. Ten ideał pozostaje dla nas aktualny. Jest jednak rzeczą oczywistą, że o ile nie zajdą wydarzenia zupełnie nieprzewidziane, to nie zrealizujemy go za jednym zamachem. Konieczny jest jakiś okres przejściowy i instytucje okresu przejściowego, stwarzające perspektywę na uruchomienie w szerokim zakresie elementów demokracji, a z drugiej strony dające gwarancje rządzącemu establishmentowi, który ma przecież bardzo realne interesy i siłę. Rozważania kolegi Mażewskiego akurat dobrze w moim przekonaniu wiążą się z podstawowym wymogiem, na jaki musi odpowiedzieć polska opozycja. Co dalej? Kierunek myślenia bardzo mi odpowiada. Co nie znaczy, że przyjmuję w całości zaproponowany model, to jest na pewno kwestia dalszych jeszcze rozważań.

Dwie sprawy wydają się wątpliwe i wymagające głębszej refleksji. Pierwsza to jest kwestia teoretyczna - legitymizmu władzy. Dzisiaj opozycja kwestionuje całość instytucji. Zarówno genezę, jak i mechanizmy systemu. Z chwilą pójścia na pewien kompromis polityczny i wejścia w instytucje, zmienia jednak w istotny sposób swą pozycję wobec społeczeństwa i trzeba sobie powiedzieć, że znaczna część opinii publicznej wybierze inną drogę. Z pewnością nie dla całej opozycji ten sposób myślenia jest do przyjęcia, szczególnie dla jej fundamentalistycznej części.

I druga strona, praktyczna. Przymierzmy do polskich realiów konkretne propozycje Mażewskiego. Czy jesteście sobie w stanie wyobrazić nas samych idących na wybory prezydenta z dwóch kandydatów partii komunistycznej, a pozycja tego prezydenta, który otrzyma powiedzmy 20 procent głosów elektoratu przypominać ma pozycję na przykład parlamentu wybranego głosami 90 procent elektoratu? Ta niewspółmierność będzie miała swoje konsekwencje polityczne i to jest jedna z pułapek. Inaczej te rzeczy wyglądają rozpatrywane teoretycznie, modelowo, a inaczej, kiedy się je odnosi do konkretnej rzeczywistości politycznej i psychologicznej. Nie chcę jednak kwestionować generalnego kierunku myślenia, który według mnie jest przykładem szukania przestrzeni dla kompromisu i pewnej wizji politycznej na wypełnienie tego okresu przejściowego pomiędzy państwem totalitarnym a państwem demokratycznym'.

PIOTR KAPCZYŃSKI /Gdańsk/: "Środowisko 'Przeglądu' często pytane jest o przyczyny przyjęcia opcji liberalnej, niezbyt zakorzenionej w polskiej tradycji politycznej. Sądzę, że na początku lat 80-tych zaistniały dość korzystne okoliczności sprzyjające śmiałym wyborom ideowym, zaś stan wojenny i późniejsze doświadczenia z niego wynikały wykazały ograniczoność formuły wiązkowej. Ponadto istniejące kierunki, nawiązujące do polskiej tradycji, jak socjalistyczny czy narodowy, wydawały się nieprzystające do współczesnych problemów. Stąd łatwość sięgania po wzory dość odległe. Dużę znaczenie miała też specyfika Trójmiasta. Obok silnego oporu wobec polityki stanu wojennego brak było autorytetów intelektualnych, co ułatwiało młodej inteligencji dokonywanie śmielszych wyborów. Sądzę, że nie była to tylko kwestia mody. W Polsce liberalizm jest integralną propozycją zmian systemowych, jest w jakimś sensie programową antytezą istniejącego systemu. Ewentualny consensus różnych odłamów polskiej opozycji opiera się może na wartościach liberalnych, takich jak swobody i wolność obywatelskie, społeczeństwo obywatelskie, demokracja parlamentarna, własność prywatna, gospodarka rynkowa. Rozwiązanie liberalne zakłada maksymalne ograniczenie udziału państwa w życiu gospodarczym i społecznym. Poza to zbliża nas takie myślenie do koncepcji samoorganizacji społecznej i społeczeństwa niezależnego, które również zakładały organizowanie społeczeństwa poza państwem. Różnica zasadnicza leży w podejściu do polityki. Koncepcja samoorganizacji zakładała samoorganizację obok czy nawet wbrew państwu. Wiele sfer polityki było zniesionych. Doświadczenia ostatnich lat wykazały jednak, że polityki odrzucić się nie da, podobnie jak państwa. Bez udziału instytucji państwowych nie da przekształcić się systemu - państwa nie można odrzucać czy pomijać, trzeba je zmieniać.

Presja społeczna, na przykład strajki, pozostająca wciąż najskuteczniejszym instrumentem politycznym w Polsce, ma swoje ograniczenia. Zmiany generalne wymagają rozwiązań politycznych, chociaż dziś sprowadzają się one głównie do zakładania stowarzyszeń i niezależnych przedsiębiorstw gospodarczych. Są to jednak niezbędne przesłanki do dalszej ewolucji politycznej. Padała tu już kwestia ewentualnego udziału razem z komunistami w instytucjach państwowych i politycznych, współrządzenia i współodpowiedzialności za kraj. Jest to sprawa złożona, nie tylko ze względu na opory aparatu władzy, ograniczenia geopolityczne, czy bagaż złych doświadczeń z

tą władzą. Ale barierą jest też stosunek społeczeństwa i opozycji do polityki jako takiej. Polityka jawi się jako coś moralnie dwuznacznego, jako gra, układanie się, ma wiele skojarzeń negatywnych. Jestem jednak przekonany, że klucza do rozwiązania polskiego kręgu niemożności należy szukać w sferze czysto politycznej. Rozwiązania polityczne w naszych warunkach będą na pewno niedoskonałe i ograniczone, ale jesteśmy na nie skazani. Lepsze są choćby utomne zmiany polityczne, niż brak jakichkolwiek rozwiązań".

Następnie WIEŚLAW BYCZKOWSKI /Gdańsk/ wystąpił z głosem zatytułowanym "Czy Polska może wybić się na liberalizm?". Co zdecydowało - pytał - że polski liberalizm jest dla tak wielu ludzi pociągający, mimo nieobecności liberalizmu w polskiej tradycji politycznej? Jakie są jego perspektywy w peerelowskiej rzeczywistości? Historycznie stałość naszego liberalizmu wynikała z polskiej sytuacji politycznej w XIX wieku. Ona zaciężyła też - obok innych warunków obiektywnych - w okresie międzywojennym na stałości formacji nawiązującej do idei wolności. Rzeczywistość powojenna zupełnie nie sprzyjała liberalizmowi w Polsce, lewicowy styl myślenia dominował także w ruchach opozycyjnych. Dopiero rozbiście "Solidarności" obnażyło ostatecznie stałość intelektualną i programową polskiej lewicy. Straciła ona swój ideowy impet i okazała się politycznie bezradna, robiąc miejsce innym formacjom. Te przewartościowania zbiegły się z renesansem liberalizmu na Zachodzie. Tam również lewica okazała się intelektualnie wyczerpana. "Zaistnienie w Polsce wartości liberalnych może sprawić, że powszechna u nas moda czy fascynacja Zachodem wynikać wreszcie będzie nie z kompleksów, jakie mamy wobec tego Zachodu, ale z poczucia autentycznego i aktywnego uczestnictwa w naszej wspólnej cywilizacji".

JERZY GRZYWACZ /Gdańsk/ odniósł się do koncepcji L. Mażewskiego. "W zaproponowanym modelu prezydent miałby swoją funkcję sprawować długo i posiadać silną władzę, natomiast dość enigmatycznie wygląda sprawa jego odpowiedzialności. To nie jest najlepsze rozwiązanie. Kadencja prezydenta powinna trwać krócej, ale z możliwością ponownej elekcji, na przykład tak, jak jest to w USA. Przy tej właśnie enigmatycznej odpowiedzialności urzędujący prezydent, chcący być ponownie wybrany, musiałby w swoim działaniu brać pod uwagę opinię publiczną. Jeśli chodzi o izbę niższą, która w tym modelu jest najważniejszym ciałem przedstawicielskim, to nie sądzę, żeby w najbliższym czasie było do przyjęcia przez komunistów, aby wybrana była ona w sposób demokratyczny przez całe społeczeństwo. Gdyby wybory były wolne, to PZPR zostałaby zmieciona. Proponuję w nowej konstytucji zagwarantowanie 50 lub 55 procent miejsc w izbie niższej dla PZPR i stronnictw sojuszników. Jest pytanie, czy nie byłoby to legitymizacją komunizmu - ja nie mam na to odpowiedzi. Jeżeli chcemy współdziałać - a przecież zakładamy, że nie ma innej możliwości jakiegos ciągnętego przejścia do ideału, jaki zakładamy: państwa w pełni demokratycznego - to w takiej, czy innej formie współdziałać trzeba i jest to jakiś sposób legitymizacji PZPR jako siły, z którą trzeba się liczyć.

W sprawie pytania, które postawił pan Tusk, czy już jest czas, aby walczyć o władzę. W moim przekonaniu jest najwyższy czas, aby przygotować się do tworzenia niezależnych partii politycznych. Nie wyobrażam sobie poważniejszych zmian w naszej rzeczywistości bez powstania pluralizmu politycznego. Doceniając siłę "Solidarności", należy uznać związki za sprawę zastępczą. Odpowiedzialny za stan Polski jest Komitet Centralny i Biuro Polityczne i dla nich trzeba stwarzać polityczne alternatywy."

ZBIGNIEW SZCZYPIŃSKI /Gdańsk/: "Jestem zafascynowany tym, co robią prawnicy, głównie specjaliści od prawa konstytucyjnego. To ma wator spójności, da się wyobrazić w swojej strukturze i dynamice, i te dyskusje o długości kadencji, proporcjach politycznych, procentach dla PZPR są w moim najgłębszym przekonaniu dobre i potrzebne tylko... Właśnie. Referat pana

Mażewskiego dotyczy tak ważnej sprawy, że jako słałość traktuję brak jakiegokolwiek odniesienia do tego, w jakich realiach społecznych i komu mamy proponować takie konstrukcje. Można oczywiście sformułować tezę, że konieczną rzeczą jest twórczenie partii politycznych, pluralizm polityczny według najprostszej zasady, że w polityce spinają się na najwyższym poziomie artykulacje wszystkich interesów grupowych i społecznych. Referat Lecha Mażewskiego powinien być nie tylko propozycją konstrukcji prawnej, ale też sygnałem tego, jakim mechanizmem społecznym możliwe jest realizowanie tego, co proponuje ten konstrukt prawny. Jeśli tego nie ma, odbieram po prostu tę historię - przepraszam bardzo - trochę scholastycznie."

PIOTR KUROPATWIŃSKI /Gdańsk/: /.../ Zanim przystąpimy do tak rozbudowanych koncepcji opartych o wiedzę prawniczą, trzeba by postawić istotną diagnozę stanu obecnego naszego życia publicznego i trzeba by znaleźć jakieś modele, które umożliwiłyby rozpatrywanie różnych wariantów rozwoju sytuacji. Dobrą podstawą do szukania takich modeli jest wiedza o tym, w jaki sposób różne ruchy polityczne, czy różne inicjatywy obywatelskie się rozwijały. Jest na ten temat literatura naukowa. Istnieje potrzeba powstania środowiska, które w sposób profesjonalny zajęłoby się prezentowaniem tych różnych modeli czy wariantów rozwoju sytuacji. Według ocen wielu publicystów czy socjologów w naszym społeczeństwie dostrzega się istnienie dwóch narodów, dwóch grup ludzi mówiących innym językiem, mających inne odniesienia do świata wartości. Środowisko liberalne powinno w życiu społecznym tworzyć takie modele, czy prezentować takie możliwe scenariusze rozwoju sytuacji, w których to zjawisko podziału społeczeństwa na dwa jakby nie mające w świecie wartości nic wspólnego narody mogłoby zanikać. Podstawą normalnego życia publicznego w Polsce będzie stosowanie języka, przy pomocy którego obie strony będą mogły wymieniać poglądy i identyfikować różnice między nimi. Widziałbym rolę liberałów w przekonywaniu społeczeństwa o małej nośności mechanicznie pojmowanej demokracji, że gdy większość zdobędzie władzę, to może już wszystko. Oprócz tego istnieje potrzeba określenia ram postępowania tej większości i podstawowym nurtem rozwoju myśli liberalnej powinno być przekonywanie ludzi o wartości rządu opartego na prawie, a nie na takim czy innym poparciu większości."

IRENEUSZ KRZEMIŃSKI /Warszawa/: "Chciałbym parę słów powiedzieć na temat tradycji liberalnej rozwijanej przez gdańskie środowisko 'Przegiądu Politycznego', zwłaszcza, że bardzo mi się spodobało to, co powiedział Donald Tusk, kiedy mówił, po pierwsze, o tym pierwotnym impulsie liberalnym, który tak zachwycił nie tylko resztą ludzi w Gdańsku w czasach szczególnie ponurych, początku lat osiemdziesiątych, stanu wojennego, a po drugie - i to wydaje mi się szczególnie ważne - kiedy mówił, że w praktyce klasyczna wersja liberalizmu okazała się jakoś niedostateczna w konfrontacji z życiem, z koniecznością praktycznych wyborów i praktycznych działań, zwłaszcza język polityczny liberałów. Właśnie język tych złotych środków, kompromisów, zupełnie nie przystający do tej sytuacji, do tego typu zagrożeń, zupełnie fundamentalnych dla życia społecznego. Ważne jest zarówno pojawienie się nurtu liberalnego w Polsce jak i konstatacja, na ile w ogóle ten klasyczny liberalizm może być podstawą ideową budowania rzeczywistości społecznej. Ja od razu mówię, że nie uważam się za liberała, aczkolwiek nieustannie mniej ten liberalizm niepokoi, ponieważ niewątpliwie jest to taka koncepcja, która współcześnie najpełniej myśli o urządzeniu życia społecznego z punktu widzenia wolności. I to być może jest największa siła tej tradycji. Ale zarazem liberalizm jest przedziwnie ograniczony właśnie w obronie wolności. Mnie się wydaje, że tradycja liberalna w konfrontacji z takim doświadczeniem, jak to polskie i nie tylko polskie, które jest jądrem negatywnym XX wieku, jest właśnie zupełnie bezradny, jest bezradny wobec problemów, które nas otaczają. Myślę, że liberalizm jest prawie całkowicie bezradny wobec totalitaryzmu, że nie

potrafi uchwycić istoty tego zagrożenia, które niesie ze sobą totalitaryzm. Bo totalitaryzm jest nie tylko kwestią polityczną, jest to kwestia nade wszystko społeczna. Totalitaryzm to nie tylko władza dyktatorska, to także totalitarna cywilizacja i właśnie wobec niej liberalizm - jak sądzę - jest bezradny. Trzeba go było przetworzyć.

Co do głosu pana Byczkowskiego: sądzę, że nie tyle mamy do czynienia z renesansem liberalizmu, raczej ze zwrotem konserwatywnym, który niesie ze sobą pewną rewitalizację idei liberalnych, ale gdzież to w Europie liberaliści doszli do władzy? Nie widzę gwałtownego wzrostu powodzenia partii liberalnych, które od wielu lat mają 10, 15 procent elektorów.

Chciałbym wspomnieć o jeszcze jednej sprawie, która wiąże się z liberalizmem w Polsce, mianowicie z tym, co niewątpliwie liberalizm z sobą niesie, mianowicie z duchem przedsiębiorczości, co wydaje mi się jego najbardziej pozytywną stroną w sytuacji polskiej. Ale równocześnie groźną. Polski liberalizm konstruuje mity gospodarki wolnorynkowej. Dlaczego mówię o mitach? Wydaje mi się bowiem, że koncepcje takie, jak u Hayeka, są koncepcjami mitycznymi. Sądzę, że rzeczywistość Zachodu zadaje kłam takim koncepcjom. To dopiero połączenie liberalizmu z innymi koncepcjami daje żywą rzeczywistość społeczną i ekonomiczną.

I jeszcze w sprawie wystąpienia pana Mażewskiego, które mi się nie słychanie podobało, choć rozumiiałbym facetów, którzy by chichrali na to wystąpienie. Ja również traktowałbym je poważnie tylko w pewnej perspektywie, mianowicie jako dostarczenie przyszłości pewnych materiałów do myślenia. Jest to bardzo ważne dla całej opozycji - budowanie w tej chwili, choćby zupełnie fikcyjnych, na próbę, rozmaitych rozwiązań ustrojowych. Zapewne nikt nie kupi projektu pana Mażewskiego, ale myślę, że będą mu towarzyszyły inne pomysły, innej konstytucji i innego ustroju, ale jeżeli będą wypowiedziane, jeżeli będą sformułowane i będą konkretne, to zdrowy rozsądek - jak tylko nadejdzie okazja - będzie miał z czego wyierać."

RYSZARD STRZYŻEWICZ /Gdańsk/ odnósł się m.in. do wypowiedzi I. Krzemieńskiego: "Myśl liberalna - powiedział - przyczyniła się bardzo do wyjaśnienia istoty zjawiska totalitaryzmu. Natomiast jeśli przyjrzeć się, co faktycznie, w sensie realnym ruchy liberalne zrobiły, żeby narastającej w pierwszej połowie XX wieku tendencji totalitarnej przeciwdziałać, to rzeczywiście niewiele. Ale rodzi się w takim razie pytanie: a który z innych odłamów praktycznej działalności politycznej zrobił coś takiego, żeby totalitaryzmowi w sposób realny przeciwdziałać? To jest zarzut, który można równie dobrze wysunąć przeciwko liberałom, jak i innym ruchom społecznym i politycznym o nietotalitarnym charakterze, które totalitaryzm zmiatał z areny dziejów. Druga sprawa to baza społeczna liberalizmu na Zachodzie. Oczywiście jeśli traktujemy liberalizm jako pewne nastawienie życiowe 'bycia liberałem', nastawienie indywidualne, to jest sprawa dość powszechna. Natomiast jeśli traktujemy liberalizm jako sensu stricto działalność polityczną, jako ruch polityczny o określonym programie, to będzie on w czasie dającym się przewidzieć ruchem elitarnym. I nie sądzę, żeby ktokolwiek z tutaj zgromadzonych miał wielkie nadzieje na to, żeby to był ruch o charakterze masowym, tak jak niegdyś ruchy socjalistyczne. To nie znaczy wcale, że elitarność umniejsza znaczenie tego ruchu.

Co do koncepcji pana Mażewskiego: zgadzam się z nim i z panem Hallem, że jest to koncepcja na okres przejściowy, ja ją traktuję osobiście jako pewną gimnastykę umysłową, która jest niezbędna do tego, byśmy nie byli bezbronni w sytuacji, kiedy zaistnieje rzeczywista możliwość działań na tym polu. Jak słusznie zauważył pan Szczypiński, ta 'gimnastyka' musi jednak obejmować także kontekst społeczny, w jakim mogłyby takie rzeczy być wprowadzane."

WIEŚLAW BYCZKOWSKI skrytykował wystąpienie Ireneusza Krzemińskiego, twierdząc, że renesans liberalizmu, a w tym takie zjawiska, jak reaganomika czy thatcheryzm, to rzecz oczywista. Zwrócił też uwagę na nieporozumienia wokół słowa "liberalizm" i jego różne znaczenia w Europie i USA. "Cała rzesza współczesnych myślicieli uznawana jest za liberałów ze względu na ich styl myślenia i wyznawany system wartości, a nie formalną przynależność polityczną."

JANUSZ LEWANDOWSKI /Gdańsk/: "Chciałbym wyraźnie podkreślić, że myśl liberalna XX wieku odnowiła się właśnie jako reakcja na totalitaryzm. To właśnie liberałowie w latach trzydziestych podjęli frontalnie dyskusję na temat niemożliwości rachunku ekonomicznego w socjaliźmie, na temat niepraktyczności ekonomicznej tego systemu. Między innymi Hayek i Mises oponowali w tej debacie naszemu Langemu. A drugim wątkiem - w oparciu o ten wątek myśl ta odrastała - było obserwowanie załączków totalitaryzmu, jakie ujawniała ewolucja życia ekonomicznego i społecznego w krajach zachodnich, a więc dryfowanie w kierunku państwa dobrobytu, w czym widziano groźbę wprowadzenia kolektywizmu tylnymi drzwiami poprzez upaństwowienie obszaru ekonomicznego i dławienie wolności politycznej. I tu neoliberalowi wykonali jednak wielką robotę w zakresie ostrzegania.

W Polsce na początku lat osiemdziesiątych rzeczywiście trudno było być liberałem, tkwiło się gdzieś na obrzeżach wielkiej dyskusji nad modelem państwowo-związkowym czy samorządowym, ale to się generalnie zmieniło. Myślę, że jutrzejsza sesja pokaże, jakie można wypracowywać metody walki z totalitaryzmem w realnej, małej skali regionalnej, jakie można podjąć praktyczne działania."

IRENEUSZ KRZEMIŃSKI: "To, co mówił pan Byczkowski o liberalizmie europejskim i amerykańskim - to rozróżnienie wydaje się być fundamentalne. Nie zmienia to faktu, że neoliberalizm amerykański i brytyjski nie zniszczy tych urządzeń społecznych i przyzwyczajęń społecznych, które do społeczeństw wolnorynkowych wniosła tradycja socjalistyczna, czy szerzej, lewicowa." I. Krzemiński podtrzymał tezę o bezradności liberalizmu w rozpoznaniu i konfrontacji z totalitaryzmem: "Europejscy liberałowie pod koniec lat trzydziestych - i to można jeszcze dziś przeczytać - myśleli, że są dwa diabły: Związek Radziecki, zwłaszcza po wojnie hiszpańskiej i Ameryka! Owa bezradność liberalizmu wobec zagrożenia totalitarnego polegała na pewnej zasadzie filozoficznej, którą oni przyjmowali, na pewnym rozstrzygnięciu aksjologicznym. Otóż klasyczna myśl liberalna nie potrafiła sformułować żadnych wartości absolutnych, za które trzeba by było walczyć, które nie podlegałyby kompromisom. A tylko taka postawa daje możliwość wygrania z zagrożeniem totalitarnym."

ADA KIWAŁ /Gdańsk/: "Właściwie zgadzam się z panem Krzemińskim. Wydaje mi się, że liberalizm jest wielką konstrukcją intelektualną, jest bezbronny wobec totalitarnych metod. Jak obserwuję rozwój klasycznej myśli liberalnej na gruncie społecznym czy ekonomicznym, to o ile końcówka XIX wieku to piękny rozwój liberalizmu, szczytne hasła, to w praktyce obserwuje się, jak liberalizm krok po kroku ustępował totalitarnej czy centralistycznej koncepcji państwa, vide Niemcy, na przykład za Bismarcka. Także z tą konstrukcją liberalnych przenośni intelektualnych trzeba ostrożnie postępować".

PIOTR KUROPATWIŃSKI: "Niestety nie mogę odnieść się do argumentów typu historycznego, tym niemniej chciałbym zwrócić uwagę na jedną rzecz. Otóż argument, że liberalizm nie jest nośny, czy też nie stwarza wystarczająco nieprzeniknionych przeszkód dla rozwoju totalitaryzmu, wydaje mi się nieprzekonywujący. Powołam się na argumentację pana Korwina-Mikke z jednego z felietonów w "Kadzie", w którym mówił, że tam, gdzie istniały jednostki, które miały największą siłę charakteru, one w sposób najbardziej wyraźny

przetrwaty totalitaryzm. I jest to pewien sposób postępowania: liberalizm powiązany z odpowiednim światopoglądem dotyczącym indywidualnego postępowania. Przykład życia Leopolda Tyrmanda dowodzi, że można było wygrać prywatną wojnę z Hitlerem".

ALEKSANDER POPIEL /Wrocław/: "Jeśli chodzi o rolę liberałów, to widzę ją w dwóch płaszczyznach. W krajach demokratycznych liberałowie dysponując rzeczywiście kilkunastoma procentami elektorów pełnią rolę języczka u wagi. Natomiast w krajach niedemokratycznych ich rola zawęża się do instytucji o charakterze intelektualnym. Jeśli chodzi o konstytucję, to uważam, że sytuacja w Polsce nie dojrzała jeszcze do nowej konstytucji, do konstytucji liberalnej. Konstytucja musi dokładnie precyzować, co wolno władzom, a czego nie wolno obywatelom. Powinna być zaprojektowana w dalszej przyszłości i nadana odgórnie, gdyż konstytucje oddolne bardzo szybko ewoluują w kierunku demokratycznym, socjalistycznym, parlamentarnym. Odgórne nadanie konstytucji gwarantuje ich sukces, tak jak to było w wypadku brytyjskiej czy francuskiej karty praw. Proszę zauważyć, że takie kraje liberalne, jak Japonia, Tajwan, Singapur, Malezja, Hongkong, które odniosły sukces, to nie są wcale kraje demokratyczne. Natomiast takie kraje demokratyczne, jak Anglia czy USA toną w socjaletaryzmie. To, że w USA została zachowana państwowa służba zdrowia, czy inne podobne historie socjalistyczne, jest dowodem na klęskę opcji reaganowskiej. To jest dowód na klęskę ewolucji kapitalizmu w kraju zdemokratyzowanym. Kapitalizm może się udać tylko w dyktaturze. Dla mnie jest to oczywistość".

Następnie A. Popiel poruszył kwestię relacji między liberałami a "Solidarnością", gratulując gdańskiemu środowisku wyemancypowania się spod wpływów solidarnościowych autorytetów.

DONALD TUSK /Gdańsk/: "Nie będę szerzej ustosunkowywał się do sporów definicyjnych na temat liberalizmu i jego relacji względem totalitaryzmu, chciałybyśmy tylko stwierdzić, że według mojego rozeznania jedyną alternatywą dla liberalizmu jest totalitaryzm, i odwrotnie. Tradycja liberalna była jedyną, z której nie wyrósł żaden ruch totalitarny, czego nie można powiedzieć o socjalizmie, czy konserwatyzmie. Liberalizm i totalitaryzm to dwa bieguny społecznej rzeczywistości. Natomiast co do wypowiedzi kolegi Popiela z Wrocławia: żeby nie było nieporozumień w sprawie 'Solidarności'. Wielu z nas wypowiada sądy w imieniu liberałów tu zgromadzonych, a jak sądzę w odniesieniu do 'Solidarności' te sądy mogą być i są różne. Gdańskie środowisko ma wypracowaną koncepcję współpracy z tym związkiem zawodowym, korzystnej dla obu stron. Nie mamy tu w Gdańsku żadnej wątpliwości co do tego, że dla 'Solidarności' w Polsce miejsce musi się znaleźć. Robiliśmy, robimy i będziemy robić wiele, żeby tak się stało".

BOGUSŁAW CHRABOTA /Kraków/ zwrócił uwagę na akademickość dyskusji i odejście od tematów wyznaczonych przez referaty. "Referat pana Mażewskiego traktuję jako pewną propozycję wkładu intelektualnego do dyskusji o makropolityce. Jest to rzecz bardzo ważna jako trening intelektualny, z tym, że myślenie w kategoriach makropolityki wiąże się z dwoma niebezpieczeństwami: niemożnością rozróżniania stanów faktycznych, a po drugie - przy realizacji takich koncepcji - legitymizacją w odczuciu społecznym komunistów. Uważam, że równie ważne jest myślenie w kategoriach mikropolityki i ta opcja została przyjęta przez Krakowskie Towarzystwo Przemysłowe. Dzięki temu unika się tych dwóch niebezpieczeństw". B. Chrabota podkreślił też wagę problemów ekonomicznych, a szczególnie znaczenie małej przedsiębiorczości. "Nie wiem, czy to właśnie nie byłaby podstawowa rola polskich liberałów: dawanie przedsiębiorczości bazy intelektualnej, poszerzanie jej, aktywizowanie małych społeczności lokalnych".

MIROSLAW MIRONOWICZ /Gdańsk/ podtrzymał w swoim wystąpieniu stwierdzenie D.Tuska o dużym znaczeniu, jakie gdańskie środowisko przywiązuje do sprawy legalizacji "Solidarności" jako związku zawodowego, a następnie ustosunkował się do dyskusji o relacji liberalizm-totalitaryzm, stwierdzając, że w klasycznej XIX-wiecznej wersji liberalizmu nie zawarto mechanizmów broniących przed totalitaryzmem. Sytuacja ta zmienia się jednak wraz z nadejściem totalitarnego zagrożenia. Mówiąc o współczesnym polskim liberalizmie, M.Mironowicz powiedział: "Przed polskimi liberałami stanie inny problem: jak doprowadzić nasze społeczeństwo do stanu demokracji i wolności. Nasz liberalizm jest i powinien być konkretną działalnością, na polu gospodarczym, na polu społecznym. Działalność ta powinna polegać na tym, aby społeczeństwo pluralistyczne starać się budować już dzisiaj, od podstaw, od sprzedaży naszych idei liberalnych społeczeństwu, od wmontowywania w to społeczeństwo zdrowych mechanizmów pluralistycznych".

Następnie przewodniczący obrad oddał głos L.Mażewskiemu, który odpowiadał na głosy dyskutantów odnoszące się do jego wystąpienia. Potwierdził opinię a.Halla, że jego koncepcja jest próbą szukania formy dla polskiego kompromisu, próbą tworzenia przestrzeni instytucjonalnej. Co do problemu legitymizacji władzy stwierdził: "Jeśli o jakimś kompromisie na początek myślimy, to trzeba mu nadać taki właśnie kształt. Nie ma nic za darmo. Jeśli ktośkolwiek sądzi, że w tym kraju można z komunistami coś osiągnąć za darmo, to oczywiście jest to gruby błąd. Moja koncepcja to jest coś za coś. Uwaga pana Grzywacza co do skrócenia kadencji prezydenckiej jest uzasadniona, problem odpowiedzialności prezydenta jest do dyskusji. Natomiast nie powinna podlegać dyskusji kwestia w pełni demokratycznych wyborów do izby niższej. I nie sądzę, żeby w takich wyborach komunisty zostali zmieceny. To jest wciąż zorganizowana siła mogąca liczyć na poparcie ludzi zaangażowanych w ten system, bojących się jakichkolwiek zmian. Jeśli chodzi o wątpliwości pana Szczypińskiego, dla kogo takie koncepcje są, kto jest ich adresatem: ja kieruję je pod adresem tych wszystkich, którzy chcą realnie politykę w Polsce uprawiać, którzy mają świadomość wszystkich ograniczeń zewnętrznych i wewnętrznych, którym nie wydaje się, że komunizm z dnia na dzień wyparuje. Muszę się też ustosunkować do tego ortodoksyjnie liberalnego głosu naszego wrocławskiego gościa. Konstytucja oktrojowana w Polsce to piękna sprawa - tylko kto ją oktrojuje? Jaruzelski? Jeśli mówi się, że moja propozycja to żart, to co powiedzieć o tej? To jest dopiero żart! Poza tym nieprawdą jest, że wszystkie dobre konstytucje są oktrojowane. Nie była oktrojowana konstytucja amerykańska, nie była francuska".

Po przerwie przewodnictwo obrad objął Andrzej Zarębski. Po wygłoszeniu referatu przez JANUSZA LEWANDOWSKIEGO /"Własność jako próg reformy gospodarczej"/ i JANA MAJEWSKIEGO /"Nowa przedsiębiorczość w Gdańsku - ocena zjawiska"/ rozpoczęła się kolejna tura dyskusji.

STEFAN KAWALEC /Warszawa/: "Chciałbym zaprezentować koncepcję pokrewną tej, którą wygłosił Janusz Lewandowski. Chodzi o propozycję operacji prowadzącej do pełnej prywatyzacji gospodarki, ale rozłożonej na dłuższy okres, około 15, 20 lat. Według mnie rozłożenie tego procesu związane ze sprzedawaniem akcji umożliwi uczynienie z prywatyzacji nie tylko prostego mechanizmu zmiany struktury własnościowej gospodarki, ale również instrumentu - bardzo silnego i skutecznego - polityki gospodarczej, który będzie tę gospodarkę stabilizował. Dokonuje się jednorazowo posunięcie polegających na zniesieniu rozmaitych ograniczeń dla działania rynku, dla stanowienia cen, wprowadza się wymienialność złotego o płynnym kursie i takie posunięcia w normalnej sytuacji musiałyby spowodować bardzo silny impuls inflacyjny. Po to, żeby przeciwdziałać temu impulsowi, sprzedaje się pewną ilość akcji

rentownych przedsiębiorstw państwowych. Ponieważ ludzie mają stosunkowo niedużo pieniędzy, wystarczy więc sprzedać stosunkowo niewielką część majątku państwowego w pierwszym momencie, odpowiednio wybierając przedsiębiorstwa. Pojedyncze przedsiębiorstwo można wyprzedzić, wypuszczając akcje w takiej liczbie, by ich nominalna wartość była równoważna księgowej wartości przedsiębiorstwa i następnie pewną część akcji, na przykład 20 procent, sprzedaje się w drodze otwartego przetargu, w którym mogą uczestniczyć także inwestorzy zagraniczni. Celem przetargu jest zorientowanie się co do popytu na te akcje. Po rozprowadzeniu tych akcji z przetargu ustala się cenę, za jaką rozprowadzona zostanie zasadnicza część akcji. Cenę ustala się poniżej ceny równowagi. Wskutek tego zgłoszeń napływa o wiele więcej niż jest akcji i po napytnięciu wszystkich zgłoszeń ustala się liczbę maksymalną akcji, jaką może nabyć jedna osoba. Ostatnią część akcji rozprowadza się wśród załogi, po cenach niższych. Zaniżenie ceny spowoduje większy popyt na nie. Ci, którzy akcji nie będą chcieli trzymać, sprzedają je mogą na giełdzie po wyższej cenie. Jest prawdopodobne, że sprzedający akcje - widząc, że obrót nimi jest zyskowny - zdobyte pieniądze wydadzą na akcje kolejnego przedsiębiorstwa, a w przyszłości, być może, zaczną akcje gromadzić. Taka socjotechnika sprawdziła się w Wielkiej Brytanii.

W ten sposób pojawiłyby się opłacalne dla ludzi lokaty oszczędności, co byłoby hamulcem dla inflacji. Wydaje się, że w ciągu 15, 20 lat przyrost dochodu narodowego i przyrost normalnych dochodów budżetowych wzrosłoby tak, że dalej gospodarka mogłaby się obyć bez dodatkowych dochodów z reprivatyzacji. A rozłożenie reprivatyzacji na etapy daje szansę wzbogacenia się przez zakup akcji większym grupom ludności. Możliwe są przy zakupach akcji różne formy pomocy, o których wspominał Janusz Lewandowski, na przykład kredytowanie!.

DARIUSZ FILAR /Gdańsk/: "Likwidacja własności prywatnej jest wynikiem aktu politycznego. Podpisuje się dekret o odebraniu i z dnia na dzień własność prywatna zamienia się we własność państwową. To doświadczenie historyczne może łudzić nadzieją, że da się tak zrobić w drugą stronę, podpisać dekret i oto z milionów pauprów mam milion kapitalistów. Tego typu rozwiązanie w duchu liberalnym nie bardzo się mieści. Przede wszystkim dlatego, że zostaje tu ograniczona możliwość swobodnego wyboru. Czy taki rozdział bonów to nie jest egalitarystyczna niesprawiedliwość? Dlatego bliższa mi jest wypowiedź pana Kawałca, który szuka mechanizmu ekonomicznego: ktoś musi to kupić, ktoś ma podjąć decyzję. Ważna jest myśl o tym, że tego typu zakup można kredytować. Kluczem tego pomysłu jest właśnie kredytowanie. W jeszcze jednej sprawie chciałem polemizować z Januszem Lewandowskim i Janem Szomburkiem. Szukają oni rozwiązania uniwersalnego. Wolałbym ten proces rozłożyć w czasie, aby działało tu wiele dróg. Im więcej dróg przezyciężania własności państwowej znajdziemy, tym lepiej. Powinny one toczyć się równolegle.

Jeszcze o sprawie nowej przedsiębiorczości. Nie lekceważyłbym jej znaczenia w zmienianiu oblicza gospodarki, gdyż to zjawisko może narastać. Jeżeli wyrwimy państwu choćby 10 czy 20 procent gospodarki, to już coś znaczy. Jeszcze 15 lat temu gospodarka austriacka funkcjonowała z 65 - procentowym udziałem sektora publicznego w przemyśle i z naszego punktu widzenia było to funkcjonowanie godne pozazdroszczenia!.

JAN SZOMBURK /Gdańsk/: "Jeśli chodzi o wspomniany przez Darka Filara jednorazowy akt polityczny, to powiem tak: chcemy przełomu dla ewolucji. Druga sprawa. Darek tak troszczy się o ducha liberalnego i zastanawia się, co zrobić, gdy ktoś nie będzie chciał być kapitalistą. On sprzedaje akcje zakupioną za bon komuś innemu. Uważamy z Januszem, że dobrze się stanie, jeśli będzie występował proces akumulacji akcji. Trzecia sprawa: kredytowanie. Takie pomysły już były, ale Darek bardzo rozszerza grupę biorących kredyt. Uważamy, że kredytowanie nie ucieroni wystarczająco popytu na akcje wobec

braku gwarancji, stąd nasz pomysł z bonami. Jego głównym celem jest stworzenie rynku kapitałowego i możliwości rozpoznania, co ile jest warte, żeby alokacja zasobów miała jakiś sens. Zarzut, że proponujemy jedno uniwersalne rozwiązanie, jest bezpodstawny. Nasza koncepcja nie wyklucza innych dróg. A propozycja Stefana Kawalca mieści się w naszym rozwiązaniu. Uważamy także, że w naszym systemie gospodarczym mogą pojawić się inwestorzy instytucjonalni.

Chciałbym jeszcze pokazać tożsamość naszego pomysłu na tle innych pomysłów uwłaszczeniowych. Hasło uwłaszczenia pojawia się jesienią tego roku bardzo często, ale nie spotkaliśmy się jeszcze z rozwiązaniem powszechnym. Dotychczas wszyscy proponują uwłaszczenie załóg, co jest drogą do własności grupowej. Dla mnie jest to pułapka. Jeśli Marek Dąbrowski mówi, że własność grupowa jest jakimś etapem przejścia do własności prywatnej, to uprawia iluzję, gdyż bez zmiany struktury własności nie wprowadzi się mechanizmów rynkowych. Uważamy, że przejście od własności państwowej bliżej nieokreślonej do własności indywidualnej jest łatwiejsze do przeprowadzenia, niż przejście od własności grupowej, dużo bardziej domkniętej, do indywidualnej. Poważnym ograniczeniem zawartym w tej koncepcji jest nietransferowalność praw własności grupowej, co poważnie ogranicza efektywność ekonomiczną tego rozwiązania."

WITOLD GADOMSKI /Warszawa/: "Sądzę, że rozważania modelowe to nie jest główny problem, chociaż podoba mi się bardzo pomysł z bonami, jest radykalny i można go szybko przeprowadzić. Ale najważniejszym problemem jest, jakie siły mają to zrobić. Brakuje w tej chwili klasy średniej, która byłaby zainteresowana uwłaszczeniem, ta klasa dopiero powstaje. Jest to właśnie owa nowa przedsiębiorczość, która żyje w symbiozie z układem komunistycznym. Żyjemy w zakiełym kręgu ubóstwa: nie ma klasy średniej, bo nie ma własności, a własności nie ma, bo nie ma klasy, czy grupy zainteresowanej uwłaszczeniem. Jesteśmy biedni, ponieważ jesteśmy biedni. Widzę jednak pewne siły, które są w stanie ruszyć nasz system w kierunku kapitalizmu. Po pierwsze, z nowej przedsiębiorczości wyrasta jednak pewna klasa ludzi, która właśnie poprzez fakt symbiozy bardzo utrudniłaby powrót do stalinizmu w gospodarce. Przed tygodniem zawiązała się Akcja Gospodarcza. Jest to nieformalna federacja towarzystw gospodarczych. Działacze zarejestrowanych i niezarejestrowanych towarzystw gospodarczych połączyli się we wspólną inicjatywę, w której bierze udział także kilku naukowców, publicystów, oczywiście zwolenników opcji rynkowej. Chodzi o stworzenie grupy nacisku na władzę, na aparat, w celu wspomagania rozwoju kapitalizmu w Polsce.

I jeszcze jedna sprawa. Jeżeli porównamy nasze dzisiejsze dyskusje z tymi sprzed ośmiu lat, to jednak różnica jest kolosalna. Przywoływany tutaj profesor Kurowski w latach siedemdziesiątych - będąc wtedy także zwolennikiem kapitalizmu - głosił koncepcję uwłaszczenia 10 procent przemysłu w Polsce, do czego się dziś przyznaje z lekkim wstydem. Dziś jesteśmy już jeśli nie w połowie, to w jednej czwartej drogi. Drugi brzeg jest jeszcze odległy, ale od tamtego odptynęliśmy już daleko."

JERZY STĘPIEŃ /Kielce/ zwrócił uwagę na sensowną koncepcję podziału własności zawartą w założeniach planu konsolidacji gospodarki. Własność państwowa jest tam własnością skarbu państwa, analogicznie do koncepcji przedwojennej. "Należy to przyjąć z dużą dozą optymizmu. Jest tam również mowa o własności komunalnej, co powinno rozwiązać wiele problemów regionalnych, o własności grupowej i własności prywatnej. Po raz pierwszy w dokumencie państwowym nie pojawia się podział na własność społeczną i nieuspołecznioną, co jest osiągnięciem rewolucyjnym. Bo trzeba powiedzieć, że własność ogólnonarodowa, która u nas pokutuje od kilkudziesięciu lat, nie jest w ogóle własnością. Co do upowszechniania własności: nie rozumiem, dlaczego ktoś, kto ma pieniądze, ma kupować akcje od tych, któ-

rzy dostają je za darmo? Dlaczego komuś miałyby się dawać pożyczkę, za którą kupi on akcje, by sprzedać je na giełdzie, a pieniądze przepić? Nie bójmy się o to, że w Polsce nie będzie ludzi z pieniędzmi niezbędnymi do wykupienia całej tej własności. Sytuacje regulują ceny - w czasie wojny na przykład futro sobolowe kosztowało kawałek chleba. Tyle się kupi tej własności i za takie pieniądze, jak to wyznaczą konkretne układy rynkowe. Nie rozkładajmy tego na dwadzieścia lat, bo nic z tego nie wyjdzie. Sami tworzymy sztuczne mechanizmy i bariery przed rynkowymi zachowaniami." Następnie J. Stępień zwrócił uwagę na znaczenie pieniądza i jego naprawy, o czym zapomnieli wszyscy poprzedni mówcy. "Nie można mówić ani o reprivatyzacji, ani o akcji, ani o rynku kapitałowym, jeśli nie ma się zdrowego pieniądza." Zapropował także zwołanie w przyszłości specjalnego sympozjum poświęconego tej problematyce.

WITOLD ZINCUK /Wrocław/: "Chciałbym wrócić do genezy nowej przedsiębiorczości. Autorzy przyjęli za cezurę 1985 rok, w którym nastąpił nagły boom. Ważną przyczyną jego powstania była sprawa ominięcia 12-procentowego progu, później PPMW. Spółki tworzyły się po to, żeby zamieniać - obrazowo mówiąc - złotówki 'kwadratowe', powiedzmy z funduszu rozwoju, na złotówki 'okrągłe', które można ludziom wypłacić. Bo proces był mniej więcej taki, że zleceńodawca, wykonawca i odbiorca był jedną osobą, czy podmiotem.

Drugi problem to - jak nazywa to wielu - 'uwłaszczenie nomenklatury', która jest też elementem nowej przedsiębiorczości. Następuje przy tym niepokojący proces symbiozy pomiędzy nomenklaturą zaangażowaną w przedsiębiorczość, a władzą. Kluczem jest możliwość uzyskania przez firmy różnych przywilejów, oraz tworzenie kapitału spekulacyjnego. Grozi to sytuacją znaną z Peru, Boliwii czy Brazylii, gdzie grupa ludzi wykorzystując układy z aparatem władzy szybko się bogaci, przy postępującej pauperyzacji milionów. W nowej przedsiębiorczości można wskazać wiele pozytywnych stron - wspominali o nich autorzy - jednak nie ma to większego wpływu na logikę, czy mechanizm sprawowania władzy gospodarczej; mechanizm funkcjonowania systemu się nie zmienia. Dlatego wątpliwe jest, czy zmiany systemu drogą ewolucyjną."

PIOTR NOWINA-KONOPKA /Gdańsk/: "W wystąpieniu kolegów Majewskiego i Bieleckiego zostały pominięte dwa obszary ze szkód dla tematu. Po pierwsze, nie objęto analizą przedsiębiorstw typu polonijnego czy zagranicznego. Jest to układ dość znaczny i blisko sąsiadujący z nową przedsiębiorczością, wytwarzający wzory zachowań, które przechodzą skutecznie do nowej przedsiębiorczości. Potencjalne funkcje pomiędzy tymi dwoma obszarami będzie się raczej zwiększało, niż zmniejszało.

Jeśli chodzi już bezpośrednio o nową przedsiębiorczość, dostrzegam - niezależnie od wszelkich pozytywów - zjawisko szalenie niebezpieczne. Mamy tu bowiem do czynienia najczęściej z dzikimi inwestycjami i dzikim kapitałem. Wynika to z warunków prawnych, ale powoduje ogromne zamieszanie w strukturze gospodarki, w zasobach kraju. Przedsiębiorstwa te nie pozostawiają po sobie żadnych trwałych śladów, żadnych aktywów, które mogłyby krajowi służyć w przyszłości. Mamy za to do czynienia z wybuchem hochsztaplerki, przynajmniej w dziedzinach nie wymagających kapitału. Według mojej oceny ogromną część przedsiębiorczości oparta jest na klasycznie dzikich i hochsztaplerskich działaniach. Nie chcę generalizować, ale zjawisko to występuje."

ZBIGNIEW MARKOWSKI /Gdańsk/: "Chciałbym zwrócić uwagę na mity i zagrożenia związane z opcjami liberalnymi. Jedno z nich to przekonanie, że każdy obywatel jest zainteresowany zakupem akcji. Ci, którzy zajmują się zawodowo badaniem rynków kapitalistycznych, wiedzą, że tak oczywiście nie jest. Jest to proces bardzo oporny, także w gospodarkach brytyjskiej czy amerykańskiej. Brak w Polsce jakichkolwiek badań socjologicznych, które

dałyby odpowiedź na pytanie, w jakim stopniu społeczeństwo zainteresowane jest funkcją inwestora. Nie wiemy też, jaki jest rozkład kapitału w Polsce. I wreszcie w samej idei akcji zawarte są niepewność i ryzyko. Trzeba znaleźć sposoby oswojenia społeczeństwa z tym ryzykiem.

Nikt z referujących nie zatrzymał się nad problemem gwarancji umożliwiających powstanie rynku kapitałowego. Musiałyby to być gwarancje prawne i finansowe - stabilne, a więc wsparte siłą polityczną, która stałaby na straży tych gwarancji. Nie można więc abstrahować od państwa.

Kolejna sprawa: jakie powinno być państwo? Co zrobić, żeby państwo było zainteresowane procesem reprivatyzacji? Jaki byłby interes grup społecznych tworzących to państwo?

Kolejny mit to przekonanie, że proces reprivatyzacji może przebiegać swobodnie. Musi on być poprzedzony okresem sanacji przedsiębiorstwa czy gałęzi przemysłu. Jak bowiem sprzedać przedsiębiorstwo, którego majątek trwały jest zdekapitalizowany w siedemdziesięciu procentach? Akcje w takiej sytuacji nie przyniosą dochodu. W większości przedsiębiorstw państwowych mamy do czynienia z taką degradacją majątku trwałego i kłopotami technologicznymi, że nie ma możliwości uzyskania od razu rentowności tylko dlatego, że zmienimy sytem własności."

Następnie Z. Markowski zwrócił uwagę na zagrożenia wynikające z koncepcji sterowania akcjami, ich cenami i sposobem sprzedaży. "W referatach pominięto także inne możliwości tworzenia rynku papierów wartościowych. A podmiotami gospodarczymi mogą być także regiony i miasta. Wchodzi w grę własność komunalna. Ten partner też musi mieć prawo działania na rynku kapitałowym."

Drugiego dnia Kongresu obrady prowadził Janusz Lewandowski. Po przedstawieniu przez Bolesława Kościukiewicza i Lecha Mażewskiego referatu "W poszukiwaniu modelu regionalnego", przewodniczący poprosił o zaprezentowanie tych przedsięwzięć regionalnych, które mieszczą się w szeroko rozumianym nurcie liberalnym, lub w których gdańskie środowisko liberalne uczestniczy. Jako pierwszy zabrał głos JACEK KOZŁOWSKI informując o Gdańskim Klubie Politycznym im. Lecha Bądkowskiego. "Inicjatywa ta pojawiła się w drugiej połowie ubiegłego roku w środowisku 'Polityki Polskiej', które zaproponowało nam współuczestnictwo w Klubie. Poproszono do współpracy także poszczególne osoby nie związane z żadnym kierunkiem, czy środowiskiem politycznym. Przyjęliśmy tę propozycję, co wynikało z naszej oceny sytuacji politycznej. Wiele wówczas wskazywało na możliwość wyjścia z aktywnością polityczną z płaszczyzny nielegalnej na legalną. W listopadzie ubiegłego roku złożyliśmy w Wydziale Społeczno-Administracyjnym Urzędu Wojewódzkiego dokumenty rejestracyjne. Rejestracji odmówiono, negatywnie rozpatrzone także odwołanie. Aktualnie ponowiliśmy starania o rejestrację. Klub działał pomimo odmowy, choć w dość ograniczonym zakresie. Organizowaliśmy szerokie spotkania dyskusyjne, Klub wydał też wiele oświadczeń dotyczących bieżących spraw politycznych."

O idei liceum społecznego poinformował GRZEGORZ BIERECKI. "Od sześciu lat wraz z grupą zapaleńców organizujemy kursy przygotowawcze dla maturzystów w kilku trójmiejskich kościołach. Pomysł społecznej szkoły jest naturalną konsekwencją tych działań. Opracowano projekt programu, ale na razie nasze przedsięwzięcie jest wciąż w stadium początkowym."

Następnie ANDRZEJ ERECIŃSKI poinformował o pomysle Gdańskiego Klubu Gospodarczego, który stanowić ma zorganizowaną grupę interesu stawiającą sobie za cel przycygnięcie się do ukształtowania stabilnych, racjonalnych i odbiurokratyzowanych warunków prowadzenia zawodowej działalności gospodarczej przez niezależne firmy zarobkowe. Drugi pomysł to powołanie

Klubu Juniorów Gospodarki. Ma to być klub towarzyski, jego statut opracuje 15 przedstawicieli wszystkich liczących się niezależnych środowisk społecznych, politycznych i ekonomicznych regionu gdańskiego. Ideą nadrzędną klubu jest stworzenie możliwości spotykania się i wymieniańa poglądów na wszystkie dowodne tematy w dżentelmeńskich warunkach. Andrzej Ereciński przedstawił też inicjatywę wydawniczą spółki "Modem" w Sopocie wydawania pisma "Fortuna" o charakterze społeczno-polityczno-gospodarczym i o możliwie otwartej formule. Inicjatorzy czekają na zgodę cenzury. Pomysł wsparła swym autorytetem Gdańska Inicjatywa Obywatelska.

GRZEGORZ DRZYCIMSKI przedstawił deklarację programową Akademickiego Klubu Liberalnego, powołanego przez studentów Uniwersytetu Gdańskiego. Jego podstawowym celem jest kształtowanie kultury politycznej w środowisku studenckim i walka o respektowanie praw obywatelskich. Autorzy pomysłu pragną w styczniu 1989 roku wystąpić z wnioskiem o rejestrację.

Gdańskie Stowarzyszenie Akademickie zaprezentował MIROŚLAW MIRONOWICZ. GSA jest konsekwencją działań grupy pracowników Uniwersytetu Gdańskiego, którzy w trakcie majowych strajków w Stoczni Gdańskiej i na uczelni usiłowali w sposób zorganizowany wspomóc strajkujących. GSA ma zamiar - jak wynika to z deklaracji programowej - służyć na rzecz ewolucji polskiego życia politycznego i gospodarczego. Stowarzyszenie zostało zarejestrowane z końcem października 1989 roku.

Po przerwie prezentowały się środowiska spoza Gdańska. PIOTR KULIJ odczytał na wstępie list od Mirosława Dzielskiego i Tadeusza Syryjczyka do organizatorów i uczestników Kongresu, a następnie poinformował o działalności Krakowskiego Towarzystwa Przemysłowego. "Po rejestracji podjęliśmy działania na większą skalę. Rozwinęliśmy porady prawne dla osób chcących podjąć działalność gospodarczą na własny rachunek, zaś nasi eksperci rozpoczęli systematyczne wykłady pod hasłem 'Jak zacząć' - jak założyć spółkę, spółdzielnię czy rozpocząć budowę własnego domu. Zorganizowaliśmy też szkołę przedsiębiorcy przygotowującą w sześciomiesięcznym cyklu przyszłych menadżerów. Wydajemy także opinie na temat posunięć rządowych dotyczących głównie sfery ekonomicznej, przedstawiamy także własne koncepcje." Następnie P.Kulij ustosunkował się do krytycznych opinii wygłoszonych pod adresem Towarzystwa dnia poprzedniego dotyczących współpracy z władzami. Powołując się na doświadczenia "Seminarium Kraków 88" mówca stwierdził, że istnieje możliwość osiągnięcia consensusu z władzami, szczególnie w sferze gospodarczej. Między innymi Towarzystwo opracowało projekt zmiany zasad obrotu lokalami użytkowymi wspólnie z Towarzystwem Wspierania Inicjatyw Gospodarczych premiera Rakowskiego. Projekt rozpatrzony będzie przez Radę Narodową i prawdopodobnie zostanie przyjęty. Towarzystwo opracowało także projekt kolonii przemysłowej, czyli wydzielonego obszaru miejskiego, gdzie stworzono by korzystne warunki dla inwestowania i rozwoju przedsiębiorczości i usług. "Uznaliśmy, że korzystniejsze jest przeforsowanie konkretnych i pożytecznych przedsięwzięć, niż zachowanie cnoty politycznej."

BOGUSŁAW CHRABOTA z Krakowa zaprezentował Klub Chrześcijańsko-Liberalny. "W Krakowie już od dawna istniało środowisko ludzi młodych związanych z liberalizmem. Funkcjonowaliśmy przez lata, od 1984 roku nieformalnie. Wspomogliśmy Krakowskie Towarzystwo Przemysłowe technicznie i organizacyjnie, zapraszaliśmy na Uniwersytet różne osobistości życia publicznego, m.in. Piotra Wierzbickiego, Janusza Korwina-Mikke czy Aleksandra Halla. W tym roku podjęliśmy inicjatywę rejestracyjną zakładając Klub Chrześcijańsko-Liberalny działający w środowisku uniwersyteckim." Następnie Bogusław Chrabota odczytał tekst deklaracji Klubu.

JANUSZ KORWIN-MIKKE reprezentował Ruch Polityki Realnej. "RPR założony formalnie 14 listopada 1987 roku jest ruchem politycznym, ale nie koterijnym. Jest nam zupełnie obojętne, kto wprowadzi zasady liberalne,

pan Wąteśa, czy pan Rakowski. Chodzi o to żeby zostały wprowadzone. RPR przyjmuje dość skrajną wersję liberalizmu, gdzieś między Friedmanem a Hayekiem. Demokrację traktujemy jako środek a nie cel - celem jest wolność, a nie, broń Boże, rządy większości. W praktyce nie spotykamy się z żadnymi przeszkodami ze strony władz, natomiast są problemy z administracją. Popieramy wszelkie inicjatywy regionalne." J. Korwin-Mikke stwierdził, że RPR stawia nie na liczebność, a na elitę; nie stara się o poparcie mas, choć cieszy się dużym poparciem w kraju. "W ruchu obecni są monarchiści, liberalni narodowcy, liberałowie, libertariańscy, konserwatyści. Dla uspokojenia władz zakładamy obecnie Unię Polityki Realnej o identycznym programie, która będzie stowarzyszeniem."

LUDWIK KUŹNIAR poinformował o sytuacji we wrocławskim środowisku liberalnym. "We Wrocławiu powstało Dolnośląskie Towarzystwo Gospodarcze. I nie ma się czym chwalić. Otóż doszło do demokratycznych wyborów i do zarządu dostała się mieszanka "Solidarności Walczącej" i policji. To towarzystwo Gospodarcze nie ma nic wspólnego ani z gospodarką, ani z towarzystwem, nie ma w nim ani jednego liberała i prywatnego przedsiębiorcy. W związku z tym nasza grupa wrocławskich liberałów postanowiła założyć Klub Konserwatywno-Liberalny. Jesteśmy w stadium rejestracji wydawnictwa i gazety."

Po komunikatach i informacjach zaczęła się dyskusja. Jako pierwszy zabrał głos WITOLD TOCZYŃSKI /Gdańsk/: "Chciałem skupić się na drobnym elemencie strategii rozwoju regionalnego, który tyczy każdego z nas. Chcę powiedzieć, że dobrem osobistym przesądzającym o wielu czynnościach ludzi, jest mieszkanie. Konstrukcja prawna, którą wprowadzono w 45 roku polegała na tym, że mieszkanie jest dobrem społecznym i jest rozdawane jako akt dobrodziejstwa władzy. Skutki tej decyzji ponosimy wszyscy do dnia dzisiejszego. Są to bezdomność, alkoholizm, emigracja i globalne niezadowolenie społeczne, a także marnotrawstwo zasobów ekonomicznych społeczeństwa. W doktrynie liberalnej mieszkanie jest także uważane za jeden z fundamentów wolności człowieka. W Polsce wydaje się na mieszkalnictwo 8 do 10 procent mniej, niż w jakimkolwiek innym kraju europejskim. Większość środków na mieszkalnictwo przekazywana jest na technologiczną utopię wielkiej płyty, która jest dwukrotnie droższa od konwencjonalnego budownictwa."

Spółeczeństwo nie potrafi - z wyjątkiem grupy 'Muratora' - zorganizować presji na władzę zarówno w sferze koncepcji jak i praktycznych rozwiązań. Mieszkalnictwo w koncepcji władz przerzucone będzie na regiony. Społeczności regionalne będą musiały się uporać z problemem mieszkaniowym w ramach tej wąskiej puli środków i efektywność będzie zależała od oryginalności regionalnych koncepcji. Postulować należy pełną reprivatyzację mieszkań, łącznie z urealnieniem spółdzielczej własności mieszkań oraz pełną reformę polityki mieszkaniowej tam, gdzie obowiązują przepisy o mieszkaniach kwaterunkowych, łącznie z wprowadzeniem renty położenia i renty wyposażenia w urzędzenia komunalne.

Świetnie rozumiem głos praktycznych Krakowiaków w sprawie przepisów o szczególnym trybie najmu, który paraliżuje wolność jednostki. Chodziłoby również o uruchomienie programu szerokich dotacji mieszkaniowych i zorganizowanie masowego ruchu budowlanego ludności.

Liberałowie uważają, że mechanizmy rynkowe będą w stanie rozwiązać szereg niezgodności. Wydaje mi się, że w stosunku do problemu mieszkaniowego zastosowanie pełnej doktryny liberalnej jest niemożliwe. W tym problemie konieczne jest wypracowanie nowej konstrukcji polityki podziału, nie będącej wyłącznie wolną grą zasobów materialnych, stanowiącej mieszaninę koncepcji podziału z pewnymi elementami wolnej gry rynkowej."

MARIUSZ ANTOSIEWICZ /Gdańsk/: "Chciałem powiedzieć parę słów o możliwościach rozruchu rynku kapitałowego na Wybrzeżu i nie tylko. Żeby zrealizować jakąkolwiek koncepcję, żeby słowo stało się ciałem, potrzebne są

przede wszystkim pieniądze. Jednym ze sposobów ich zdobycia byłoby powołanie czegoś, co byłoby - niestety - protezą zaledwie giełdy. Dziś na więcej nie możemy sobie pozwolić. Chodzi o kojarzenie pomysłów z kapitałem. System nasz opierałby się na zgrabnie - jak sądzę - pomyslanym programie komputerowym, który pomógłby kojarzyć ludzi z pomysłami i inicjatywą z tymi, którzy posiadają kapitał i chcieliby nim sensownie obracać. Nasza firma prawnicza 'Lex' dokonała już pierwszych kroków w tej sprawie i pierwsze doświadczenia są obiecujące. Naszym pomysłem zainteresowała się jedna z firm zachodnio-niemieckich, spółka 'West-Ost', zainteresowana inwestowaniem kapitału w Polsce. Podpisaliśmy porozumienie o wymianie informacji odnośnie inwestowania w Polsce i szans eksportowych polskich przedsiębiorstw. Jest to o tyle istotne, że ten kontrahent jest zainteresowany współpracą z firmami średnimi i małymi. Jest to też z pewnością szansa dla wielu inicjatyw regionalnych."

HENRYK CŹIKLIŃSKI /Gdańsk/: "Nie ulega wątpliwości, że właściwe wiązki problemów gospodarczych w tym regionie to zasoby naturalne, od których coraz bardziej się odwracamy. To jest morze. Tego zasobu nie sposób wyczerpać, można go co najwyżej zanieczyścić. W czerwcu 75 roku w Porcie Gdańskim rozpoczęto budowę terminalu rudowego. W tej części, która szumnie nazywa się Portem Północnym, a jest w rzeczywistości zbiorem dwóch terminali: paliwowego i węgiowego. Od tego czasu minęło ponad 13 lat. W 1922 roku podjęto decyzję o budowie portu i miasta Gdyni. Po 13 latach mieliśmy największy port nad Bałtykiem i miasto, które w dużym stopniu jest do dziś nowoczesne. Czynnikiem sprzyjającymi rozwojowi Gdyni były ułatwienia kredytowe i ulgi podatkowe, które dla przedsiębiorstw państwowych i spółdzielni sięgały dziewięćdziesięciu procent kosztów budowy, dla osób prywatnych osiemdziesięciu procent. Od 1927 roku stale zwiększano ułatwienia podatkowe dla wszystkich chcących budować cokolwiek w porcie i mieście, a potem w całym powiecie. Powstaje pytanie: czy są szanse na to, aby do pewnego stopnia tę drogę powtórzyć, żeby morze i port stały się właściwą wiązką problemów.

Strukturę działalności gospodarczej w portach można podzielić na trzy części: działalność związana z zarządzaniem, działalność eksploatacyjna i działalność handlowo-usługowa. Jest charakterystyczne, że w tę ostatnią działalność, wymagającą niewielkiego kapitału: fachowców, telefonów, teleksów, biur; działalność polegającą na spedycji, maklerstwie, zaopatrzeniu statków, składowaniu, jak dotąd autentyczna przedsiębiorczość się nie angażuje. A byłoby to kolejne pole - jeśli owa przedsiębiorczość byłaby nastawiona na cele długookresowe - w które powinna się angażować. Powinno się promować przedsiębiorczość w tej dziedzinie, a dopiero później przechodzić do działalności eksploatacyjnej, wymagającej większych kapitałów. Należałoby powołać Gdańską Izbę Gospodarczą - tu widzę rolę dla Gdańskiej Inicjatywy Obywatelskiej - która nie mogłaby odwracać się od morza tyłem. Owocem działalności izby powinny być bankowość oraz obowiązek pozostawiania w regionie większości opłat podatkowych związanych z funkcjonowaniem tych przedsiębiorstw.

Optyka regionalna nie wystarczy jednak, żeby to wszystko funkcjonowało w należyty sposób. W chwili obecnej porty przedstawiają widok bardzo żałosny, są w dużym stopniu wymarłe. Dlatego z równą uwagą należy traktować projekty ogólnogospodarcze, w tym zwłaszcza projekt reprivatyzacji, uwłaszczenia społeczeństwa."

ZBIGNIEW MARKOWSKI /Gdańsk/: "W procesie reprivatyzacji regionalizm jest płaszczyzną, która daje szansę połączenia wymogów ekonomicznych, kulturowych i społecznych. Podkreślam te dwa ostatnie, ponieważ w świadomości społecznej ukształtowały się bardzo ważne wartości, z których społeczeństwo nie zrezygnuje w procesie wprowadzania mechanizmów liberalnych. Wartości te związane są z pojęciem sprawiedliwości społecznej, harmonią,

solidarnością i właśnie w płaszczyźnie regionalnej istnieje możliwość pogodzenia tych wymogów. Regionalizm stwarza jeszcze dwie szanse: przełamanie biurokracji i ograniczeń w wyborze, jakie tkwią w polskiej gospodarce z tytułu immanentnego niedoboru podaży. W odbudowie autentycznych i autonomicznych związków regionalnych istnieje realna szansa zwiększenia kontroli społecznej, o którą tak bardzo zabiegamy. Przez regionalizm zabieramy też władzy centralnej prawo do decyzji o alokacji środków. W ekonomicznej jest to kluczowa sprawa. Bez tego nie można myśleć o procesie reprivatyzacji i wzroście gospodarczego. Regionalizm daje także możliwość wyboru celów i struktury przez daną społeczność lokalną. Jest to bardzo ważne ze względu na duże zróżnicowanie regionów i aspiracji poszczególnych grup społecznych. Możliwość taka zwiększa troskę ludzi o samych siebie, zachęca do wzięcia za siebie odpowiedzialności. Regionalizm w końcu może spowodować konkurencję międzyregionalną o kapitał i ludzi.

W aspekcie regionalizmu niezwykle istotny jest problem państwa. Podoba mi się schemat Kornaiowski, który mówi, że musimy znaleźć się między wymogiem państwa minimalnego i maksymalnego. Państwo maksymalne odchodzi - to był model stallnowski. Państwo minimalne, czy neutralne, w obecnej sytuacji jest nie do pogodzenia z aktualnymi warunkami. Nasza wizja reprivatyzacji i regionalizacji wymaga zbudowania koncepcji państwa aktywnego. Jest to pewnym paradoksem. Że istotnym wyzwaniem dla liberałów jest nie tylko myślenie o tym, jak dokonać reprivatyzacji, jak wrócić do naturalnych praw jednostki i grup społecznych, ale również sformułowanie, jak powinny wyglądać funkcje państwa, tak, by grupy z nim związane nie czuły się zagrożone i zechciały ten proces przyspieszyć. Takie państwo powinno się skupić na polityce makroekonomicznej, mającej na celu stymulowanie wzrostu metodami finansowymi. Musiałoby wziąć na siebie likwidację negatywnych efektów zewnętrznych, a więc degradacji środowiska, degradacji poszczególnych regionów, łagodzenie różnicowań społecznych i rewitalizację najbardziej zagrożonych sfer gospodarki."

DONALD TUSK /Gdańsk/: "Odczuwam wielką satysfakcję, że problematyka regionalna, którą zajmuję się od wielu lat, jest obecna na Kongresie Liberałów. W Gdańsku idea regionalna jest ideą żywą i uprawianą przez wiele środowisk. Każdy, komu marzy się jak najmniej komunizmu w naszym kraju, powinien uznać ją za fundamentalną. Nieprzypadkowo komuniści z taką furją rzucili się na autonomiczne wspólnoty terytorialne, etniczne, kulturowe, językowe, na wszelkie przejawy samorządności lokalnej, na wszelką różnorodność. Jednym z nadrzędnych naszych zadań jest odbudowa regionów i wspólnot, odbudowa tego typu przestrzeni społecznych. Kolega Mironowicz mówił dziś, że wszystko w Gdańsku tkwi korzeniami w Sierpniu 80, lecz przy najmniej w odniesieniu do regionalizmu byłaby to przesada. Nie sposób nie przypomnieć o tym, że w Gdańsku i regionie działało od ponad 30 lat Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie. Nie jest to co prawda organizacja liberalna, ale za to skuteczna - w swojej skali - w realizowaniu idei wolności i różnorodności. W warunkach polskich stanowi chlubny wyjątek. Poważnie traktuje ideę regionalną, nie uciekając w folklor i nie odwracając się od polityki. To Zrzeszenie położyło fundament pod pracę nad autonomią regionu. Nie województwa, ale właśnie regionu ukształtowanego logicznie przez historię, geografie, naturalne związki gospodarcze.

Jeśli już o wspólnotach lokalnych mowa, chciałbym parę słów powiedzieć o kolejnym gdańskim fenomenie - Spółdzielni "Gdańsk". Obrasta ona powoli legendą, choć nie wszyscy wiedzą, że jej główną siłą przyciągającą różnych ludzi jest właśnie poczucie wspólnoty osadzonej korzeniami w Gdańsku i regionie. Spotkały się w niej najróżniejsze grupy i indywidualności, reprezentowane są chyba wszystkie niezależne ruchy polityczne i społeczne Trójmiasta, od anarchistów do konserwatystów, ale wszystkich łączy ogrom-

ne przywiązanie do miejsca, do Gdańska. I działanie na rzecz miasta i regionu przyjęli wszyscy za sprawę nadrzędną - niezależnie od tego, czy chodzi o pomoc strajkującym, czy bezpłatny remont Ratusza.

I w związku z tym uwaga. Nasi krakowscy przyjaciele zauważyli rzecz dziwną, że gdańscy liberałowie odwracają się plecami od spraw regionalnych, od mikropolityki, pragnąc zbawiać cały kraj i to najbardziej za jednym zamachem. Nie dostrzegam tego. Czasami mam obawę, że wręcz naszą obsesją jest gdańskość i pragnienie pracy na rzecz wolnych gdańszczan, na rzecz tego miasta i regionu. "

JANUSZ KORWIN-MIKKE: "Oczywiście słusznym jest, żeby zabrać władzy centralnej decyzje o alokacji środków. Nie myślmy jednak, że regionalizm, odanie władzy regionom, jest panaceum na wszystkie problemy. Państwo się przekonają, że lokalna administracja gdańska wcale nie będzie chciała puścić władzy w dół, do gmin i miast. Będzie tak samo ingerowała w sprawy gmin, jak władza centralna przed nią. My liberałowie powinniśmy wiedzieć, że władzę przede wszystkim trzeba ograniczać i nie dawać jej możliwości tej właśnie ingerencji. Słyszę tu, że trzeba skonstruować nową politykę podziału, że w sprawach mieszkaniowych nie można wprowadzać rynku liberalnego. Oczywiście, że można! Pisałem o tym w 'Ładzie'. Można z mocy prawa przekształcić wszystkie zasoby mieszkaniowe w spółki mieszkaniowe, dom przerobić na spółkę przymusową, dać każdemu na własność, zaś tym, którzy mają mieszkanie kwaterunkowe, dać, ale na hipotekę, zamiast czynszu płaćliby procent. Nie ma żadnego powodu, by nie stosować w Polsce rozwiązań liberalnych." Następnie J.Korwin-Mikke krytycznie ustosunkował się do pomysłu referendum na temat elektrowni jądrowej w Żarnowcu. "Decyzje tego typu powinny przechodzić nie przez głosowanie, ale przez portfel. Powinny decydować pieniądze, a nie sentymenty i emocje."

STEFAN KAWALEC /Warszawa/: "Chciałem wyrazić wielkie uznanie organizatorom naszego spotkania. Porozumienie ludzi myślących mniej lub bardziej liberalnie, tworzenie lobby liberalnego w Polsce jest niezwykle potrzebne i będzie potrzebne w przyszłości. Mówiono wczoraj o utworzeniu partii liberalnej. Uważam, że partia taka mogłaby być bardzo użyteczna, choć nie chcę nikogo zachęcać do jej tworzenia. Zastanawiano się, jak duże poparcie mogłaby mieć taka partia. Ja mam wrażenie, że absolutyzowanie wartości liberalnych nie może liczyć na szerokie poparcie społeczne. Dlatego, że z natury rzeczy musi być antagonistyczne w stosunku do ludzi przywiązanych do innych wartości. Znacznie większy wpływ na rzeczywistość wywrzeć może pragmatyzm liberalny, bardzo mi bliski. Taki pragmatyzm prezentuje, jak sądzę, większość tu obecnych. Oznacza on poszukiwanie pewnych rozwiązań liberalnych uwzględniających inne wartości. Wpływ liberalizmu nie musi więc wyrażać się powstaniem partii liberalnej zasiadającej w przyszłym parlamencie, ale również w ten sposób, że ludzie przywiązani do innych wartości, socjalistycznych, narodowych, czy katolickich, w swoich programach odwołują się do rozwiązań proponowanych przez liberałów, czy przez nich już realizowanych. Ich wpływ może być nieoceniony, bo na przykład w kwestiach gospodarczych nie mają oni - niestety - żadnej konkurencji."

RYSZARD STRZYŻEWICZ /Gdańsk/: "Chciałem zwrócić uwagę na sprawę w ciągu tych dwóch dni zupełnie nie poruszaną. Z pozycji liberalnych uderzono w pewną doktrynę ideologiczną, która kształtuje rzeczywistość społeczną i gospodarczą w naszym kraju. Abstrahowano od tego, że funkcjonujemy nie tylko w ramach doktryny ideologicznej, ale również w ramach pewnej doktryny politycznej. Nasza gospodarka jest podporządkowana nie tylko ideologii, ale także interesom politycznym, które są określane poza ośrodkiem naszego państwa. Te dwie doktryny są w praktyce ściśle ze sobą sprzężone. Absurdal-

ność gospodarcza wynikająca z ideologii sprzyja realizacji interesów politycznych. Jeżeli mamy podchodzić pragmatycznie, to musimy być świadomi tego, że jak długo nie uda się wyrwać gospodarki z okowów doktryny politycznej, tak długo budowa gospodarki opartej o nową ideę będzie niemożliwa."

Po tym wystąpieniu przewodniczący obrad poprosił Donalda Tuska o zamknięcie Kongresu. Dziękując uczestnikom spotkania za udział w obradach, D. Tusk zaprosił wszystkich na II Gdański Kongres Liberatów.

Janusz Lewandowski

WIELKOŚĆ I SAMOTNOŚĆ RAYMONDA ARONA

Śmierć Arona w roku 1983 uruchomiła lawinę tekstów poświęconych jego osobowości i twórczości. Potęgujące się od pewnego czasu zainteresowanie francuskim myślicielem miało swoją kulminację. Pośmiertne pochwały nie zbilansowały jeszcze wielkiej porcji krytyki, jaką odebrał za życia, ale przywróciły właściwy wymiar tej postaci na tle myśli współczesnej.

Szczególne miejsce wśród omówień twórczości Arona zajmują autointerpretacje - mnożące się u schyłku jego życia krótkie podsumowania, panoramiczna rozmowa przeprowadzona przez Jean-Luisa Missika i Dominika Woltona/ujęta w roku 1980 w formie książkowej/, wreszcie *Wspomnienia*, ogarniające cały bieg życia, wydane w roku 1983. To, co odautorskie jest dalekie od gombrowiczowskiej, przewrotnej gry z czytelnikami, jest - jak całe dzieło Arona - rzetelne, solidne i odpowiedzialne. W ten sposób przestrzeń egzegezy dzieła Arona została szczerze zabudowana i trudno byłoby, wychodząc z nizin naszego byle jakiego wykształcenia, wspiąć się jeszcze wyżej, zobaczyć jakiś kawałek twórczości tego myśliciela lepiej i głębiej. Wiedząc o tym, nie waham się powtórzyć niektóre oceny i, korzystając z przywilejów szkicu, skupić uwagę na kilku wątkach: rodzaj osobowości twórczej, rozumienie historii, krytyka ideologii, myśli o społeczeństwie współczesnym. Nade wszystko pragnę odtworzyć dramat osoby i paradoksalny los wnikliwego świadectwa, które długo było odtrącone, gdyż wyborem szerokiego otoczenia była ideologiczna narkoza.

ZAANGAŻOWANY OBSERWATOR

Długie życie Raymonda Arona dzieli się zwykle na dwa okresy: przedwojenny - kiedy był akademickim intelektualistą, biernym obserwatorem sceny dziejowej, oraz okres rozpoczynający się w latach wojny, w emigracyjnym Londynie, kiedy Aron przeistacza się w "widza i uczestnika". On sam, w krótkiej notce biograficznej ze stycznia 1983 roku, autoryzuje taki podział, przynajmniej w odniesieniu do swojej twórczości, znaczonej w obu wyróżnionych okresach odmiennym językiem i adresowanej do różnych kręgów publiczności.

Młodość Arona nie zamykała się zupełnie w świecie książek, ale nie brał wówczas udziału w życiu publicznym. Po latach od-czuwał nawet potrzebę usprawiedliwień, że nie występował aktywniej, że nie ostrzegał, chociaż groźbę faszyzmu przejrzał na wylot. Dany był mu bowiem fizyczny kontakt z rodzącym się fa-szyzmem. Trzyletni pobyt w Niemczech /1930-33/, najpierw w Kolo-nii, potem w Berlinie, oderwał go od peryferyjnych problemów Francji i rzucił na centralną podówczas arenę polityczną Euro-

py. Tam poczuł, mówiąc słowami Toynbeeego, że "historia dżonów jest w ruchu". Asystował przy wykluwaniu się mrocznych demonów - był świadkiem hitlerowskich misteriów, palenia ksiązek, historii antysemitkiej, śledził metamorfozę swoich kulturalnych słuchaczy w fanatyczne, karne kolumny. Po powrocie do Francji, widząc ją wewnątrz rozdartą, zdemobilizowaną i dekadentką, pojął bolesną prawdę o bezbronności ojczyzny w obliczu potężnych, złych mocy zza Renu. Doświadczyl, patetycznie mówiąc, tragizmu historii. Wspomina: "Można być szczęśliwym w życiu rodzinnym, wśród przyjaciół, w pracy, a jednocześnie odczuwać rozpacz z powodu upadku swojego kraju. Gdy przypominam sobie lata trzydzieste, widzę właśnie te dwie rzeczy, obie niezmiernie intensywnie/.../ Nigdy nie obracałem się w środowisku tak niebywale inteligentnym i tak ciepłym, tak przyjacielskim jak wtedy, w latach trzydziestych i nigdy też nie doświadczyłem tak silnej rozpacz z powodu obrotu historii..." /1/.

Objawienie się polityki w całym jej bezwzględny okrucieństwie przekreśliło raz na zawsze idylliczne bytowanie w świecie ksiązek i idei, zraziło także Arona do formacji myślowej, jaką przekazała mu sławna, elitarna Ecole Normale Supérieure - formacji wykwintnej wprawdzie, ale zarazem takiej, która "przygotowywała do niezrozumienia świata". W Niemczech, równoległe z brutalną rzeczywistością polityczną odkrył zasoby myśli, na których mógł polegać, które uzbrajały go w narzędzia postrzegania i pojmwania otaczającej go rzeczywistości.

Z tej podwójnej inspiracji - intelektualnej, jaką znalazł w niemieckich bibliotekach i praktycznej, jaką podsuwał żywiół polityczny, narodził się życiowy wybór Arona; wybór pola, na którym chciałby ulokować swoją energię twórczą. Chętnie przywołuje konkretny epizod: młodzieńczą egzaltację nad brzegiem Renu w roku 1931, której ślad pozostał w listach do przyjaciół - wtedy, jak twierdzi, właśnie wybrał. "Postanowiłem, że będę z a a n g a ż o w a n y m o b s e r w a t o r e m /spectateur engage/, to znaczy będę oglądał historię w jej stawianiu się, będę się starał patrzeć na nią możliwie obiektywnie, a jednocześnie nie zajmę postawy kogoś obojętnego, niezangażowanego. Chciałem być zarazem widzem i aktorem".

Zapowiadało to trudną próbę łączenia obiektywizmu i zaangażowania, trudną, bo przecież obiektywizm zwykliśmy kojarzyć z dystansem do sprawy, z perspektywą uczonego, spoglądającego na świat z wnętrza swego gabinetu czy laboratorium. Tymczasem Aron mierzył podwójnie: nie chciał rezygnować z naukowych rygorów, a zarazem pragnął zabierać głos w sprawach publicznych. Oto zamysł, który mobilizował go intelektualnie i emocjonalnie.

Zmierzał ku polityce, myślami stale ku niej wybiegał. Chciał rozumieć politykę. To była jego nieodwołalna pasja, wcześniej uświadomiona, ale chwilowo odłożona - porządkował bowiem niemieckie zdobycze teoretyczne i budował na nich zarys własnego widzenia świata. Jego przewodnikiem był Max Weber; Aron odkrył go dla siebie i dla publiczności francuskiej. "Właśnie u niego znalazłem to, czego szukałem. Był to człowiek dysponujący doświadczeniem historycznym, wiedzą o polityce, wolą prawdy, a wreszcie zdecydowany i nie stroniący od działania. Właśnie to, wola poznawania, uchwycenia prawdy realności, ale i aktywność, działanie; właśnie tym dwóm imperatywom próbowałem być posłuszny przez całe życie. Ten dualizm imperatywów znalazłem u Maxa Webera..." /2/.

Wejście w krąg Weberowskich wtajemniczeń ułatwiło Aronowi pokonanie wysokiego progu, nieprzekraczalnego dla większości intelektualistów: zaakceptowanie polityki takiej, jaka ona jest, w jej rzeczywistych wymiarach, nieredukowalnych do wymiaru etycznego czy prawideł logiki. Był to warunek *sine qua non*, by myśleć politycznie. Od Webera pochodzi też Aronowski klucz analityczny: *penser la politique c'est penser les acteurs*, to znaczy dyrektywa nakazująca wejrzenie w żywioł polityczny, a jak zobaczymy dalej, w żywioł historii w ogóle, poprzez próbę zrozumienia aktorów, podmiotów sceny dziejowej. Polityk jest człowiekiem czynu, kimś, kto w konkretnym i niepowtarzalnym momencie podejmuje decyzje, wybiera w zgodzie ze swym systemem przekonań, uwarunkowaniami i funkcją celu, wprowadzając nowy element do łańcucha zależności przyczynowo-skutkowych. Naukowa prognoza następstw tego wyboru nie jest możliwa, z wyjątkiem tych sekwencji wydarzeń, które uznajemy za powtarzalne, które, inaczej mówiąc, uogólniamy, wyabstrahowujemy z ich unikalności, mianując je prawdziwościami.

Wiedza o takich prawdziwościach staje się oczywistym atutem w grze politycznej i składnikiem racjonalnego wyboru, ale bynajmniej nie gwarantuje sukcesu. W polityce nie ma miejsca na gwarantowane rozwiązania. "Działać racjonalnie to z namysłem podejmować decyzje, które stwarzają największą szansę osiągnięcia założonego celu. Teoria racjonalnego działania powstaje na skrzyżowaniu przyczynowości i ryzyka".

Skuteczne politykowanie wymaga chłodnego osądu sytuacji i kalkulacji następstw czynu, ale wymaga także - z drugiej strony - świadomej gry na ludzkich namiętnościach. Rozwój sytuacji w Niemczech w latach trzydziestych każdemu musiał otworzyć oczy na fundamentalną irracjonalność zachowań masowych. Umiejętność gry na emocjach i urazach zbiorowych należy niejako do zawodowych sprawności polityka, tak w systemach totalitarnych, gdzie jest substytutem przemocy, jak i w systemach demokratycznych, gdzie służy sprawie kupowania głosów wyborców i sprzedawania im własnego programu /Hitlerowi udało się sprzedać program antydemokratyczny/.

Czy znaczy to, że polityka jest amoralna? Aron znał odpowiedź Webera na to pytanie. Etyka absolutna, czyli "etyka przekonań" /*Gesinnungsethik*/, najlepiej ucieleśniona przez etykę chrześcijańską, obca jest działalności politycznej^{3/}. Sfera polityki rządzi się swoistym kodeksem "etyki odpowiedzialności" /*Verantwortungsethik*/ - odpowiedzialności za dające się przewidzieć skutki podejmowanych decyzji. Innymi słowy, etyka w polityce jest dbałością o skutki. Prymat skuteczności nad zasadami i wartościami objawia się najdobitniej w sytuacjach ekstremalnych, kiedy stawką bywa interes publiczny, racja stanu. Nastęrczą je najczęściej arena stosunków międzynarodowych, gdzie groźba użycia siły lub nawet jej faktyczne użycie stanowi nadal niezbędne uzupełnienie arsenału środków politycznych. Wtedy brzemie odpowiedzialności polityka jest największe i potencjalny rozdźwięk z etyką zasad i przekonań najgłębszy.

Aron, świadom nieusuwalnego napięcia między rygorami etyki a regułami gry politycznej, nie absolutyzuje ich przeciwieństwa, co równałoby się przyznaniu, że polityka jest z gruntu amoralna i co kończy się niekiedy apoteozą przemocy. Dopiero zespolenie "etyki odpowiedzialności" z "etyką przekonań" konstituuje prawdziwego męża stanu, kogoś, kto ma "powołanie do polityki".

Albowiem mąż stanu, działający na co dzień pod prężeniem skuteczności, musi w pewnych sytuacjach /Aron przypomina wybory czynione przez de Gaulle'a/ trwać przy swych przekonaniach, musi mieć dość odwagi, by wypowiedzieć nieodwołalne *non possumus*, bez względu na bezpośrednie następstwa i nacisk opinii publicznej.

Spotkanie z Weberem uchroniło Arona od samego początku przed skłonnością do moralizatorstwa politycznego i choćby dlatego miało istotny udział w późniejszych sukcesach jego niezwykle trzeźwej publicystyki. Uczestniczyły w tym ponadto dwie okoliczności. Po pierwsze perfekcjonizm Arona, nakazujący nie tylko wielokrotne przemierzanie drogi Weberowskich pytań i odpowiedzi, ale także dogłębne studia ekonomiczne, poznanie teorii stosunków międzynarodowych, zdobywanie imponującej erudycji historycznej. Słowem posiadał mocne podstawy, solidny warsztat, głęboką znajomość mechanizmów rządzenia i były to atuty wspierające jego wrodzony słuch polityczny. Po drugie, trwały ślad w jego pisarstwie wyrył blany z pozoru, epizodyczny kontakt z cziłowiekiem zajmującym się profesjonalnie polityką. Oto w roku 1932 Aron relacjonował swoje spostrzeżenia z Niemiec sekretarzowi stanu w ministerstwie spraw zagranicznych Paganonowi. Polityk przerwał błyskotliwy tok narracji Arona krótkim pytaniem: "Ale co by pan zrobił będąc na moim miejscu?". Zmieszało to młodego intelektualistę; odpowiedź okazała się nad wyraz trudna i niewdzięczna, samo zaś doświadczenie owocne i pouczające/4/. Każdorazowa próba dania odpowiedzi na pytanie o odpowiedzialną decyzję w warunkach niepewności stała się później nieodłącznym elementem składowym i wyróżnikiem publicystyki politycznej Arona. Nie sądził, by status komentatora zwalniał od trudu i ryzyka podpowiedzi właściwego rozwiązania w danej sytuacji; życie polityczne stawia konkretne pytania i żąda na nie konkretnych odpowiedzi. To także trzymało jego komentarze w ryzach odpowiedzialności, powściągało apetyt na denuncjacje moralne i oceny ferowane z wyżyn absolutu, stosownie do nieosiągalnych standardów perfekcji i wszechwiedzy.

II wojna światowa wtrąciła Arona w realną politykę, aktualizując w dość nieoczekiwanych okolicznościach jego życiową pasję i cały gromadzony dotąd - niejako na zapas - zasób przemysłów. W czerwcu 1940 roku Aron znalazł się w Anglii. Współredaguje "La France Libre" - organ walczących Francuzów. Pisze artykuły, w których stopniowo komentarz polityczny bierze górę nad treściami intelektualnymi, wchodzi, już na trwałe, w rolę publicysty. Po powrocie do Francji, w latach 1945-47 jego dobrowolnym wyborem staje się wielość i przemienność ról życiowych - rezygnuje z rozpoczętej przed wojną kariery akademickiej. Nie wraca na uniwersytet w Tuluzie, nie przyjmuje zaproszenia uniwersytetu w Bordeaux. Pod koniec 1945 roku podjął pracę w administracji, jako dyrektor gabinetu Malraux w rządzie de Gaulle'a. Od marca następnego roku nawiązuje współpracę z pismem "Combat", by ostatecznie od roku 1947, na lat dwadzieścia osiąść w "Le Figaro" jako stały komentator polityczny. W tym samym roku wstępuje do gaullistowskiego ruchu "Rassemblement du Peuple Français". W roku 1948 ukazuje się *Wielka schizma /La Grande Schisme/* - pierwsza większa analiza politologiczna Arona, odmienna w treści i formie od książek przedwojennych. Tytuł pierwszego rozdziału: *Pokój niemożliwy, wojna nieprawdopodobna* oddawała znakomicie ówczesny klimat w Europie, był jakby rozwinięciem ukutego wtedy hasła "zimna wojna".

Tak więc Aron wychodzi z bibliotecznego zacisza na zgiełkliwą arenę polityczną. "Byłem profesorem filozofii, autorem kilku her-

metrycznych książek, które znało niewielu. Chciałem udowodnić, że potrafię być także publicystą" - wspomina. Zarażenie wirusem polityki przestawia życiowe priorytety. "Kwestie epistemologiczne, które mnie interesowały, może nawet pasjonowały przed rokiem 1939, stały mi się nieomal obojętne w roku 1945. Realna rzeczywistość, a nie różne sposoby jej pojmowania, pobudzała moją ciekawość. Oddalenie się od rzeczywistości, zdystansowanie do biegu wydarzeń - to byłoby, jak wydawało mi się w latach powojennych, zaprzeczenie samemu sobie"/5/.

Zaktualizowana pasja polityczna nie oznaczała jednak w przypadku Arona, powołania do czynnej kariery politycznej. "Działalność polityczna nie jest czysta i dlatego wolę ją badać niż uprawiać" - oto jego częściowe wytłumaczenie, podparte dwumiesięcznym doświadczeniem z funkcjonowania jako osobistość oficjalna w ramach ministerstwa w roku 1945. Dotykamy tu interesującej prawidłowości: Aron przedłuża listę wybitnych osobistości, u których zdolność wnikliwego osądu w sprawach publicznych nie szła w parze z praktyczną "zdolnością polityczną". Wspomnę Tocqueville'a - jego kariera była krótka i bezbarwna, zupełnie niewspółmierna do wsławniejszej inteligencji i intuicji politycznej autora *O demokracji w Ameryce*. Sam trzeźwo ocenił, że więcej jest wart w sferze myśli niż działania. Podobnie Max Weber, zadziwiający swe otoczenie trafnością sądów, słuszością przewidywań, talentem oratorskim i zdolnością panowania nad słuchaczami - z tych powodów kreowany, po przegranej I wojnie światowej, na jednego z przywódców narodu. "Max Weber był uczonym i okazjonalnie publicystą politycznym, nie był politykiem ani mężem stanu. Ale był, w ciągu całego życia, pasjonatem spraw państwowych i nigdy nie wyżył się swoistej nostalgii, zdającej się sugerować, że jego przemyślenia są zaledwie wstępem do czynnego udziału w działalności politycznej"/6/. Te słowa Arona o Weberze są zarazem szkicem do autopotretu, a można je odnieść także do współczesnego mu wybitnego komentatora sceny politycznej Waltera Lippmanna, o którym będzie zaraz mowa. Wszyscy oni, wyposażeni w nadzwyczajny słuch polityczny, imponujący zdolnością politycznego myślenia, nie potrafili i nie chcieli budować na tym czynnej kariery politycznej, zadowolając się co najwyżej rolą "doradcy Księcia", czy raczej, jak na systemy demokratyczne przystało, doradcy opinii publicznej.

I bez czynnego udziału w polityce Aron z trudem godził rozliczne obowiązki. Wielość powojennych ról życiowych znalazła odwzorowanie w jego codziennym rozkładzie zajęć. Ranek i przedpołudnie poświęcał na pisanie, popołudniami spotykał ludzi, wieczory rezerwował na lekturę własną. Był to reżim pracy totalnej, całodobowej, z której narodził się fenomen pisarstwa Arona: ciągły rozwój intelektualny, ciągle ulepszany warsztat dziennikarski, perfekcyjna forma. Jako komentator "Le Figaro" górował profesjonalnym podejściem do obowiązków publicysty nad innymi sławami akademickimi, systematycznie współpracującymi z prasą, jak Leonard T. Hobhouse, Harold Laski czy Franklin Giddings. Już na progu swej kariery publicystycznej, w roku 1948, rozumiał niuanse najszlachetniejszej i zarazem najbardziej wymagającej formuły dziennikarskiej: autorskiego komentarza politycznego. Dobry komentarz - brzmiała jego recepta - powstaje z połączenia refleksu intelektualnego, talentu i wytrawnego pióra ze znajomością rzeczy i odpowiedzialnością. Prawdziwą wielkość osiąga wówczas, gdy dokłada się do tego zmysł polityczny / *esprit politique* /, odwaga intelektualna i kultura polemiczna - wtedy frapuje i zarazem edukuje opinię publiczną, współtworząc kulturę demokracji/7/.

Aron, bliski tego ideału, narzucił sobie dodatkowe rygory. Strzegł pilnie swej niezależności, nigdy nie był publicystą frakcyjnym /*journaliste partisan*/. Był wprawdzie gaullistą, ale na swój sposób - degustował go kult osoby generała de Gaulle'a i dawał temu wyraz już w latach wojny. Wtedy także ujawniła się inna cecha, która wytrzymała trudną próbę lat wojny i lat pięćdziesiątych: elegancka forma polemiczna, podporządkowana zasadzie *comprendre avant de juger, expliquer plutot que vaticiner* - próbował zrozumieć posunięcia rządu w Vichy, zanim poddawał je ocenie, później cierpliwie wazył argumenty swych lewicowych adwersarzy, którzy na ogół nie przebiegali w środkach. "Wolę rozumieć i analizować" - pisał - "niż napadać na przeciwników... Nie przepadam za ludźmi, którzy wylewają żółć na papier".

Wyjątkowa pozycja, jaką Aron zdobywał stopniowo w dziedzinie publicystyki politycznej, narzucała porównanie z mistrzem tego gatunku zza Atlantyku, Walterem Lippmannem. Znali się obaj i spotykali, łączyła ich przynależność do neoliberalnego kręgu. Nieprzypadkowo liberalizm, jako filozofia polityczna wyrastająca z ducha kompromisu i woli pokojowego współżycia w pluralistycznym społeczeństwie, był wyborem ideowym obu tych znakomitości pióra. Liberalny system wartości harmonizował z właściwą im kulturą słowa i otwartością na dialog.

Lippmann i Aron: darzyli się wzajemnym respektem, ale był między nimi chłodny dystans; nie przypadli sobie do gustu. Lippmann był prawdziwą gwiazdą amerykańskich mass-medium, oddziaływał na wielomilionową publiczność, ale instynkt polityczny niekiedy go zawodził, podpowiadał mylne oceny, co zdarzało się nawet w kwestiach pierwszorzędnej wagi /8/. Natomiast Aron - przyznaje się to z niejakim zażenowaniem, chodzi bowiem o cechę nadludzką - był... nieomylny! Po prostu, w ważnych kwestiach nie mylił się. Jego osąd, jakże często - zobaczymy to dalej - przeciwstawny poglądom otoczenia, potwierdzał się z upływem czasu; tak było z oceną faszyzmu i komunizmu, także eurokomunizmu, gospodarki planowej, kwestii niemieckiej i zimnej wojny, problemu Indochin i Algierii, rewolty studentkiej w roku 1968 i *detente* w latach siedemdziesiątych. Kryterium trafności sądu przemawia więc za Aronem, a było jeszcze coś, co chciałoby się uogólnić w różnicę kulturową między Starym i Nowym Światem: wiedza Lippmanna, pomimo szlifu Harvardu, była raczej powierzchowna i utylitarna, podyktowana chęcią uzupełnienia publicystyki przez książkowe bestsellery. Inaczej z Aronem - autentyczna ciekawość intelektualna, *l'amour de la connaissance*, była jego drugą naturą. Stosunkowo szybko zresztą ta nieodparta pasja poznawcza, przytłumiona czasowo przez politykę, przypomniiała o sobie. Wynikł z tego wewnętrzny konflikt między imperatywem poszukiwania intelektualnych i czasochłonnymi obowiązkami publicysty. Pojawiało się pytanie o celowość dokonanego wyboru i wątpliwość ta nękała Arona już do końca życia. Niekiedy - zdradza to w swoich *Wspomnieniach* - żałował wejścia w dziennikarski kierat, żałował książek, których nie napisał i zawinionych przez pośpiech mielizn w swojej dokonanej twórczości. "Kto chce wszystko zrozumieć, nie może wyczerpać żadnego z tematów, którymi się zajął" - stwierdzał gorzko. Już w roku 1955 zapragnął powrotu na Sorbonę; w życiu akademickim spodziewał się odnaleźć dyscyplinę intelektualną, zagubioną w zgiełku politycznych sporów i polemik.

Są to elementy krytycznej samooceny, jakże charakterystyczne dla osobowości Arona i jakże odległe od świadectwa, które wystawiła mu potomność. Przeplatanie stylów: publicystycznej refleksji z akademicką powagą, nie było łatwe, ale wydało owoce, którymi delectujemy się dzisiaj. Specyficzny, niepowtarzalny *genre*

arónien powstał właśnie na skrzyżowaniu "zaangażowanej obserwacji", znamionującej rasowego publicystę, z rzetelnością i odpowiedzialnością - cechami wziętymi z ethosu uczonego, ze świata, w którym cnotą jest uległość wobec wymowy faktów, gotowość uwzględnienia zdarzeń wygodnych i niewygodnych. "Filozoficzny ogół i historyczny szczegół, teoria a działanie, te antynomie charakteryzują najlepiej dzieło Arona" - pisze Franciszek Draus, stwierdzając dalej, że właśnie powiązanie konkretności z teorią, nieustanne podążanie od faktów do idei i od idei do faktów, nadaje specyficzny charakter twórczości bohatera tego eseju /9/.

MYŚLOWY FUNDAMENT

Twórczość Arona, wielowątkowa i bogata, nie mieszcząca się w jednej formie, była jednak wewnętrznie jednolita i zharmonizowana z osobowością autora. Wewnętrzna jednolitość dzieła sprowadza się do konsekwentnej, wszechobecnej w różnych jego fragmentach, filozoficznej postawy wobec świata. "Jeśli taka jednolitość istnieje - potwierdza Aron - musi mieć swe źródło w osobowości/.../ zawiera się ona w filozoficznej refleksji nad historią i nad tym, co znaczy żyć w historii; chodzi więc o moje książki przedwojenne".

Spotkanie z filozofią było olśnieniem wieku szkolnego. Wcześniej była noc, wspomina Aron, wraz z klasą filozofii rozbiłyś światło. Pisałem już, że Aron porzucił rychło mistrzów swej młodości. Ani neokantyzm reprezentowany przez Léona Brunschvicga, ani obowiązujący we Francji Durkheim, nie prowadzili w kierunku stawiającej liczne pytania rzeczywistości. Analityczny klucz do niej znalazł się w myśli Webera, hermeneutyce i fenomenologii; te zasoby myśli były katalizatorem rozwoju intelektualnego Arona i przygotowały filozoficzny fundament "zaangażowanej obserwacji" "Ponieważ zdecydowałem się na rolę zaangażowanego obserwatora - pisze Aron - koniecznością dla mnie stało się wyjaśnienie stosunku pomiędzy historykiem i człowiekiem działającym w historii, pomiędzy rozumieniem historii w jej stawianiu się [*L'histoire-se-faisant*] a wyborami, na jakie skazany jest każdy byt historyczny" /10/.

Suma epistemologiczna i historiozoficzna Arona zawarta została w trzech książkach opublikowanych w latach 1935-38. Osoba Maxa Webera zdominowała pierwszą z tych książek, prezentującą, zgodnie z tytułem [*La sociologie allemande contemporaine*] odkryte w Niemczech kierunki myśli socjologicznej. Max Weber był także jednym z bohaterów drugiej książki [*Philosophie critique de l'Histoire*] analizującej ponadto refleksję historyczną Wilhelma Dilthey'a, Georga Simmela i Heinricha Rickerta. Aron zrezygnował z drugiego tomu, który miał pomieścić kolejne postacie: Ernsta Troeltscha, Maxa Schelera, Karla Mannheim'a i ewentualnie Oswalda Spenglera. Przerwał prezentację cudzych myśli i przystąpił w listopadzie 1935 roku do ujęcia swojej własnej wersji krytyki "rozumu historycznego". Efektem był *Wstęp do filozofii historii* [*L'introduction à la philosophie de l'Histoire*], wydany w roku 1938.

Ten osobisty dialog Arona z determinizmem i relatywizmem był zwracającym uwagę głosem spoza oficjalnego uniwersum intelektualnego ówczesnej Francji. Spożytkowując i przewartościowując mało znane schematy analityczne niemieckiej hermeneutyki przerywał krąg pytań i odpowiedzi, wewnątrz którego toczyło się swym utartym trybem życie umysłowe francuskich środowisk akademickich.

Zasadnicze pytanie Arona dotyczyło pojmowania historii i podjęte zostało na dwóch różnych, choć związanych ze sobą, poziomach refleksji nad warsztatem badacza historii oraz rozumienia żywej historii, dziejącej się na jego oczach.

Hermeneutyka wyzwoliła refleksję historyczną i całą humanistykę z niewoli wzorów metodologicznych przyrodoznawstwa. W tym nurcie, z jakiego czerpał Aron, samowiedza osobliwości metodologicznych humanistyki, rzucająca nowe światło na relację podmiot-przedmiot, zespoliła się najpełniej z historyzmem - dojmującą świadomością historycznej kondycji człowieka /11/. Była to propozycja nowej, przełomowej konceptualizacji świata ludzkich wytworów, świata nazywanego kulturą, dla wyodrębnienia go i przeciwstawienia żywiołowi natury. W tym świecie stwarzanym przez człowieka rządzą raczej wartości niż przyczyny, raczej wola niż konieczność. Rzecz istotna: mowa tu o różnych kulturach, jako opatrzonych w sens i znaczenie /Sinn/ wycinkach z bezsensownej nieskończoności zjawisk, a nie o ciągłym dziele kulturowym ludzkości, poddanym jakimś żelaznym prawom.

Poznanie historyczne, to znaczy poznanie minionych światów kultury ludzkiej, wymaga zastosowania swoistych procedur, których istota polega na ustanowieniu między podmiotem poznającym a przedmiotem poznawanym szczególnej więzi, nazywanej "rozumieniem" /Verstehen/. "Żeby dzieje w ogóle mogły być ogarnięte przez umysł, trzeba, by żywi odkryli pokrewieństwo z umarłymi. Poszukiwać sensu w tym stadium analizy to znaczy określić abstrakcyjne czynniki-impulsy, kategorie, sytuacje typowe, symbole czy wartości - które, składając się na ludzką wspólnotę, stwarzają warunki niezbędne do tego, aby obserwatorzy mogli pojąć czynny, a historycy przeniknąć minione cywilizacje" /12/. Odróżnienie "interpretującego rozumienia" /deutend Verstehen/ sensu zachowania od rozumienia przyczynowego /kausal Erklären/, które ustala przyczyny zachowania i jego następstwa, zawierało w sobie skok metodologiczny od wzorów przyrodoznawstwa do wzorów humanistyki rozróżniającej.

Swoistość poznania historycznego w obrębie humanistyki rozumiejącej polegała na wyrzeczeniu się bezwzględnych kryteriów interpretacji i oceny. W to miejsce pojawił się imperatyw ciągłej reinterpretacji - ponawiamy procedury poznawcze w każdej nowej epoce, w każdym nowym pokoleniu. Historia jest żywą pamięcią, a jej każdy fragment niewyczerpalną kopalnią faktów i znaczeń. Wielkość wymiarów, w jakich można ujmować dzieje - pisał Aron - nie świadczy o porażce wiedzy, ale o bogactwie rzeczywistości. Hermeneutyka nie oznaczała kapitulacji nauki, a jedynie obnażenie jej pozytywistycznych urojeń. Tylko w skrajnej postaci historyzmu zawarty w nim relatywizm implikował niemożliwość uzyskania intersubiektywnej wiedzy, czyli niemożliwość nauki społecznej. Myśliciele, których portretował Aron, byli od tej kapitulacji dalecy. Wprawdzie Dilthey, główny sprawca metodologicznego przełomu, na tyle wyczerpał energię w destrukcji pozytywistycznych złudzeń, że nie przedstawił spójnej metody, ale Simmel, Rickert, a nade wszystko Weber, będąc krytykami "rozumu historycznego", mieścili się zarazem w głównym nurcie rozwojowym współczesnej socjologii. Każdy z nich podejmował próbę stworzenia nauki o kulturze, poszukiwał - już na nowym gruncie metodologicznym - szansy dla uzyskania intersubiektywnej wiedzy. Hermeneutyka, jako metoda nauki, musiała wyjść poza psychologizm i subiektywizm. Konieczne było, pisał Jerzy Szacki, odwołanie się do znajomości kontekstu historycznego, a także możliwie rozległych zasobów wiedzy ogólnej na-

gromadzonych przez różne nauki humanistyczne. Zrozumieć to "przez operacji myślowych umieścić fakt badany w ramach określonej, dynamicznej całości: języka, kultury, systemu społecznego" /13/.

Odwroćcie się od wzorów przyrodoznawstwa nie zwalnia badacza zjawisk społecznych od rygorów ścisłego myślenia. W duchu neokantowskiego formalizmu Rickert, Simmel i Weber podejmowali problem selekcji danych historycznych i ich organizowania w sensowną całość, która nie jest prostym odzwierciedleniem rzeczywistości, lecz kreacją podmiotu poznającego, wyposażonego w odpowiednie narzędzia analityczne. Wychodzili oni z założenia, które przyjmował także Aron, iż różnica między hermeneutycznym rozumieniem procesów historycznych, a ich przyrodniczym wyjaśnianiem nie musi i nie powinna być różnicą stopnia racjonalności poznania.

Zadłużenie Arona u uczestników niemieckiego "sporu o metodę" /*Methodenstreit*/ opiewało więc na istotne składniki jego epistemologii: świadomość logicznych problemów warsztatu badacza historii oraz zróżnicowany zasób metod poznawczych humanistyki. Spośród problemów dziedziczonych w ten sposób kategorycznie wykreślono natomiast pytanie, które angażowało w owym czasie i angażuje po dziś dzień niemały procent energii intelektualnej, mianowicie o sens historii pisanej dużą literą - jej kierunek albo jej cele. Badanie relacji podmiot-przedmiot, namysł nad strukturą czasu i tym podobne egzorcyzmy metodologiczne, przez jakie przeszedł Aron pod wpływem hermeneutyki, znakomicie uodporniały na "myślenie całościowe" i wszelki historyczny profetyzm. Wtedy było to trudniej sze niż dzisiaj, była to bowiem epoka wielkich, historiozoficznych zauroczeń. Do wyboru był katastrofizm Spenglera lub optymizm Toynbee, a na bardziej wyrafinowanym, akademickim poziomie kusił progresywizm Durkheima czy cykliczna wizja Pareto, wszystko to jednak błędne przy wszechobecnym marksizmie. Dziś podatność na zarażenie się historiozoficznymi systemami jest znacznie mniejsza i spory w tym udział demistyfikującej pracy myślowej Arona czy Poppera - upartego obnażania różnych wersji historycznego determinizmu, tych surowych i tych wyszukanych, jako iluzji niedokształconego umysłu.

Zbieramy teraz główne punkty refleksji historiozoficznej Arona, by następnie pokazać, jak stanowisko filozoficzne splata się z etycznym i zapowiada postawę polityczną. Istotą stosunku człowieka do świata jest *p o j m o w a n i e /comprehension/* - to jedna z centralnych kategorii Arona, bliska, jak powiedziałem, tradycji hermeneutyki. Zakłada ona ograniczoność intelektu i nieskończoność bytu i te założenia określają z kolei rolę rozumu. Rozum nie jest nam dany po to, by rzeczywistość i historię mistyfikować, zamykać w holistyczne formuły, lecz po to, by pojmować. Aronowskie *comprehension* bliższe jest weberowskiej rekonstrukcji niż dilthey'owskiej empatii, wymaga narzędzi naukowych, intelektualnych, ale nigdy nie przybliża do uchwycenia "istoty" czy immanentnego sensu.

Autor *Wstępu do filozofii historii* domagał się więc, z jednej strony, naukowych rygorów w poznaniu historycznym - to był jego racjonalizm, z drugiej zaś zakładał nieodwołalnie częściowy, niepełny efekt wysiłku poznawczego i konieczność jego ustawicznego ponawiania, gdyż wstępna selekcja zjawisk ma zawsze charakter historyczny lub polityczny - i to był jego historyzm. W sposób niezmiernie dlań charakterystyczny kroczy *p o m i ę d z y* filozofią znoszącą historię a historią wyrzekającą się filozofii. Szuka drogi pomiędzy uniwersalnym światem filozofów a konkretem realnego bytowania ludzi. Aronowskie "pomiędzy" to, inaczej mówiąc, mniejszy lub większy dystans wobec wszelkich wpływów i

wszelkich autorytetów, nie wyłączając Maxa Webera. W swych powojennych książkach Aron dystansuje się wyraźnie wobec weberowskiego ujęcia rzeczywistości jako amorficznej, nieforemnej masy niekoherentnych faktów, w które dopiero badacz przy pomocy swoich narzędzi wprowadza porządek, konstruując model naukowy. Przyjęcie takiego założenia oznaczałoby zbyt silne uzależnienie interpretacji zjawisk społecznych od systemu konceptualnego i - w konsekwencji - od perspektywy osobistej tego czy innego badacza. Społeczeństwo - pisał Aron w *Dix-huit Leçons sur la Société Industrielle* - nie jest ani kompletnie zintegrowaną całością, ani też pozbawioną koherencji masą zjawisk, stąd też nieprawomocny jest zarówno dogmatyzm, zakładający uniwersalną ważność teorii typów społecznych, jak i dogmatyzm zakładający relatywizm wszystkich ujęć teoretycznych. Jest to krok od Webera w kierunku Durkheima, ale odległość od tego drugiego, z jego ujęciem *societe* jako całości kompletnej i integralnej, jest nadal wielka.

Konstrukcja światopoglądowa wzniesiona na zarysowanych wyżej fundamentach epistemologicznych musiała być ostrożna. Świadomość historyczna jest lekcją pokory, "uczy nas szacunku dla niezliczonych, nie przylegających do siebie faktów i dla wielości znaczeń, jakie te fakty posiadają, albo jakie możemy im nadać, zależnie czy weźmiemy pod uwagę sprawców, czy skryształizowane tradycje, czy następstwa/.../ Świadomość historyczna ukazuje nam granice naszej wiedzy. Czy kierujemy krok ku przeszłości, czy próbujemy przeniknąć przyszłość, niedostępna jest nam pewność, gdyż nie zgadza się ona z lukami naszych informacji a tym bardziej z istotą dziejów" /14/. Losem epoki kulturowej - kontynuował Weber implikacje światopoglądowe "kopernikańskiego przewrotu" w humanistyce - która zerwała owoc z drzewa poznania, jest nieunikniona wiedza, że nie możemy odczytać sensu wydarzeń w świecie nawet z rezultatów najdokładniej przeprowadzonych badań, lecz musimy posiadać zdolność tworzenia go samemu; że światopoglądy nigdy nie mogą być rezultatem postępu wiedzy doświadczalnej, a więc że wobec tego ideały najwyższe, najpotężniej nas poruszające po wsze czasy, wyłaniają się jedynie w walce z innymi ideałami, które dla innych są tak samo święte, jak nasze dla nas. Historia jest terenem walki grup ludzkich obdarzonych wolą przetrwania wszelkiego oporu i urzeczywistnienia partykularnych celów.

Jak pamiętamy, Aron nie uważał, by wobec chaosu i wiecznej płynności zjawisk, stronnictwo zachowań i irracjonalności polityki, uczonej i etyk musieli kapitulować w relatywizmie. Dla Webera sposobem obrony statusu nauki, szansą depolityzacji uniwersytetu, było przyjęcie antynomii świata podzielonego i wiedzy niestronniczej. Nauki społeczne, jako nauki o kulturze, zajmują się ludzkimi sądami wartościującymi, ale same ich nie wydają, pozostając wolne od stronnictwo, jeśli nie liczyć tej, która polega na arbitralnym w końcu wyborze przedmiotu zainteresowań /tu Weber nie ustępuje: żadne fakty nie są ważne same przez się, lecz tylko przez ich powiązanie z naszymi wartościami, lecz ten element arbitralności poprzedzający konstrukcję typów idealnych nie przeczy neutralności - jest bowiem wyborem narzędzi/. Aron przeanalizował weberowski ideał *wertfreie Wissenschaft* w swojej książce, wspomnianej już *Philosophie critique de l'Histoire*. Doszedł do wniosku, że nadzieja, by neutralność otwierała drogę do obiektywizmu jest złudna, że weberowski ideał obiektywizmu jest nieosiągalny.

W to miejsce pojawia się aronowska, skromna zasada dystansu i respektu dla faktów: *l'equite*, co tłumaczy się dobrze na angielskie *fairness* i nieco gorzej na polską "rzetelność". *L'equite*, następna istotna kategoria uniwersum myślowego Arona, to znowu

"program środka", charakterystyczne dla niego "pomiedzy": tym razem pomiędzy maksymalistycznym programem *wertfreie Wissenschaft* i kapitulancją relatywizmem. Dążenie do naukowości nie zasadza się na fałszywej neutralności wobec ideologii lub opcji politycznych, lecz na respektowaniu faktów. Socjolog czy historyk nie różni się od polityka czy człowieka z ulicy tym, że wyzył się własnych preferencji lub ustrzegł się sądów wartościujących; różni się dyspozycją psychiczną: rzetelnością, gotowością uwzględnienia niewygodnych faktów, powściągliwością, a także świadomością własnych preferencji. Świadomość taka powinna być nawykiem intelektualisty.

W tej tradycji myślowej, w jaką wpisuje się Aron, pojmowanie historii było zapośredniczone przez rozumienie człowieka w historii. *L'intelligibilite des actions des acteurs* to jakby dynamiczne jądro tej wersji historyzmu, aktualizujące się w rozmaitych zastosowaniach; widzieliśmy już jak - poprzez rozumienie aktorów sceny politycznej - stanowiło o Aronowskim rozumieniu polityki. Pojmowanie historii nie zawiera się w kategoriach przeznaczenia, praw i struktur, lecz w kategoriach ludzkiej wolności i samorealizacji. Wolność i zamiar są zasadniczymi wyznacznikami działania człowieka, najtwardsze nawet sieci zależności socjopsychologicznych nie dźwιάją jednostkowej woli. Znowu "pomiedzy": człowiek nie jest panem, ani zabawką dziejów /15/.

Człowiek nie istnieje poza historią, nie ma innej historii, niż historia człowieka. Tylko człowiek ma historię, gdyż tylko on uczestniczy w przygodzie, której celem nie jest śmierć, lecz samorealizacja - człowiek jest podmiotem historii i uzyskuje swoją tożsamość poprzez historię. Egzystencja ludzka i egzystencja historyczna ludzkości rozpięta jest pomiędzy nieznanym początkiem i nieznanym końcem, i tylko o tyle ma sens, o ile zaczyna być ruchem autodeterminacji człowieka w zwielokrotnieniu stwarzającym świat kultury ludzkiej. Byt historyczny jest ciągiem wolnych wyborów, przy czym istnieje nieodwołalne napięcie między intencjonalnymi aktami człowieka a chaosem historii.

Pisze Aron: "Historię tworzą ludzie działający w okolicznościach nie przez siebie wybranych. Działają zgodnie ze swoimi żądaniami czy ze swoim ideałem, kolejno doznając przymusu środowiska albo nad nim triumfując, uginając się pod ciężarem odwiecznych zwyczajów i prostując się w duchowym porywie. Na pierwszy rzut oka historia zdaje się być i chaosem wydarzeń, i tyrańskim cyklem: każdy jej fragment coś znaczy, a całość pozbawiona jest znaczenia. I nauka i filozofia historii - każda na swój sposób - stara się przezwyżyć sprzeczności zachodzące pomiędzy intencjonalnym charakterem najprostszego faktu, jeżeli łączymy go z jego sprawcą, a pozornym absurdem całości; pomiędzy zrozumiałym dla nas bezładem w skali mikroskopijnej i ślepym łańcem przeznaczenia /16/.

Egzystencjalna nuta, pobrzmiwająca szczególnie wyraziście we *Wstępie do filozofii historii*, książkę opisującą w jakiejś mierze dramat osoby ludzkiej poszukującej prawdy w świecie niekoherentnym i niezbornym, skłaniała wielu komentatorów do pytania o stosunek Arona do tradycji filozofii egzystencji, wywodzącej się z intelektualnych doświadczeń Nietzschego i Kierkegaarda, po wojnie przeszczepionej błyskotliwie przez Sartre'a na grunt francuski. Nie są to wydumane skojarzenia. Refleksja epistemologiczna w istocie prowadziła autora *Wstępu do filozofii historii* do postawy filozoficznej, w której motywy wolności i absurdu grają rolę centralną. Zdanie zamykające tę książkę brzmi: "Egzystencja ludzka jest dialektyczna, to znaczy dramatyczna, gdyż ma miejsce w świecie

pozbawionym ładu, angażuje się bez względu na swój czas trwania, poszukuje prawdy, która przed nią ucieka, nie mając żadnej innej pewności prócz fragmentarycznej wiedzy i formalnego myślenia".

Tyle, że Aron nie zatrzymuje się w tym miejscu, by kontemplerować egzystencjalny dramat, ważniejsza jest dla niego dyrektywa badawcza, jaka z tego wynika, działająca zarówno wstecz, w zakresie wyjaśniania historycznych, jak i wprzód, w zakresie przewidywań. Zachowania ludzkie powinny być interpretowane w kategoriach historycznego probabilizmu, w jakich każdy człowiek w sposób naturalny rozpatruje własne wybory. Odnotujemy zatem kolejną kategorię analityczną Arona, nawiązującą do Weberowskich zasad "retrospektywnego probabilizmu" i "obiektywnej możliwości".

Historyczny probabilizm to dyrektywa nakazująca uwzględnianie pierwiastka prawdopodobieństwa /inaczej mówiąc braku konieczności/ w historycznych wyjaśnieniach. "Za każdym razem, kiedy rozpatrujemy jakiś akt w stosunku do sytuacji, powinniśmy zostawić margines na to, co nie musiało być. Jeżeli przedmiotem naszych badań jest jakiś dłuższy okres czy cała cywilizacja, ten margines oznacza to samo, co ludzka zdolność do wybierania, chcenia, tworzenia. Środowisko rzuca społeczeństwu wyzwanie i ma ono, albo nie ma siły, żeby je podjąć."

Człowiek działający w historii, ten bezimienny i ten wykreowany na "historyczną postać", wyraża swoje społeczne i kulturowe środowisko, swoją epokę - oto przywołana wcześniej dyrektywa hermeneutyczna /pojmująca to wyrażenie zgoła odmiennie, niż marksizm i wszelki socjologizm/. Nigdy jednak nie jest się przez okoliczności czasu i miejsca zupełnie zdeterminowanym - oto dyrektywa historycznego probabilizmu. Skoro współczesna nauka pogodziła się już ze stochastycznym charakterem ustalanych przez siebie prawidłowości, czemu mielibyśmy o tym zapominać, kiedy próbujemy zrozumieć historię? My sami, stojąc wobec wyboru i przebiegając myślowo dostępne możliwości, powtarzamy namysł naszych poprzedników, którzy przeżywali to podobnie, zanim uruchomili łańcuszki następstw, splatające wolną wolę i przyczynowość. Jeśli odtwarzamy przeszłość w ten sposób, nie ukazują się nam żadne konieczności rozwojowe.

Niemniej prawdopodobieństwo zawiera w sobie pierwiastek obiektywizmu, ów stochastyczny determinizm, którego pospolitą ilustracją może być nieuczciwa gra losowa: jeśli jeden z numerów został zdublowany, musi on obiektywnie wypadać najczęściej. Przygotowanie zawodowe historyka, jego erudycja, ułatwia identyfikowanie stochastycznych relacji, wspomaga rachunek historycznego prawdopodobieństwa, to znaczy mówi nam, co w danych okolicznościach musiało z większym lub mniejszym prawdopodobieństwem nastąpić i odwrotnie, pozwala wnioskować o prawdopodobnych przyczynach z ich następstw.

Zasada historycznego probabilizmu rządzi rekonstrukcją przeszłości i przewidywaniem przyszłości. Zgadamy się na to wtedy, gdy przyjmujemy założenie o homogeniczności czasu, co znaczy, gdy wraz z Aronem stwierdzamy, że przeszłość i przyszłość ulepione są z tego samego tworzywa. Jest to prawda odległa od obiegowych wyobrażeń, maskowana skutecznie przez potoczny język, ale obowiązująca w świecie nauki. Dlaczego więc, pyta Aron, tylu historyków i badaczy społecznych interpretuje przeszłość w kategoriach fatum, przyszłość uznając za otwartą? Powinni wiedzieć, że naukowe sądy nie zmieniają swego charakteru w zależności od tego, czy wypowiadamy je o tym co było, czy o tym co będzie. To, co jest naszą przeszłością, było przyszłością in-

nych ludzi. Historyczne wydarzenie - pisze Aron - daje się przewidzieć w tym samym stopniu, w jakim jest wytłumaczalne przyczynowo. Nie ma gwarantowanej prognozy przyszłości z tych samych względów, które sprawiają, że nie może w pełni powieść się analiza przyczynowa zdarzeń przeszłości.

Aron postarął się, by jego wizja historii była zgodna z założeniami epistemologicznymi, co nie zawsze udawało się innym krytykom "rozumy historycznego". U Webera na przykład można dopatrzeć się odczytu kierunku dziejów w jego tezie o stopniowym wypełnianiu przerwzezi społecznej przez zachowania racjonalne, kosztem zachowań tradycyjnych i emocjonalnych. Aron pokazuje to w *Les etapes de la pensee sociologique* jako zdradę fenomenologicznego opisy kondycji ludzkiej na rzecz "historii z tezą", według której spontaniczna ewolucja zawiera w sobie ukryty determinizm, wewnątrzny przymus racjonalizacji i biurokratyzacji życia. W dodatku nie jest to optymistyczna wizja, raczej wizja narastających zagrożeń wolności i godności osoby ludzkiej, płynących ze strony otaczających ją, odhumanizowanych instytucji.

Wizja historyczna Arona bliższa jest tej, jaką przekazał nam Tocqueville: pewne cechy współczesnego społeczeństwa, na przykład racjonalizm i zbiurokratyzowanie, są zauważalne i być może nieuchronne, ale nie określają całego oblicza współczesności i nie są jego jedynymi załączkami na przyszłość. Dla Tocqueville'a taką eksponowaną cechą, którą dostrzegł w zarodku i która miała się potęgować, niosąc niebezpieczeństwo społecznego zgłajchsztaltowania a nawet "despotyzmu tłumów", był egalitaryzm. Ekspozując tendencję egalitarną Tocqueville widział w niej jednak tylko jedną ze współrzędnych życia społecznego, potencjalnie rosnącą w znaczenie, ale niezdołną przesądzić oblicze całości. Wybór między wolnością a despotyzmem pozostaje otwarty.

Tocqueville i Aron pozostawiają historii jej sekret, ale tym samym pozostawiają żywą nadzieję. Znowu są "pomiędzy": ani racjonalistyczny optymizm, ani stoicki czy egzystencjalny pesymizm, ani prometeizm, ani fatalizm. Historia jest dialektyczna i umie zadzwic z wyznawanych w danej epoce kanonów postępu. Tocqueville - wizjoner dostrzegł na przykład w pozostałościach *ancien regime'u* - tradycyjnych strukturach i lokalnych wspólnotach, które uznano za hamulce postępu i demokracji - ostoje jednostek, zapore przed monstrualnymi tworamii cywilizacji przemysłowej. "Hierarchie z przeszłością historyczną - wtórował mu Aron - które osłabił i oczyścił czas, zdają się nie tylko wspierać stare krzywdy, ile stanowić zapore wobec absolutystycznych zapędów socjalizmu. Tam, gdzie rządzi anonimowy despotyzm, konserwatyzm staje się sprzymierzeńcem liberalizmu. Jeśli ulegną zniszczeniu hamulce odziedziczone po przeszłości, nic nie oprze się wzrostowi totalnego państwa".

Historia w rozumieniu Tocqueville'a i Arona pozostaje o t w a r t a i nie zmierza w jednym kierunku; ostatecznie określają jej bieg ludzie w swej wolności, arbitralności i omylności. Skoro tak, skoro mieszczą się w niej i splatają różne wątki, skoro Aron wyrzeka się kategoriycznie globalnych wizji, to rozumiemy proces stopniowej degradacji filozofii i historiozofii w jego późniejszej twórczości. Wydarzenia, instytucje, zbiorowości ludzkie powinny być analizowane i rozumiane we właściwych im wymiarach /comprendre les evenements dans leur propres termes/. Oto program, który podjął i realizował. Wartości poznawcze niesie wtedy nie filozofia historii, ale wiedza wyspecjalizowana, akumulowana przez poszczególne dyscypliny naukowe i właśnie te zasoby wiedzy zostały uaktywnione w powojennych książkach Arona.

Niemniej filozoficzny fundament jest w nich stale obecny. Jego myśl - zauważa Draus - odznacza się pełną jednością podejścia analitycznego w różnorodnych domenach życia społecznego, w tym w analizie stosunków międzynarodowych, dwudziestowiecznej dyplomacji, ideologii, stosunków klasowych. Aron nigdy nie ujął swego stanowiska w skończonym systemie intelektualnym. Jest to raczej *filozofia użytkowa*, filozofia w ruchu i zastosowaniach, widoczna przez różnorakie aplikacje, a nie usystematyzowane deklaracje.

Jego kategorie analityczne - pojmowanie, rozumienie historii poprzez ludzi i właściwe im konteksty decyzyjne, historyczny probabilizm - tworzą modelowy wzór *niedogmatyczny* z *nieograniczeniem* dziejowej otwartości. Tu właśnie filozofia spleta się z *etyką*, a styl intelektualny z politycznym. Przekonanie o ograniczoności ludzkiego poznania i niewyczerpalnym bogactwie rzeczywistości, o względności ludzkich wartości i tragicznej dialektyce bytu i powinności, nie pozwala na formułowanie ostatecznych sądów i zaleceń. *Brak kategorii* rozstrzygnięć u Arona jest korelatem jego filozoficznej postawy wobec świata, tak jak i uznanie potrzeby dialogu w sytuacji, gdy nie ma instancji rozstrzygającej, czyli gdy skazani jesteśmy na przybliżanie się do prawdy poprzez konfrontację ocen i punktów widzenia. Dlatego Aron, jak zobaczymy wkrótce, programowo odrzuca historyczny mesjanizm, w imię którego XX wiek popełnił tyle zbrodni i dlatego nie ufa ideologiom jako skończonym systemom objaśniania rzeczywistości.

To właśnie było do udowodnienia: z dowolnego punktu spuścizny Arona wychodząc, trafiamy w końcu do filozofii historii; to był trwały myślowy fundament.

OPIUM INTELEKTUALISTÓW

Wskazałem intelektualne źródła odporności Arona na ideologiczne zawroty głowy. Jest to zarazem punkt wyjścia głośnej Aronowskiej analizy karykaturalnych form świadomości historycznej, które określał zbiorczo mianem "bałwochwalstwa historii" / *idolatrie de l'histoire* / i uważał za główne intelektualne źródło totalitarnych ideologii. Prawdziwa zażyłość historii - pisał - przypomina nam o obowiązku tolerancji, fałszywa filozofia dziejów żywi fanatyzm.

Bałwochwalstwo historii przyjmuje dwie popularne formy: finalizmu / odczytu końca historii / lub determinizmu / odczytu jej koniecznego kierunku /. Determiniści i finaliści wspólnie "pewni, że znają z góry sekret niedokończony przygody ludzkiego gatunku, przyglądają się zamieszaniu wczorajszych i dzisiejszych wypadków z powagą sędziego, który z wysoka rozdziela pochwały i nagany".

Filozofie historii, odgadujące sens dziejów czy interpretujące ten sens w świetle przyszłego, uprzywilejowanego stanu, są zakamufLOWANymi, świeckimi odmianami teologii, rodzajem świeckiej wiary eschatologicznej. Z teologii czerpią pojęcie finalnego stanu / celu historii / oraz odróżnienie między *sacrum* i *profanum* - pierwsze to łańcuch zdarzeń prowadzących wprost do finalnego stanu, drugie to wszelkie dewiacje, zdarzenia poboczne i wykołajenia historii. Bałwochwalstwo historii, wychodząc od wizji dziejów określonych przez prawa obojętne na pragnienia czy bunty jednostek, dziwnie łatwo spleta się z prometejską ambicją kierowania historią. Oto podłoże totalitarnych ideologii.

Dziś są to zapewne stwierdzenia banalne, mówiące o przejrzystych, wielokrotnie rozpatrywanych i potwierdzanych zależnościach. Taka jest dzisiejsza perspektywa. Ale kiedy Popper i Aron demaskowali filozoficzne źródła totalitaryzmu, zanim jeszcze wielka bitwa idei rozgorzała na dobre, musieli zdobyć się na odwagę, by zaciąć wyzwanie większości.

Historyczne mitologie to nie tylko niebezpieczeństwo uświęcenia środków w imię potrzeby wspomagania odgadniętego zamiaru historii. Zawarty w nich profetyzm, będący skądinąd duszą romantycznych porywów, sposobem podtrzymania godności ducha w proteście przeciw złu doczesnego świata, absolutyzuje często ów sprzeciw w bunt totalny, bunt przeciw wszelkim lekcjom doświadczenia, skazując świat doczesny na swoistą niereczywistość - w oczekiwaniu nowej ery. Stąd też Popper jako cel stawiał sobie krytykę tych filozofii społecznych, które są odpowiedzialne za powszechne w owym czasie uprzedzenia wobec możliwości pokojowych, demokratycznych reform. Jego epokowe *The Open Society and Its Enemies* demonstruje, jak profetyzm i metafizyka historii utrudniają zastosowanie metod pragmatycznych i cząstkowych *[piecemał methods]*, spożytkowujących specjalistyczną wiedzę dla naprawy istniejącego stanu rzeczy /17/.

Podobnie Aron zwraca się przeciw tym, którzy "odrzucają z objętnością albo pogardą r o z s a d n e i z a s a d y, które wypracowali politycy, aby wyzyskać egoizm i namiętności jednostek dla dobra wspólnoty. Ze spokojem somnambulików obalają prawomocność rządzenia, równowagę sił, gwarancje dla podejrzaných i oskarżonych, całe dzieło cywilizacji politycznej z trudem wznoszone w ciągu wieków i zawsze dalekie od doskonałości /.../ Ten, kto działa w historii nie znając jej ostatniego słowa, waha się nieraz przed powzięciem decyzji, które byłyby wskazane, ale których koszt byłby zbyt wysoki" /18/.

Świeckie teologie zbudowane na historycznych mitach łudzą obietnicą przeskoczenia z porządku konieczności w porządek wolności, lekceważą ograniczenia, jakie ciążyą na wszelkiej ludzkiej myśli i wszelkim działaniu - opory i ograniczenia, które szybko odkrywa każda udana rewolucja. Polityka nie odkryła jeszcze sekretu, jak można uniknąć gwałtu. Gwałt jednak staje się stokroć bardziej niebezpieczny, jeżeli ci, co go stosują wierzą, że działają w służbie historycznej, absolutnej prawdy.

Ale czas - międzywojenne interludium - nie sprzyjał demystyfikacjom. Był to czas kryzysu gospodarczego i narastającego kryzysu międzynarodowego. Machina parlamentarna obliczona ze swej istoty na pokojową ewolucję i wewnętrzne kompromisy funkcjonowała ociężale - pisałem o złych przeczuciach, jakie to wzbudzało w Aronie wracającym z Niemiec. Frapował kontrast między paraliżem systemów demokratycznych i spektakularnym skokiem hitlerowskich Niemiec; nie odarto jeszcze zasłony fałszu z mitu radzieckiego przyspieszenia.

W przeciwieństwie do szerokich rzesz intelektualistów zachodnioeuropejskich, Aron "dotknął" faszyzmu i przejrzał komunizm, chociaż nie miał z nim kontaktu fizycznego. Mając za sobą epistemologiczną rozprawę z urojeniami rozumu historycznego, począwszy od artykułu z roku 1939, sprowadzając faszyzm i komunizm do wspólnego mianownika, rozpoczął analizę totalitaryzmu /19/. Stawiał pytanie, poprzez które dwudziestowieczni neoliberalowie usiłowali ostrzec opinię publiczną: czy demokracja parlamentarna daje się pogodzić z centralistycznym kierowaniem życiem gospodarczym? Odpowiadał "nie", ale łagodził wydzwięk tej odpowiedzi właściwym

sobie brakiem kategoryczności. Rozrachunek z totalitaryzmem kontynuował na łamach "La France Libre" w roku 1941 i wówczas właśnie wprowadził termin "ś w i e c k a r e l i g i a" /*religion seculière*, trafnie oddając relację pomiędzy doktryną komunistyczną i jej wyznawcami. "Doktryna - pisał - daje prawdziwym komunistom globalną interpretację wszechświata, budzi w nich uczucia, jakie mieli krzyżowcy wszystkich epok, ustala hierarchię wartości i określa jakie zachowanie jest dobre. Wypełnia kilka funkcji, które, gdy chodzi o duszę jednostki czy społeczeństwa, socjologia przypisuje religii".

Analiza totalitarnych ideologii i totalitarnego faktu, w tym także sytuacji w komunistycznej Polsce, nabrała pełnej głębi i ostrości w powojennych książkach Arona: *Le Grands Schisme, Les Guerres en chaîne, L'Opium des intellectuels* i *Demokratie et totalitarisme*.

Tu także rozpoczyna się opowieść o s a m o t n o ś c i Arona na tle nawiedzonego ideowo środowiska. Fenomen ten, nazwany c h o r o b ą l e w i c o w o ś c i, objawił się już przed wojną, ale bez tak silnej presji wewnątrzśrodowiskowej, jak w późnych latach czterdziestych i pięćdziesiątych.

Triumfalna retoryka lewicy, nadzwyczajna siła przyciągania partii komunistycznych w niektórych krajach Zachodu w dobie szalejącego stalinizmu - to zdumiewający fenomen, którego bez wskazania na rolę intelektualistów nie sposób wyjaśnić. Obserwując to zjawisko Józef Mackiewicz pisał: "Czasem wydaje się, że arystokrację intelektualną sprawującą dziś tak zwany 'rząd dusz', porównać by można do sprzysiężenia pewnego rodzaju snobów, traktujących przekroczenie niektórych granic światopoglądowych za równie niedopuszczalne, jak niedopuszczalne było kiedyś w sferach ekskluzywnych przekraczanie ściśle przestrzeganych form towarzyskich. Antykomunizm budzi w nich podobny odruch niesmaku, jak jedzenie ryby nożem wśród dobrze ułożonych biesiadników".

Paryska Saint-Germain-des-Prés dyktowała modę intelektualną i obowiązujący styl ideologiczny, ekskomunikowała innowierców. Porównanie z rewią mody jest o tyle uprawnione, że lewicowa skłonność miała znamienne zabarwienia: przez czas jakiś Saint-Germain-des-Prés była titoistowska, od roku 1954 Chiny Mao Tse Tung zajęły miejsce Jugosławii jako przedmiot adoracji, w sumie jednak wypełniała się formuła Sartre'a - marksizm zdawał się "nieprzekraczalnym horyzontem epoki".

Relacja Arona z tej epoki, zajmująca sporo miejsca w jego *Wspomnieniach*, utrzymana jest w spokojnym, pełnym umiaru tonie, bez śladu złośliwej satysfakcji czy urazów, jakie byłyby zrozumiałe u kogoś, kogo dotknął bolesny ostracyzm ze strony wyznawców wiary skompromitowanej wraz z upływem czasu. Niemniej ta spokojna naracja odsłania szokujący obraz ideologicznego zaślepienia, mówiąc dosadniej: politycznej głupoty i naiwności, udrapowanych w intelektualną pozę. O tyle niewybaczalnej, że pośrednio legitymizującej zbrodnie popełniane w tym czasie w Europie Wschodniej.

Portret zbiorowy, jaki kreśli Aron we *Wspomnieniach*, nie obejmuje właściwie komunistów-członków partii, którzy *ex definitione* tworzyli zdyscyplinowany szereg, oklaskujący aktualną linię Kremla. Aron portretuje ówczesny żywioł "progresywistyczny", niby wielobarwny i rozwichrzony, ale jakże stronnicy w swych politycznych sympatiach i antypatiach /20/. W Paryżu reprezentowane były podówczas różne warianty tej postawy. Przeważała skłonność do usprawiedliwiania i bagatelizowania widocznych gołym okiem zbrodni stalinizmu - przez powołanie się na wyrok Historii. Kraj

Rad niszczył to, co było już i tak "historycznie martwe". Natomiast niedostatek, zakłamanie i polityczne zniewolenie były zrozumiałym kosztem, jakim okupiono imponującą akumulację kapitału. Obywatele Kraju Rad przechodzili swoisty "czyściec" na drodze ku "pełnej prawdzie i wolności".

Postawa "rozumienia historycznych konieczności" sąsiadowała z wariantem iluzji - ślepej fascynacji radziecką statystyką wzrostu gospodarczego. Realny poziom życia w ZSRR był w roku 1952 niższy niż w roku 1928, ale nie przeszkadzało to respektowanemu ekonomście, Alfredowi Sauvy, wyliczyć i prorokować, że w połowie lat pięćdziesiątych trzeba będzie opuścić żelazną kurtynę od strony zachodniej, by skryć przed mieszkańcami Paryża i Londynu dostatek mieszkańców Moskwy i Warszawy! Lauré przepowiedział w książce *Revolution, dernière chance de la France* /!/, wydanej w roku 1954, konkretną datę gospodarczego triumfu Wschodu: miało to definitywnie nastąpić na przełomie lat 1962-63... Jeśli nawet system radziecki, z uwagi na swe niemiłe strony, nie był podsuwany jako model godny naśladowania, to w interpretacji owych zdezorientowanych ekonomistów nabierał demonicznych wymiarów: budził respekt i fascynację jako gigant gospodarczy, zadziwiający dynamiką planowanego wzrostu.

Mitom kreowanym przez "jajogłowych" wtórowała paryska bohema. Przymierze awangardy artystycznej z lewicą, zawiązane w kawiarniach i teatrach niemieckich po I wojnie światowej, odżyło w wyzwoleonym przez aliantów Paryżu. Moderna kpiła z filistra, marksistów z "burżuaja"; obiekt ataków był więc wspólny: mieszczańska hipokryzja, moralność, gusty i styl życia. Fakt gloryfikowania przez awangardę Paryża komunistycznej Rosji, gdzie bezlitośnie tępiąco wszelkie ślady artystycznego modernizmu, był wysoce paradoksalny. Aragon był zdyscyplinowanym aktywistą partyjnym; Bréton przebył długą drogę, ale jego potępienia dekadentckiej sztuki okazały się w końcu zwykłym pogłosem werdyktów kulturalnych Kremla i III Rzeszy! Trafiali się moderniści uwiedzeni przez Nową Wiarę, zdolni wykonać zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, by tworzyć nowy akademizm w atelier Paryża...

Uzupełnieniem lewicowych uwiedzeń była ostra alergia antyamerykańska. Populistyczny resentyment mógł być zrozumiały, jeśli pamiętamy, że była to niechęć - pomieszana z wdzięcznością i podziwem - w stosunku do nowego, zaatlantyckiego hegemonia i gwaranta suwerenności dumnej Francji. Zbiorowe urazy bywają irracjonalne, rządzą się własnymi prawami. Można też zrozumieć wyższość, z jaką Europejscy intelektualiści spoglądali na amerykański, trywialny wzór życia, będący przede wszystkim praktycznym osiągnięciem i efektem poszanowania prostych i skromnych idei, które wyszły z mody na Starym Kontynencie. Paryski intelektualista mógł patrzeć na to z góry. Zważywszy jednak, że strategia polityczna USA, znacząca Planem Marschalla i Sojuszem Atlantyckim, zgodna była z żywotnym interesem, ba, otwartymi pragnieniami szerokich rzesz Europejczyków, zaangażowanie się elity tych społeczeństw w dzieło potęgowania antyamerykańskich urazów i fabrykowanie iluzji zasługuje na surową ocenę. Pisze Aron: "Szary człowiek zna i urazę do zbyt potężnego sprzymierzeńca, i goręcy na widok narodowej słabości, i smutek minionej chwały, i tęsknotę do jakiegoś odmiennego świata. Obowiązkiem intelektualistów jest jednak powściągać te odruchy, wskazując dlaczego konieczna jest trwała solidarność. Zamiast wypełniać swoje zadanie przewodników, wołają oni - zwłaszcza we Francji - zdradzać swoją misję, grać na uczuciowości tłumów, dostarczając im rzekomych racji" /21/.

Zapiekła krytyka Planu Marschalla, paktu atlantyckiego, polityki niemieckiej i zaangażowania w Korei, podjudzanie, inspirowanie antyamerykańskich postaw, dyskwalifikowało elitę umysłową w roli nauczyciela opinii publicznej. Historyczna jednomyślność w sprawie Rosenbergów, przy kompletnej obojętności wobec fingowanych procesów w krajach komunistycznych, ostra krytyka "imperializmu" USA przy traktowaniu jako czegoś naturalnego sowieckiej strefy wpływów w Europie Wschodniej, może być do dziś świadectwem hipokryzji elit intelektualnych. Sartre, środowiskowy idol, nie miał wątpliwości, że Stany Zjednoczone są "kolebką nowego faszyzmu". "Uwaga - ostrzegaj - Ameryka jest chora na wściekliwość. Przetnijmy wszystkie więzy, jakie nas z nią łączą, bo w przeciwnym razie pokąsa nas wszystkich i zarazi" /22/. Zdumiewające słowa w ustach intelektualisty! Stylistyka tej wypowiedzi mówi nam wiele o ówczesnych namietnościach, o temperaturze ideowych i politycznych sporów. Ideologizując te spory, ujmując je w schemat "prawica-lewica", będący kalką schematu "postęp-reakcja", intelektualisci dolewali oliwy do ognia, deprecjonowali wartość pragmatyzmu i kompromisu, która na szczęście była mocno zakotwiczona wśród szerokiego rzesz społeczeństwa, ceniącego sobie powojenny ład i stabilizację.

Aron odważył się wetknąć kij w mrowisko, napisał pamflet zatytułowany *Opium intelektualistów* [*L'Opium des Intellectuels*]. Książka ta, skończona latem 1954 roku i wydana w roku 1955, jest, z punktu widzenia zamierzonej przeze mnie prezentacji Arona, podstawowym jego dokonaniem - integruje wątki metodologiczne i światopoglądowe z bieżącym, interwencyjnym osądem politycznym. Fenomen progresywistycznego uwiędzenia intelektualistów wzięty pod lupę razem z treścią lewicowych mitologii, zrodził refleksję nad statusem inteligencji, szczególnieymi właściwościami życia umysłowego Francji i rolą społeczną ideologii. Pisząc swą książkę Aron znał esej Miłozsa, analizujący różne warianty samozniewolenia inteligencji Wschodu, wydany w Paryżu w roku 1953 pod tytułem *La Pensée Captive*.

Przypomnę, co już powiedziałem o *Wspomnieniach*: głównym obiektem zainteresowań Arona nie byli komuniści z legitymacją partyjną. "dyskutowałem czy klóciłem się - pisze - z moimi przyjaciółmi, wierzącymi w istnienie obozów, nie będących komunistami i broniących się przed tym, by zostać antykomunistami. W gruncie rzeczy *Opium intelektualistów* stanowi w znacznym stopniu dialog z Sartrem i Merlau-Pontym, to jest z ludźmi, którzy zaczęli tak samo, jak ja, byli przepojeni taką samą myślą filozoficzną, egzystencjalizmem, i którzy przeszli przez marksizm".

Jean-Paul Sartre, wypowiadający się swobodnie zarówno w dyskursie filozoficznym, jak i w formach literackich, monopolizował nieomal wszystkie dziedziny życia umysłowego i kulturalnego Francji. "Diabelski olbrzym" - mówił Aron o tej niezwyklej postaci, zwielokrotnionej przez różnorakie wcielenia. Początkowo, po wojnie, wyborem Sartre'a była neutralność pomiędzy supermocarstwami Wschodu i Zachodu; poszukiwał własnej formuły politycznej /nieudana próba stworzenia ruchu-partii o nazwie *Rassemblement democratique revolutionnaire*/. Krytykowany przez komunistów, już wtedy zgadzał się z nimi, że "wszyscy antykomuniści to szakale" i że krytyka Kraju Rad dozwolona jest tylko z socjalistycznych i rewolucyjnych pozycji, od wewnątrz namaszczonego przez historię systemu myślenia i wartości. Kapitalizm, społeczeństwo burżuazyjne, wyklucza możliwość urzeczywistnienia prawdziwego człowieczeństwa.

Ścieżka prowadząca od formuły filozoficznej Sartre'a ku reinterpretacjom marksizmu była wąska i pokrętna. Według Arona Sartre

"zapożycza z marksizmu nie tyle profetyzm czy metodę, ile pewne prawdy ściśle filozoficzne. Te prawdy, które znajdujemy w pismach młodego Marksa, sprawdzają się głównie, jak mi się zdaje, do krytyki, jakiej poddana jest tam demokracja formalna, do analizy zjawiska alienacji i do twierdzenia, że należy jak najszybciej obalić kapitalistyczny porządek. W tej filozofii już zawarty jest właściwie profetyzm: rewolucja proletariatusy będzie w swojej istocie inna niż rewolucje przeszłości, tylko ona pozwoli uczłowieczyć społeczeństwo. Tej subtelnej odmiany profetyzmu nie obaliły wypadki ostatniego stulecia tak, jak to spotkało odmiannę bardziej przyziemną, która liczyła na koncentrację przedsiębiorstw i zubożenie mas. Pozostaje ona jednak abstrakcyjna, formalna, nieokreślona" /23/. Tak rewaloryzował marksizm Satre, który zbliżył się do Francuskiej Partii Komunistycznej w latach 1952-53.

Innej rewaloryzacji doznał marksistowski profetyzm w wyrafinowanej filozofii Merlau-Ponty'ego, który ujmował dzieje jako ruch intencjonalny, a w swoim *Humanisme et Terreur* z roku 1947 bronił tezy, iż "historia ludzkiego gatunku nie jest po prostu sumą ustawionych obok siebie faktów-decyzji i indywidualnych losów, interesów, instytucji - ale że jest w każdej chwili i w następstwie pewną całością zmierzającą ku uprzywilejowanemu stanowi, który nada wszystkim sens". Stąd tylko krok do jego głośnej formuły obiegającej środowiska intelektualne Francji: "Jeśli marksizm jest fałszywy, historia nie ma sensu". Odwrotnie niż Satre, który zbliżył się z czasem do partii komunistycznej, Merlau-Ponty czuł się coraz bardziej rozczarowany praktyką komunistyczną, a po napadzie Korei Północnej na Południową nie podporządkował się lewicowej interpretacji tych wydarzeń i wytknął marksistom dogmatyzm. Rok 1955 przyniósł zerwanie z komunistami, w następstwie zaś surową krytykę filozofa z ich strony, która *nota bene* zbiegła się w czasie z nagonką na Arona.

Znamienna jest droga, jaką przebywali filozofowie egzystencji od poczucia nicości i absurdu w objęcia marksizmu. Dowód, że właśnie na tym gruncie, w obliczu nihilistycznego wyzwania, rodzi się zapotrzebowanie i podatność na gwałtowne rozwiązanie problematyki jednostkowego i zbiorowego sensu, przybierające postać Nowej Wiary.

Aron śledzi w *Opium intelektualistów* inną, powtarzaną masowo ścieżkę prowadzącą w tym kierunku. Wtedy, gdy kapłani świeckiej religii, tacy jak Satre i Merlau-Ponty, prowadzili w objęcia lewicy rzesze młodej inteligencji francuskiej, na nieco innym poziomie, za sprawą "postępowych chrześcijan" i "księży-robotników" następowało przenikanie katolickich odłamów świata w szeregi FPK i kontrolowanych przez komunistów związków zawodowych. Przytoczone przez Arona wyjątki z broszur i książek powstałych w nurcie "postępowego chrześcijaństwa" w tych latach, to następny dowód ideologicznego zaślepienia. "Przewodnicy proletariatu mieli słuszność - czytamy tam - dowodzą tego lekcje ostatnich politycznych i społecznych wydarzeń. Plan Marschalla, zjednoczona Europa, bezrobocie, niskie płace, Wietnam, Afryka, nędza, bezdomność, gwałcenie legalności, represje...". Napisano to w roku 1954 - w epoce szybkiego wzrostu ekonomicznego Zachodu i odczuwalnej powszechnie poprawy standardu życia, kiedy właśnie pomoc amerykańska w formie Planu Marschalla potwierdzała swoją zasadność, umożliwiając znormalizowanie stosunków gospodarczych w Europie. Dogmat zaślepiął - oceny wzięto z zamkniętego i nieprzylegającego do rzeczywistości systemu interpretacji...

Poprzez egzystencjalne i postępowo-chrześcijańskie reinterpretacje marksizm odzyskiwał świeżość, był powracającym leitmotywem debaty ideologicznej. Na dolnym piętrze tej debaty operowały takie broszury, o jakich wyżej była mowa, górny rejon należał do filozofów, a najbardziej wykwintnym momentem wczesnych lat pięćdziesiątych była wymiana listów i artykułów pomiędzy Albertem Camusem, Jean-Paul Sartrem i Francisem Jeansonem na łamach "Les Temps Modernes" w roku 1952. Polemika była o tyle specyficzna, że - jak komentował Aron - starli się adwersarze, którzy wychodzili ze wspólnoty poglądów najwyższego rzędu i wzbraniali się jak jeden mąż przed niełojalnością wobec lewicy. Poza Saint-Germain-des-Prés podobna polemika byłaby prawdopodobnie mało zrozumiała; dowodziła ona korelacji pomiędzy temperaturą życia umysłowego we Francji i szczególnym statusem uzurpowanym przez intelektualistów w tym kraju.

Aron nazywa Francję "rajem intelektualistów", przeciwstawiając mu amerykańskie "piekło intelektualistów" i pragmatyzm elit umysłowych Anglii. Sztuką brytyjskich intelektualistów jest sprawozdanie konfliktów ideologicznych do kwestii technicznych, zaś *american way of life* była i jest zaprzeczeniem ideologii. "Amerykanie wierzą, że można polepszyć los własny i los ogółu, z nieufnością odnoszą się do władzy, która korumpuje, mają podskórny dystans wobec autorytetów, czyli tych, co chcą wiedzieć lepiej niż *common man*, którzy podają jakiś nowy pomysł na zbawienie". Francuscy filozofowie już w wieku osiemnastym byli intelektualistami w nowoczesnym rozumieniu tego słowa. Czerpali dochody z pióra, niezależni od Kościoła i państwa rozpowszechniali koncepcje obce katolickiej i monarchicznej Francji, żądając dla siebie pełnej swobody wypowiedzi. Ich arogancja intelektualna, pozostająca im do dziś tęsknota do uniwersalnych idei, nawyk myślenia za cały świat, wcale nie ułatwiała wtedy i nie ułatwia teraz rozwiązywania realnych problemów własnego kraju.

Wychodząc z obserwacji paryskiej Saint-Germain-des-Prés w gorącym okresie sporów ideowych, porównując ten fenomen z sytuacją w innych krajach, Aron kontynuuje refleksję nad statusem inteligencji w nowoczesnym społeczeństwie. Ten problem wyczerpuje całą trzecią część *Opium intelektualistów*, zatytułowaną *Alienacja intelektualistów*. Zdaniem Arona, silny krytycyzm wobec rzeczywistości i to krytycyzm niekonstruktywny, stanowiący niejako zawodową specjalność tej grupy, bierze się stąd, że wypowiadając surowe sądy o instytucjach swego kraju, ma ona w zwyczaju porównywać rzeczywistość raczej z ideami i wyobrażeniami, niż z istniejącymi odzisek indziej stanami rzeczywistości. Żadne ludzkie dzieło nie może wyjść obroną ręką z takiego porównania, żaden realny model społeczny nie sprosta takiej próbie. "Kultura rozpowszechniana przez uniwersytety jest optymistyczna i racjonalistyczna. Formy życia zbiorowego zdają się przypadkowe, staroświeckie, nie są wynikiem przewidującej woli czy jasnego planu..."

To właśnie i n t e l e k t u a l i s t i c i w y n a l e ż l i i d e o l o g i e ! - aktywistyczne systemy interpretacji świata, zakładające pewien porządek wartości, zalecający rewolucję lub reformy zapowiadające przewrót, którego trzeba pragnąć i który trzeba przyspieszyć. Znowu Francuzi - Comte, Saint-Simon - pierwsi rozpoczęli poszukiwanie takiej zastępczej religii, a ich rodacy do dziś zajmują miejsce w pierwszym szeregu, żądni rozwiązywać problemy całej ludzkości, przedkładając operacje na idealnych wyobrażeniach ponad studia nad funkcjonowaniem określonej gospodarki, realnego systemu politycznego.

Tylko intelektualści są zdolni wynaleźć i przy sprzyjających okolicznościach wprowadzić w obieg zastępcze dogmaty, pochodzące nie z góry Synaj, ale zaczerpnięte z gabinetów uczonych.

Komunizm jest pierwszą religią intelektualistów, której się powiodło. Nie jest pierwszą, która próbowała powodzenia. Wspomniany Comte nie odniósł sukcesu, chociaż jaśniej niż ktokolwiek określił zasady, na których powinna się wspierać konstrukcja zastępczej wiary, zaspokajającej pustkę w duszy ludzkiej powstałą po Śmierci Boga. Pozytywizm Comte'a i Nowe Chrześcijaństwo Saint-Simona nigdy i nigdzie nie przekroczyły rozmiarów sekty, nie zapłodniły ruchu społecznego, nie były katalizatorem partii politycznych.

Dopiero marksizm, przywracający stare wierzenia w formie pozornie naukowej, pociągnął umysły tęskniące do absolutnej wiary. Najistotniejszą częścią marksistowskiego dogmatu jest interpretacja historii i w tym mobilizującym etycznie pojęciu historii, zdaniem Arona, tkwi sekret powodzenia. Historia nosi w sobie zarodek nowego życia, dotychczasowa historia jest tylko prehistorią ludzkiego gatunku, który porusza się nieporadnie i po omacku, nie wiedział jak wziąć los w swoje ręce. Marksistowski profetyzm podnosi schemat ewolucji do wyżyn historii świętej, u której kresu pojawił się bezklasowe społeczeństwo i zniknie przekleństwo alienacji.

Aron, analizując treść marksizmu, rozpoznaje w nim strukturę myśli o millenium: "Marksistowski profetyzm jest /.../ zgodny ze schematem typowym dla profetyzmu judeo-chrześcijańskiego. Wszelki profetyzm potępia to, co jest, maluje obraz tego, co powinno być i będzie, wybiera jednostkę albo grupę, które mają przebyć obszar dzielący podły dzień dzisiejszy od promiennego jutra. Bezklasowe społeczeństwo, które będzie znało postęp społeczny bez politycznych rewolucji, przypomina tysiącletnie królestwo, o jakim marzyli wyznawcy millenium. Nieszczęście proletariatu stanowi dowód jego misji. Partia komunistyczna staje się Kościołem, któremu opierają się burżuje-poganie, zatykając uszy na dobrą nowinę i socjaliści-żydzi, którzy nie uznali Rewolucji, choć w ciągu wielu lat zapowiadali jej przyjście" /24/.

Socjaldemokraci wyrzekli się tej scholastyki, nie starają się pogodzić faktów z wcześniejszymi przepowiedniami ani wtkaczać nieogarniętego bogactwa świata ludzi w zamknięte formuły. I znamienne, że nie zyskiwało im to wtedy powodzenia. "Tracą ten szacunek, jakim ludzie darzą system, pewność, odsłoniętą przyszłość".

Odtwarzając myśl Arona trzeba pamiętać, że ustalał on prawdę swego czasu i że upływ lat, jakie dzieła wydanie *Opium intelektualistów* od dnia dzisiejszego, wniósł tu pewne poprawki. Głęboko prawdziwe pozostaje jednak jego stwierdzenie, mówiące że "marksizm nie jest nauką mówiącą o nędzy robotniczej, komunizm nie jest filozofią wrodzoną proletariatu, natomiast jest marksizm filozofią intelektualistów, która pociąga za sobą część proletariatu, a komunizm używa tej pseudonauki, aby osiągnąć swój własny cel: zdobycie władzy". Jesteśmy znowu na głównym tropie poszukiwań Arona: to intelektualści stworzyli m i t p r o l e t a r i a t u, obarczyli proletariata misją, do której on sam się nie poczuwa - misją klasy wybranej, która ma odkupić swoimi cierpieniami ludzkość. Robotnicy tęsknią raczej do przejścia w szeregi mieszczaństwa, naturalny dla nich jest trade-unionizm, związkowa forma obrony interesów i ta ich niewrażliwość na rzekomą "historyczną misję" głęboko rozczarowuje do nich intelektualistów, którzy w

gruncie rzeczy kochają człowieka przyszłości, abstrakcję, a wzgardzają człowiekiem konkretnym w jego zwykłym bytowaniu.

To intelektualści a nie robotnicy dali się uwieść m i t o w i r e w o l u c j i , który dziś stracił, jak się wydaje, swoją moc przyciągania, ale wtedy, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, był bardzo żywy - tyle, że na uczelniach i w literackich kawiarniach, a nie w fabrykach. Romantyzm rewolucji, a więc romantyzm wojny domowej, przetrwał znacznie dłużej niż romantyzm zwykłej wojny, który zgasł bezpowrotnie w okopach I wojny światowej. Dla intelektualisty - tłumaczy to Aron - który szuka w polityce rozrywki, przedmiotu wiary czy tematu do rozważań, reforma jest nudna, rewolucja podniecająca. Jedna jest prozaiczna, druga patetyczna, jedna uchodzi za dzieło urzędników, druga za dzieło ludu powstającego przeciw wyzyskiwaczom". Rewolucja jest progim, za którym ludzkość miała stać się panem własnych losów, rewolucja otwiera bramy królestwa wolności. Nic to, że tym progim jest gwałt i że, jak dotąd, doświadczenie odmówiło nam przykładu rewolucji, która spełniłaby w swym przebiegu i w swych skutkach proroctwo marksistów.

Mit rewolucji był "pełnym obietnic pośrednikiem pomiędzy rzeczywistością i ideałem", czyli - posługując się kategoriami Arona - kusił obietnicą "i d e a l n e g o w y z w o l e n i a" /*liberation ideelle*/. Intelektualiści zamykali oczy na "r z e c z y w i s t e w y z w o l e n i e" /*liberation réelle*/ świata pracy w Anglii czy Szwecji, czymże bowiem był niosący je prozaiczny rozsądek związków zawodowych, wobec fascynującej tajemnicy porewolucyjnego *liberation ideelle*! Jest to jeden z sekretów unii i wspólnej rewolucyjnej frazeologii lewicowych katolików i egzystencjalistów z Saint-Germain-des Prés. "Pomyślane wyzwolenie uwodzi lewicowych katolików, bo można je wyrazić w terminach zapożyczonych z filozofii chrześcijańskiej. Uwodzi egzystencjalistów, bo proletariat zdaje się ofiarowywać mistyczną wspólnotę filozofom, których do rozpacy doprowadza ich samotna świadomość. Uwodzi jednych i drugich, ponieważ jest w nim poezja nieznanego, przyszłości, absolutu" /25/.

Książka Arona była, jak powiedziałem, kijem wetkniętym w mrowisko. Oskarżając manierę intelektualną środowisk paryskich i demaskując finalistyczny historyzm jako zeświecczoną gnozę, autor *Opium intelektualistów* nie miał złudzeń co do szans rzeczowej dyskusji. Już od dłuższego czasu odbierał razy ze strony wujującej lewicy. Najdalej posunął się Etienne Gilson, nazywając Arona "amerykańskim agentem". Pamflet na intelektualistów przypieczerował status jego autora, jako uznanego "przeciwnika postępu", *propagandiste recontionnaire*. Odtwarzając we *Wspomnieniach* nagonkę, jakiej padł ofiarą, Aron czyni to z tym samym olimpijskim spokojem, z jakim relacjonował paryską "chorobę lewicowości" /26/. Czujemy jednak, że zapłacili wysoką cenę za swą niezależność. Bolesne było zerwanie przyjaźni z Sartrem, dotkliwy był środowiskowy ostracyzm - pozostało mu szczerze grono przyjaciół: z jego generacji chyba tylko André Malraux, z młodszych Jean-Claude Casanova i Francis Beurvicard. Wiele redakcji dystansowało się od jego osoby /w tym "Le Monde"/, wejście w kręgi akademickie Sorbony okazało się utrudnione...

Trwało to długo, zastanawiająco długo, zważywszy że bieg wydarzeń przynawał Aronowi rację. *Opium intelektualistów* wyprzedziło zaledwie o kilka miesięcy słynną mowę Chruszczowa /luty 1956 roku/, później był bunt robotniczy w Poznaniu i rewolta w Budapeszcie. Pomimo niewątpliwego wstrząsu, jakim były dla zachodnich

progresywidów erupcje polityczne w bloku wschodnim, lewicowy syndrom nie ustępował, podkopywanie autorytetu liberalnej demokracji trwało nadal.

Wprowadzi już na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych egzystencjalne i neoheglowskie reinterpretacje marksizmu, najwikliwiej sportretowane w *Opium intelektualistów*, wyszły z mody, ale lewica nadal zagarniała cały spadek po wielkich mitach, które kiedyś były podstawą optymizmu Zachodu: mitach postępu, rozumu, pokojowego ładu, ludowładztwa. Utopijność i intelektualna słabość programu lewicy nie odbierała mu szacunku i moralnej akceptacji. Kapitalistyczne społeczeństwo nie stwarzało szansy urzeczywistnienia prawdziwego człowieczeństwa, socjalizm bez doktryny nie był prawdziwą alternatywą, jedynie socjalizm doktrynalny i tylko Kraj Rad wskazywały drogę prowadzącą do nowego społeczeństwa. Wynaturzenia, jakie przytrafiały się na tej drodze, jakie po mowie Chrzcyszowa nie mogły być zanegowane, przyjmowano z ubolewaniem, jako wyższą, niż się dotąd domyślano, cenę lepszego przyszłości.

Pozostając w ideologicznym transie, intelektualiści nadal zdradzali swe powołanie, jakim jest służba ponadklasowym i ponadpartijnym wartościom: prawdzie, wolności, sprawiedliwości. Awangarda artystyczna dalej gloryfikowała system, który skazywałby ją na artystyczny niebyt /artyści - pisał Aron - zwykle garną się do partii jakiegokolwiek buntu, ale jeśli ta wygra, rzadko korzystają z owoców zwycięstwa/, filozofowie z kolei rozumowali tak, jak gdyby wolność twórcza, bez której zostaliby skazani na milczenie lub uległość, była dla nich bez wartości.

Zdajemy sobie sprawę, że ideologiczne tęsknoty i polityczny romantyzm Saint-Germain-des Prés odcisnęły swe piętno przede wszystkim na umysłowości młodzieży, doznającej za sprawą takich idoli, jak Sartre i później Marcuse, intelektualnego wtajemniczenia. Następne reinterpretacje marksizmu - tak było ze strukturalistyczną Althussera i Marcusem - ciągle były załączkami nowej intelektualnej mody. W roku 1967 Aron jeszcze raz wstępuje w szranki: pisze broszurę przeciw Althusserowi, zatytułowaną *D'une sainte famille a l'autre*, ale cios trafia w próżnię - ekskomunika nie została uchylona, Aron wciąż pozostawał outsiderem niegodnym polemiki! Ale był to, jak można sądzić, łabędzi śpiew rewolucjonistów Marksa, ostatnia wywołująca oddźwięk próba wskrzeszenia mitu, który doznał tylokrotnej falsyfikacji...

Spustoszenie było jednak ogromne. Objawiło się to z całą siłą w roku 1968. Jeśli coraz trudniej było wydobyć z marksizmu mity pozytywne, to dawały o sobie znać odłożone w czasie efekty antimieszkańskiej i antyliberalnej krucjaty. Traciła powaby utopia społeczna, stracił jej bezpowrotnie przykład radzieckiej praktyki, ale zrobiła swoje uparta deprecjacja rzeczywistości Zachodu, nacisk na arbitralność wartości, uniwersalizm przemocy i niesprawiedliwości - co podsycало swoisty nihilizm, żywiło ślepa kontestację. Taki był rok 1968. Aron, jako jeden z nielicznych, odważył się obnażyć na łamach "Le Figaro" destrukcyjny i jałowy charakter ówczesnych buntów, nazwał Sartre'a, Marcuse'a i Althussera "fałszywymi prorokami fałszywej rewolucji" /*faux prophets d'une fausse revolution*/. "Uważałem po prostu - wspomina - że ci studenci burzyli tradycyjni uniwersytet, nie tworząc nowego. Jednocześnie próbowali wprowadzić chaos do gospodarki francuskiej, którą odbudowało poprzednie pokolenie. W wydarzeniach maja 1968 można było odnaleźć atmosferę porywów rewolucyjnych dziewiętnastego wieku.

Raz jeszcze miało się wrażenie, że Francuzi nie potrafią przeprowadzić reform, za to od czasu do czasu umieją zrobić rewolucję".

Ale jeszcze istotniejsze od zarażenia młodzieży bogatych krajów Zachodu mitem rewolucji, było zaszczepienie tego wirusa młodej inteligencji krajów Trzeciego Świata. Komunizm, bankrutujący w Europie, zamieniony w martwą ortodoksję w bloku wschodnim, rekompensował to sobie triumfem na znacznych obszarach Południa, gdzie - grając na narodowych namiętnościach i kolonialnych urazach - zyskiwał siłę wiary, która "przenosi góry". Dostrzegł to Aron już w *Opium intelektualistów*. Komunizm - pisał - "jest pierwszym ze ściśle europejskich wyznań, któremu udało się nawrócić miliony Azjatów. Pierwszymi wiernymi byli intelektualisci. Atmosfera zachodnich uniwersytetów sprawia, że studenci przybywający ze wszystkich kontynentów są wrażliwi na marksistowsko-leninowską doktrynę, która nie jest ostatnim osiągnięciem, ale skostnieniem myśli politycznej" /27/.

Komunizm jest "gorszą wersją zachodniego posłannictwa". Zachowuje ambicję podboju natury, polepszenia losu słabszych, ale za-traca to, co było duszą kilkusetletniego awansu Zachodu: swobodę przekonań, wolność krytyki i poszukiwań oraz naturalność polemiki, możliwość wyrażania swej woli przez zwykłego obywatela. Ludy Południa są wrażliwe na nadzieję polityczną zawartą w tym posłaniu, elitom imponuje scholastyczna pewność i fanatyzm sekty. "Prawdziwe teorie nie czynią niczego rzeczą pewną, utrzymują spory pomiędzy stronami, pozwalają oczekiwać powolnego tylko postępu. Nie wyzwała to intelektualistów Azji z ich kompleksów. Sowiecka religia ma siłę i urok prorocstwa, zagrzewa do boju nieliczną grupę fanatyków, a ci z kolei mobilizują i biorą w karby masy, które raczej buntują się przeciwko doznanyemu cierpieniu, niż tęsknią do wizji jutra".

Stosunkowo niedawno - poprzez ostrzeżenia płynące z Kampuczy, Afganistanu czy Etiopii - komunistyczny podbój elit Trzeciego Świata stracił impet, ale silna ideologizacja i doktryneryzm partyjny pozostały cechami życia politycznego w wielu tamtejszych rejonach. W krajach uprzemysłowionych należy to do przeszłości. Aron pisał *Opium intelektualistów* w najgorętszym czasie sporów, totalnej polityzacji myślenia, ale miał przeczucie w y p a l a n i a s i ę i d e o l o g i i. Kończąc część książki opatrzył pytaniami: "Koniec wieku ideologii?" /*fin de l'age ideologique?*/ Był świadom, że coraz trudniej będzie układać swoje sympatie polityczne w doktrynę. Jego ryzykowna wtedy teza wywołała prawdziwą międzynarodową debatę. Po latach Aron stwierdza z satysfakcją, że się nie omylił: "zakładałem definicję ideologii jako całościowego obrazu historii powszechnej, obrazu w którym mieści się też zarys przyszłości i postulat działania na jej rzecz. Próbowałem pokazać, że ideologią *par excellence* jest marksizm; nie dorównuje mu jako substytut żadna inna ideologia i, ponieważ marksizm pozwoli traci panowanie nad umysłami, nie rysuje się na horyzoncie żaden system równie kompletny i równie kategoriyczny". Żarliwe rewolty studenckie były dowodem wypalania się ideologii. Był to bunt indywidualizmu przeciw społeczeństwu konsumpcji, *la revolte romantique contre la rationalite industrielle*, kontestacja, która nie rozwinęła sztandaru żadnej z wielkich dziewiętnastowiecznych idei nadających sens wcześniejszym ruchom masowym.

Z całej dotychczasowej prezentacji Arona powinno wynikać, że ten proces wygasania ideologicznego żaru, był nie tylko jego trafną prognozą, ale i programem żywożeń. Autor *Opium intelektualistów*

był jak najgorszego mniemania o udziale zideologizowanych przedsięwzięć w naprawianiu ładu wolności. Żeby zrobić faktyczny krok do przodu, trzeba bowiem wyrzec się schematów, zewrzeć bieguny "lewica-prawica", trzeba uznać wielość i bogactwo przyczyn i problemów, niezbędność różnorodnych akcji. Aronowska świadomość; historyczna, będąca negatywem ideologicznego obrazu świata, to trwałe odkrycie różnorodności i wielości, skrywanych przez ideologiczne uproszczenia. Stąd słynne zdanie kończące *Opium intelektualistów*, jakże wtedy obrazoburcze, ale dla nas zrozumiałe: "Życzymy sobie, aby pojawili się sceptycy, jeśli to oni potrafią ugasić fanatyzm".

DEKADENCKI ZACHOD

Koronnym przejawem Aronowskiej metody redukcji poetyki ideologii do prozy rzeczywistości, były jego studia nad przemianami współczesnego społeczeństwa. Dotykał problemów okrytych gęstą mgłą polityczno-ideowej mistyfikacji, dzisiaj już niemożliwej do utrzymania, wtedy - jak widzieliśmy - należącej do obyczaju nauk społecznych. Aron łamał ten obyczaj już na wstępie, zestawiając społeczeństwo kapitalistyczne i społeczeństwo "socjalistyczne" obok siebie, jako równoległe warianty, zamiast - jak nakazywał lewicowy kanon - zestawiać je chronologicznie, stosownie do założenia ustalającego między socjalizmem i kapitalizmem stosunek historycznego wynikania. Już ten zabieg, godzący w samo serce dogmatu o "nieuchronnym przejściu kapitalizmu w socjalizm", a ponadto uparta niezgoda na ujmowanie radzieckiego społeczeństwa w kategoriach jego własnej autointerpretacji - czyniły z Aronowskich analiz niebezpieczną herezję w oczach lewicowej krytyki.

Ten ładunek obrazoburczej komparatystyki systemowej zawiera tak zwana trylogia socjologiczna Arona, będąca wydawniczym owocem jego wykładów wygłoszonych na Sorbonie w latach 1955-58. Pierwsza książka z tego cyklu: *Dix-huit Leçons sur La Société Industrielle* wyszła w roku 1962, następną była *La Lutte des classes*, przewrotnie aplikująca marksistowski typ analizy do społeczeństw bloku wschodniego, cykl zamykała *Demokratie et totalitarisme*, wydana w roku 1965. We *Wspomnieniach* jest jeszcze wzmianka o czwartej książce, poświęconej krajom Trzeciego Świata, którą Aron przygotowywał, ale nie zdecydował się na jej publikację.

Warunkiem porównywalności obu społeczeństw było znalezienie dla nich wspólnej skali. Pojęciem-kluczem do analizy porównawczej stała się kategoria "s p o ł e c z e ń s t w a p r z e m y s ł o w e g o" /*société industrielle*/. Socjalizm i kapitalizm pokazane zostały jako dwa warianty czy podtypy społeczeństwa przemysłowego. "Nie socjalizm czy kapitalizm - pisał Aron - nie gospodarka państwowa czy wolna przedsiębiorczość, lecz gigantyczny awans technologiczny i przemysławy, jest faktem podstawowym współczesności, a jego przejawami są masowe skupiska fabryczne Detroit, Coventry, Moskwy i Szanghaju. Żadna partia, żaden naród nie może świadomie odrzucić cywilizacji przemysłowej, bowiem jest to fundament standardu życiowego każdej społeczności i fundament siły militarnej każdego państwa, określa zatem miejsce narodu wśród narodów świata".

Przypomnę - są to diagnozy sprzed ćwierćwiecza. Draus zwraca uwagę, że Aron idzie tu śladom Saint-Simona i Comte'a, eksponując ekonomiczny wymiar nowożytnych transformacji społecznych. Wydołyte na tej podstawie różnice pomiędzy społeczeństwem tradycyjnym /którego wyróżnikami było zhierarchizowanie i militarny cha-

rakter/ oraz nowożytnym /odpowiednio: demokracja, nauka i handel/. Nowe społeczeństwo wykluczało się z dwóch przełomowych procesów postępujących ze sobą w historycznym i logicznym związku: rewolucji naukowo-technicznej oraz demokracji. Od narodzin towarzyszy mu prometejska nadzieja o dwoistym obliczu: dążenie do naukowego spożytkowania sił i owoców natury oraz dążenie do ułożenia spraw społecznych stosownie do ideałów wykreowanych przez Oświecenie.

Wszystkie społeczeństwa industrialne zbudowane na zaawansowanym podziale pracy, są pluralistyczne i heterogeniczne w sensie kreowania grup o przeciwstawnych interesach. Przy czym współczesne uwarstwienie społeczne, przeanalizowane w drugiej książce omawianego cyklu, nie odpowiada schematom analitycznym marksizmu, tak jak konflikty rozdierające dziś społeczeństwo nie mają wiele wspólnego z mitologiami dziewiętnastego wieku. Stratyfikacja przebiega według trzech osi: potęgi, prestiżu i bogactwa, osi nieredukowalnych do marksistowskiego kryterium "Stosunku do środków produkcji".

Kategoria analityczna Arona, ogarniająca uprzemysłowiony Zachód i Wschód, implikuje tezę, że społeczeństwo przemysłowe może teoretycznie istnieć jako dowolna kombinacja czterech elementów: dwóch głównych sposobów zorganizowania życia ekonomicznego i dwóch odmian organizacji politycznej. Aronowska typologia rozrywa konieczne związki między tymi elementami, otwiera pytanie o możliwość połączenia bazy ekonomicznej Zachodu z organizacją polityczną Wschodu i odwrotnie. W opozycji do neoliberalów, przede wszystkim Hayeka i Misesa, autor *Opium intelektualistów* stwierdza, że "reżim hierarchii biurokratycznej i autokratycznego planowania może się zgodzić z rozwiniętym społeczeństwem przemysłowym". /29/.

Dzisiaj chciałoby się kwestionować celowość wysiłków porównawczych Arona z odwrotnej strony, niż robiła to intelektualna lewica lat sześćdziesiątych. Wtedy kamieniem obraży było analityczne równouprawnienie przeżytej formacji burżuazyjnej ze zwiastującym nową epokę, choć rodzącym się w bólach społeczeństwem "socjalistycznym". Dziś takie zestawienie obraża raczej drugą stronę, a pole obserwacji empirycznej wzbogaciło się znacznie o casus post-frankistowskiej Hiszpanii, Chile i przede wszystkim fenomen krajów nowoprzemysłowionych Azji Południowo-Wschodniej. Nowa empiria skwapliwie studiowana jest w bloku wschodnim, gdzie możliwość połączenia autorytaryzmu z efektywną gospodarką staje się paradymatem myślowym końca lat osiemdziesiątych. Brakuje natomiast jakiegokolwiek potwierdzenia empirycznego, że demokracja daje się uzgodnić z upaństwowieniem i centralnym zarządzeniem gospodarczym, co z kolei potwierdza wyrażenie ostrzeżenia neoliberalów i kompromituje jasnowidzów spod znaku lewicy. Innymi słowy, żeby móc zinterpretować sens wielkiego wysiłku porównawczego Arona, trzeba zastosować Aronowską metodę: odtworzyć kontekst czasu, który objaśnia jego intencje, rozłożenie akcentów i ostrze polemiczne.

Oto na przykład w pierwszej części trylogii znajdujemy całe bogactwo statystyk porównawczych, w tym między innymi próbę zestawienia standardu życiowego na Wschodzie i Zachodzie. Materiał jest w wielu punktach interesujący i dociekliwy, ale dzisiejszy czytelnik zapyta niechybnie, czy trzeba było aż tylu liczb i argumentów, by pokazać zreczy oczywiste. Szkoda amunicji, chciałyby się powiedzieć. Tym bardziej, że uparcie demistyfikując i demaskując Aron nie uniknął kilku powszechnych wtedy złudzeń, widocznych choćby w rozdziale traktującym o radzieckim modelu wzrostu gospodarczego. Wszystko to powraca jednak do zrozumiałych wymiarów, gdy przypominamy sobie kontekst historyczny. Wtedy wię-

cie serio absurdalnych z dzisiejszego punktu widzenia uroszczeń radzieckiej propagandy i niedorzecznych z naszej perspektywy opinii, będących jednak realną dominantą na Zachodzie, słowem podjęcie z całą powagą argumentów analitycznych i statystycznych, które dziś kwitujemy wzruszeniem ramion, warunkowało wszelką słyszalność, było warunkiem wstępnym "dialogu" z lewicą i koniecznością, jeśli się chciało osiągnąć zamierzony efekt perswazyjny. Test II wojny światowej, który poprzez zmobilizowany potencjał militarny uznawano za obowiązujący test potęgi przemysłowej, ugruntował na wiele lat prestiż gospodarczy wschodniego olbrzyma i ułatwił zadania radzieckiej propagandzie. Trzeba także uwzględnić ówczesną fascynację cybernetycznymi modelami sterowania gospodarczego w makroskali. Była to epoka "Sputników" i buńczucznych zapowiedzi Chruszczowa. I jeszcze ten element, który pochodził od egzystencjalistów i "postępowych chrześcijan": stwierdzenie pustki duchowej Zachodu, dwuznaczności moralnej kapitalizmu jako systemu degenerującego więzi międzyludzkie, instytucjonalizującego egoizm i chciwość.

Biorąc to wszystko pod uwagę, łatwiej może zrozumiemy taktykę Arona - nie broni on na przykład i tak "przegranej" od strony moralnej sprawy etosu przedsiębiorcy, lecz radzi sobie z tym problemem następująco: zagląda do wnętrza systemu sowieckiego, by stwierdzić, że egoistyczne motywy materialne i interesowność działają tam z nie mniejszą siłą - są więc w społeczeństwie przemysłowym wszechobecne. "Nie uważam - pisze - by rola motywów pieniężnych w społeczeństwie przemysłowym była w pełni pożądana. Można utyskiwać, że cywilizacja przemysłowa opanowana została żądzą zysku w tak wysokim stopniu i upatrywać w tym jej słabość w stosunku do tradycyjnych społeczności, w których poziom życia był raz na zawsze określony. Współczesne społeczeństwa są więc w pewnym sensie amoralne, jeśli przyjąć, jak nas pouczają moraliści, że bezinteresowność stanowi najistotniejszy wyróżnik prawdziwej moralności. Niemniej motyw zysku leży u podstaw funkcjonowania każdego nowoczesnego systemu przemysłowego" /30/.

Wystarczy zobaczyć, jak rehabilitują współcześnie "roztropaną interesowność" Milton Friedman /*Free to Choose*, 1980/ i Michael Novak /*The Spirit of Democratic Capitalism*, 1982/, by pojąć, że myślowo jesteśmy już w innej epoce.

Analizy porównawcze ześrodkowane wokół pojęcia *société industrielle*, będące narzędziem odczarowania Wschodu i dowartościowania Zachodu, zestarzały się w dobie mikroelektroniki i trzeba dziś sporo trudu, by przebrnąć całą trylogię socjologiczną Arona. Słowem-kłuczem używanym w dzisiejszych analizach jest już "system postindustrialny" czy "społeczeństwo informatyczne", które ma się tak do "społeczeństwa przemysłowego", jak kalifornijski "pas słońca" do kompleksu przemysłowego Chicago i Detroit w gospodarce USA. Ale analizy Arona odpowiadały na wyzwanie jego czasu, czasu postalinowskiej odwilży, pokazując, że oto społeczeństwo zwane socjalistycznym odkrywa w nieco zmienionej formie konieczności właściwe każdemu systemowi przemysłowemu i że te problemy - hasza socjologia nazwała to "wyczerpywaniem się ekstensywnych źródeł wzrostu" - będą się nasilały w miarę upływu czasu.

Komparatystyka Arona miała jeszcze jeden świadomy zamysł: polemikę z głosnymi wówczas "fazami wzrostu" Waltera Rostowa, czyli tezę o koniecznych fazach rozwojowych nowożytnej gospodarki. Typologia Arona przeczy, by "stadium dojrzałości" musiało posiadać zunifikowane oblicze i narzucać zunifikowany model życia. Znajdujemy też pogłos teorii wzrostu gospodarczego Clarka i Fou-

rośnie, przy czym szczególną czujność Arona wzbudzała teza o przydatności, a nawet o niezbędności wymuszanej ogólnie akumulacji dla przyspieszenia rozwoju - teza ciesząca się dużym wzięciem w krajach Trzeciego Świata.

Już w *Optim intelektualistów*, kiedy żelazna kurtyna była jeszcze opuszczona, przewidywał zbliżenie: "System sowiecki wyrasta z ducha jakobinów i niecierpliwości planistów. Będzie się zbliżać do demokratycznego socjalizmu w miarę jak będzie się w nim rozwijać ideologiczny sceptycyzm, czyli wtedy, kiedy obywatele obrosną w tłuszcz". Pytanie o granice tej ewolucji pozostawił wtedy otwarte, jakkolwiek, zakładając perspektywę obrastania obywateli Kraju Rađ w tłuszcz, widział rzecz nazbyt optymistycznie. Podejmując wprost problem konwergencji w kilka lat później, autor *Dix-huit leçons sur la société industrielle* odnotowuje trend "uspołecznienia gospodarki rynkowej", będący wypadkową aktów nacjonalizacji oraz rozwoju "państwa dobrobytu" - trendów równoznacznych z biurokratyzowaniem życia gospodarczego. Nie jest jednak zwolennikiem ekstrapolowania tego trendu aż do punktu zejścia się uspołecznionego rynku ze zliberalizowanym modelem gospodarki planowej. Jeszcze później w *Democratie et totalitarisme* ryzykuje tezę, że w dobie prawdopodobnej *detente ideologique*, w miarę rozwijania wspólnych problemów zaawansowanej industrializacji, sposób życia po obu stronach żelaznej kurtyny będzie się upodabniał, chociaż wątpliwe jest, by transformacja społeczeństw wschodnich naruszyła elementy konstytuujące reżim komunistyczny: monopol wszechpartii i absolutyzm biurokratyczny.

Pytamy o to do dzisiaj, ale nie jest to już problem konwergencji czyli dwustronnego upodobnienia. W dobie "pieriastrojki" Gorbaczowa, z jednej strony, i neokonserwatywnego zwrotu na Zachodzie z drugiej strony, problem konwergencji zamienił się w problem "odkręcania" komunizmu - jednostronny proces ścigania normalności poprzez demokratyzację i uryknienie systemu, który okazał się wielkim wykołajeniem historii. Wydaje się, że w tym przypadku osławiony Aronowski brak kategoryczności wywołał trochę zamieszania. Oceniając to pod koniec życia, kiedy sytuacja była jeszcze inna - rehabilitacją rynku i przesyt etatyzmu na Zachodzie były już widoczne, natomiast marazm epoki Braźniewa, świadectwa Sołżenicyna i innych dysydentów napływających do Paryża oddalały wszelkie złudzenia zwolenników konwergencji - Aron miał powody, by przyznać: "Tak, przyznaję się do tego błędu. Błędu, ponieważ nigdy nie myślałem, że te dwa typy społeczeństwa zbiegną się we wspólnej formie, którą miał być według Duvergera socjalizm liberalny"/31/.

Problem konwergencji przestał istnieć. Książka z roku 1965 *Democratie et totalitarisme* zamyka ten rozdział i otwiera nowe pytanie o przyszłość demokracji, o żywotność demokratycznych instytucji w społeczeństwie, które jeśli nie deprecjonuje wprost, to na pewno nie docenia ich wartości. Jakie są szanse rywalizacji systemu, któremu brak wiary w siebie, z systemem totalitarnym?

Demokratyczny Zachód i totalitarny Wschód to niczym Ateny i Sparta w czasach starożytnych. Wyższość demokracji, okazana na wielu polach gospodarczych i kulturalnych, nie przesądza ani o zwycięskim dla niej wyniku rywalizacji, ani i jej wewnętrznej trwałości. Obok stałego zagrożenia zewnętrznego ze strony dążącego do hegemonii komunizmu, istnieje zagrożenie wewnętrzne: problem dekadencji i autodestrukcji Zachodu.

Demokracje mają liczne słabości, jakże znakomicie rozpropagowane przez ich krytyków wewnętrznych i zewnętrznych. Skoro jednak - w miarę opadania ideologicznych emocji - coraz powszechniej dociera prawda, że są to systemy "najmniej złe" w naszej cywilizacji, że dla demokracji nie istnieje alternatywa, to trzeba wreszcie stwierdzić jasno, iż wszelkie znane wady tego ustroju muszą być korygowane w ramach, jak nazywa to Aron, konstytucyjno-pluralistycznej całości. Najwyższy czas, by odrzucić nieziszczalne ideały: chimere pełnego ludowładztwa i skończonej równości. Trzeba pogodzić się z tym, że doskonalenie mechanizmu selekcji elit politycznych gwarantuje większy pożytek, niż kolejne próby urzeczowienia "rządów mas" i że nieodwołalny mechanizm społecznej oligarchizacji stanowi naturalną przeciwwagę demokratycznego egalitaryzmu.

Wejście w mechanizmy oligarchizacji współczesnego społeczeństwa to, zdaniem Drausa, twórczy wkład Arona w dziedzinie socjologii. Dowiódł on mianowicie, że powszechny wzrost zamożności i poziomowi wykształcenia, interpretowane dotąd jako czynniki zrównania szans w "społeczeństwie dobrobytu", stwarzają zarazem nowe formy władzy i hierarchii. Nie przeczy to jednak idei demokracji, dopóki łączy się z pluralizmem. Inaczej jest w systemach monocentrycznych: tu oligarchizacja tożsama jest z ciągłą reprodukcją "klasy rządzącej" w hierarchii władzy i bogactwa.

Machina demokratyczna uwzględnia stosowny tryb kreowania elit i stosowne ramy rywalizacji partii politycznych. Istnienie partii i prowadzona między nimi walka konkurencyjna, były od dawna słą w oku dogmatyków demokracji, którzy słusznie obwiniają ten ułomny mechanizm polityczny o grzech niestabilności i partykularyzmu, zapominając jednak, że nie ma dlań alternatywy. Już Rousseau potępiał surowo frakcyjność i wyeliminował możliwość organizowania się w partyjne stronnictwa w swym wyobrażeniu idealnej republiki. Współcześnie podobny patent na "czystość" demokracji, to jest zakaz istnienia wszelkich partii politycznych, zgłaszała Simone Weil. Aron wie, że jest to nierealne, że zorganizowana, ujęta w pewne reguły konkurencja programów partyjnych, jest prostą koniecznością w systemie konstytucyjno-pluralistycznym "odkąd zabrakło władcy namaszczonego przez Boga lub uświęconego tradycją". Zabrakło władcy prawomocnego od chwili swych urodzin i tylko z wyboru, czyli rywalizacji, mogą pochodzić rządy legalne. Jeśli jest to rywalizacja pozbawiona jasnych reguł, gra polityczna przyjmuje formy arbitralne lub gwałtowne /32/. Nie znaczy to, że gra polityczna nie może ulec udoskonaleniom, znaczy natomiast, że wszelka korekta musi uszanować zasadę wielopartyjności.

Trzeba też uszanować imperatyw dyskursu publicznego, będącego rdzeniem demokracji, chociaż wiemy z licznych doświadczeń, że ten mechanizm uzgadniania opinii osłabia niekiedy lub nawet paraliżuje zdolność reakcji państw demokratycznych w obliczu zagrożenia zewnętrznego. Cóż, demokracje, ze względu na swój tryb funkcjonowania, z natury rzeczy są systemami pokojowej współpracy /*regimes de paix*/, ciążącymi ku kompromisom. Dopuszczenie do głosu opinii publicznej oznacza notoryczną skłonność do zapoznawania konieczności militarnych / o ile alternatywą jest poprawa sytuacji materialnej/, niepopularności radykalnych rozwiązań wymagających od społeczeństwa jakiegoś poświęcenia, aprioryczny nihilizm. Ślamazarnie w obronie własnych interesów demokracje są tym mniej zdolne wesprzeć walkę o ideały demokratyczne w strefach wpływów totalitarnych /33/.

Opinie Arona są tu bliskie poglądom Waltera Lippmanna, który wraz z wpływem lat patrzył na sprawę coraz krytyczniej i wyciągał

radykalne wnioski. Zgadźli się obaj w diagnozie, że rządy opinii publicznej, z jej niechęcią do postrzegania rzeczywistości taką, jaka ona jest, ze skłonnością do zastępowania reakcji efektywnej przez reakcję werbalną, mogą rozmiąć się w momentach krytycznych z wymogami racji stanu. Demokracje "nie posiadają ani zdolności zadawania gwałtu, ani zdolności hipokryzji, potrzebnych, by prowadzić trwale i skutecznie politykę sprzeczną z ich ideałami". Zademontrował to Wietnam, a wcześniej demontaż systemu kolonialnego - wydłużyła się przez to niepomierne lista członkowska ONZ, nastąpiły przyrosty deklaratywnej suwerenności, ale czy poprawiło się coś w bilansie szczęśliwych i zamożnych narodów świata?

Widząc nieporadność demokracji w obliczu wyzwania totalitarnej, Lippmann skłonny byłby korygować mechanizmy ustrojowe, ściślej - ograniczyć i uczynić bardziej kwalifikowanym wpływ opinii publicznej, w imię wyższej racji przetrwania. Aron nie uważa, by ten cel usłwicał antydemokratyczne środki. "Nie widzę - pisał - jak można wyeliminować zorganizowaną rywalizację partii, partycypację powszechną w wyborach i debatę publiczną, bez pogwałcenia samych pryncypiów naszej cywilizacji". Takie już są i muszą pozostać systemy demokratyczne: kruche i prozaiczne, obliczone na osiągnięcie tej ilości dobra, jaką grzeszne jednostki i złożone z nich zbiorowości mogą wytworzyć w warunkach wolności.

Aron nie dramatyzuje losu społeczeństw demokratycznych jak ci, którzy ostrzegali, że są one śmiertelnie chore i przepowiadali im zagładę. Był wprawdzie świadkiem korupcji i agonii Republiki Weimarskiej, znał obsesję *civilisation de masse*, ale wiedział też, że czas nie potwierdził najgorszych obaw: systemy demokratyczne Europy i Ameryki Północnej wzmocniły się relatywnie od czasu kryzysowych lat trzydziestych, przystosowując się, poprzez rozwój funkcji opiekuńczych, do potrzeb masowego elektoratu. Autor trylogii socjologicznej odrzucał też katastroficzną tezę mówiącą, że rozwój społeczeństwa przemysłowego podkopuje nieubłagane podstawy demokracji, gdyż obarcza aparat państwowy takimi zadaniami, które przekraczają ramy i możliwości rządu demokratycznego. Obawa taka jest refleksem często spotykanych, etetycznych przesądów; żywią ją ci, którzy upatrują w aparacie państwowym *spiritus movens* gospodarczego i społecznego postępu. A przecież dynamizm i vitalność powinny tkwić wewnątrz gospodarki, pochodzić od samego społeczeństwa, państwo zaś należy postrzegać odwrotnie niż etacyści: jako agendę stabilizującą stosunki społeczne, amortyzującą szok zbyt gwałtownych przemian, minimalizującą koszty socjalne gospodarczego dynamizmu i mobilności. Wtedy owa "strukturalna" sprzeczność między gospodarką a infrastrukturą polityczną, rozsadzająca rzekomo od wewnątrz społeczeństwa demokratyczne, okazuje się przesadzona i przychylamy się do konkluzji Arona, którą - parafrazując Sartre'a - można wypowiedzieć następująco: systemy konstytucyjno-pluralistyczne są horyzontem praktycznym i myślowym naszej epoki.

Problem dekadencji i żywotności Zachodu pojawił się jeszcze raz w twórczości Arona, tym razem w wersji rozmyślnie udramatyzowanej. W roku 1977 ukazała się książka *Obrona dekadentkiej Europy /Plaidoyer pour l'Europe decadente/* - zamierzona jako głos w dialogu lewica-prawica toczącym się nadal, choć w odmiennych okolicznościach, we Francji. Odcedziwszy treści dla nas istotne od wielu /nazbyt wielu/ skrzyżowanych tam wątków bezpośrednio interwencyjnych oraz nowej amunicji wystrzelonej przeciw dogorywającemu mar-nizmowi, otrzymujemy quasi-spenglerowską medytację, której przedmiotem jest schyłek Zachodu - obiektywne i subiektywne, instytucjonalne i społeczne skłonności samobójcze zachodniej cywilizacji.

Aronowi obca jest, jak pamiętamy, myśl o historycznym fatum, nie podąża też tropem neoliberalistów, ogniskujących swą krytyczną uwagę na nadopiekuńczych skłonnościach państwa. Autor *Obrony dekadentkiej Europy* zdaje się być pogodzony z rozrostem *welfare state* jako tendencją naturalną, podyktowaną przez nacisk publiczny, fa-woryzujący po wojnie takie a nie inne programy polityczne. Długotrwała faza powojennego prosperity złagodziła obawy, że "państwo opiekuńcze" naruszy automatycznie funkcjonalność gospodarki rynkowej. Aron przyznaje, że "śledzenie z podejrzliwością napięć pomiędzy aspiracjami egalitarnymi a imperatywem liberalnym należy do kluczowych wątków w tradycji filozofii politycznej. Ale doświadczenie praktyczne nie całkiem potwierdza te obawy". Nie wynika z niego wcale, że nadzwyczaj egalitarne społeczeństwa skandy-nawskie wpadają niespostrzeżenie w pułapkę totalitaryzmu, zaś Włochy i Francja, gdzie dystrybucja dochodów jest bardziej zdywersyfikowana, a opiekuńczość państwa nie osiąga szwedzkiego pułapu, są od tego totalitarnego zagrożenia wolne; raczej odwrotnie: tu właśnie prawdopodobieństwo dojścia do władzy komunistów jest więk-sze.

Skoro nie egalitaryzm i *welfare state*, to w takim razie co wzbudza niepokój Arona? Najbardziej niepokoi go nikły stopień publicznej legitymizacji instytucji gospodarki rynkowej. Własność prywatna, werdykty rynku, obecna dystrybucja dochodów, nie cieszą się taką aprobatą i uprawomocnieniem w oczach opinii publicznej, jakie jest udziałem instytucji demokracji przedstawicielskiej. Wystarczy porównać gotowość podporządkowania się wynikom gry wyborczej z częstą odmową podporządkowania się wynikom gry rynkowej. Wychodzi to na jaw przy każdym większym bankructwie - logika rynku bywa wtedy kwestionowana. Warunkowa i utylitarna tylko legitymizacja własności prywatnej, to też za mało, jak na fundament ładu ekonomicznego. Chwiejny to fundament i niezbyt trudna zapora do pokonania dla tych, którzy chcieliby wypróbować socjalistyczną alternatywę.

Zatem nie liczne, znane nam z literatury dysfunkcjonalności instytucjonalne zachodniego społeczeństwa trapią Arona. Zagrożenia umiejscowiły się w sferze psychiki zbiorowej. Koroduje ethos obywatelski cywilizacji, która z cywilizacji "pracy i obowiązku", prometejskiej i heroiczej, przekształciła się w cywilizację "oczekiwań i roszczeń", hedonistyczną i krótkowzroczną. "Jeśli jednak moralność Zachodu jest teraz moralnością przyjemności, indywidualnego szczęścia, a nie cnót obywatelskich, przetrwanie zbiorowe staje pod znakiem zapytania. Jeżeli zanika pojęcie obowiązku obywatelskiego, jeśli Europejczycy zapomnieli, że trzeba być gotowym do walki, aby móc ocalić swe przyjemności i swoje szczęście - cóż, w takim razie Europa jest zarazem godna podziwu i znajduje się w stanie upadku".

Emfaza, jaka jest w tych słowach, nieczęsto przytrafia się w tekstach Arona. Jest w tym, jak i w zamyśle całej książki, element myślowej prowokacji, ale także świadectwo, że sędziwy autor, na gruncie wieloletnich obserwacji, wiedziony być może złymi przeczuciami, potraktował poważniej pesymistyczne wizje, niż był skłonny to czynić na gruncie swej filozofii historii. Tytuł książki - *Obrona dekadentkiej Europy* - odzwierciedla ten stan ducha. Ożywia go, z jednej strony, wiara demokracji i liberała, że system konstytucyjno-pluralistyczny reprezentuje w naszej epoce, pomimo licznych ułomności, najlepszy ze światów. Z drugiej strony, ten właśnie system doświadczła czegoś w rodzaju permanentnej wojny cywilnej (*une sorte de guerre civile permanente*): bywa ustawicznie kwe-

stionowany i deprecjonowany przez elity i jest eksploatowany niczym dary natury przez rozkapryszonych obywateli-konsumentów zorganizowanych w grupy interesu, z którymi identyfikują się oni silniej, niż z interesem całego państwa.

Filozofia przyjemności daje się uzgodnić z tradycją obywatelską tylko wtedy, gdy żywa jest wśród ludzi świadomość, że obecny stan nie jest darowany raz na zawsze, że wyróśli on z wielopokoleniowej, dobrowolnej dyscypliny obywatelskiej, opiera się na poszanowaniu zasad demokracji i respektowaniu prawideł rynku. Trzeba wiedzieć, w jakich warunkach daje się zachować szansę pogoni za szczęściem, którego tak bardzo się pożąda.

Nie ulegając katastrofizmowi Spenglera, który przepowiedział schyłek kultury Zachodu, Aron idzie tu śladami Pareto i pyta, czy nieograniczona wolność, pluralizm wiar i przekonań, hedonizm, nie zagrażają spójności i trwałości społeczeństw zachodnich, ich zdolności działania i samoobrony w kryzysie.

Przypominając niegdysiejszą popularność Spenglera, w latach siedemdziesiątych zaś entuzjastyczne i bezkrytyczne przyjęcie raportów Klubu Rzymskiego, Aron dostrzega w tym właściwy Zachodowi *s m a k a p o k a l i p t y c z n y c h w i z j i*, opanowujący na ogół społeczeństwa niepewne swej przyszłości /34/.

W samym sercu triumfującej gospodarczo i kulturowo cywilizacji, zdobywającej świat mocą swej nieodpartej atrakcyjności, tkwi niebezpieczeństwo zawału w postaci kalekiej relacji między jednostką i zbiorowością. Społeczeństwo dobrobytu i obowiązujący w nim styl polityczny, koncentrujący uwagę grup interesu na problematyce maksymalnego udziału w konsumpcji dochodu narodowego, a nie problemach jego wzrostu, reprodukuje na przestrzeni kilku pokoleń ten zwichnięty stosunek między jednostką i całością, przypominający relację wierzyciel-dłużnik, w miejsce pożądanego stosunku wzajemnych praw i zobowiązań. Cywilizacja zamknięta w swych ciasnych, bieżących sprawach jest śmiertelna, bo traci zainteresowanie przyszłością, traci rozmach, jaki bierze się z wizji i programów przekraczających horyzont naszego bytowania. Czy jednak, tak widząc sprawę, Aron nie rehabilituje pośrednio prometeizmu i potrzeby ideologii, które ciął bezlitośnie jego skalpel metodologiczny? Broń wyszczerbiona w licznych starciach z lewicową mitologią wraca do pochwy. Aron znowu kwestionuje samego siebie. Czy pragmatyzm i ostrożne zasady, *prudence* i *moderation*, wystarczą za program, który będzie spoiwem i natchnieniem zbiorowości? Nie darmo Novak dopinała się o teologię kapitalizmu, a Kristol twierdzi, że trzeba znaleźć jego wymiar transcendentny, by reguły rynku nabrały trwałego moralnego sensu. Jak bowiem wprawić w ruch myśl i energię zbiorową pod nieobecność mitu? Czy można wtedy znaleźć siły do walki z nihilistycznym lub hedonistycznym wyzwaniem? Czy może zwykłym ludziom wystarczyć *credo* filozofa, który odpiera zakusy absolutnego Rozumu, Historię redukuje do historii, nie ulega pokusom religii, słowem pragnąby "zbawić się po laicku"?

TESTAMENT POLITYCZNY RAYMONDA ARONA

Nakreślona wyżej sylwetka Arona jest niepełna, ale - mam nadzieję - jej kontury zaczęły być wyraźne. Wyraźne na tyle, na ile jest to możliwe u myśliciela programowo antydoktrynalnego, unikałającego pułapki zamkniętego systemu myślowego. Podsumowanie postawy intelektualnej autora *Wstępu do filozofii historii* i *Opium intelektualistów* złożone być musi ze zdań niekategorycznych, w jakich on sam interpretował innych i ujmował własne myśli.

Aron był sceptykiem, ostrożnym humanistą, nie popadającym w nihilizm. Nie był to więc ten typ sceptycyzmu, który zatrąwa i paraliżuje. Było to pracowite poszukiwanie konkretnych odpowiedzi, tyle że - podkreśla to Draus - poszukiwał rozwiązania współczesnych dylematów ideologicznych i politycznych w kategoriach "mniej-szego zła", a nie absolutnej wartości czy powszechnej prawdziwości. Po absoluty nie sięgał choćby z tego powodu, że był humanistą niewierzącym, co więcej, jego pisma nie zdradzają nawet szczyptę tego niepokoju metafizycznego, czy nostalgii za epoką powszechnej wiary, jaką spotykamy na przykład u Webera. Demaskował przede wszystkim fałszywe, świeckie religie, ale sceptycznie zapatrywał się również na recepturę Toynbeego: że zachodniej cywilizacji potrzebne jest, jako panaceum, kojące pojednanie z katolicką wiarą, która dała duszę tej cywilizacji. "Filozofowie historii ze szkoły A. Toynbeego - pisał we *Wspomnieniach* - twierdzą, że Europa może odzyskać swój rozmach jedynie poprzez wiarę, religię chrześcijańską, zwłaszcza katolicyzm. Oświadczam, że nie jestem w tej kwestii kompetentny. Gdybym był wierzącym, żydem lub chrześcijaninem, starałbym się upowszechniać moją wiarę, czy moją prawdę. Ponieważ jednak nie przynależę do jakiegokolwiek kościoła, pozostawiam puste miejsce dla wiary transcendentnej i skłanianiu się do wiary filozofa - wątpienia raczej, niż negacji".

Jako filozof był świadkiem tragizmu kondycji ludzkiej. Nie proponował "ucieczki do" - do Boga, do prometejskiej rewolty, do stoicyzmu. Co pozostaje? *Il faut simplement travailler* - odpowiada Aron; trzeba spokojnie pracować, ze świadomością, że wpisujemy się jako generacja w imponujące dzieło cywilizacyjne Zachodu, gdzie każda jednostka otrzymuje swoją szansę, gdzie każde pokolenie musi rozwiązywać swoje problemy w obrębie konstytucyjno-pluralistycznorynkowej całości, odsuwając od siebie pokusy ideologii i nie uciekając się do żadnej wyższej instancji, uwalniającej człowieka od odpowiedzialności. Pisze Draus: "W Arona niedogmatycznej i niekategorycznej postawie intelektualnej chodzi przede wszystkim o uznanie suwerenności ludzkiego sądenia. Każdy człowiek, niezależnie od tego, czy powołuje się na naukowe teorie, czy nie, musi wybrać i ten jego wybór odbywa się w samotności. Ani Bóg, ani filozof wyboru narzucić mu nie mogą. A każdy wybór jest ryzykiem, którego rozmiary może rozum w przybliżeniu określić, ale nie może wykluczyć" /35/. Jedynym, co kategoryczne u Arona - dodaje Jeanne Hersch - jest *imperatif categorique interrogatif*: kategoryczny imperatyw kwestionowania; on rzeczywiście, na każdym kroku, nawiedzany wątpliwościami, sprawdzał i pytał...

Stąd też rozliczne próby "zakwalifikowania" Arona są mało przekonujące. Był on, czytamy u niektórych komentatorów, kontynuatorem tradycji oświeceniowego racjonalizmu, ostatnim z *philosophes*. Pojawia się wtedy wątpliwość: racjonalizm? Tak, ale bez doktryny, bez dawnej wiary w potęgę rozumu i bez oświeceniowego optymizmu, natomiast nasycony gorzką prawdą o niusuwalnej antynomii życia społecznego i osobowości ludzkiej, o wewnętrznych pęknięciach cywilizacyjnej kondycji człowieka. Jeśli w dodatku uwzględnimy osobiste sympatie Arona, jego silną fascynację osobowością Sołżenicyna i zaledwie szacunek dla racjonalizmu Sacharowa, widzimy ile zastrzeżeń wzbudza taka kwalifikacja, czyniąca z autora *Opium intelektualistów* spadkobiercę oświeceniowego *libre-pense*.

Etykieta liberalna także nie jest wolna od zastrzeżeń. "Mówi się zawsze Raymond Aron, liberał. Czy się charakteryzuje Pański liberalizm?" - zapytał Dominique Wolton. Aron odpowiada: "Jeżeli definiuję samego siebie przez odrzucenie systemu jednopartyjnego,

dochodzę w sposób naturalny do pojęcia pluralizmu, a to właśnie pojęcie związane jest mocno z liberalizmem. Nie buduję go, jak to czynił dziewiętnastowieczny liberalizm, na abstrakcyjnych pryncypjach. Liberalizm polityczny i intelektualny próbują uzasadnić poprzez analizę nowoczesnego społeczeństwa. Już Montesquieu uzasadniał liberalizm poprzez analizę socjologiczną, podobnie Alexis de Tocqueville czy Max Weber. Powołuję się na tych trzech autorów i, studiując współczesne społeczności ekonomiczne, dochodzę do określenia zła, jakie pociąga za sobą koncentracja władzy w rękach jednej partii. Poszukuję więc warunków ekonomicznych i socjalnych, które umożliwiłyby przetrwanie pluralizmu, to jest liberalizmu zarazem politycznego i intelektualnego" /36/.

Aron potwierdza w cytowanej odpowiedzi, że sam najchętniej umiejscawia siebie na przedłużeniu linii Montesquieu-Tocqueville-Weber, w tradycji myślowej eksponującej wolność, ale i trzeźwą świadomość historyczno-metodologiczną, nakazującą dystans wobec wszelkich objawień, odkrywających ład stawiania się pod ślepymi starciami interesów - co dotyczy zarówno Chytróści Rozumu Hegla, jak i Niewidzialnej Ręki Smitha. "Dziwny to liberał - pisze Franciszek Draus - który stosuje marksistowskie narzędzia w analizie socjologicznej współczesnego społeczeństwa oraz krytykuje zawzięcie polityczne teorie Hayeka, uważanego przecież za jednego z czołowych współczesnych teoretyków liberalizmu".

O liberalnej kwalifikacji Arona rozstrzyga nie całościowa wizja, ale system wartości i ujmowanie wolności. Autor wspaniałego *Eseju o wolnościach /Essai sur les libertes/* z roku 1965 stoczył niezliczone polityczne i obronne *libertes formelles*, bliskich neoliberalnej kategorii "wolności negatywnej", "wolności od". Przekonany o primacie swobód politycznych nad prawami materialnymi, społeczno-ekonomicznymi, uparcie wytyczał granicę między obszarem prywatnego życia i publicznej władzy. Od wytyczenia i stopniowego sformalizowania tej granicy rozpoczęła się imponująca budowa nowożytnej cywilizacji przemysłowej. Niestety, dzisiejsze pokolenia nie chcą o tym pamiętać i nie znają ceny formalnych wolności. To, że jest to fundament twórczej egzystencji, gwarancja praw jednostki wobec niecierpliwości i nienasyconej ambicji władzy, dostrzega się - poniewczasie - dopiero tam, gdzie pod pretekstem zapewnienia "pełni praw i wolności", prometejskiej idei panowania nad naturą i ludzkim losem, władza rozciąga się na cały obszar życia społecznego, dławia wolność w ogóle /37/.

Obok pojęcia wolności ważny był liberalny system wartości, naprowadzający na określony wzór działania publicznego. Filozofia liberalna, z jej respektem dla pluralizmu, otwartością, z jej tendencją do empiryzmu w zakresie analizy i praktyki, przedstawia sobą styl myślenia najbardziej instruktynwny dla polityki.

Aron nie należał do gatunku myślicieli, którzy tworzą własną szkołę. "Trzeba pogodzić się z własnym losem - pisał - nie jestem przywódcą sekty". Zaważył na tym styl intelektualny oskarżany o chłód i negatywizm, zyskujący mu etykietę "demobilizatora" - burzyciela pewności, o tyle trafną, że istotnie przeważają u niego analizy sił destrukcji, ostrzeżenia przed myślowymi pułapkami, a nie propozycje ocalenia. Zaważyły też okoliczności historyczne - jego samotność nie pochodziła z wyboru, jak u Heideggera. Aron odbywał swoją drogę obok swojej generacji - generacji "świadków", dla której formującymi doświadczeniami były: triumf komunizmu i faszyzmu, II wojna światowa, podział świata i Europy. Jego biografia miała za to ciągłość, gdy biografie innych - szukających natchnienia po kolei w Moskwie, Belgradzie, Pekinie lub Hawanie -

pełna była meandrow i nieciągłości. Tyle, że spośród tych innych dobierali sobie mistrzów potencjalni uczniowie, a świadectwo Arona z wielkim trudem i niepowetowanym opóźnieniem torowało sobie drogę do serc i umysłów młodej publiczności. Opisałem czas, kiedy myśl Arona stanowiła rodzaj bieguna negatywnego dla wszystkich naprawiaczy i kontestatorów. Pisałem, że naraził się "formacji 68". Ale późniejsze dojrzwianie tej generacji było stopniowym odkrywaniem Arona - generacja doświadczająca uczucia, że historia ją omięcza, dojrzwiała do zrozumienia świadka zamętu historii, Aronowskiej obsesji jedności społeczeństwa, wynikającej z poczucia jego kruchości i śmiertelności.

"Stopniowo zrozumieliśmy - piszą Jean-Louis Missika i Dominique Wolton - że nie ma innego modelu cywilizacyjnego, niż zachodni, a ten, który się reklamuje jako lepszy, jest o wiele gorszy niż nasz własny. Wynika stąd, że trzeba działać wewnątrz systemu zachodniego, a jedyną alternatywą pozostaje kontrolowanie, czy kraje zachodnie postępują zgodnie z wartościami, na które się powołują" /38/.

Na starość przyszło więc uznanie. Nie miał wprawdzie uczniów, ale była publiczność, życzliwie czekająca, by smakować owoce jego intelektualnego mistrzostwa i dziennikarskiej wirtuozerii. Spełnił się młodzieńczy pomysł na życie znaleziony nad brzegiem Renu: zamurzony w żywiole dziejów, w dynamicznych konfiguracjach wydarzeń i prądów myślowych, Aron wykreował się na olimpijskiego sędziego epoki. "Książę prawdy" /*prince du vrai*/ - pisała o nim Jeanne Hersch, "nasz ostatni profesor higieny intelektualnej" - oceniał Claude Levi-Strauss.

Wyjątkowość Arona polegała na tym, że uczestnicząc w sprawach współczesności, czuwając nieprzerwanie nad tępem politycznym Zachodu, operował zarazem biegłe perspektywą w głąb historii i w głąb różnych dyscyplin wiedzy. Jego styl, zarazem intelektualny i moralny, był uosobieniem kultury słowa, która jest ważną składową kultury demokracji. Witalność demokracji, żywotność ducha obywatelskiego, wymaga istnienia takich, jak on, nauczycieli opinii publicznej, zapewniających komunikację pomiędzy oderwanymi elementami wiedzy, integrujących życie polityczne wokół racji stanu i fundamentalnych wartości. U Arona, jak u jego wielkich poprzedników, myślenie polityczne i społeczne tożsame jest z cnotą mądrości.

JANUSZ LEWANDOWSKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Raymond Aron urodził się w Paryżu w roku 1905 jako syn prawnika, w rodzinie, którą można określić jako *juive assimilé*. Po skończeniu liceum studiował w latach 1924-28 filozofię w Ecole Normale Supérieure, gdzie jego przyjaciółmi byli między innymi Jean-Paul Sartre i Paul Nizan. Jako student był członkiem socjalistycznego ugrupowania "Section française de l'Internationale ouvrière", później sympatyzował przez pewien czas z Leonem Blumem i jego odmianą socjalizmu. Przełomowym życiowo i intelektualnie epizodem był pobyt w Niemczech, najpierw w Kolonii /1930-31/, potem w Berlinie /1931-33/. Następne lata prężności stabilizację życiową /matężństwo, praca w liceum/ i początek twórczości: w latach 1935-37 wydał trzy książki, będące owocem spotkania z niemiecką filozofią, psychoanalizą i socjologią /*Współczesna socjologia niemiecka*, *Esaj o teorii historii we współczesnych Niemczech*, *Wstęp do filozofii historii*/. Trzecią z tych pozycji była jego dysertacja doktorską, broniąną w

marcu 1938 roku, w kilka dni po zajęciu Wiednia przez wojska Niemieckie. Rozpoczął karierę akademicką - nie zdążył jednak objąć katedry w Tuluzie, gdyż został zmobilizowany. Od września 1939 roku odbywał służbę w sekcji meteorologicznej, co nie było, jak sam przyznaje, zbyt zaszczytne. W czerwcu 1940 roku wyemigrował do Londynu, a po przemówieniu Petaina przyłączył się do gaulistów. Współredagował ich organ - "La France Libre" pisząc comiesięczne komentarze; do czasu przybycia do Anglii żony z córką używał pseudonimu Rene Avord.

Po powrocie do Francji, w roku 1945 podjął na krótko pracę w administracji państwowej, a od marca 1946 współpracę z "Combat" - odrzucił propozycję wznowienia karłery uniwersyteckiej. Ostatecznie związał się w roku 1947 z "Le Figaro", przez 30 lat pisywał regularnie dla tego pisma. Jego wybór polityczny oznaczał rosnące osamotnienie, między innymi zerwanie w roku 1947 przyjaźni z Sartrem. Publikuje głośne kszążki: *Wielka schizma* /1948/, *Opium intelektualistów* /1955/. W roku 1955, nie rezygnując z dziennikarstwa, wraca do życia akademickiego. Wykłada socjologię na Sorbonie, treść tych wykładów utrwalona została w jego "trylogii socjologicznej", obejmującej 18 wykładów o społeczeństwie przemysłowym, *Walkę klas, Demokrację i totalitaryzm*, wydane w latach 1962-66. Równoległe zainteresowania problemami strategii i geopolityki owocują takimi pracami, jak *Pokój i wojna między narodami* /1962/ i *Wielka debata* /1963/; późniejszą kontynuacją tych prac była monumentalna, dwutomowa praca *Clausewitz, czyli myślenie o wojnie* z roku 1976. W międzyczasie Aron wykłada gościnnie w USA i RFN, a jego dorobek powiększa się między innymi o *Etapy rozwoju myśli socjologicznej* /1967/ i *Ebej o wolnościach* /1965/. Na przełomie 1967 i 1968 roku opuszcza Sorbonę i przenosi się do "Ecole pratique de Haute Etudes". W roku 1969 zostaje wybrany do "College de France", gdzie prowadzi ostatni swój cykl wykładów. Dotknięty silną chorobą w roku 1977, wycofuje się z życia akademickiego, ale podtrzymuje współpracę z "L'Express". Otrzymuje coraz więcej dowodów uznania - honorowe tytuły z Oxfordu, Cambridge, Jerolimy, Chicago i Innych uniwersytetów. W roku 1977 ukazuje się jeszcze jedna istotna jego książka: *Obrona dekadentkiej Eupropy*. W tym samym roku dochodzi do pierwszego po 30 latach spotkania z Sartrem: występują wspólnie w obronie uciekinierów z Wietnamu. Raymond Aron zmarł 17 października 1983 roku.

PRZYPISY

1. R. Aron, *Widz i uczestnik. Z Raymondem Aronem rozmawiają Jean-Louis Miesika i Dominique Wolton*, Oficyna Literacka 1984, s. 47.
2. *Ibid.*, s. 25. Aron napisał wstęp do francuskiego wydania *Politik als Beruf* w roku 1959.
3. M. Weber, *Polityka jako zawód i powołanie*, NOWA 1987, s. 32. Zob. też *History, Truth, Liberty. Selected Writings of Raymond Aron*, ed. Franciszek Draus. The University of Chicago Press 1985, s. 349.
4. Rozmowa zrelacjonowana w: Raymond Aron, *Memoires I*, Julliard 1983, s. 78-79 oraz w *Widz i...*, *op. cit.*, s. 118.
5. *Memoires I*, *op. cit.*, s. 272.
6. *History, Truth...*, *op. cit.*, s. 335.
7. R. Aron, *L'editorialiste*. "Commentaire", 28-9/1985, s. 387.
8. Aron odnotowuje m.in. mylną ocenę Lippmanna w kwestii niemieckiej, *Memoires op. cit.*, s. 351-352.
9. F.M. Draus, *Raymond Aron*, "Aneks" 29-30/1983, s. 198.
10. *Memoires I*, *op. cit.*, s. 157.

11. Historyzmem nazywano oryginalnie na przełomie wieków stanowisko zakładające niepowtarzalność zjawisk historycznych i zalecające, by każdą epokę badać w świetle właściwych jej ideałów i wartości. W uskrajnionej postaci równało się to zaprzeczeniu możliwości istnienia nauk społecznych. Później K. Popper upowszechnił inny sens pojęcia "historyzm" - dla niego jest to wiara w prawa historii znajdujące wyraz w spekulatywnych systemach historiozoficznych /Hegla, Marksa, Comte'a, Spenglera i Toynbee'o/, uważanych przezeń za intelektualne źródło totalitaryzmu.
12. Polskie tłumaczenie *L'Opium des Intellectuels* zatytułowane *Koniec wieku ideologii*, Instytut Literacki 1956, s. 145.
13. J. Szacki, *Historia myśli socjologicznej*, cz. II, Warszawa 1981, s. 485 i 517-18.
14. *Koniec wieku...*, *op. cit.*, s. 199.
15. R. Aron, *Introduction à la philosophie de l'histoire*, Gallimard 1981, s. 408, 411-12, 437.
16. *Koniec wieku...*; *op. cit.*, s. 198. Ta sama treść w: *History, Truth...*, *op. cit.*, s. 41.
17. K.R. Popper, *The Open Society and Its Enemies*, Princeton 1971, s. 2-3.
18. *Koniec wieku...*, *op. cit.*, s. 163.
19. Chodzi o artykuł *L'ère des tyrannies d'Elie Halevy*, opublikowany w maju 1939 w "Revue de Métaphysique et de Morale", uzupełniony w tymże roku przez artykuł *Etats démocratiques et Etats totalitaires*. Zob. *L'éditorialiste*, *op. cit.*, s. 328.
20. *Memoires I*, *op. cit.*, s. 429 i nast.
21. *Koniec wieku...*, *op. cit.*, s. 229-30. Aron pisze: "Francuski intelektualista, który odrzuca jakąkolwiek wspólną dyplomację czy armię Zachodu, jest takim samym anachronizmem, jak polski intelektualista, który między 1919 i 1939 zazdrośnie domagał się dla swojej ojczyzny swobody dyplomatycznego manewru.
22. Artykuł Sartre'a pod tytułem *Les animaux malades de lavage* w "Liberation" z 22.06.1953 r.
23. *Koniec wieku...*, *op. cit.*, s. 67.
24. *Ibid.*, s. 270.
25. *Ibid.*, s. 96.
26. *Memoires I*, *op. cit.*, s. 448-60.
27. *Koniec wieku...*, *op. cit.*, s. 321.
28. *Widz i...*, *op. cit.*, s. 147-48, *Memoires II*, *op. cit.*, s. 577-79.
29. R. Aron, *Democratie et totalitarisme*, Gallimard 1965, s. 330.
30. R. Aron, *Die Industrielle Gesellschaft. 18 Vorlesungen*, Fischer Bücherei 1964, s. 88.
31. *Widz i...*, *op. cit.*, s. 147.
32. *Democratie et...*, *op. cit.*, s. 352.
33. D. Wolton: Co my, Europejczycy, ludzie Zachodu, możemy zrobić dla krajów Europy Wschodniej?
R. Aron: Możemy utrzymywać z nimi stosunki handlowe, możemy ofiarować im nasze błogosławieństwo, dodając zarazem: Jeśli tylko będziecie mieli kłopoty, nie liczcie na nas.
Widz i..., *op. cit.*, s. 175.

34. R. Aron, *In Defence of Decadent Europe*, Stephen Cox 1979, s. 250.
35. F.M. Draus, *op. cit.*, s. 199.
36. *Widz i...*, *op. cit.*, s. 154.
37. R. Aron, *Essai sur les libertés*, Calman-Lèvy 1965, s. 228-30.
38. *Widz i...*, *op. cit.*, s. 8-9.

Raymond Aron

KONIEC WIEKU IDEOLOGII

W chwili, kiedy senator MacCarthy odgrywa wybitną rolę w Waszyngtonie, kiedy *Les Mandarins* otrzymują nagrodę Goncourtów, a mandaryni z krwi i kości odbywają pielgrzymki do Moskwy i Pekinu, jakakolwiek wzmianka o tym, że kończy się wiek ideologii może wydać się rzeczą dziwną. Nie jesteśmy tak naiwni, żeby oczekiwać rychłego pokoju. Zdobywcy mogą się rozczarować albo mogą być zlikwidowani, ale nadal będą panować biurokraci.

Nie wykluczone, że ludzie Zachodu marzą o politycznej tolerancji, bo są zmęczeni, tak samo, jak trzy wieki temu byli zmęczeni daremny podryzaniem sobie gardeł - w imię tego samego Boga - o to, który Kościół jest prawdziwy. Zarazili jednak inne ludy wiarą w promienną przyszłość. Nigdzie w Azji czy w Afryce opatrnościowe państwo nie ofiarowało dobrodziejstw, wystarczających do przytłumienia szaleńczej nadziei. Narody Europy poprzedziły inne narody w pochodzie ku cywilizacji przemysłowej. Pierwsze też zostały dotknięte sceptycyzmem i, być może, kryje się w tym zapowiedź odległego jutra.

Spójrzmy wstecz, ku wiekom jakie upłynęły od okresu, kiedy wschodziła filozofia immanencji i nowoczesna nauka. Wszystkie ideologie, które na kilka lat czy na kilka dziesiątków lat podbijały wyobraźnię tłumów albo ludzi myślących, miały dosyć prostą budowę i dają się sprowadzić do kilku głównych pojęć.

Optymizm lewicy jest podtrzymywany przez silne uczucie. Jest to podziw dla władzy rozumu, pewność, że nauka zastosowana do przemysłu odmieni los społeczeństw i jednostek. Stare dążenie do ludzkiego braterstwa jednoczy się z wiarą w pozytywną wiedzę. Połączenie to powożuje do życia równocześnie nacjonalizm i socjalizm.

Wolność badań, zwracająca się przeciwko ortodoksji Kościoła i równość żołnierzy, posługujących się bronią palną na polach bitew, podminowały gmach tradycyjnej hierarchii. Przyszłość miała zależeć od wolnych i równych obywateli. Po burzy, która obaliła najświetniejszy gmach arystokratycznej Europy, po upadku monarchii francuskiej, rewolucyjny zapał, obudzony i przez wspaniałe zwycięstwa, i krwawe klęski, zwrócił się w dwóch kierunkach, nacjonalistycznym i socjalistycznym.

Czyż ci, co bronią ojczyzny z narażeniem życia, nie mają prawa żądać państwa, które by było ich własnością i kierownictwa, które przemawiałoby zrozumiałym językiem? Historycy, filozofowie

i powieściopisarze rozprawiając o odrębności, jaką ma każda dusza zbiorowa, czy o prawie ludów do samostanowienia, szukając natchnień w starożytności, stworzyli teorię narodu. Usprawiedliwiając narodowe popędy, albo podobne do plemiennych porywów, albo mające za cel wolność, doprowadzili je do stanu wrzenia. Szkoła powszechna i służba wojskowa już w istocie uniemożliwiały rozsądną administrację, którą uznawały różne narodowości, bo była ona obca każdej z nich.

Narodowe uczucia są jeszcze bardzo silne po obu stronach żelaznej kurtyny. W demokracjach ludowych nienawidzi się rosyjskiego panowania. Łatwo też pobudzić do gniewu Francuzów, grając na "okupacji" amerykańskiej. Występowano przeciwko Europejskiej Wspólnocie Obronnej, twierdząc, że jest ona niemal zdradą dlatego, że kilka prerogatyw suwerennego państwa miało być przekazanych ponadnarodowemu organizmowi. Komunistyczny aktywista wypełnia polecenia przychodzące z Moskwy. Sabotował on wysiłek wojenny w latach 1939 i 1940, następnie przyłączył się do Ruchu Oporu w czerwcu 1941, ale partia zyskiwała miliony zwolenników tylko w okresach, kiedy interes Francji szedł w parze z interesem Związku Sowieckiego.

Uczucie narodowe pozostaje nadal i powinno pozostawać więzią ludzkich wspólnot. Niemniej nacjonalistyczna ideologia jest w Europie Zachodniej skończona. Ideologia wymaga ułożenia w jakimś porządku faktów, wyjaśnień, przewidywań. Intelktualista, który chciałby być przede wszystkim nacjonalistą, powinienby widzieć w historii stałą walkę państw-drapieżców, albo zapowiadać pokój między narodami, które by się wzajemnie szanowały. Kombinacja rewolucyjnego nacjonalizmu i makiawelistycznej dyplomacji, tak, jak ją starał się utrzymać Maurras, nie może przetrwać w okresie, kiedy zmalała siła państw europejskich.

Rządzący powinni bronić pazurami interesów i praw kraju, jeżeli uszczuplić je mogą silni i bezwzględni sprzymierzeńcy. Czy jednak ktoś potrafi wpaść w egzaltację z powodu potęgi kraju, który niezdolny jest sam się uzbroid? W ogólnej sumie wydatków wojskowych atlantyckiej wspólnoty, amerykański budżet obrony wynosi trzy czwarte. Odosobnienie, neutralność i gra pomiędzy blokami są niekiedy możliwe, zawsze wolno ich próbować, nie mogą być jednak podnoszone do rzędu ideologii. W naszym stuleciu drugorzędny naród nie może być ramą dla ludzkiego ładu.

Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki są dumne ze swojej potęgi i zdobyczy. Ich nacjonalizm nie wyrasta jednak, w tym stopniu jak nacjonalizm europejski, z gleby, z kultury, z języka. Obywatelstwo w Rosji carskiej i sowieckiej, a również w Stanach Zjednoczonych, mają ludzie różnych ras, kolorów i języków. Przesady rasowe przeszkadzają Murzynom w osiągnięciu równości obiecanej przez konstytucję. Jedną z przyczyn, dla których Murzyni nie są wrażliwi na wezwania komunistów, jest właśnie ta obietnica. Na zewnątrz Stany Zjednoczone, z wyjątkiem krótkiego okresu w końcu ubiegłego wieku i w początku naszego, nie znały imperializmu typu europejskiego, ani nie rozszerzały swoich posiadłości w jakiejś ciągłej walce państw. Obywatelstwo oznacza tam przystosowanie do pewnego sposobu życia, znacznie mniej jest udziałem w odziedziczonej kulturze.

Związek Sowiecki utrzymał tradycję caratu, którego arystokracja wchłaniała obcoplemienne klasy kierujące. Dzięki partii komunistycznej zachowana została tam jednolita wielonarodowa elita. Obywatelstwo sowieckie ofiarowane niezliczonym narodowościom wy-

maga lojalności wobec państwa i przyjęcia ideologii, nie każe zaś wypierać się swego pochodzenia.

Ci dwaj wielcy zostali zmuszeni, przez pustkę jaka się wytworzyła na dzielących ich obszarach po drugiej wojnie światowej i przez swoją rywalizację, do utworzenia systemów ponadnarodowych, zwróconych przeciwko rywalowi. NATO znajduje się pod przemożnym wpływem Stanów Zjednoczonych. Marszałek Rokossowski jest głównodowodzącym w Warszawie, ponieważ sowccy kierownicy powątpiewają o wierności Polaków, a także dlatego, że dywizje Czerwonej Armii stacjonowane są w sercu Niemiec. Wielka przestrzeń, przedmiot marzeń teoretyków III Rzeszy, stała się rzeczywistością po obu stronach żelaznej kurtyny, ale tylko w dziedzinie wojskowej.

Niełatwo jest stosować tutaj słowo "imperium". Nie ma ani śladu atlantyckiego patriotyzmu i nie przypuszczamy, żeby sowicko-rosyjski patriotyzm był bardzo rozpowszechniony w państwach satelickich, poza komunistyczną mniejszością. Ponadnarodowy system, w teorii jednolity dzięki triumfowi wspólnej wiary, zaprzecza sobie w praktyce, izolując jedne od drugich demokracje ludowe. Nie jest o wiele łatwiej jeździć z Rumunii do Polski, niż z Polski do Francji. Moskwa zorganizowała wymianę towarów pomiędzy Chinami i Niemcami Wschodnimi, ale stale ogranicza ruch ludzki. Daje się demokracjom ludowym pozor niepodległości, zamyka się każdą z nich w jej granicach, jak gdyby państwo, potrzebne do totalnego planowania, musiało być ogrodzone i nie mogło dopuszczać nawet swoich sprzymierzeńców.

Podobnie jak panowanie ludzi innej rasy i innego języka, nierówność majątkowa zdawała się być czymś sprzecznym z duchem nowych czasów. Cuda nauki czyniły z nędzy skandal. Rozpowszechniona była pewność, że przemysł zaradzi wkrótce resztkom odwiecznej nędzy. Spierano się tylko o środki. Jedni wysuwali ideał równowagi, która miała się osiągnąć dzięki wszystkim, bez jakiegось świadomego dążenia, drudzy ideał dobrobytu, który miał być osiągnięty dzięki planowi i usunięciu wyzyskiwaczy.

Spory nadal toczą się dookoła liberalizmu i socjalizmu. Coraz jednak trudniej jest układać swoje sympatie w doktrynę. Na Zachodzie istnieje wiele socjalistycznych instytucji. Nie można spodziewać się, że publiczna własność i planowanie w jakiś wyjątkowy sposób polepszą los ludzi.

Nie zawiódił nas postęp techniczny. Prawdopodobnie uległ jeszcze przyspieszeniu w naszym stuleciu. Kto wie, może za kilka czy kilka dziesiątków lat potrafi zapobiec wszelkiemu niedostatkom. Trzeba jednak być świadomym ceny i granic. Społeczeństwa maszynowe nie mają pokojowych skłonności. Wyzwalają ludzi z niewoli, jaką jest ubóstwo i słabość, ale naginają miliony robotników do wymagań masowej produkcji i najczęściej traktują osoby ludzkie jak materiał.

Doświadczenie dwudziestego wieku nie obala ani też optymisty, który już widzi przysze braterswo stworzone dzięki dobrobytowi, ani też pesymisty, który przewiduje doskonałą tyranię, panującą nad wszystkimi sumnieniami dzięki propagandzie i narzędziom tortur. Dialog, który zaczął się, kiedy powstały pierwsze fabryki, toczy się dalej w naszych czasach. Nie nabiera on barwy ideologicznych, bo żadna z tez nie jest już związana z jedną klasą czy partią.

Ostatnia wielka ideologia zrodziła się z połączenia trzech elementów. Były to: wizja przyszłości zgodnej z naszymi życzeniami,

związek pomiędzy tą przyszłością i jedną klasą społeczną, wreszcie ufność, że po zwycięstwie klasy robotniczej przejawia się swobodnie ludzkie zalety, dzięki planowaniu i zbiorowej własności. Zaufanie do społeczno-gospodarczej techniki dzisiaj słabnie i na próżno szuka się klasy, która mogłaby z gruntu odnowić instytucje i idee.

Nadal dzisiaj powszechna teoria walki klas jest zafałszowana, gdyż szuka podobieństwa tam, gdzie go nie ma: rywalizacja pomiędzy burżuazją i proletariatem różni się zasadniczo od rywalizacji pomiędzy arystokracją i burżuazją.

Dopatrzone się prometejskiego zrywu w upadku francuskiej monarchii i krwawych dziejach Republiki, wydanej na pastwę walczących ze sobą grup oraz terroru. Już Hegel widział jak jedzie konno duch świata, który wcielił się w oficera artylerii, koronowanego przez boga wojen. Marks, później Lenin, marzyli o Jakobinach, czynnej mniejszości, która jest jak drożdże, albo jak zakon w służbie socjalistycznej rewolucji. Nie ulegało wątpliwości, że proletariat dokończy dzieła, zaczętego przez burżuazję.

Ideologowie proletariatu są mieszczanami. Burżuazja, powołując się na Montesquieu, Voltaire'a czy Jana Jakuba Rousseau, przeciwstawiała *Ancien Regime'*owi, katolickiemu obrazowi świata, swój własny pogląd na życie ludzi na ziemi i na społeczny ład. Proletariat zaś nigdy nie miał koncepcji świata przeciwstawionej tej, jaką miała burżuazja. Miał on ideologię, która wskazywała czym powinien być i co powinien robić proletariat. Wpływ historyczny tej ideologii był tym większy, im mniej liczni byli robotnicy przemysłu. Tak zwana proletariacka partia, w tych krajach, gdzie odniosła zwycięstwo, używała jako swoich wojsk przede wszystkim chłopów, a nie robotników pierwszych fabryk. Przywódcami jej byli intelektualisci, którzy nienawidzili tradycyjnej hierarchii i cierpieli z powodu poniżenia ludu.

Wartości, jakie spontanicznie ceni klasa robotnicza, nie są te same, jakie ceni burżuazja. Można sobie przeciwstawić: poczucie solidarności i żądze posiadania, udział we wspólnym życiu i oryginalność albo egoizm, dobroć tych, co nie znają pieniądza i chciwość bogatych, itp. Nikt nie potrafi zaprzeczyć temu, co jest oczywiste. Styl życia na przedmieściach robotniczych nie ma nic wspólnego ze stylem życia w wytwornych dzielnicach. Jednak reżymy zwane proletariackimi, to jest te, w których rządzi partia komunistyczna, nie zawdzięczają prawie nic kulturze ściśle robotniczej, partiom albo związkom zawodowym kierowanym przez ludzi, którzy sami do klasy robotniczej należeli.

Ludowa kultura w naszym stuleciu ginie pod ciosami, jakie zadają jej "Prawda", "France-Soir" czy "Digests". Rewolucyjny syndykalizm i związki anarchistów nie mogą się oprzeć nieświadomej koalicji i właścicieli fabryk, którzy się ich boją, i socjalistycznych a przede wszystkim komunistycznych partii, które ich nienawidzą. A te partie noszą na sobie piętno myśli i akcji intelektualistów.

W nadziei, że uda się osiągnąć cele burżuazji - podbój natury, równość ludzi - ideologowie przekazali pochodnie proletariatu. Oburzał ich kontrast pomiędzy postępem technicznym i nędzą robotników. Czemużby więc prywatna własność i chaos rynku nie miały być odpowiedzialne za ubóstwo, które naprawdę spowodowane jest przez akumulację /kapitalistyczną czy socjalistyczną/, przez niedostateczną produkcję, przez przyrost ludności? Buntując się przeciwko krzywdzie ludzie dobrego serca chcieli wierzyć, że ka-

pitalizm, zły sam w sobie, zostanie zniszczony przez swoje własne przeciwieństwa i że upośledzeni zwyciężą uprzywilejowanych. Marks dokonał genialnej syntezy, łącząc heglowską metafizykę historii, jakobińską teorię rewolucji i pesymistyczną teorię rynkowej gospodarki, rozwiniętą przez autorów angielskich. Wystarczyło zaopatrzyć marksistowską ideologię w przymiotnik "proletariacki", żeby utrzymać ciągłość pomiędzy rewolucją francuską i rosyjską. Wystarczy jednak otworzyć oczy, żeby pozbyć się złudzeń.

Ekonomia rynku i totalne planowanie są to wzory, których nie odnajdujemy w żadnej rzeczywistej gospodarce. Nie są to następujące po sobie etapy rozwoju. Nie istnieje jakiś konieczny związek pomiędzy stopniem przemysłowienia i jednym z tych wzorów. Gospodarki opóźnione zbliżają się bardziej do wzoru planowania, niż gospodarki wysoko rozwinięte. Mieszane ustroje nie są potworami niezgodnymi do życia, czy fazami na drodze do czystego typu; są one stanem zupełnie normalnym. W planowej gospodarce odkryje się większość kategorii znanych gospodarce rynkowej, które uległy tylko zmianie. W miarę jak będzie się podnosiła stopa życiowa i sowiecki obywatel zyskiwać będzie swobodę wyboru, dobrodziejstwa i trudności, jakie pociąga za sobą zachodnia obfitość towarów, pojawiają się po drugiej stronie żelaznej kurtyny.

Rewolucje dwudziestego wieku nie są proletariackie - są one obmyślane i kierowane przez intelektualistów. Obalają tradycyjną władzę niedostosowaną do wymagań wieku techniki. Prorocy wyobrażali sobie, że kapitalizm doprowadzi do wybuchu rewolucji podobnej do tej, jaka wstrząsnęła Francją w końcu osiemnastego stulecia. Nic takiego nie nastąpiło. Tam natomiast, gdzie klasy kierujące nie chciały czy nie umiały odnawiać się dostatecznie szybko, niezadowolone mieszczańskie, niecierpliwość intelektualistów, stare ambicje chłopów spowodowały wybuch.

Ani Rosja, ani Stany Zjednoczone nie przeżyły w pełni walk pomiędzy arystokracją i burżuazją. Carat pragnął zapożyczyć cywilizację techniczną, ale nie dopuszczał demokratycznych idei. Został zastąpiony przez władzę, która utożsamiała społeczeństwo z państwem za jedyną klasę uprzywilejowaną uznając administratorów.

Stany Zjednoczone zyskały świadomość, kiedy przeniknęły tam postępowe idee Europy osiemnastego wieku. Próbowaly je zastosować na ziemi dziewiczej, na glebie, którą dopiero trzeba było wydrzeć, nie Indianom skazanym na zagładę, ale lasom i burzom. Żadna arystokracja, dumna z oddanych usług, nie hamowała rozpedu rozumu i przemysłu. Religia rządziła surowości obyczajów, ale nie ortodoksji wierzeń. Urabiali obywatele w duchu konformizmu. Nie sprzymierzała się jednak z państwem, aby hamować ruch nowoczesnej myśli.

Optymistyczna myśl osiemnastego wieku nie została tam poderwana przez żadne zjawisko w rodzaju wielkiej rewolucji lub secesji proletariatu. Wojna domowa - wojna totalna, wojna wyposażenia - została ogłoszona przez historyków zwycięskiej strony jako triumf świat nie może żyć na wpuł w wolności, na wpuł w niewoli. Amerykańscy robotnicy przyjęli za dobrą monetę to, co im obiecywała idea amerykańska i Apokalipsy nie uznali za konieczną.

Bolszewicy uzbrojeni w doktrynę, która z góry skazywała ich przedsięwzięcie na niepowodzenie, stali się budowniczymi przemysłowego społeczeństwa, jakiego dotychczas nie znano. Państwo bierze na siebie podział zasobów społecznych, ono zarządza fabrykami oszczędza, inwestuje. Klasa robotnicza na Zachodzie buntowała się w dziewiętnastym wieku przeciwko właścicielom, a nie bezpo-

rednio przeciw państwu. Tam, gdzie właściciele fabryk i państwo są jednym i tym samym, bunt przeciwko właścicielom pociągnąłby za sobą wrogi stosunek do państwa. Marksistowska ideologia ofiarowała znakomite usprawiedliwienie ciężarów państwowej gospodarki: proletariusze winni być bezwarunkowo posłuszni s w o j e j w ł a s n e j woli wcielonej w partię.

Oczywiście, gdyby pozwalano na dialog, intelektualiści krzyczeli o nędzy przedmieść Leningradu i Moskwy w latach trzydziestych, tak, jak ich koledzy krzyczeli o nędzy przedmieść Manchesteru i Paryża sto lat temu. Kontrast pomiędzy wzrostem środków produkcji i rzeczywistym zwiększeniem się cierpień ludu zrodziłby utopię, zapowiadając albo postęp bez bólu, albo zbawienne katastrofy.

Zresztą jaki program mogliby sowieckiej rzeczywistości przeciwstawić rewolucjonści? Żądaliby - albo żądają - politycznych swobód, kontroli sprawowanej przez robotników, a nie powrotu do prywatnej własności środków produkcji, z wyjątkiem chyba rolnictwa. W kapitalistycznym ustroju masy mogą sobie wyobrazić, że własność publiczna usunęłaby albo złagodziłaby zło, jakie niesie ze sobą przemysł, ale nie mogą w kolektywnym ustroju oczekiwać tego samego cudu od przywrócenia własności prywatnej. Niezadowoleni marzą o powrocie do leninizmu, o naprawę proletariackim państwie, inaczej mówiąc, pragną sposobu życia i instytucji, które bliższe byłyby temu, co się urzędowo głosi.

W Stanach Zjednoczonych proletariat nie uważa się za proletariat. Organizacje robotnicze żądają i otrzymują socjalne reformy, które w Europie uchodzą za program *Welfare State* czy socjalizmu. Przywódcy mas są zadowoleni z miejsca, jakie im zapewnia dzisiejszy ustrój, a same masy nie dają ani do innego społeczeństwa, ani do innych wartości. Jednymyślność co do "prywatnej inicjatywy", konkurencji, krążenia elit, nie oznacza, że amerykańska rzeczywistość jest zgodna z tymi ideami - tak, jak obowiązkowa w Rosji nauka marksizmu-leninizmu nie oznacza, że rosyjskie społeczeństwo jest takie, jak to przedstawia ideologia urzędowa.

Tak więc, różnymi drogami, spontanicznie, czy z pomocą policji, dwa wielkie społeczeństwa usunęły warunki do ideologicznej debaty, włączyły w swoje życie robotników, narzuciły jednorodny uznanie dla zasad wspólnoty. Debata ma rozdzierające akcenty tylko w krajach drugorzędnych, którym nie całkiem odpowiada obóz, do jakiego należą. Są zbyt harde, aby uznać swoją faktyczną zależność, zbyt pyszne, aby wyznać, że odstępstwo ich własnego proletariatu jest bardziej ich porażką narodową niż wyrokiem historii. Zafascynowane przez potęgę, która rozsiewa grozę, są więźniami geografii. Ta pozwala na wyzwiska, ale nie na ucieczkę.

Jest pozornym paradoksem, że ta sama cywilizacja techniczna, rozszerzając się stopniowo na całą planetę, stwarza w naszych czasach inne problemy dla każdego narodu. Kto zapoznaje te odrębności - fałszuje świadomość polityczną naszej epoki.

Nasze ideologie - liberalna, socjalistyczna, konserwatywna, marksistowska - pochodzą ze stulecia, w którym Europa uświadamiała już sobie wielość cywilizacji, ale nie wątpiła, że niesie dobrą nowinę dla całego świata. Dzisiaj fabryki, parlamenty, szkoły powstają pod wszystkimi geograficznymi długościami, masy są w ruchu, intelektualiści obejmują władzę. Europa, która zwycięża, pada ofia-

ra swego zwycięstwa i buntu swoich niewolników. Niechętnie musi przyznać, że jej idee podbiły glob ziemski, ale nie zachowały tej formy, jaką miały w naszych akademickich sporach i w naszych debatach na forum publicznym.

Intelektualiści Wschodu, którzy są więźniami ortodoksji marksistowsko-leninowskiej, nie mają prawa uznać oczywistych faktów: przemysłowa cywilizacja ma wiele odmian, a do jakiegoś skrajnego wyboru pomiędzy nimi nie zmusza ani historia, ani rozum. Intelektualiści Zachodu często nie mogą się zdecydować na wręcz przeciwne wyznaczenie: bez swobody badań, bez prywatnego przedsiębiorstwa, bez inicjatywy kupców i przemysłowców, ta cywilizacja nigdy by, być może, nie powstała. Czy te same cnoty są niezbędne, żeby ją utrzymać, albo kontynuować? Dziwne stulecie, w którym podróż dookoła ziemi trwa czterdzieści osiem godzin, ale w którym główni aktorzy dramatu muszą, jak bohaterowie Homera, wymieniać obelgi na odległość.

Indie nie mogą obrać za wzór ani dzisiejszej Europy, ani Europy z 1810 roku. Założywszy, że dochód na głowę ludności i podział robotników pomiędzy gałęzie produkcji są w Indiach teraz takie, jak były w Europie sto pięćdziesiąt lat temu, fazy gospodarczego rozwoju nie będą podobne. Indie zapożyczają technikę zamiast ją wynajdować, biorą pomysły z labourzystowskiej Anglii, stosują wskazania współczesnej medycyny i higieny. Przyrost ludności i postęp gospodarki nie będą szły w parze ze sobą w Azji XX-go wieku, tak jak szły w parze w Europie XIX-go wieku.

Nie tylko stopień gospodarczej i demograficznej dojrzałości nadaje polityce każdego kraju odrębność. Działają tu również tradycje właściwe każdemu narodowi, każdej sferze kultury. Wszędzie w tak zwanym wolnym świecie, zgromadzenia obradują obok dymających wielkich pieców hutniczych. Przenosi się już w pierwszym etapie instytucję, która na Zachodzie dopiero koronowała demokratyczne dzieło. W Paryżu ubiegłego wieku słusznie żądano powszechnego głosowania, suwerenności parlamentu. Państwo umocniło się w ciągu stuleci monarchii, naród wykuży stulecia wspólnego życia. Klasa intelektualna, zaprawiona w zapasach słownych, pragnęła sprawować władzę. Ludzie Zachodu nie mylili się, sądząc, że ich parlamenty - kontynentalne amfiteatry czy anglosaskie prostokąty - odbędą ten sam triumfalny pochód po całej planecie co samochody czy energia elektryczna. Mylili się tylko przypisując zasięg ogólnościawoty ideologiom, które wysławiały tę instytucję.

Teoria może i powinna wyliczyć okoliczności - jak siła więzi narodowej, napięcie sporów toczonych o język, o religię, o partię, zwartość czy rozkład lokalnych wspólnot, talenty politycznej elity itd. - od których zależy w każdym kraju powodzenie parlamentarnego ustroju. Doktryny polityczne i gospodarcze mogą wypowiadać się za taką czy inną metodą, pod warunkiem jednak, że utrzymane zostaną pewne granice i że będzie się pamiętać o tym co nie jest pewne. Wolny świat popełniłby fatalny błąd, gdyby uważał, że posiada ideologię jedyną, w rodzaju marksizmu-leninizmu.

Stalinowska technika działania, pozostaje zawsze możliwa, przynajmniej w pierwszej fazie, wszędzie tam, gdzie partia, dzięki pomocy armii rosyjskiej, czy też narodowej, ujęła w swoje ręce państwo. Z fałszywej doktryny rodzi się skuteczna akcja, bo ta jest kwestią taktyki a taktykę wzbogacają doświadczenia pięćdziesięciu lat.

O błędzie doktryny świadczy odraza, jaką wywołuje u wielu ludzi takie pseudowyzwolenie. W nierosyjskiej Europie komunistyczne

reżymy nie mogłyby powstać ani się utrzymać bez pomocy Czerwonej Armii. Z upływem czasu odrębności narodowe - na które składają się i faza gospodarczego rozwoju, i tradycje - ujawniają się wewnątrz sowieckiego bloku. Rozszerzanie się komunizmu nie dowodzi, że doktryna jest prawdziwa. Podobnie podboje Mahometa nie dowodziły, że Islam jest prawdą.

Sowiecki świat nie pada ofiarą swoich błędów. To Zachód pada ofiarą swoich błędów. Rządy poprzez dyskusję, zgodę czy kompromis, są być może ideałem, ale wybory i zgromadzenia narodowe należą do dziedziny praktyki i nie jest to jedyna praktyka jaką można sobie wyobrazić. Jeżeli stosuje się ją nie troszcząc się o okoliczności, jest się narażonym na porażkę. A porażka jednej z praktyk demokratycznych nie jest trzymana w ukryciu dzięki środkom, jakie daje zorganizowany terror i zorganizowany entuzjazm. Wychodzi ona na światło dzienne i jej owocem może być despotyzm.

Żadna inteligencja nie cierpi tak nad utratą swego ogólnostanowienia jak francuska, żadna nie czepia się tak kurczowo swoich złudzeń, żadna nie zyskałaby więcej od niej, gdyby zobaczyła naprawdę problemy swego kraju.

Francja należy do niekomunistycznego świata i zmieniając obóz rozpętałaby katastrofę, której stara się za wszelką cenę uniknąć. Ta przynależność nie przeszkadza żadnym lewicowym posunięciom, czy chodzi o nacjonalizację przemysłu, czy o zmianę statusu Afryki Północnej. Anglosaskie wpływy sprzegają się z wpływami sowieckimi działając przeciwko francuskiemu protektoratowi w Tunisie i w Maroku. Geografia nie pozwala na zapożyczenie sowieckiej techniki rządzenia i na udział w władzy reprezentantów Moskwy. Jak gdyby chcąc zachować własną niemoc, francuscy intelektualniści ciągle zalecają tę niemożliwą pożyczkę i ofiarują partii komunistycznej swoją współpracę, a partia, zależnie od okoliczności, albo ją odrzuca, albo przyjmuje z niezmienną pogardą.

Stęsknieni do prawdy na miarę całego ludzkiego gatunku, czyhają na wydarzenia. Saint-Germain-des-Près było jakiś czas titoistowskie po wyklęciu Jugosławii przez Moskwę. Marszałek Tito, nie wyrzekając się komunizmu, zawarł wojskowe przymierza, analogiczne do tych jakie postępowcy narzucali państwom zachodnim. I natychmiast stracił cały powab.

Chiny Mao Tse Tung zajęły w końcu 1954 roku miejsce Jugosławii Tita. Olbrzymie, bardziej tajemnicze niż kraj bałkańskiego Dawida, one wreszcie zrealizują prawdziwy komunizm. Ponieważ nikt nie umie odczytywać znaków chrześcijańskiego pisma, a wycieczki ograniczają się do kilku miast i kilku fabryk, entuzjazmowi podróżników nie zagraża żaden kontakt z rzeczywistością. Ze zgrozą odrzuca się myśl, że można by było zapytać tych, co znają drugą stronę medalu, misjonarzy/l/i kontrrewolucjonistów. Prawdopodobnie zwycięstwo komunizmu w Chinach jest najbardziej znamiennym faktem naszego stulecia. Zniszczenie wieloosobowej rodziny, ciężki przemysł, potężna armia, silne państwo oznaczają początek nowej ery w historii Azji. Ale jaki wzór, jaką naukę może reżym Mao Tse Tung ofiarować Francji?

Wiele zadań, jakie stoją przed Francją w połowie naszego wieku, miałyby znaczenie sięgające daleko poza granice kraju: stworzyć rzeczywiste współżycie pomiędzy Francuzami i Mahometanami w Afryce, zjednoczyć narody Europy zachodniej, tak, żeby mniej zależały od amerykańskiej potęgi, nadrobić techniczne opóźnienie naszej gospodarki. Te historyczne prace byłyby zdolne obudzić trzeźwy zapał. Żadna z nich nie odmieniłaby do gruntu doli człowieka na ziemi,

żadna nie pasowałaby Francuza na żołnierza ideału, żadna nie miałaby blasku, jakim otoczone są idee metafizyczne /wolność, równość/, ani tej pozornej powszechności, co socjalizm i nacjonalizm. I dzięki żadnej nie stałibyśmy się czym innym, niż jesteśmy: małym przyłdkiem Azji. Wyznaczając naszemu krajowi właściwe miejsce na planecie, działając zgodnie ze wskazaniami nauk społecznych, moglibyśmy osiągnąć jedyną polityczną powszechność, jaka jest dostępna w naszych czasach. Nadalibyśmy maszynowej cywilizacji formę zgodną z przeszłością i dziedzictwem naszego narodu, organizowalibyśmy dobrobyt i pokój w tej strefie globu, dokąd sięga nasza siła i nasza myśl.

Na te bliskie perspektywy uczeni w piśmie zdają się być obojętni. Ma się wrażenie, że pragną odnaleźć poprzez filozofię immanencji odpowiednik wieczności, którą stracili i że szepczą: "Co to wszystko znaczy, jeżeli to nie jest uniwersalne?"

Tęsknota do uniwersalnej idei i duma narodowa leżą u źródła postawy francuskich intelektualistów. Ta postawa znajduje oddźwięk na zewnątrz i sprawia to nie tylko talent pisarski. Gdyby ludzie kultury przestali całą duszą wierzyć w prawdę dla wszystkich ludzi, czy przez to nie złożyliby dowodu, że wpadają w obojętność?

Komunizm, religia intelektualistów, zyskuje zwolenników wśród intelektualistów Azji czy Afryki. Rozsądna demokracja Zachodu wygrywa często wolne wybory, ale nie ma zwolenników, gotowych na wszystko, byle zatriumfowała sprawa.

"Ofiarując Chinom i Japonii świecką wersję naszej zachodniej cywilizacji, daliśmy im kamień, podczas kiedy żądały chleba. Natomiast Rosjanie, ofiarując im zarazem komunizm i technikę, dali im rodzaj chleba. Chleb jest czarny i, jeżeli kto chce, pełen kamieni, ale chleb. Jest to w każdym razie pokarm, który zawiera odrobinę substancji odżywczej dla życia duchowego, bez którego człowiek nie potrafi żyć"/2/.

Komunizm jest gorszą wersją zachodniego posłannictwa. Zachowuje ambicję podboju natury, polepszenia losu maluczkich, zatracca to, co było i jest duszą trwającego przez wieki przedsięwzięcia: swobodę badań, wolność kontrwersji, wolność krytyki i wyrażenia swojej woli przez obywatela. Poddaje rozwój gospodarki ścisłemu planowaniu, poddaje socjalistyczne budownictwo państwowej ortodoksji.

Czy należy powiedzieć, że komunistyczna wersja odnosi zwycięstwa dzięki swojej intelektualnej słabości? Prawdziwa teoria nie czyni niczego rzeczą pewną, utrzymuje spory pomiędzy stronami, pozwala oczekiwać powolnego tylko postępu. Nie wyzwała ona intelektualistów Azji z ich kompleksów. Świecka religia ma siłę i urok prorocत्व, zarzuca do boju nieliczną grupę fanatyków, a ci z kolei mobilizują i biorą w karby masy, które raczej buntują się przeciwko doznanyemu cierpieniu, niż tęsknią do wizji jutra.

Treść komunistycznej wiary nie różni się zbyt od treści innych ideologii, jakie cenią lewicowi intelektualiści całej planety. Ci w większości wypadków zatrzymują się na progu, bo nie chcą zgodzić się na dyscyplinę sekty. Mniejszość, przekraczająca próg, jest ożywiona wiarą, która "przenosi góry". Liberalowie są pełni wątpliwości i odczuwają niejasne wyrzuty sumienia dlatego, że znajdują się czasami w obozie zła /prawica, reakcja, feudalizm/. At-

atmosfera zachodnich uniwersytetów sprawia, że studenci, przybywający ze wszystkich kontynentów, są wrażliwi na marksistowsko-leninowską doktrynę, która nie jest ostatnim osiągnięciem, ale skostnieniem myśli postępowej.

Komunizm - jak się mówi - jest pierwszym ze ściśle europejskich wyznań, któremu udało się nawrócić miliony Azjatów. Pierwszymi wierzniymi byli intelektualiści. Nie nawróciło ich chrześcijaństwo; zwracało się ono przeciwko tradycyjnym wartościom i obyczajom, któremu przeczyło zachowanie się zdobywców. Poza tym chrześcijaństwo nie dawało się pogodzić z myślą naukową, a ta była podstawą przewagi wojskowej imperialistów. Komunizm tam nęci nie dlatego, że jest chrześcijańską herezją, ale dlatego, że zdaje się być skrajną, śmiałą formą racjonalistycznej i optymistycznej filozofii. Nadaje on jednolity wyraz wielkiej politycznej nadziei Zachodu.

Ludzie prości są wrażliwi na tę nadzieję, obojętni zaś na scholastykę. Dają się ująć w karby przez partię, mniej obchodzi ich wierność Kościołowi. Chłopi chcą własności indywidualnej, a nie kolektywnej. Robotnicy nie przypuszczają, że budownictwo socjalistyczne musi się zacząć od rozbitcia i poddania państwu związków zawodowych. Tylko prorocstwo daje komunizmowi rodzaj duchowej substancji.

Co z niej zostaje, kiedy zdobywcy, co wyruszyli na podbój jutra, stają się zarządcami państwowej gospodarki? "Ubóstwiony militarysta był gorszym widowiskiem: Aleksander Wielki byłby uważany za zwyczajnego gangstera, gdyby dokonał swoich czynów z pomocą dwóch współników, a nie całej armii, jak mu to zresztą bez ogródek powiedział tyreński pirat - według tego co nam przekazał święty Augustyn. Co powiedzieć o ubóstwionym policjancie? August na przykład stał się policjantem w dniu, w którym zlikwidował swoich kolegów gangsterów, za co jesteśmy mu wdzięczni; jeżeli jednak ktoś zażąda, żebyśmy składali dowody naszej wdzięczności ubóstwiając tego skruszonego gangstera zrobimy to bez przekonania i bez entuzjazmu"^{3/} Co możemy odczuwać w stosunku do Stalina, który zlikwidował Zinowiewa i Bucharina, a dzisiaj w stosunku do Malenkowa, który zlikwidował Berię? Czy komunizm u władzy ma jeszcze duchową substancję?

Jak długo jeszcze zapał budowniczych będzie udziałem aktywistów? Jak długo potęgą narodu będzie uważana za szczególnie złecenie boga historii, który wybrał właśnie ten, a nie inny naród? Może Chiny znajdują w tej religii mandarynów trwałą spokój. Chrześcijańska Europa go nie znajdzie. Urzędowa ortodoksja powoli zejdzie do rządu martwego rytualnego języka, albo też jedyna autentyczna wiara, ta, której nie zaspokoja żadne dobra ziemskie, zabuntuje się przeciwko świeckiemu klerykalizmowi. Ludzie może mogą żyć bez uwielbiania jakiegos boga z ducha i z prawdy. Nie potrafią żyć długo po zwycięstwie oczekując raju na ziemi.

Czy nie można przeciwstawić wierze w proletariąt nic oprócz wiary w Chrystusa? Czy Zachód, występując przeciwko sowieckiemu materializmowi, ma jakąś duchową prawdę? Strzeżmy się wciągania religii w nasze walki o potęgę, nie przypisujemy systemowi, którego bronimy, zalet, których nie posiada.

Liberalne demokracje nie reprezentują "cywilizacji chrześcijańskiej". Rozwinęły się one w społeczeństwach, których religią była chrześcijańska, w pewnym stopniu czerpały się z przekonania o absolutnej wartości, jaką ma dusza każdego człowieka. Jednak praktyki wyborcze, parlamenty i mechanizmy rynku nie są, jako takie, ani

chrześcijańskie, ani przeciwne duchowi chrześcijaństwa. Zapewne wolna gra prywatnych inicjatyw i ukryta walka pomiędzy sprzedawcą i odbiorcą byłyby nie do przyjęcia, gdyby nie wierzono, że dusza ludzka jest skażona przez upadek. Jednostka musiałaby dać wszystko z siebie dla innych, nie troszcząc się ani o zapłatę, ani o swoją korzyść. Ponieważ człowiek jest, jaki jest, Kościół, choć nigdy nie godził się na współzawodnictwo bez hamulców i na niczym nieograniczoną żądę bogactw, nie uważał za stosowne potępić instytucji gospodarczych, charakterystycznych dla cywilizacji przemysłowej. Planiści też są zmuszeni odwoływać się do żądy zarobków czy żądy zaszczytów. Żaden ustrój nie może zamykać oczu na ludzki egoizm.

Komunizm wchodzi w konflikt z chrześcijaństwem dlatego, że jest ateistyczny i totalitarny, a nie dlatego, że zarządza gospodarką. Chce sam i tylko sam, zająć się wychowaniem młodzieży. Komunistyczne państwo pozwala odprawiać mszę i udzielać sakramentów. Nie zajmuje jednak neutralnego stanowiska. Religijne wierzenia uważa za przesady, skazane na zanik z postępem socjalistycznego budownictwa. Każę hierarchii kościelnej brać udział w politycznych krucjatach. Popi, księża, biskupi, metropolita są grzesznie prośzeni o prowadzenie kampanii w obronie pokoju, o potępienie spisów Watykanu.

Nie należymy do żadnego Kościoła i nie do nas należy wskazywać drogę wierzącym. Jesteśmy jednak niepoprawnymi liberałami i jutro już podejmemy walkę z klerykalizmem, dziś jednak do nas należy walka z totalizmem, którego ofiarą padają zarówno Kościoły, jak środowiska nauki i sztuki. Występujemy nie tylko przeciwko gwałtowi zadanemu wierze, której nie podzielimy, występujemy przeciwko gwałtowi, który godzi w nas wszystkich. Państwo, jeżeli narzuca prawidłową interpretację codziennych wydarzeń, narzuca również swoją interpretację całych dziejów i wreszcie przeznaczeń człowieka. Zamierza podporządkować swojej pseudo-prawdzie wszelkie dzieła ludzkiego ducha i wszelką działalność grup. Broniąc swobody wypowiedzi, niewierzący broni swojej własnej wolności.

Co w istocie różni Zachód od sowieckiego świata, to otwarte przyznawanie się do podziałów po jednej stronie, dążność do "upolitycznienia" całego życia po drugiej. Najmniej ważna, choć wspomina się o niej najczęściej, jest wielość partii. Ta wielość przedstawia liczne niewygodę, utrzymuje w społeczeństwie atmosferę sporów, pozwala zapominać o wspólnych koniecznościach, naraża na szwank przyjaźń pomiędzy obywatelami. Utrzymuje się ją jednak jako symbol wartości nie do zastąpienia, jako środek, który ogranicza samowolę władzy, pozwala dać wyraz niezadowoleniu w sposób legalny. Jest to symbol świadczący, że państwo nie miesza się do wszystkiego, że pozostawia autonomię obywatelom, który tworzy, modli się, bada.

Ludzie na Zachodzie, zwłaszcza intelektualni, cierpią na rozproszczenie ich świata. Rozbicie na drobiny i niejasność poetyckiego języka, abstrakcja w malarstwie, pozbawiają poetów czy artystów szerokiej publiczności, odsuwają ich od ludu, dla którego, w głębi serca, chcieliby pracować. Fizycy i matematycy, dosięgający najdalszych granic wiedzy, jakie są nam dostępne, grupują się w małą republikę, która wydiera atomowi energię, ale nie potrafi wydrzeć dla siebie swobody opinii i swobody stosunków z innymi ludźmi - tej sprzeciwiają się podejrzliwi politycy, prasa

chciwa sensacji, antyintelektualni demagodzy, policjanci. Uczeń panują nad wnętrzem atomu, ale zamyka ich w niewoli strach przed szpiegostwem. Mają uczucie, że tracą kontrolę nad swoimi odkryciami z chwilą, kiedy przekazaą sekret generałom i ministrom. Ten, kto specjalizuje się, zna tylko wąską dziedzinę wiedzy. Gdyby jednak nawet znał wszystko, co odkryła nasza nauka, byłby wobec najważniejszych pytań, jakie stawia sobie człowiek równie naiwny jak dziecko, które zaczyna poznawać świat. Astronom bezbłędnie przewiduje zaćmienie słońca. Ani ekonmista, ani socjolog nie wiedzą, czy ludzkość zmierza ku atomowej Apokalipsie, czy ku trwałemu i długiemu pokojowi. Zapewne tylko ideologia daje złudne poczucie wspólnoty z ludem, brania udziału w przedsięwzięciu, którym rządzi idea i wola.

Poczucie przynależności do małej liczby wybranych, pewność, jaką daje zamknięty układ pojęć, w którym znajduje miejsce i cała historia i nasza osoba, duma, że dzięki swoim czynom łączymy jedno i przeszłość i przyszłość - oto co ożywia i podtrzymuje prawdziwego komunista. Nie zniechęca go scholastyka, nie rozczarowują go zyzaki linii. Pomimo codziennych makiawelskich praktyk zachowuje on czystość serca. Żyje cały dla sprawy i nie uznaje za ludzi swoich bliźnich poza partią.

Ten rodzaj wierności mogą wytworzyć tylko partie, które wspierając się na ideologii przedstawionej jako absolutnie prawdziwa, obwieszczają zupełne zerwanie z tym, co było. Intelektualista nie fanatyk, czy jest socjalistą, czy liberałem, czy konserwatystą czy postępowcem, jest świadomy luk swojej wiedzy. Wie, czego chciałby, nie zawsze wie, jakimi środkami to osiągnąć i z kim się sprzymierzyć.

W epokach rozkładu, kiedy miliony ludzi zostały wydarte z ich dotychczasowego środowiska, pojawiają się fanatyzmy, które bojownikiem o niepodległość narodu, czy o socjalistyczne budownictwo zaszczipiają ducha dyscypliny i poświęcenia. Trzeba podziwiać te zastępy wierzących i ich ponurą wielkość. Ich wojenne cnoty przynoszą zwycięstwo. Ale co zostanie jutro z hasła, w imię których zwyciężali? Wyższość fanatyzmu zostawmy fanatykom bez żalu i wyrzutów sumienia.

Czy krytyka fanatyzmu skłania do rozsądnej wiary czy do sceptycyzmu?

Nie przestaje kochać Boga ten, kto wyrzeka się nawracania mieczem Żydów albo pogan i kto przestaje powtarzać: "Poza Kościołem nie ma zbawienia". Czy wyrzeka się myśli o mniej niesprawiedliwym społeczeństwie i o bardziej ludzkim losie dla wszystkich ten, kto już nie ubóstwia jednej klasy, jednej techniki działania, jednego ideologicznego systemu?

Analogia ta wzbudza co prawda szereg zastrzeżeń. Samowiedza religijna wzrasta w miarę, jak coraz lepiej ktoś odróżnia zasady moralne od posłuszeństwa Kościołowi. Świeckie religie rozpiływają się w zwykłe opinie z chwilą, kiedy odrzucamy dogmat. Jednak człowiek, który nie oczekuje cudownej przemiany, ani od Rewolucji, ani od planu, nie musi z rezygnacją przyjąć tego, co nie nadaje się do usprawiedliwienia. Nie chce oddać swego serca abstrakcyjnej ludzkości, tyrańskiej partii, niedorzecznej scholastyce, bo kocha ludzi, należy do żywych wspólnot, szanuje prawdę.

Może wszystko odbędzie się inaczej. Może intelektualista zniechęci się do polityki w dniu, w którym odkryje jej granice. Taką niepewną nadzieję powinniśmy przyjąć z radością. Nie grozi nam wcale obojętność. Nie widać, żeby ludziom miało zabraknąć okazji i motywów do mordowania się nawzajem. Jeżeli tolerancja rodzi się ze zwątpienia, warto nauczać, że nie należy wierzyć we wzory i utopie, że nie należy ufać ani prorokom, co obiecują niebo, ani zwiastunom katastrof.

Życzymy światu, aby pojawili się sceptycy, jeżeli to oni potrafią ugasić fanatyzm.

RAYMOND ARON

PRZYPISY

1. F. Dufay, *L'Etoile contre la Croix*, Hongkong 1952.
2. A. Toynbee, *Le Monde de l'occident*, Paris 1953, s. 144.
3. *Ibid.*, s.182.

wywiad ze Stefanem Kisielewskim

TO WCIAŻ JESZCZE KOMUNIZM

PRZEGLĄD POLITYCZNY: *Dla Gdańska doświadczenia ostatnich miesięcy, a głównie majowego strajku, są ważne i stanowią pewną cezurę. Czy zgadza się Pan z opinią, że Polska jest w innym miejscu po tym maju, że znaczenie ostatnich strajków jest nie tylko lokalne, a zmiany w skali kraju nabraty od tego czasu bardziej dynamicznego charakteru?*

STEFAN KISIELEWSKI: Bardzo trudno odpowiedzieć na to pytanie. Rozmawiałem ostatnio z Adamem Michnikiem i obaj byliśmy zgodni co do tego, że jeżeli użyć jakiejś silniejszej presji na rząd, który udaje, że coś tam robi, wprowadza niby-reformę, to teraz jest właśnie odpowiedni moment. Rosja zajęta jest swoimi sprawami, rząd nie bardzo wie, co robić, Jaruzelski się boi - więc naciskać. I strajki na Wybrzeżu były taką próbą, ale próbą nieudaną. Niektórzy sądzą, że zagra magia miejsca. Tutaj przecież miały miejsce wydarzenia, które dwukrotnie obalały partyjną ekipę, tu jest Wałęsa. Sądono więc, że uda się po raz trzeci. Tymczasem nie. To była inna fala.

Pytałem Tadeusza Mazowieckiego: co to znaczy, że przyjeżdżasz jako mediator? A po co? Tu podlegacza trzeba by raczej. Nie wiedział, po co przyjeżdża.

Uważam, że jeżeli warto gwałtowniej naciskać na rząd, robić jakieś powiedzmy "powstanie", choć nie byłoby to żadne powstanie, to teraz jest najlepszy moment, chociaż ta majowa próba nie wypaliła. Myślę, że trzeba wymyślić jakąś nową formę nacisku, znaleźć nowy pomysł, sam się nad tym zastanawiam. Pomysłem na stworzenie takiej presji były głódówki w kościołach robione kiedyś przez KOR, niezłym pomysłem jest WiP, ruch politycznie niby nieistotny, a przecież ze sporym sukcesem. Dziś nasze społeczeństwo jest zupełnie rozbite, scyniczake, na wszystko gdzieś - więc trzeba ten nacisk organizować, ale z odpowiednim pomysłem. Nie przypuszczam, żeby po raz kolejny takie coś powiodło się na Wybrzeżu i poprzez robotników, bo to nie jest ich czas, dla klasy robotniczej jest fala schodząca. Fabryki, huty okazały się - i dziś mówią to już wszyscy - deficytowe. Kiedy ostatnio pytałem Wałęsę o stocznię, odpowiedział, że nikt nie wie, kto na niej zarabia, czy ona przynosi w ogóle komukolwiek jakiś dochód poza pracą dla ludzi. Toteż sądzę, że tym razem nie klasa robotnicza wystąpi, chociaż Michnik twierdzi, że tylko robotnicy mogą przestraszyć rząd. A na postawione pytanie nie odpowiedziałem, nie potrafię...

P.P.: *Czy Polskę tych dni nazwał by Pan jeszcze państwem totalitarnym, czy też postępująca od lat ewolucja nie uprawnia już do używania takiego określenia?*

S.K.: Jest państwem totalitarnym w pewnych dziedzinach. Na pewno w dalszym ciągu w gospodarce. I to jest całe nieszczęście, że klasa wyższych urzędników trzyma się mocno, jak dawniej, i wciąż walczy o

swoje. Przecież ostatnie zmiany w KC to są zmiany pozorne, podobnie w rządzie. Należało zwolnić Messnera, Szałajdę, ale jak zwykle zatrzymano się w pół kroku. Podobnie zmarnowano wybory do rad narodowych. Gdyby ujawniono, uwidoczniło jakieś różnice, choćby wewnątrz partii, dano jakąś nawet niepełną możliwość wyboru, toby się ludzie rzucili do wybierania. A tak... Znowu głosować na nieznanym ludzi? Mamy w Polsce totalitaryzm, który sam się rozkłada, ale wciąż w zasadzie go mamy...

P.P.: *W sferze ideologii jest on jednak chyba martwy?*

S.K.: Jeżeli cały praktycznie przemysł jest w rękach państwa, to to wciąż jest żywy komunizm. Nie wiem, czy jest to ideologia, czy stan faktyczny, ale istnieje czy wegetuje.

P.P.: *Zgodzi się Pan chyba jednak z tym, że wizja ideologiczna komunistów rozwiała się, jej wyznawców ubywa w tempie niebывałym, ideologia obumiera jednym słowem...*

S.K.: Tak, niewątpliwie, to daje się zaobserwować wyraźnie w skali całego obozu. Przykładem tego dość jaskrawym mogą być Węgry. Ale wciąż usiłuje się nadać słowu "socjalizm" możliwe szerokie znaczenie ogólne. I wtedy "socjalizm" znaczy tyle, co "dobre dla wszystkich". Ostatnim ideologiem socjalizmu jest Schaff, który wciąż usiłuje dostosować Marksa do rzeczywistości...

P.P.: *Zostawmy go więc w spokoju. Czy dostrzega Pan ewolucję ludzi władzy, szczególnie z tych ściślejszych elit?*

S.K.: Nie utrzymuję z nimi jakichś zażyłych kontaktów, ale przypuszczam, że partia ta jest tak wyjałowiona, wszyscy zdolni ludzie albo wystąpili, albo ich wyrzucono, w związku z czym ja nie bardzo widzę alternatywę dla aktualnie rządzących. Oczywiście zawsze może ujawnić się zleniacka jakiś zdolny człowiek, ja takiego jednak nie dostrzegam. Posunę się nawet do twierdzenia, że jedyną alternatywą jest Olszowski. To jest człowiek, który nie ma poglądów i dostosowuje się do każdej sytuacji. To jest cynik, ale operatywny. Potrafił nawet protestować za Gierka, napisał memoriał o złej gospodarce.

P.P.: *Ale zgodzi się Pan, że nastąpiła w obecnej ekipie zmiana myślenia ideologicznego na polityczne?*

S.K.: Tak, chyba tak. Na pewno. To znaczy jest tam taka grupka, widoczna szczególnie we Wrocławiu, Łódź...

P.P.: *Ale to jednak jest margines...*

S.K.: No, Orzechowski tam jest podobno. Uchodzi za ostatniego nosiciela wiary... Taki ośrodek ideowy może się zresztą odrodzić, jakąś ideologię muszą mieć.

P.P.: *Ale czy nie będzie ona raczej przypominała przedwojennej idei państwowotwórczej - BBWR...*

S.K.: Bardzo możliwe. Przecież Górnicki, Jaruzelski używają tego języka, kojarzą się z tym. To jest taka stara szkoła państwowego patriotyzmu. Na marginesie: Polacy nienawidzą Rosjan, ale zupełnie zanikło uczucie nienawiści do Niemców, szczególnie w młodym pokoleniu. Język niemiecki już nie brzydzi. Ostatnio - nie wiem czy słyszeliście - do Lipska na mszę przyjechał sobie zupełnie prywatnie Kohl, ludzie go

poznali, rzucili się po autografy. Polacy tego nie dostrzegają, a taki Górnicki to widzi, myśli o tym. NRD wciąż pozostaje w "bloku" stosunkowo najzdrowszym elementem, Honecker jest bardzo ambitny i tacy ludzie jak Jaruzelski czy Górnicki widzą w tym problem. Trochę są to politycy - w tych sprawach - "gomużkowskiego chowu".

P.P.: *Głosił Pan kiedyś opinię, że współczesna polska opozycja, ta, która zrodziła się ponad dziesięć lat temu, jest dzieckiem tego systemu. Czy ów pogląd pozostał aktualny?*

S.K.: Już nie. Oczywiście, kiedy przeważali tacy ludzie jak Kuroń, Modzelewski czy Geremek, byli członkowie partii, którzy zaczęli od poprawiania socjalizmu i szukania prawdziwego marksizmu, można było tak twierdzić. Pamiętacie zapewne kiedyś słynny list Kuronia i Modzelewskiego - to był podobno "trockizm". Dzisiaj tak bym się o opozycji nie wyraził. Rozmawiałem ostatnio z Geremkiem, to już zupełnie inny czas, inne poglądy, inny klimat światowy.

P.P.: *No i przede wszystkim ta najnowsza generacja opozycyjna, tworząca się po 13 grudnia, jest zupełnie wolna od marksistowskich czy szerszej socjalistycznych złudań i sentymentów...*

S.K.: To mi ostatnio mówił Wałęsa, że to już zupełnie inne pokolenie, młodzi ludzie nie mający nic wspólnego z tym ideologicznym systemem, gotowi walić bez żadnych uprzedzeń...

P.P.: *Przez czterdzieści z górą lat stara się Pan być liberałem w Polsce. Nas to interesuje szczególnie, co to znaczy być w PRL liberałem?*

S.K.: Nie, ja nuż nie jestem liberałem.

P.P.: *Wie ?!*

S.K.: Jeżeli chodzi o Polskę, to tutaj nie da się zrobić liberalizmu. Tu trzeba wziąć "za mordę" i wprowadzić wolny rynek, chociaż mówiąc to, na pewno występuję przeciw społecznym aspiracjom. Liberalizm tak, ale gospodarczy. W tej sytuacji polityczny. Panowie, do czego doprowadził liberalizm polityczny w Ameryce! Że wybrano dziecięcego Cartera na prezydenta, teraz też wybiorą Dukakisa...

P.P.: *Busha wybiorą, w śladnym wypadku Dukakisa!*

S.K.: To wcale nie jest takie pewne. A Dukakis, jak twierdzi w "Kulturze" Byrski /może przesadza/, to jest człowiek absolutnie prosowiecki. Z pewnością zaniecha tych gwiazdnych historii, przestanie straszyć, opuści trochę w Południowej Ameryce. Liberalizm polityczny, szczególnie w takim wielkim kraju, jak Ameryka, doprowadzić może do przedziwnych rzeczy... W Polsce była jedna tylko wielka sprawa. To był Piłsudski, który zawsze dobrze udawał tego, kim nie jest. Udawał romantyka, a był realistą, udawał demokratę, a nie był, udawał nawet socjalistę przez pewien czas. Ale ludzie mu wierzyli.

P.P.: *Kto i jakim sposobem mógłby przyczynić się do takiego kierunku przemian, w stronę silnej władzy, ale wolnego rynku?*

S.K.: Są siły społeczne tym zainteresowane: chłopi, drobne rzemiosło, jacyś chadacy, przy czym sądzę, że droga do wolnej gospodarki nie będzie wiodła w Polsce przez zmiany polityczne. Siłą sprawczą takiego procesu będzie nędza, warunki udzielania kredytów zachodnich. Ja tylko na to liczę. Środków politycznych nie widzę. W dodatku najwazniej-

sza siła, Kościół, nie chce sformułować, czy zdecydowanie poprzeć jakiejś liberalnej zasady.

P.P.: *Można dostrzec chyba symptomy zmiany w tej materii. Na przykład kazimierzowska karta zredagowana w KUL-owskiej serii przy udziale m.in. Stefana Kurowskiego...*

S.K.: Byłem na tym seminarium. Dobre było, ale to jest garstka ludzi. Przyjechał tam też taki polski rekin przemysłowy, milioner, co ma pięć samochodów i kilkudziesięciu robotników, z góry nas traktował, "bo wy nic nie rozumiecie", mówił. Ja go spytałem: panie, ale jak pan to robi?, a on na to, że może mi powiedzieć, ale i tak nic nie zrozumiałem. Młodzi wysunęli tam ciekawą tezę, według której po komunistycznemu myśli ten, kto sądzi, że naród żyje z produkcji. Fenicjanie nic nie produkowali, Grecy, Żydzi, Chaldejczycy, oni wozili i sprzedawali. Po co produkować? Ja mam zresztą teorię, którą wymyśliłem chodząc sobie po sopockim molo. Co to jest Polska? Polska to jest fabryka ludzi, świetnych, cudownej młodzieży, ale poza tym nic się tu nie produkuje. Ja nie wiem, co ci młodzi robią, co jedzą, gdzie się myją, cholera wie, ubrani chodzą, ale kto i jak te ubrania robi?

P.P.: *Czy dostrzega Pan szanse i sens istnienia opozycji liberalnej w Polsce?*

S.K.: Co to jest opozycja liberalna w Polsce?

P.P.: *Powiedzmy, że te polityczne elity niezależne, dla których podstawową sprawą jest wolny rynek, a więc rewolucja ekonomiczna w pierwszym rzędzie, nie polityczna...*

S.K.: Mnie jednak bardziej przekonują przykłady, powiedzmy Ataturka czy Erharda. Oni wprowadzili swoje plany w życie siłą, Erhard zablokował konta, wymienił walutę...

P.P.: *To były jednak inne warunki: okupantami byli Amerykanie, Erhard był liberałem "z urodzenia" i konsekwentnie zmierzał do urynkowienia całej gospodarki, znalazł się kapitał, no i Niemcy to nie Polacy.*

S.K.: Tak. Tu mi się przypomina takie stwierdzenie, mówiące o tym, jak Polska wyszła na II wojnie: Niemcy zabrali nam plan Marshalla, a Rosjanie niemieckie odszkodowania wojenne. Myśmy zostali z zerem.

P.P.: *W Polsce toczy się dziś dyskusja polityczna wokół dwóch opcji. Pierwsza to dążenie do wolnego rynku przy silnej autorytarnej władzy, nie ideologicznej, ale polityjno-wojskowej, druga zaś to urynkowienie gospodarki przy zachowaniu społecznych form własności, prawdopodobnie z samorządami w roli głównej, czy nawet państwowej własności plus daleko posunięta demokratyzacja systemu politycznego.*

S.K.: Przekonanie, że można urynkowić państwową gospodarkę jest złudzeniem. To jest ciągnięcie w dalszym ciągu nędzy. O czymś takim myślał może Baka czy Sadowski, ale to są złudy. Puszczanie gospodarki na żywioł, postawienie na indywidualną przedsiębiorczość przy funkcjonowaniu drugiego, nielegalnego obiegu gospodarczego, przywożeniu dewiz, to być może jest jakąś doraźną szansą. Zmiany polityczne są jednak również konieczne, choćby dla uzyskania kredytów i minimalnego niezbędnego zaufania Polaków. Gdy Amerykanie pytają, czy dać kredyty? przytomny rozmówca odpowiada, żeby nie dawać, dopóki nie nastąpią prawdziwe zmiany polityczne. Dawać tym samym ludziom? Jedną z najważniejszych spraw jest natychmiastowe ograniczenie inwestycji przemysłowych, które pochłaniają olbrzymie pieniądze i trują powietrze nie dając nic w zamian. Przecież w Katowicach wciąż dźbię się te chod-

niki, żeby węgiel wydobywać - jak powiedział profesor Ney - na potrzeby hut, które robią stal, z której inni budują maszyny konieczne do wydobywania węgla. Robi się żało we kółko. Nie mówiąc o tym, że ten Śląsk zrujnują już do końca. Te problemy trzeba rozstrzygnąć, a nie da się tego zrobić bez politycznych i personalnych zmian.

P.P.: *W tym więc widzi Pan wyjście?*

S.K.: A kto panom powiedział, że musi być wyjście z tej sytuacji? Wcale nie musi być wyjścia. Ja jestem pesymistą i nie wykluczam katastrofy, takiej jak na przykład w Irlandii, gdzie kiedyś połowa ludzi wyjechała. Jeśli weźmie się jeszcze pod uwagę tę ekologię, rolnictwo, które się nie pobudziło, tak jak powinno, to może się to wszystko źle skończyć. Ja od czterdziestu lat uprawiam w Polsce dziwną działalność, która nazywa się mówieniem do obrazu, a "obraz do mnie ani słowa, taka była ich rozmowa". Ja to robię, bo ludzie to lubią, "Tygodnik Powszechny" tego chce. Ale czas przecież z tym skończyć, bo obraz się nie odzywa, a jak się odzywał, to albo go zdejmowali, albo się okazywało, że to nie ten obraz. Może nie jestem z tych najdynamiczniejszych, ale nawet takiemu Kuroniowi się odcieciewa. Pisał ze Szwecji, że jak pomyśli, że ma wracać do Polski /tu zima się zbliża, znowu będzie ciężko, on się już tyle nacierpiał, a w tej Szwecji tak cudownie/, to go jasny szlag trafia. A poza tym, to ja przecież należę do grupy uprzywilejowanej w końcu. Dali mi spokój. Myślą: nie ma co z nim gadać, nie warto też go niszczyć, bo jeszcze szum będzie...

P.P.: *Jak Pan ocenia propozycję Geremka paktu antykrzyzysowego?*

S.K.: Sprawa jest wielce drażliwa i trzeba się zastanowić, czy nadaje się do wywiadu. Uważam, że jeśli się chce stwarzać nacisk, presję na rząd, to nie powinno się angażować w niejasne eksperymenty, rozpraszać w różnych kierunkach. Bo tym właśnie jest zainteresowany Kiszczak, a to jest inteligentny człowiek, wytrawny "socjotechnik". Ma zadanie rozwarstwić cały ten interes, żeby nie było jednej "Solidarności", jednolitej opozycji. Takie paki to typowe działanie w tym kierunku. Geremek brał udział w tej konferencji, wiecie panowie: Geremek, Bugaj, Wielowieyski, Stelmachowski. I ja katolików to jeszcze rozumiem, oni stanowią "polityczne centrum", ale po co Geremek i Bugaj - nie wiem. Oni powinni być raczej w "grupie uderzeniowej". Myślę, że to jest celowa gra władzy, te "Consensusy" i inne takie historyjki. Ja podpisałem dokument w sprawie PEN-Clubu, bo musiałem, ale płakałem podpisując. Bo robiłem to razem z takim Żukrowskim, czy Wasilowski; po czymś takim to ja właściwie jestem "roziadowany". Nie, nie bardzo jestem za takimi pomysłami. Chociaż bardzo lubię Geremka, rozumiem go, ale na jego miejscu wstrzymałbym się z takim krokiem, poczekał na nich, niech oni pierwsi coś zaproponują, coś prawdziwego. Bo to nie był z ich strony prawdziwy krok, że mianowali Rakowskiego, no, może Baka jest jako taki, lecz Sadowski nie wiadomo kto zacz, no i żadnych poważniejszych przemian nie widać.

P.P.: *Czy podobnie oceniałby Pan ostatnie inicjatywy stowarzyszeniowe, które też w pewnym sensie zabudowują przestrzeń między opozycją a władzą, zmniejszają płaszczyznę konfliktu?*

S.K.: Jestem zdecydowanie za stowarzyszeniami gospodarczymi. Paszyński wciąż nie może dostać zgody, a Dzielski dostał. Ale on, to trochę co innego: bardzo specyficzna "krakauerska" natura - zresztą ma sukcesy. Mikke też się o coś stara, ja nawet do czegoś należę, jakaś Liga Niepodległości, czy coś takiego. Trochę to wariackie, ale jakie w tej sytuacji ma być?

lewał, że nie ma w Polsce prawicy prorosyjskiej. Ja dlatego cenię kolegę Halla, że stara się kontynuować tradycję polskich orientacji antyniemieckich, zarzuconą już przed wojną przez wszystkie, poza Dmowski, ugrupowania polityczne. A ta tradycja musi ożyć, bo ona ma głowę i nogi. Zwłaszcza, kiedy Niemcy zaczną żądać Szczecina. Takie myślenie może odrodzić patriotyzm, uczucie dzisiaj, przez nadużycia naszej władzy, właściwie wygaszone.

P.P.: *Czy uważa Pan, że zagrożenie niemieckie jest to czynnik stały i priorytetowy dla polskiej polityki?*

S.K.: Panowie napewno wiedzą /ostatnio pisała o tym "Kultura" w reportażu "Fałszywi Niemcy"/, ile tysięcy Polaków zgłasza się w RFN-ie dokumentując tam jakoś swoje "niemieckie pochodzenie". To już są masy ludzi, szczególnie ze Śląska. Więc w jakimś sensie Niemcy nas powoli wchłaniają - chyba, że my ich wchłoniliśmy, ale na to się nie zanosimy. Widzę więc niebezpieczeństwo niemieckie.

Miałem ostatnio ciekawe spotkanie w Czechach. Tam istnieje nie tylko "Karta 77", jest też opozycja zupełnie skrajna. Rozmawiał ze mną taki facet i wymyślał na Tomasza Masaryka, że to sprawca wszystkich czeskich nieszczęść. Ja pytam: jak to, on przecież rozbudził czeski patriotyzm. "No właśnie, po cholere! On wymyślał na Austrię, a to przecież były dla nas najlepsze czasy. Jeszcze dwadzieścia lat monarchii austriacko-węgierskiej i Czesi byłiby tam na czele". A więc jest i taki patriotyzm.

P.P.: *Europa Środką, "Mitteleuropa", to modny ostatnio temat...*

S.K.: Miałem nawet na ten temat odczyt niedawno w Wiedniu.

P.P.: *Czy taka Europa w ogóle jeszcze istnieje, blok krajów między Rosją a Niemcami, Polska i Węgry...*

S.K.: To są chyba marzenia. Ale przyjemne, nie? Nic zresztą nowego. To stara idea ministra Poniatowskiego, idea Międzymorza. Ale kraje między Niemcami a Rosją potrafiły się tylko kłócić... Dzisiaj najbardziej to podnieca Austriaków; małeńki kraj, a jaką rolę może odegrać! Ale ja w to wszystko nie bardzo wierzę. Amerykanie po wojnie tę połowę Europy oddali Rosjanom i tego się nie odzyska. A przez to i Europa Zachodnia straciła polityczne znaczenie. Gospodarcze ma, ale polityczne? Bez Ameryki zupełnie nic nie znaczy. A więc na Rosję to my na długo chyba jesteśmy skazani. Ale na komunizm to chyba nie. Jeśli Litwini domagają się swoich praw, a jest ich trzy miliony, no to my mamy raczej większe szanse.

sierpień 1988

Henryka Dobosz

LECH WAŁĘSA
autoportret
(dwie rozmowy)

Te dwie rozmowy z Lechem Wałęsą dzieli okres półtora roku. Pierwsza jest nigdzie dotąd nie publikowanym wywiadem, jaki przeprowadziłam wiosną 1987 roku przed przyjazdem Papieża do Polski. Z tej okazji przygotowywano w Gdańsku jako podarek dla Ojca Świętego publikację zatytułowaną *Dojrzewanie*, ukazującą przez losy i sylwetki różnych ludzi rozwój duchowy gdańskich środowisk opozycyjnych i niezależnych w kontekście zaistnienia zjawiska "Solidarności". Fragment tego wywiadu, opracowany jako samodzielna wypowiedź, wszedł do książki, wydanej w drugim obiegu i wręczonej Papieżowi.

Może okazja sprawiła, że cała rozmowa miała wówczas charakter wyjątkowo osobisty, poważny, Wałęsa nie starał się, jak to czasem bywa, zbyć odpowiedzi żartem, przeciwnie, wydaje się, że bardzo mu zależało na właściwym oświetleniu swoich zachowań, wyborów i decyzji, na jak najlepszym zaprezentowaniu siebie jako człowieka poprzez wnikliwy autokomentarz.

W drugiej rundzie oglądamy Wałęsę w sytuacji bardziej zwyczajnej i jemu właściwej, w publicznym starciu z dziennikarzami podczas zorganizowanego w grudniu 1988 roku spotkania z prasą katolicką i niezależną. Stąd różnorodność stylistyczna obydwu obrazów.

HENRYKA DOBOSZ

"JESTEM PRZYWÓDCĄ"

- *Los wyniósł cię, Lechu, wysoko. Jak myślisz, czemu to zawdzięczasz?*
- Już nieraz nad tym myślałem. W pewnym stopniu zawdzięczam to sobie. Tylko ile? Jako dziecko i potem dość długo w swoim życiu byłem takim człowiekiem, który widzi tylko dwa kolory: biały i czarny, odcieni pomiędzy nimi nie widziałem. Może dlatego, że nie uczestniczyłem w tak dużych sprawach, które by wymagały zauważenia odcieni; teraz już widzę. Ale jak bym w przeszłości subtelności zauważał, to może bym w ogóle przestał rozróżniać kolory, może by mi się rozmyły czarne i białe. Więc jednak sądzę, że w życiu jest najważniejsze odróżniać kolory, i to wszędzie: w szkole, w wojsku, w pracy, nawet gdyby trzeba było za to płacić. Ja płaciłem. Aż przyszedł rok osiemdziesiąty, Sierpień i myśmy powiedzieli wyraźnie: to jest czarne, to jest białe, no i - ryzyk fizyk - jesteśmy z białym. Okazało się, że białe wygrywa.

To był bardzo ważny, może najważniejszy czas w moim życiu. Ale czy przełom? I tak, i nie.

Człowiek nie jest jedynym panem swego losu. Jak się życie potoczy, decyduje w dużej mierze przypadek. Plus predyspozycje. Trzy czwarte ludzi jest niezadowolonych z życia dlatego, że nie trafili na właściwy zawód, na swoje miejsce. Są to przeważnie bardzo zdolni ludzie, tylko nie w tym, co robią, albo nie odkryli siebie, albo im się nie chce ryzykować. Ja należę do tych mniej licznych, którym się szczęśliwie zgrały predyspozycje i sprzyjająca fala. Fala wyniosła mnie na pozycję przywódcy. Nigdy tego, co się stało, nie planowałem, nie chciałem. Gdyby mnie w siedemdziesiątym roku nie zwolniono ze Stoczni, wbrew wszelkim normom prawa i logiki, to bym się nie szarpał i nie dochodził swego. Kiedy poszedłem do innego zakładu i znów widzę, że czarne, a mówią mi: białe, to bym nie występował za swoim. Ciągle stawało się to wbrew moim planom i zamierzeniom. Brnąłem w opozycyjność niezależnie od samego siebie. Dlatego, że nie potrafiłem mówić na białe - czarne i na odwrót. Jestem więc wytworem okoliczności, w których żyję, oraz przypadku. Poza tym moją własną receptę na życie: rozróżniać kolory i uwierzyć w siebie. Nie walczyć o pozycję - wybiorą czy nie wybiorą? - ale walczyć o swoją robotę, żeby ją wykonać dobrze. Ja mam poza tym tę cechę, że się umiem koncentrować i jestem urodzonym praktykiem. Jako elektryk - niech ludzie powiedzą - byłem dobrym fachowcem. Kiedy życie mnie do tego zmusza, umiem znaleźć możliwości, jeśli chodzi o zarobienie pieniędzy na utrzymanie rodziny. I gdzie popatrzę, widzę dziesięć dobrych praktycznych rozwiązań. No i się koncentruję. Jak gram w piłkę, to tak się staram, jak tylko potrafię, aż padnę. Jako przewodniczący, wiem, jakie mam obowiązki, więc staram się sprostać. Nie chodzi o to, żeby być na pierwszym miejscu. A widzę, że są ludzie, którym głównie chodzi o to miejsce. Ale oni nie zostaną pierwszymi.

- Czy mógłbyś wskazać w swoim życiu jakieś fakty lub fakt, który miał szczególne znaczenie w twoim dojrzwaniu do roli przywódcy? Czy coś takiego było, zanim przyszedł Sierpień?

- Był taki fakt. W moim myśleniu duże znaczenie miał Grudzień 1970 roku. Potem przez całe lata się zastanawiałem, dlatego wyszło tak a nie inaczej, jaki był popełniony błąd, w którym momencie? Jakie były szanse? Czy były? Tak się złożyło, że ja byłem jedynym, który przetrwał u steru od początku do końca strajku w 1970. Byłem w pierwszej grupie przywódczej i zostałem z niej sam, pozostali dwaj się zlekli bezpieczeństwa, potem znalazłem się też w drugim dużym Komitecie strajkowym. Ale byłem wtedy za słaby politycznie, o czym wiedziałem. Wyznaczyłem więc sobie taką rolę: ponieważ mam dobry kontakt z robotnikami, utrzymam ten kontakt, ale potrzebuję kogoś, kto będzie mówił, co robić, pokieruje robotą polityczną. Ale że do końca nie było tego pułkownika, więc ja też spasałem, doszedłem do wniosku, że nie mam szans. W późniejszych latach to wszystko się przydało, miałem już jakiś punkt widzenia na zachowania społeczne, na konieczności organizacyjne. Pół roku przed Sierpniem zrobiłem strajk w Elektromontażu, tam też sprawdziłem pewne elementy praktyczne. Bo teoretycznie wszystko wygląda inaczej, a w życiu, w konkretnej sytuacji trzeba być elastycznym. Nie wolno się za bardzo przywiązywać do jednego scenariusza. To ja już wiedziałem wcześniej. Pamiętam taką śmieszna rzecz z dzieciństwa, do dziś się śmieję, jak sobie to wspomnę: ja miałem bardzo mądrą matkę, ona nam czytała na głos, dużo rozmawiała z dziećmi, ojciec był bardziej prosty i nie miał na mnie takiego wpływu; oni każdą sprawę omawiali oboje i jak na

przykład stary szedł do gminy, to matka uczyła go, jak się zachować, układali, co on powie, z kim się przywita, "dzień dobry, panie naczelniku" i tak dalej, potem przystępuje do wykuszczania swojej sprawy. Na to ja im mówię: po co ten plan? Bzdura! A jak nie wyjdzie naczelnik, tylko jakaś dziewczyna, urzędniczka, ojciec ją niechący potrąci i ona rozleje herbatę, to co? Wszystkie się ojcu pokiećka. Byłem sceptyczny do tych ich numerów, widziałem błędy, od razu wiedziałem, że życie jest inne niż uplanowane scenariusze. I jako przywódca też się tym kieruję.

- *Masz szybki refleks i nieraz zmieniasz decyzję, co wielu ludzi zaskakuje. Uważasz, że najważniejsze, to działać szybko?*

- Niekoniecznie. Czasem tak, są momenty, których niewykorzystanie w tej sekundzie jest błędem, ale czasem lepiej jest nie podjąć żadnej decyzji, poczekać. Taka rzecz: przychodzi mi do domu naraz dwudziestu ludzi, każdy ma do mnie ważny interes, wtedy ja cichutko wyskakuję na ryby, i tak wszystkich nie załatwię, a ten i ów się obraża, wracam, jest dwu, reszta była tylko po to, żeby mi zawracać głowę; a tych dwu to ja mogę wysłuchać i załatwić. Mam takie swoje chwytty. Ale nie to jest najważniejsze.

- *A co jest najważniejsze?*

- Pierwsza rzecz to spokój. I zawierzenie. Nie wiem, może jestem człowiekiem zimnym, o pewnym defekcie psychicznym, bo odwrotnie reaguję jak większość. Czym jest gorzej, czym jest niebezpieczniej, tym jestem bardziej spokojny i w ogóle mnie to nie bierze. To chyba nienormalność, choroba, bo normalnie, jak jest strasznie, to ludzie panikują, a ja tylko patrzę i wtedy żyję, bo jak jest za dobrze, to się nudzę. To jest o tyle dla mnie korzystne, że w niektórych sytuacjach inni giną, a ja nie. Czy to jest jednak bardzo dobre? Może mnie kiedyś zaprowadzić i na złe. Choć może u mnie tak się dzieje dzięki zawierzeniu. Jak jest sytuacja trudna, że ludzie wariują, to ja odpuszczam, i niech się dzieje wola Boża. A jednocześnie sobie trochę kalkuluję, nie intensywnie, tylko od niechcenia, po cichutku. Kiedy masz spokój wewnątrz, bo zawierzyłeś Bogu - lepiej wszystko widzisz. I w trudnym momencie jest to pięćdziesiąt procent sukcesu. Przy tym spokoju cokolwiek się wymyśli, ma się już pięć procent do przodu, razem pięćdziesiąt pięć, i się prowadzi. Taką się kierowałem praktyką w Sierpniu w Stoczni.

Sprawa wiary odgrywa w moim życiu wielką rolę. Pamiętam jedno moje aresztowanie, nie wiem które - piąte czy szóste. W czasie aresztowań ja różnie grałem. W pewnym momencie, gdy zostałem zamknięty - był to rok przed Sierpniem - mówię do ubeków: mam tego wszystkiego dość. Nie wiem, dlaczego tak powiedziałem, ale tak było. Wtedy zeszło się całe grono na rozmowę ze mną. Znamy pana sytuację - mówią - pan ma dużo dzieci, kiepskie mieszkanie, po co panu te kłopoty, taki Borusewicz może się w to bawić, kawaler, ale pan... My panu pomożemy stanąć na nogi. I oferują mi wille, świetne warunki...

Takich propozycji było w moim życiu dużo, zwłaszcza potem, po Sierpniu. I gdyby nie wiara, że są jakieś wyższe wartości i że trzeba będzie kiedyś płacić, to czy ja wiem... Bo jeśli walczę tylko o dobrobyt dla siebie i dzieci... Ale ja wierzę, że na tym nasze życie się nie kończy i że będziemy rozliczeni. Dlatego się nie sprzedam, chociażbym miał wybór twardy, i nie wycofam się. Wątpię, czy wielki działacz społeczny bez wiary może te wybory wytrzymać. Ateiści mówią, że są inne wartości, też mocne. Mnie się to nie zgadza, choć może się mylę. Ja gdybym nie

miał wiary, nie mógłbym robić tego, co robię. Zwłaszcza w takich warunkach, jak nasze, gdy nie są wcale tak jasno sprecyzowane kryteria słuszności. Co innego walczyć z Niemcami, podczas wojny, gdy racja jest tylko jedna, bezwzględnie pewna. Tutaj łatwiej się zachwiać, albo samemu sobie wmówić jakieś wygodne oszustwo, żeby tylko mieć usprawiedliwienie, że się rezygnuje. Więc trzeba się opierać na jakichś wyższych wartościach. I dla mnie wiara jest tym, co wytycza moją drogę, przekonanie o słuszności. I trzyma mnie, żebym nie wybierał rozwiązań wygodniejszych. Jestem mocno grzeszny, ale wierzący.

Z drugiej strony w wierze ja też jestem trochę taki praktyczny i wiem, że są ludzie, którzy wierzą lepiej, głębiej. Dam przykład: jechaliśmy do cudu, to było gdzieś koło Łodzi, chyba w Piotrkowie Trybunalskim, i jak nas los dobrze dobrał: w jednym samochodzie Heniek Lenarciak - z tych prawdziwie pobożnych, głęboko wierzących, drugi gatunek ja - wierzący, ale chciałbym sprawdzić, i jechał sekretarz partii, też ze Stoczni, w ogóle niewierzący, ale jechał. I jak się potoczyła sprawa? Otóż w zależności kto kim był, tym został. Heniek bardzo wierzący rzeczywiście cud widział. Przeżegnał się szybko i uciekał, bo mu było wstyd, że pojechał sprawdzić. Bo tam tysiące ludzi, i część zachowywała się tak jak Heniek. Ja wierzę, ale muszę dotknąć; patrzę i widzę Matkę Boską, ale jak tak trzymam pół godziny głowę do góry, to mi się w oczach mieni. Może tam jest jakieś światło z tyłu za obrazem? Od dzwonnicy do kościoła przeleciał biały, duży ptak, chyba puchacz, może on rzucił cień i mi się zdawało, że widzę? Trzę oczy i trzę, i raz widzę, raz nie widzę, i z tym zostałem. A sekretarz piwo kropnął, dziewczuchy podszczypywał w tłumie i tym się cieszył. Bo on nie jechał, żeby coś zobaczyć. Gdzie tam - mówi - nieprawda. Ale pojechał, i z tym samym odjechał. Ludzie tak się dzielią, najwięcej jest takich jak ja. Bo wiara tak jest ustawiona, że jak nie wierzysz, to nie będziesz widział, nie wiesz, nie będziesz wiedział, tyle dostaniesz, na ile cię stać. Ja nie byłem na sto procent, więc sto procent nie dostałem. Jestem wierzący, ale widak czegoś mi brak i nie dostanę więcej. To dlatego, że ja jestem taki praktyk. Ale może jeszcze dostanę:..

- *Czym jest w twoim życiu "Solidarność"?*

- Tym progiem, za którym już nie można się cofnąć. Gram o części niewymienne, tu nie ma innej kalkulacji. Spodziewam się sytuacji, że wszystkim będę przeszkadzał, widzę niebezpieczeństwa, jakie mi grożą z różnych stron, wszystko widzę, a jednocześnie idę, bo nie mam wyjścia, bo cofnięcie się to przegranie całego kapitału, wszystkiego, co zrobiłem dla swoich dzieci.

- *Dla swoich dzieci?*

- Swoje dzieci ja utożsamiam z Polską. Bo ich ośmioro plus mężowie i żony to już szesnaście osób, plus ich dzieci - prawie pół powiatu, a ileś takich powiatów - Polska. Przez przyzmat mojej wielkiej rodziny, przez parafię, przez stocznię, Gdańsk - ja się utożsamiam z Polską.

- *Ojciec chrześny?*

- Tak, ale całej Polski.

Jestem w tym miejscu i muszę realizować to, co na siebie wziąłem, bo jestem już na cenzurowanym, mam kontrolę z każdej strony, i przez ludzi, i przez bezpieczeńkę, i przez Kościół. I wiem, że historia też mnie rozliczy, jak w to gram. To, co ja bym chciał bardzo mocno podkreślić jako przywódca wielkiej organizacji, a z urzędu dzenia realista - może ja to nawet podkreślam za mocno - że w każ

dym biegu najważniejszy jest finisz, w każdym maratonie. A niektóre gry wymagają dogrywek. A więc oszczędzania sił na dogrywkę. Dlatego kiedy widzę, że można nic nie zyskać, to nie gram, czekam, na dogrywkę, na finisz. Zauważyłem, że w naszych dziejach jest wiele heroizmu i jednocześnie inni robią nas ciągle w trąbę. Okres międzywojenny był piękny, a finisz? Tyle razy nas oszukano. Wojnę przeszliśmy bohatersko, wszędzie nasze groby. Jaka tragedię przeżywał Sikorski, gdy widział, że wszyscy go zostawiają. Potem chciał się ratować, poszedł do Rosjan, a tam to był już orzeł bez piór. Tragiczna postać wielkiego męża stanu, odważnego, mądrego. Tylko za wcześniej się wystrzelał, nie wkalkulował świństwa i gry innych, zbyt uczciwie szedł. Ja też jestem za uczciwością, ale taką, która rozkłada siły na finisz. Nie mamy w sobie wyrobionego instynktu gry i to trzeba zmienić, i to się zresztą zmienia, bo nasza walka jest też grą.

- *Co chcesz przez to powiedzieć? że celowo poddałeś Związek 13 grudnia 1981 roku bez walki? że umyślnie dałeś się internować, a innych internowców lub wzięć? że przewidziałeś, jak to się potoczy i że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło? Bo gra trwa?*

- W pewnym sensie tak. Jeśli chodzi o "Solidarność", to uważam, że my tę sprawę dogramy. Nie podjęliśmy rękawicy, kiedy nie było szans, nie zostali po nas tysiące trupów, nie dopuściliśmy do wielkiego rozlewu krwi, który wypuszcza z narodu powietrze na długo. Jesteśmy cali, prawie bez ofiar, proszę bardzo, możemy dalej toczyć grę. I każdy następny przywódca w Polsce też powinien o tym pamiętać: nie walczymy po to, żeby walczyć - bijatyka dla bijatyki - tylko żeby w końcu wygrać.

Teraz co do 1981 roku, jak to było. Oni mówią, że anarchia, że strajki, ale faktycznie chcieli nas wykończyć dlatego, że myśmy się mieli z tej anarchii wygrzebać. Przed samym stanem wojennym opracowaliśmy program opanowania tej sytuacji, tam było sześć punktów, i zgłosiliśmy do rządu. W sprawie strajków było uzgodnione z Prymasem, że on 13 grudnia zaapeluje z Jasnej Góry, aby wszystkie strajki zakończyć, bo Polska ma trudną sytuację. Komisja Krajowa miała zamiar zawiesić strajki na rok, dwa. Był też pomysł, żeby powołać w regionach specjalne gremia z udziałem hiskupów, które będą instancją odwoławczą w sprawach konfliktowych i dopiero ich decyzja będzie wiążąca, czy można ogłosić strajk. Szukaliśmy wyjścia, ale władza nam w tym nie pomagała. Szliśmy na kompromis. Rząd najbardziej drażnili doradcy, więc był w opracowaniu status doradcy, żeby było wiadomo, że niekoniecznie kto jeździ po Polsce i bredzi, to jest zaraz doradca. Po tym drażniącym posłaniu do narodów na Zjeździe "Solidarności" chcieliśmy zaproponować, żeby w przyszłości zjazdy odbywały się w dwu etapach, pierwszy - wybory, żeby ludzie byli wybierani za pracę, za to, czym się wykazali w regionach, a nie za demagogię, i dopiero potem - część programowa. Ja zrobiłem jeszcze jedną rzecz i to był punkt fatalny, ale bardzo nas za to bito, chodziło o KOR, który władzę tak kłui w oczy. Ja poprosiłem tych ludzi z KOR-u i mówię: choć razem jedliśmy więzienny chleb, usuńcie się, przesuńcie się do pracy na inne miejsca, nie tak widoczne, jak sztabowe; uważano, że to robię ze względów personalnych, bo zagrażają mojej pozycji; były nieporozumienia, nie chciano mnie słuchać, mimo to pozbyłem się ich tam, gdzie miałem decydujący głos, został jeden Onyszkiewicz, którego bardzo mi było szkoda, bo świetny facet, ale przydzieliłem mu pod opiekę oświatę, nauczycielstwo, nie nadawał się do tego i sam zrezygnował. Potem się dziwno: dlaczego takie Prezydium, ludzie bez nazwisk? Cel był, po pierwsze,

by mi nie skakali, bo jak za dużo orków, to rozbijają Związek, a sytuacja była trudna, ale przede wszystkim chciałem wybić argument władzy. To samo zrobiłem w regionie gdańskim, gdy był konflikt z grupą Gwiazdy. Może Borusewicz należało za wszelką cenę ratować, ale realizując zasadniczą myśl pozwoliłem, żeby wszyscy odeszli. To była strata, wielka strata, bo to byli ludzie niezbędni, potrzebni, których do dziś uważam i którzy ciągną w najtrudniejszych okresach, konie, w które ja zawsze będę jechał. Ale tak zrobiłem, niktórzy uważali, że źle, ale chodziło o cały Związek. Tak, że z naszej strony były wielkie ustępstwa, ale z programem i tak nie mogłem się przebić, wszędzie blokada. Władza zachowywała się ironicznie, i może na rękę była jej anarchia i wolała, żeby jej nie opanować. A czy się tego wszystkiego spodziewałem, co miało 13 grudnia nastąpić? Spodziewałem się, tylko nie bardzo wiedziałem, jak ja osobiście powinienem się w takiej sytuacji zachować. Miałem plan, dziś widzę, żył, po raz pierwszy bym się mocno pomylił i nie wiadomo, co by z tego wyszło, ale raczej nic dobrego i dla Związku i dla mnie: chciałem w Radomiu zrzec się funkcji Przewodniczącego na rzecz Wądołowskiego, byłem wtedy zmęczony, chory, ale przede wszystkim widziałem, co się kręci, że uderzenie w "Solidarność" jest nieuniknione. Tydzień wcześniej, przed Radomiem, zapytałem doradców, z Prymasem włącznie: co robić? Nie było zgody. Wymyśliłem, że ja, jako człowiek kompromisowy, nie będę uwieziony, więc teraz odchodzę, a potem ratuję, co się da. Bo oni mnie nie chcieli internować, na moim nakazie internowania jest data już po Radomiu, i nawet byli wściekli, że muszą mnie internować, to im nie było na rękę. No ale po Radomiu i tym moim ostrym wystąpieniu nie mieli innego wyjścia. Bo ja jednak, po rozmowie z tymi wszystkimi liczącymi się ludźmi, którzy nie zgadzali się na moje odejście - zgodę wyrażali tylko Kuroń i Modzelewski - zmieniłem zamiar, postanowiłem zostać i czekać, co się zdarzy i przede wszystkim nie dać się odłączyć. Dlatego ja to wszystko mówiłem w Radomiu tak jak mówiłem, wbrew sobie, po to, żeby się nie dać odłączyć, tylko ten jeden miałem cel i wykonałem go majstersztyk. Bo gdybym w momencie uderzenia został na zewnątrz Związku, to bym się chyba załatwił, byłoby: Wałęsa zdrajca. No bo oni obstawiliby mnie tak mocno, że bym do TTK nie zszedł, bo by mnie za rękę trzymali i wszyscy siedzą, a on zdrajca nie.

W Stoczni na tej ostatniej Komisji Krajowej 12 grudnia ja już wszystko wiedziałem i to chyba było nawet widać. Byłem jak w amoku, cały chodziłem. Jak zrobić, żeby ten kwiat Związku, tych ludzi, za których odpowiadam, ochronić, żeby oni nie zginęli, żeby nie podjęli rękawicy, bo nie mieliśmy najmniejszych szans, byłoby tylko dużo trupów, morze krwi, a przecież my i tak będziemy zwycięzcami, choć będziemy zamknięci, przez bezsens tej całej ich operacji. Ale jak nie podjąć rękawicy? Więc nic nie mówiłem, prawie się nie odzywałem, ludzie potem mówili, że Wałęsa się zachowywał dziwnie. Gdybym wezwał: wszyscy do podziemia! - to co by wynikło? Tragedia i tyle. Więc dobrze tak, jak było: nie za silnie, bez zmiany koncepcji. W czasie mojego internowania powiedziałem władzom: fizycznie wygrywacie, ale politycznie? Faktycznie kończycie socjalizm, to wy, i wcześniej czy później spotkamy się na drodze reform. I tak jest. Na razie społeczeństwo jeszcze tego nie widzi, nie przyjmuje, ale to kwestia czasu. To, co było w Polsce przed Sierpnem, to już się skończyło, tylko nie ma nic zastępczego na ten system. Na razie. Grunt, że nie pozwoliliśmy wykończyć naszej pięknej idei. Gramy dalej, mamy punkt odbicia.

- Zawsze spadasz na cztery łapy. Czyżbyś nie miał w życiu sytuacji, z których każde wyjście jest złe, jest stratą moralną, zawsze jest przegrana?

- Tego nie powiedziałem, tego się może nawet do końca nie wie. Moja zasada jest robić to, w co się wierzy. Choć przecież zawsze pozostają jakieś wątpliwości. Na przykład ten słynny marzec 1981 roku, gdy cofnąłem się przed strajkiem generalnym. Czy to było słuszne? Może trzeba było drożej, ale skuteczniej? Choć, gdyby się to wszystko zdarzyło jeszcze raz, postąpiłbym tak samo, ponieważ niewiadomych było tak wiele, że nie wolno mi było postawić losu całego społeczeństwa na niewiadomą. Ale w stu procentach nie mógłbym powiedzieć, czy inna droga nie okazałaby się słuszniejsza. Albo weźmy te rozmowy ze mną zaraz po internowaniu. Proszę pana, dwudziestu ludzi pan oddaje, a związek odwieszamy; oni oczywiście idą siedzieć. Moja odpowiedź jest taka: dajcie mi dowody, jeśli macie dowody, że oni działają jako szpiedzy, coś konkretnego, wtedy ja sam ich w Związku załatwię. Na to nie ma odpowiedzi. Może to był z ich strony bluff, może oszukiwali, w to nie wnikał, ale miałem takie sytuacje. Nie wiem, co by z tego wyszło, gdybym na to poszedł? Może byłbym oszukany? A może nie? Więc czy już nie byłem na przegranej parę razy, tak czy siak. Czy nie przegrałem, jak dawali propozycje pójść na wicepremiera albo na miejsce Dobrzańskiego? Może blefowali, ale rozmawiali ze mną poważni ludzie. Czy to dobrze, że nie przyjąłem? Czy bym więcej wtedy nie zrobił? Do końca nie wiem, czy to nie były przegrane wybory życiowe. Sprzedać kolegów nie pozwalała mi wiara. Ale te późniejsze sprawy - czy nie spałbym sprawy, czy trafnie wybrałem? I czy jeszcze będę w życiu miał takie wybory? Prawdopodobnie tak. I czy trafnie wybiore? Nie wiem. Ale tego nikt nie będzie wiedział.

- *Jak bym słyszała starych chłopów ze wsi. W twoim myśleniu i postępowaniu jest coś chłopkiego: spryt i kalkulacja, podszyte nieufnością, a z drugiej strony "co ma wisieć, nie utonie", wewnętrzny zmysł równowagi i zaufania. Urodziłeś się na wsi, jesteś chłopem.*

- I tak, i nie. Mój ojciec był robotnikiem, dziadek też bardziej robotnik niż chłop, poza tym był kościelnym, dziadek z drugiej strony - przyjezdny. Jedno pokolenie, to mi najbliższe, mieszkało na wsi, ale ojciec miał firmę stolarską. Matka nie znosiła wsi, bo daleko po zakupy, bo śnieg zasypie, ciężko dojechać. Ja też miałem wielką niechęć do tych warunków życia, natomiast przyrodę lubię. Chciałem się wyrwać do miasta. Życie na wsi jest ciężkie i to na pewno jakoś kształtuje myślenie. I to, że się ma dużo czasu podczas pasania krów. Bo musiałem krowy pasać. Potem kombinowałem, żeby uniknąć tych krów, żeby jakoś się uczyć, bo wtedy do roboty nie gonili. Poszedłem do zawodówki. Nie, bardziej czuję się robotnikiem niż chłopem. I gdańszczaninem.

- *Lubisz Gdańsk?*

- Tak, Gdańsk mi wybitnie pasuje, to jedyne miasto, które tak mi się podoba, bardziej niż Paryż. Warszawa już nie tak - masa tych ludzi, mozaika, która mi nie leży, nie lubię bigosu. Gdańsk ma wyraźniejszy charakter, jakąś osobowość, jest bardziej zdecydowany, pod każdym względem. Minęło już dwadzieścia lat, jak tu jestem, a znalazłem się przypadkiem, jechałem pociągiem do Gdyni, za pracą, wyszedłem w Gdańsku na piwo i zostałem. Bez planu. Ale teraz to już jest mój wybór, decyzja. Lubię Gdańsk i cieszę się, że myśmy coś dla Gdańska zrobili. Bo Sierpień, "Solidarność" na dobre przyłączyły Gdańsk do Polski w świadomości świata, na zawsze. Każdy teraz zna to miasto i wie, że jest polskie. Niemcy tego nie lubią, dlatego ja tematu za często nie ruszam, choć ojca straciłem w wojnę, ale kiedy walczymy, każdy, kto na nas nalatuje, jest mi przeszkodą, wolałbym nie mieć wszystkich naraz przeciw.

Lepiej żeby to powiedział Papież, on by to zrobił mądrzej, ale gdyby to nie było zrobione przez niego, trudno, wtedy my musieliśmy się twardo wypowiedzieć.

- *Czego się spodziewasz po przyjeździe Papieża do Polski? Dookoła panuje takie zniechęcenie, ludzie są tak zmęczeni tym bezruchem, że nie mają siły się nawet cieszyć. Większość już zapomniata o "Solidarność", to wszystko się ja-koś rozmyło, wbrew temu co mówisz. Propaganda zrobiła jednak swoje, dużo się do nas przykleiło brudu. Myślisz, że Papież może ten nastrój zmienić?*

- Na tę wizytę trzeba patrzeć w dwu wymiarach, jeden to wymiar historyczny, z tego względu on powinien przyjeżdżać i co pół roku, żeby postawić swoją nogę w Gdańsku, w Szczecinie, w innych miejscach, bo nas może się jeszcze starać wchłonąć nie wiem kto, jak nie teraz, to za sto, za dwieście lat, a tam gdzie Papież stopę postawi, będzie upamiętnione i znajdzie się ktoś, kto wyg-rzebie słowa, które on wypowie, na przykład, że nie ma Polski bez Gdańska, nie ma bez Polski uczciwej Europy, i te wszystkie rzeczy będą bardzo ważne, na tym będziemy w razie czego budować i rato-wać Ojczyznę, gdyby była zagrożona. Bo my żyjemy w kraju, który ma taki ciężki los, że musi ciągle walczyć o siebie, żeby nie zo-stać startym z mapy, żeby nie został czyjaś republika. I za dwie-ście lat słowa Papieża mogą skupiać wokół siebie walkę, a resztę sobie ludzie dopowiedzą. Dlatego on tu jest zawsze potrzebny.

· Natomiast w skali mniejszej, dzisiejszej ja się za wiele nie spodziewam, Papież dziś nie może nam nic załatwić. Co się może dziać? Powie władzom, że w Polsce potrzebna jest demokratyzacja, pluralizm, oni odpowiedzą, że już to jest, są możliwości, nowe związki zawodowe. Może paru komunistów się nawróci, jak zobaczą, gdzie w tym kraju jest siła, gdzie ludzie się modlą, za kim idą, kogo słuchają. To może spowodować wiele różnych rzeczy, stworzyć fakty, które można będzie wykorzystywać dla naszej sprawy. W kie-runku większej uczciwości, stopniowego budowania. Zależnie od na-szej mądrości. Natomiast czy coś się nagle odmieni podczas obec-ności Papieża? W to wątpię. Ile on nam może w tak krótkim czasie powiedzieć? To tak jak ze mną było: jadę gdzieś, spotykam się, no i co? Komuś rękę podam, zamienię parę słów, na więcej nie ma warunków. Dopiero potem się to ludziom w głowach układa. Nie, nie należy na to liczyć, że Papież za nas coś zrobi, choć mam nadzie-ję, że trochę ludzi obudzi i pobudzi, ale to my mamy robić i się zastanawiać jak, a dotąd za mało robimy.

- *Brakuje nadziei, atmosfera jest taka, jakbyśmy się pogrążyli w letargu. Od strony władzy to też wygląda podobnie: dreptanie w miejscu. Ludzie musieliby znnowu wtłoczyć, że są w stanie na coś włączyć. Masz jakiś pomysł?*

- Rozwiązania są, muszą być, ale my ich na razie nie szukamy. Mówimy: nie ma szans, oni są silniejsi; ale my możemy być mądrzej-si. Przede wszystkim sprawa finansowa przekona ludzi, że trzeba walczyć i ten letarg minie. Tylko że jeżeli ja wiem, że ja mam nóż, a partner pistolet, to się nie będę rzucał z nożem, muszę sobie wymyślić pistolet. Sami jesteśmy winni, że tak wolno idą reformy, bo tylko negujemy, nic nie zgłaszamy od siebie. Musimy iść teraz poprzez ekonomikę do demokracji. Tymi metodami, co w osiemdziesiątym roku, nie damy rady, więc próbujemy inaczej, nie od góry, a od dołu. I niech to robią wszyscy, nowe związki też, i Rada Konsultacyjna, i wszystko, co jest. Nie robmy głupstw, nie mówmy: Rada Konsultacyjna jest zła. Bo jaka jest propozycja z na-szej strony? Dobrze by było, żeby nas zaproszono do stołu. Ale oni mają jeszcze sto innych pociągnąć i dopiero na końcu nas za-proszą. Będą robić spótki i inne rozwiązania. Zmusiliśmy ich już

do jednego, żeby powiedzieli, że ten system jest niedobry. I Gorbaczow to mówi, że trzeba reform. Teraz każdy niech uruchamia myślenie koncepcyjne. Nie musimy od razu podnosić siebie jako organizacji, podnośmy problemy. Od 13 grudnia 1981 roku przegraliśmy jako społeczeństwo wiele bitew. Te strajki, demonstracje były przegrane, bo nie pokazywały możliwości zwycięstwa. Chyba że wymyślimy jakiś inny strajk, taki, że oni tego nie ugryzą. Dziś trzeba dobrze przemyśleć, gdzie, i jak zabezpieczyć ludzi finansowo, dać strajkującym zapomogi, żeby się nie bali o rodzinę, organizacyjnie podnieść się wyżej i prowadzić taką walkę, żeby nie dać się trafić. Ekonomia, trzeba się skupić na ekonomii, bo na tej drodze muszą przyjąć ustępstwa polityczne, bo to władza ponosi odpowiedzialność za krach ekonomii i chcąc nie chcąc będzie musiała się z nami przeprosić, albo paść.

- Jesteś, Lechu, nie do zdarcia. Nieraz się już wydawało, że leżysz; ale nie, wstajesz, otrzepujesz się i idziesz dalej, jakby nigdy nic. Pamiętasz to starcie z Rakowskim w Stoczni? Nie wypadłeś najlepiej, on był górą...

- Miałem argumenty na niego, że mógłbym go zjeść w kaszy, ośmieszyć. Ale ja tych argumentów użyć nie mogę i do dziś ich nie używam. Dlaczego? Ja naszą sytuację porównuję do silnika samochodu: jest ten korpus, którego my ruszyć nie możemy, i są trybiki, wałki. I co my na razie robimy? Próbuje się wymienić wałek syrenki na forda albo mercedesa. I stąd ja nie mogę używać argumentów, które definitywnie kończą rozmowę, nie mogę powiedzieć: nie żartuj, panie Rakowski znałeś dobrze pozytywny program "Solidarności" i to właśnie dla was byłoby nie do wytrzymania. Bo po co to mówić, używać argumentów, które ruszają korpus tego silnika? Oni nas mogą rozwiązywać, strzelać, natomiast my nie możemy dążyć do tego, żeby ruszyć ten korpus, bo on jest nie do ruszenia, oni naszymi partnerami są i jeszcze trochę będą. Jak się pewne rzeczy powie, to się ich eliminuje. I siebie też. A ja chcę jeszcze trochę grać. Wiem, że będę musiał z nimi grać. Ja? Choć nie ja, ale nasza sprawa. A postawienie ich na pozycji wykluczającej zamyka sprawę.

Dlatego ja Rakowskiego nie biłem, tylko on mnie bił. Ale ja mam to dobre, że jestem spokojny, jak jest bijatyka. Miałem to już jako łepkę: ktoś się na mnie napalił, silniejszy, chciał mnie grać, to ja sobie wolniutko, spascowałem, dałem się bić, a potem łup w dobrym momencie, i wygrałem.

- Wiesz, że o tobie mówią: największy cwaniak w peerelu? To nawet zostało napisane.

- Nie, nie wiedziałem. To był komplement?

- Raczej tak. Trudno by cię było opisać, jako człowieka składasz się z wielu sprzecznych cech. A ty sam co myślisz, na czym to polega, że ci tak dobrze idzie?

- Mam talent wieloboisty. Nie chwaleb się, naprawdę tak jest. Są ludzie wąsko wyspecjalizowani - ja nie, byłem elektrykiem, ale z boku interesowałem się jeszcze czymś innym, mechaniką, sprawami społecznymi. Umiałem się jako chłopak nieźle bić, byle kto mnie nie pokonał, ale były jednostki silniejsze, z tym że ja też dobrze grałem w piłkę i szybko biegałem, i sumarycznie wypadałem najlepiej. Nie było też w moim życiu jednego autorytetu, wzoru osobowego. Podziwiałem swoją matkę; podziwiał wielu ludzi, bo w każdym człowieku widzę jego inność, piękność albo mądrość. Widzę też, że nie wszystko wszyscy mają. Ojciec Święty mnie fascynuje, jego duchowość, ale w innych dziedzinach są inni, też wspaniali. Ja nie fascynuję się całościowo, tak żebym się zapatrzył, nie

wierzę w ideał, jak na przykład ktoś sobie wybiera bohatera; wiem, że każdy na jakąś piętę Achillesa, jak to mówią. I to jest normalność. I dlatego, że taki jestem i tak ludzi widzę, mogę jechać w różne konie, które tylko chcą ciągnąć. Bo staram się rozumieć, dlaczego on tak ciągnie, a ten inaczej, dlaczego mu idzie opornie. Ktoś mi się podlizuje - ja to widzę i wiem dlaczego i tym się nie brzydzę, bo to są normalne ludzkie zachowania w pewnych sytuacjach. Z każdym można sobie pewne sprawy ułożyć, jak człowiek potrafi to i owo, co jest drażliwe obejść i trochę kombinować. Tak jak z żoną w domu. Żonę mam taką, jaką mam, nie wyobrażam sobie innej, ale wiem, że pewne rzeczy trzeba obejść, nie powiedzieć, a innym razem krzyknąć, rozmawiać bywa, ważny jest efekt końcowy. Mam jeszcze jedną zasadę, ja to dobrze opanowałem w życiu i mi się sprawdza: wyłączenie się. Jak jestem w domu, to staram się być dobrym mężem i ojcem, w pracy myślę o pracy, żeby być dobrym fachowcem. Z tym, że ostatnio się trochę rozprzegłem; jak robię rękami, to głowa wolna i zaczynam myśleć, jak jadę samochodem - też, i zauważam, że nie wiem, gdzie jestem, jechałem mechanicznie, automatycznie. Trzema rękami kręcę i wszystkie trzy słyszę. Wyrabiam sobie w świadomości parę takich kanałów, żeby wybrać, co się przydaje. A jednocześnie wszystkie inne na podsłuchu.

- *I z ludźmi też trochę taki jesteś. Traktujesz wszystkich instrumentalnie. Dlatego bédziesz samotny. Wydaje mi się, że nie masz prawdziwych przyjaciół. Bo ludziom nie ufasz. Dlaczego?*

- Bo ja sam sobie nie ufam.

- *Uważasz, że nie ma ludzi bezinteresownych, po prostu ideowych?*

- Uważam, że nie ma świętych. W takiej sytuacji, ja: nasza, bardzo skomplikowanej, daleko bym nie zajechał, gdybym liczył na samą ideowość. Każdy na rodzinę, myśli sobie: zamkną mnie, zabiją, a co z żoną, z dziećmi? Porządni ludzie, ale odpowiedzialni nie tylko za siebie. Szczęściem niektórzy mają ambicję, chęć wybicia się. Żadnego z nich, ani z motywów, nie mogę odrzucać, bo jednak ludzi całkiem bezinteresownych, fanatyków idei jest mało, oceniam, że pięć procent, reszta to przeciętni, zdolni do działania pod warunkiem, że będą w tym mieli jakiś interes, korzyść osobistą. I przywódca musi umieć wplatać także te mniej szlachetne cechy natury ludzkiej do dużego celu.

- *A co powiesz o swoich przeciwnikach politycznych, o ludziach władzy? Po tamtej stronie dziś już chyba nie ma ideowców?*

- Czemu nie? Myślę, że mogą być tak samo, jak po naszej. Ja rozmawiałem w pewnym generałem, po tej rozmowie wyrobiłem sobie pogląd, że mogą być. Każdy polski generał kończy studia w Związku Radzieckim. On mi opowiadał, jak ich tam szkolą. "Nasz pakt jest silny, bardzo silny - mówią - my będziemy was bronić, możecie nas być pewni. Widzieliście poligon? No to może pójdziemy. Tu są rakiety, a to jest Gdańsk - te rakiety oczywiście są ćwiczebne - gdyby ktoś zagroził Gdańskowi, to my włączymy ten przycisk. I z Gdańska nie ma nic, w ogóle nie ma Gdańska. Ćwiczebnie możecie to wypróbować. Tu nie wolno, bo to jest rakietka oryginalna." I oni przyciskali, na makiecie. Jak w tej sytuacji politycznej, jaka na przykład była w Sierpniu, ten generał pojechał sprawdzić, czy te rakiety tam rzeczywiście są, to potem jak on może postępować? Czy on nie jest ideowcem? Jest ideowcem. On wie, że to zbrodnia i głupota uruchomić te rakiety. Więc co? Przetrzeć, trzeba przetrwać naród. Każdy z tych generałów ma tam podobno dublera, na wszelki wypadek, a jak źle pysk otworzy, dostaje zawału serca. On

jest stale na cenzurowanym, ma swój przycisk. Komuś się sofa przyzwolenie, komuś się daje. Robią tylko tyle, ile muszą. A jednocześnie mogą mieć odruchy wewnętrzne, że patryctyzm, że Polska. Trudno, żeby Jaruzelski, który ma taką ładną tradycję rodzinną, ich nie miał. Jeśli taka jest sytuacja, to my wszyscy tego nie wiemy - my, amatorzy, którzy chcemy i pchamy do przodu, ale nie znamy tych spraw; oni znają, że nie da rady, bo nikt nie pomoże. To - to ja też już wiem. Dadzą nam trochę lekarstw, przysła paczki. A ci, przyjaciele? Oni nawet nie muszą tu wchodzić, najwyżej postawią bombki na Bałtyku i poczekają aż sami załatwimy. Bo nie znamy granicy uzależnienia. Ale wiemy, że sto procent ropy, dwie trzecie gazu, dwie trzecie rudy, choć u nas wytwarzanej, jest podłączone do nich. Wystarczy, że zamkną kurek, wyiączą. Więc Polacy, wy się zdecydujcie.

To nie zwalnia nas z roboty, którą my robimy. Róbmy swoje, bo jesteśmy przekonani, że to jest w interesie kraju, dla Ojczyzny, więc róbmy. Ale w stu procentach nie możemy dać głowy za to, że oni nie chcą, nie rozumieją, bo możemy się strasznie mylić.

- *Bronisz diabła?*

- Zawsze musimy mieć oczy otwarte. Na wszystko, na anioła i na diabła. A zwłaszcza na intencje naszych przeciwników.

- *Amen?*

- Amen.

rozmawiała HENRYKA DOBOSZ

/Gdańsk, w kwietniu 1987 roku, przed wizytą Papieża/

"NIE MYŚLĘ PRZEGRYWAĆ, MYŚLĘ WYGRYWAĆ"

- *Stałeś się Lechu dla władzy atrakcyjny, występujesz w telewizji. Jak z tej swojej nowej pozycji oceniasz: co to się stało, w jakiej sytuacji jest dziś Polska?*

- Ja sam nie wiem, co się stało, że znalazłem się oficjalnie w telewizji. Czy przypadek? Czy finezyjna polityka naszych partnerów lub raczej przeciwników, jak kto woli, komunistów lub stalinowców, też jak kto woli. Uważam prawdatnie, że raczej to fuks, aniżeli taktyka. Ale może się mylić? Bo może być i taktyka, wciągnięcie mnie do gry, odciągnięcie od was, od bazy, pozyskania dla polityki małych kompromisów i... Wałęsa już jest po tamtej stronie. Z tym, że mnie na takich flirtach już specjalnie nie zależy, co innego, gdy ktoś jest na dorobku i pociąga go na przykład bycie premierem lub wicepremierem; ja najpiękniejsze mam za sobą, to jest to, co zyskałem w Sierpniu 1980 roku. Teraz moja polityka jest jedna: nie stracić tego, co wywalczyliśmy, nie przegrać tego banku, który mam. W związku z tym ja się nie napalam, mnie na tym nie zależy, żebym ja w tej telewizji był, natomiast na rozwiązaniu problemów mi zależy, bo rozwiązanie problemów odciąga ode mnie nienawiść z racji niespełnionych nadziei. Jeżeli nie zdam egzaminu, jeżeli zniszczą te nadzieje, to i sam

w pewnym momencie będę zniszczony, tylko trochę później. A więc jeżeli ktoś kombinuje, żeby Wałęsę pozyskać po to, żeby oszukał naród, społeczeństwo, odłączyć Wałęsę od narodu, to się bardzo myli, ja już dałem parę sygnałów, że, panowie, na to w ogóle nie liczcie, bo mi na tym, co wam się wydaje, nie zależy i ja się nie dam, ja mam wybitne szczęście, nade mną czuwa Opatrzność, bo ja robię z uczciwością to, co robię, dlatego nie myślę przegrwać, myślę wygrywać.

- *Wszyscy się z tego cieszą, że znów jesteś na górze po tegorocznych strajkach, ale atmosfera w Związku, wśród działaczy nie jest dobra, na stare podziały nakładają się nowe, wytraca się wiele aktywnej energii, historia może nas z tego rozliczyć, że w tak sprzyjającym momencie zamiast działań rozsądnie, zgodnie, traci się czas na jałowe rozgrywki. Dlaczego nad tym nie pomyślisz?*

- Konflikty wzięły się głównie z tego, że informacja z głównego punktu dowodzenia za wolno przechodzi w dół. Podczas strajków majowych i również późniejszych okazało się, że my jesteśmy dobrze przygotowani do pokierowania akcją strajkową, wierzchuśka utrzymywała ludzi w przekonaniu, że można zwyciężyć i że "nie ma wolności bez Solidarności", młodzież strajkowa w tym czasie spokojnie grała w karty i czekała na zwycięstwo. W Gdańsku było dobrze, ale gdzie indziej gorzej, nie było chętnych do strajkowania i musieliśmy iść na kompromis, a nie mieliśmy już czasu, żeby sprawę odkręcać, przygotować ich do poddania się, a nie było szans wygrać, kiedy z dziesięciu kopalń strajkuje już tylko jedna i to we fragmencie, kiedy Szczecin daje mi informację, że wytrzymają jeszcze dwanaście godzin, a potem padną, musimy zakończyć strajk, choć Gdańsk trzyma się lepiej. Tu w Gdańsku kręca się dziennikarze, widzą, że nastrój był dobry, a Wałęsa skończył strajk, źle zrobił, jest za słaby, taka informacja leci w świat, wraca do nas, nie kontrolujemy tego wszystkiego, zaczynają się kłótnie o taktykę. Ja robię wiec, tłumaczę, że decyzja była jedynie słuszna, ale ci młodzi mają przecież inny cel niż tylko wygrać ten strajk, im chodzi o mieszkania, o możliwości, nie zgadzają się, w końcu się zgadzają, ale już świat wie, że my się kłócimy. Teraz dlaczego ta decyzja była taka, jaka była po ogłoszeniu komunikatu, że będzie rozwiązana Stocznia Lenina? Z telewizji dowiaduję się, że likwidacja zacznie się za miesiąc, od 1 grudnia. No jeżeli tak, to ja mam dokładnie sto procent ludzi do walki, wszystkich, partyjnych, bezpartyjnych, związkowców. I ogłaszam pogotowie strajkowe. Ale w tym momencie przechodzi druga decyzja: Stocznia będzie rozwiązywana dwa lata. Teraz jest dla mnie oczywiste, że część ludzi powie: a, to ja zdążę uciec do innej roboty, jak dwa lata, to po co ja mam być pierwszy zwolniony, i tak dalej. Maksymalnie zostanie piętnaście procent ludzi do walki. Więc ja muszę się wycofać z tej akcji, bo za dwa lata to jeszcze wiele się może zmienić, a premier z pięć razy. Wycofuję się. Ale ta młodzież, która chce walczyć i która by chciała załatwić jeszcze te inne rzeczy naraz poza uratowaniem Stoczni Lenina, szarżuje do przodu, taka jest młodzież ze Stoczni Remontowej i to oni są niedemokratyczni, nie chcą się podporządkować decyzji większości kierownictwa, a nie my. Mają swoje racje, to inna sprawa, ale nasze decyzje były słuszne i podjęte w sposób demokratyczny, na tyle na ile to było możliwe w tych warunkach, bo trzeba było działać szybko, więc się zapytałem kilku osób, które były i podjąłem decyzję, jaką podjąłem.

- *Ten sezon polityczny, który minął, stworzył szanse zawarcia kompromisu politycznego. Jak sądzisz, czy jego efektem powinno być tylko utrzymanie si-*

ty "Solidarność" jako całości czy też raczej zaproponowanie na tym osiągniętych poziomie sposobów przekształcenia struktury kraju i państwa? Takie propozycje zgłasza środowisko liberałów. W Gdańsku przed kilkoma dniami odbył się Kongres Liberałów, na którym sformułowali oni pewne propozycje polityczne urzędzenia Polski. Co o tym myślisz?

- Musimy sobie odpowiedzieć na pytanie, o co od 1980 roku do dziś walczy "Solidarność". Otóż ona nie walczy o programy, które zrobią fachowcy, walczy o możliwość powstawania tych programów, o stworzenie klimatu politycznego dla zaistnienia programów. My wskazujemy tylko tematy, ekonomiczny, społeczny, polityczny, w których należy szukać rozwiązań, pracować, szkolić się, robić to, a nie krzyczeć. Gdy wywalczymy możliwości pluralistyczne, wszyscy powinni ruszyć do przodu, wyskoczyć, jak grzyby po deszczu, ale to nie jest moja sprawa, dlatego ja nie utożsamiam się z żadną grupą, jadę na wszystkich koniach, a inni, kto jest mądry, pracują i przygotowują się.

- Czy z rządem Rakowskiego i Kiszczaaka można osiągnąć porozumienie i zawrzeć kompromisy?

- Z samym szatanem należy rozmawiać o Polsce i można zawierać kompromisy, jeżeli szatan, gdy my uważamy, że jest piekło, zauważy, że jest niebo. Jeżeli będziemy wymieniać rządy co tydzień, to nic nie da, bo nie w wymianie personalnej jest rozwiązanie, a w strukturach i co do tego musimy się dogadać.

- Jak rozumiesz destalinizację, o której ostatnio tyle mówisz, co masz na myśli?

- Wielu ludzi w Polsce i za granicą chce, żebym ja mówił: ale dojadowałem komunistom, to wszystko zrobili komuniści, zabić komunistę - i tym podobne. To jest największa głupota i ja jej nie popełnię, bo ja nie znam się na komunizmie, teoretycy może się znają, ale ja jestem praktyk i na teorii się nie znam. Urodziłem się w czterdziestym trzecim roku i poznałem stalinizm, jako monopolizację w partii i w innych dziedzinach. Stalin umarł, przyszedł Chruszczow, potem Breżniew, ale stalinizm został, tyle że przestano mordować; wszyscy jechali na rozwiązaniach stalinowskich, monopolu partyjnym, monopolu społecznym, ekonomicznym - i to uchowało się do dzisiaj, tkwi nadal w strukturach, trzyma się na recepcie Stalina. A komunij ja nie znam, marksizmu mnie w zawodówce nie uczono, nie czytałem Marksa ani Engelsa, może tam jest co dobrego, nie wiem, więc wolę zwalczać to, co jest złe, a co znam. Monopol znam, to jest zniewalanie innych, zabranie im praw, jednostkom i grupom społecznym, i przyznanie ich wyłącznie sobie. Przeciwno temu jestem. I gdy uruchomimy pluralizm, on to tak szybko wykończy, że nawet się nie obejrzymy. Stalin pójdzie pięciu procentach, bo dwadzieścia pięć procent zostanie jeszcze w ludziach - i uruchomimy inny system. Jaki on będzie? Ktoś powiedział, że socjalizm, czy też komunizm, nie pamiętam, to jest najdłuższa droga od kapitalizmu do kapitalizmu. Musimy wziąć rozwiązania, które się sprawdziły w świecie. To nie znaczy, że ja chcę budować kapitalizm, taki jest na Zachodzie, to nie jest możliwe w Polsce; ale niektóre wzory w ekonomii się sprawdziły i nie ma innych. Trzeba je czymś obudować, żeby nie były zbyt ssanie, żeby nie zgubić człowieka. Polska ma szansę zbudować lepszy system niż na Zachodzie, bo ma pewne ciekawe doświadczenia, ma doświadczenia rozmaite, dobre i złe. Jak to ja kiedyś mówiłem: dobre zarobki, te dolary, owszem, tu przenieść, ale nasze objadnie zostawić - i wtedy by się ludziom dobrze żyło; no ale tak to nie da, pracować będzie trzeba.

- Jest wiele nowych zjawisk w aktualnym życiu społeczno-politycznym kraju, powstają stowarzyszenia, kluby polityczne i jest w perspektywie "okrągły stół". Czy w tym porozumieniu, które ma się stać jego konsekwencją, nie zabraknie dla nich i ich propozycji miejsca, skoro przedstawiciele tych wszystkich nurtów przy "okrągłym stole" się nie znajdują?

- Do "okrągłego stołu" ja mogę wziąć ze sobą tylko tych ludzi, których dobrze znam, którzy ciągną w tym samym, co ja, kierunku. Moja rola i ludzi, którzy będą ze mną jest jedna: załatwić dla Polski pluralizm - i na tym ona się zakończy. Dalsza sprawa: wprowadzić ten pluralizm na niższy szczebel, przenieść to, co tam wywalczymy, w dół, w ekonomię, w życie publiczne, przeprowadzić Polskę w sposób płynny do pluralizmu faktycznego, żeby on się nam nie zamieniał w anarchię. To będzie bardzo trudny moment, zwłaszcza pogodzenie pluralizmu ekonomicznego ze związkowym. Konflikty i tak będą i różnice interesów, ale niech nie występują za wcześnie, trzeba wcześniej wypracować mechanizmy medycyjne, utworzyć jakieś ciała złożone z właściwych autorytetów, które będą rozstrzygać. To jest związane z wielkim niebezpieczeństwem. Nie należy nic przyspieszać, musimy robić to co trzeba, po kolei. Więc nie wszystko od razu na "okrągły stół". Taka jest tu taktyka. I nie mylić XIX wieku z XXI, nie mieszać ich i nie martwić się, co będzie za sto lat. Ktoś mi mówi, że my chcemy wprowadzić ludzi w błąd, bo z jednej strony o normalne mechanizmy ekonomiczne, o wolny rynek, z drugiej strony "Solidarność" to jest przecież organizacja wielkoprzemysłowej klasy robotniczej i na niej stoi, a wolny rynek obróci się przeciw interesom robotników. Ja nie mam na to odpowiedzi, nie mogę mieć, jedno wiem: trzeba zacząć od wolności, bo jesteśmy w sytuacji, w jakiej jesteśmy. Zresztą nie ma rozwiązań idealnych, więc nie martwmy się na zapas, bądźmy praktykami, nie idealistami, nie postępujemy jak pan Miodowicz, który chce ludzi uszczęśliwić, ale nie chce im dać wolności. Na razie musimy utrzymać "Solidarność" jako wielki i reprezentujący nas wszystkich ruch, bo ona jest gwarantem, że nie damy się wykołegować władzy; bo może filozofia władzy pozostaje dalej ta sama: pomóżcie nam, wejdźcie do rządu, tu i ówdzie, ale nie za dużo, pomóżcie nam dostać pożyczki i wyciągnąć kraj z dziury, a potem my zbudujemy nowe więzienia i jak się nie zresocjalizujecie, to was zamknijemy. Ponieważ filozofia władzy jest taka, to my do pomocy w odbudowie kraju idziemy, ale tworzymy i chronimy struktury, które nie pozwolą tak z nami postąpić.

- Więc, twoim zdaniem, "Solidarność" będzie zalegalizowana? Kiedy? I jaka ona będzie po legalizacji? Dlaczego nie zachęcasz wyraźnie do powoływania Komitetów Założycielskich w zakładach?

- To pewne, że będzie inna niż była, bo my już jesteśmy inni, ja jestem inny, starszy i nie chce mi się już jeździć po Polsce i gasić strajki, i młodzież jest inna, z innego punktu startuje. We Francji jest sto tysięcy ludzi z Polski, a siedemdziesiąt procent chce wracać. Dochodzą nowe elementy, nawet personalne, nowe doświadczenia. Ja nie wiem, jaka teraz będzie "Solidarność". Na razie chcę mieć prawo, żeby ona zaistniała, żeby mogła wybory zrobić, bo ona musi mimo wszystko powstać od dołu i wybory przyniosą nowe rozwiązania. Tylko jedno wiem, że nie zdamy się już na demagogów, takich, co to wielu ich było, a pierwsi uciekli na Zachód. Z demagogami będziemy ostrożniejsi, demagogię będziemy zaraz w łeb trącać. Teraz potrzeba walki ostrej jak brzytwa, ale mądrej. Ta "Solidarność" po naszych doświadczeniach powinna być bardziej świadoma, a jednocześnie oddać część tematów innym, stowarzyszeniom, klubom, partiom politycznym, musi sobie powiedzieć,

że 1980 rok się skończył. Musimy tworzyć zabezpieczenia bardziej pluralistyczne. A co do terminu rejestracji: powiem tylko, że to, co chcieliśmy w maju i kończąc sierpniowe strajki, dają nam - i nie chcemy wziąć, chcemy więcej.

Teraz dlaczego ja nie apeluję o powoływanie Komitetów Założycielskich "Solidarności"? Bo postanowiłem się nie dać zamknąć w żadną szufladę, w związku z czym jest tak, że wszyscy się do Wałęsy przyznają. Jestem i z Komitetami Założycielskimi i z tymi, którzy uważają, że Komitety to jest zdrada, bo trzeba być gdzie indziej; jestem ze starymi i nowymi strukturami związku, bo tak sobie założyłem, jechać we wszystkie strony, narowiste trochę poskronić, inne podciągnąć i do przodu, taką sobie rolę wyznaczylem. Dla mnie "Solidarność" to jest reforma, reforma pod nazwą "Solidarność". W osiemdziesiątym roku był etap: strajki i transparenty, to było dobre, inaczej nie mogło być, żadnych prawie błędów na tym etapie nie było, ale teraz jest inny etap, pluralistyczny i szukanie programów, następny będzie znowu inny, to etap podziału na nurt związkowy i inne, które będą miały rodowody "Solidarności", ale własne wizje, którym ta główna "Solidarność" może przeszkadzać, hamować. W związku z tym "Solidarność" z końca lat osiemdziesiątych czy początku dziewięćdziesiątych już nie będzie taka piękna jak ta z 1980 roku, i ja już nie będę taki piękny, bo nie jestem już młody, bo coś zdarza się raz.

- *Spośród tych koni, o których mówisz, jeden jest dość narowisty: to emigracja polityczna. Ale on wspaniale ciągnie i to od czterdziestu lat. Dlaczego będąc we Francji nie słożyłeś wizyty Jerzemu Giedroycowi, niekwestionowanemu liderowi politycznemu i moralnemu polskiej emigracji? Czy dlatego, że "Kultura" paryska, gdy ma wątpliwości, to nie owija ich w bawełnę i ostatnio krytycznie ocenia atmosferę w kierownictwie Związku oraz niektóre twoje po-
ciągnięcia?*

- Nie poszedłem do Giedroycia, bo on przyszedł do mnie. Jeśli chodzi o emigrację, to wielu ludzi chce wrócić, siedzą na walizkach. Chcą i boją się, ale jak stworzymy warunki, to wrócą.

Panu Giedroycowi powiedziałem natomiast otwarcie, że za szybko nas osądzają i lepiej by było, żeby pochopnie nie osądzali, ani Prymasa, ani mnie, żeby starali się zrozumieć nasze uwarunkowania i mechanizmy, w których to wszystko się tu rozgrywa i podejmuje się decyzje. Staralem się na spotkaniu z emigracją wiele rzeczy wyjaśnić, ale może rzeczywiście poświęciłem zbyt mało czasu wyświetleniu różnicy zdań, bardzo możliwe. Na swoje usprawiedliwienie mam to, że miałem tak strasznie mało czasu, pojechałem do Paryża właściwie z dnia na dzień, bez żadnych tez, bez przygotowania i miałem tam dwadzieścia, trzydzieści spotkań każdego dnia i sam nie wiem, jaki duch mnie trzymał, że z tego wyszedłem obronną ręką, cały czas improwizując. Wiedziałem też, że to nie jest ten czas i miejsce, żeby tam pracować polskie brudy. Polonii powiedziałem tylko jedno, że Polsce trzeba pomóc. A do innych spraw to my możemy wrócić kiedy indziej, nic nie przepadło.

- *Jak wypadł twój pobyt w Paryżu?*

- Podobno świetnie, tak mi mówiono. Prezydentowi Mitterrandowi powiedziałem: chwała panu za to, że pan mi zwraca uwagę, że bezprawie związane z monopolem należy prawem zwyciężać i że to prawo jest. Mówiłem o Deklaracji Praw Człowieka. Ja widzę, że to jest jedyna droga. To prawo trzeba wciśnąć w nasze bezprawie. Nie wiem, czy od razu całościowo, może po trochę w różnych kierunkach. Ale wiem, że Stalina można wykończyć, prawem wykończyć bezprawie.

- *Co chciałbyś uzyskać dla Polski przy okazji tej twojej pieruszej od siedmiu lat zagranicznej wizyty?*

- Wszystkim powtarzałem to samo, że Polsce trzeba pomóc, tylko tak, żeby to były inicjatywy, które wspomagają demokrację, dają ludziom zarobić, a nie dają pieniędzy na pałki i inne takie rzeczy. Więc pomoc przemyślana, rozsądna, wspomagająca siłę kraju oddolnie.

- *Jaki interes miał do ciebie Genscher?*

- I ja się nad tym zastanawiam. On jest aktywny w polityce, zobaczył, jak mnie w Paryżu przyjmują, tysiące ludzi, politycy, pomysłai, że tu jest poważna siła, że mamy nowe elementy i warto nas posłuchać. I my mu powiedzieliśmy, co chcemy, jak chcemy, jak powinno być, naszym zdaniem, że należy pomóc Polsce, ale żeby z tego bezpośrednie korzyści mieli pracownicy, fabryki, instytucje, nie od góry, a od dołu, każde z góry my odhaczamy i piszemy "straty", zła polityka. Tak mniej więcej mu powiedziałem.

- *Czy ci wiadomo, że Kohl zażądał szkół niemieckich na Opolszczyźnie, i że w związku z tym w niektórych regionach ożywa atmosfera obaw co do niemieckich planów wobec Polski?*

- O tym nic nie słyszałem. Ale co do zachodnich granic Polski nie ma żadnych różnic między Polakami, choćby inne były. Po taju tragediach, ofiarach niech nikt się nie waży, bo my na to krwią zapracowaliśmy. Co to to nie. W tej sprawie jesteśmy zgodni: nie.

- *Jak oceniasz na bieżącym etapie rolę Kościoła?*

- Ja tę sprawę już trochę poruszyłem w Sekretariacie Episkopatu, bo widzę, że oni też się trochę niepokoją, tak jak i my: że jeżeli w tym momencie Kościół czy też my popełnimy błędy, to po raz pierwszy może to bardzo niedobrze rzutować na nasze stosunki. Jeśli Kościół teraz był jakoś zweeksłował na bok sprawy społeczne, albo by ich nie docenił, albo przełożył nad nie inne, to po raz pierwszy po wojnie może się zrobić rysa na tej pięknej symbiozie, która się w Polsce wytworzyła między Kościołem a społeczeństwem. Nam się nie wolno odłączyć w tym momencie, kiedy się decydują losy może na przyszłe tysiąclecie. Myślę, że hierarchia zdaje sobie z tego sprawę, większość, choć tu i ówdzie słyszę głosy, że jak było tak było, ale siła się dzieliła na dwa, a teraz trzeba ją będzie podzielić na trzy, a więc to może niekorzystne, ale ja przed takim myśleniem przestrzegam, nam nie wolno tego błędu popełnić, świat już dawno skierował się źle i odchodzi od Kościoła, a my musimy utrzymać naszą symbiozę. W Paryżu powiedziałem - i to jedno się nie podobało, za to podpadłem - że u nich jest wspaniale, ale ducha nie widzę. Miałem na myśli puste kościoły, a u nas ducha widzę, ale to na przyszłość bardzo zależy od Kościoła. A konkretnie się obawiam, żeby Kościół za daleko nie poszedł na kompromisy, żeby nie ruszył z jakimiś stowarzyszeniami i inicjatywami, które sprawę rozmyją i komuniści jeszcze raz nas uziemią, gdy Kościół weźmie ochłap, zamiast iść z główną siłą. Ta siła może być niepokorna i Kościół może mieć z nią też kłopoty, ale tylko ta główna siła jest w stanie wprowadzić istotne zmiany, dzięki którym osiągnie się i inne sprawy. Mam pewne obawy, bo władze wszystko robią, żeby pozyskać Kościół. My też to robimy, ale my mamy moralne prawo.

- *Już były formułowane przez władzę takie zdania, że można pozwolić panu Wałęsie na utworzenie niezależnych związków zawodowych, pod warunkiem, że Kościół weźmie za to odpowiedzialność. Chodziło o chrześcijańskie związki zawodowe.*

- Na to ja się nie piszę, mnie w tej sprawie sondowano, udzieliłem odpowiedzi odmownej, nam nie wolno tego zrobić; nie wolno pozwolić wygrać jednej grupy przeciwko drugiej, bo w tym kraju są różne grupy; choć sam jestem wierzący, ale jak pluralizm - to dla wszystkich; mam przyjaciół, którzy nie są wierzący, ich sprawa, ale oni bardzo dużo dla tego kraju robią. Słyszałem, że niektórzy księża byli przerażeni czy niezadowoleni, że ja do "okrąglego stołu" zaproponowałem Kuronia i Michnika. Tutaj to ja przede wszystkim wypuściłem próbny balon, żeby wy badać faktyczne intencje władzy, czy potem nie zechcą mi zaraz mieszać w kartach. Dla Kuronia to wcale nie był szczyt marzeń, bo jemu by się zaraz zaczęło zarzucać, a to że nie jest wierzący, a to inne rzeczy, ale chciałem tak sprawdzić władzę, czy to jest uczciwa gra, w sprawie wolności i niezależności, teraz wystawię Moczulskiego, jeśli się zgodzi, zobaczymy, co władza na to. To było z mojej strony chłopięce zagranie, ale wyszło dobrze. Co nie znaczy, że ja bym chciał się Michnika czy Kuronia pozbyć, nie pozbędę się, bo oni naprawdę dużo robią. Nie mogę wymagać, żeby chodzili do komunii, jak nie wierzą, ale dla Polski oni solidnie pracują i byłbym głupcem, gdybym z tego nie korzystał. I to ja powiedziałem księdzu Prymasowi.

W Paryżu rozmawiałem z kardynałem Lustigerem, on nas podziwiał, że nam się to tutaj tak układa, że ludzie tak w Boga wierzą i że Kościół jest takim autorytetem.

Na świecie nas naprawdę za wiele rzeczy podziwiają. I związki zawodowe bardzo nas cenią. Francuskie związki spotkały się ze sobą dopiero pierwszy raz od czasu jak ja tam byłem ostatni raz, wtedy też się spotkali, poza tym ze sobą nie rozmawiają, a teraz rozmawiali, były wszystkie centrale prócz komunistów. Tak że nas tam szanują i kochają, i trochę nam pobłażają, tak jak kocha się dziecko, ale trzeba na nie uważać, bo ono może ściągnąć obrus ze stołu i potłuc zastawę, i jak my się już wreszcie usamodzielnimy i będziemy wolni, to oni przestaną nam pobłażać i będą coraz uważniej patrzeć, co i jak robimy, ale to jest przyszłość.

- *Przyszłość wiąże się chyba z radziecką "pieriestrojką". Czy liczysz na "pieriestrojke"?*

- Ja wymyśliłem jako odpowiedź na takie pytanie wzór matematyczny. Więc: wszystkie kraje nasze w demoludach mają ten sam mianownik: ten sam system i te same problemy, fatalną rzecz, którą trzeba poprawić; natomiast każdy kraj ma inny licznik. Przez licznik przyjdzie poprawa tego mianownika. W liczniku radzieckim są republiki, mocarstwowość, rzeczy dobre i złe z tym związane; w liczniku polskim: niezależny Kościół, który się nikomu nie podporządkowuje, nawet "Solidarności", niezależne rolnictwo, jest "Solidarność"; w liczniku NRD jest RFN, która tylko czeka, żeby pomóc. Kto ma najciekawszy licznik do zmian? Zdawało by się, że NRD. Ale ze względów historycznych, obciążeniowych, odpada, na razie odpada, ostrzegam, na razie. Natomiast Polska się wysuwa do przodu z najlepszym licznikiem i ma największe szanse na pieriestrojke, na reformę. Bo w Polsce jest tylko pięć procent ludzi, którzy mówią: wiesz, Lechu, umrzeć się nie umarło, trochę się ukradło i jakoś było, a ty mi proponujesz pluralizm, szukanie, ja już nie chcę, daj mi spokój. W Polsce jest tylko pięć procent takich, przeważnie starzy, którym się nie chce. A gdzie indziej osiemdziesiąt. Pani Jelena Bonner, żona Sacharowa, mówi mi: Gorbaczow tylko ładnie opowiada, ale nic nam nie daje. Ja na to: pani Jeleno, jak on może wam coś dać, jak ma przeciw sobie prawie wszystkich, administrację, aparat partyjny, wojsko; trze-

ba samemu brać. On mówi: bierzcie sowchozy, a robotnik myśli: po co mi to, teraz idę o dwunastej do roboty, a potem będę musiał wstawać o szóstej, brać odpowiedzialność; to samo w fabrykach, nie chce im się, zostali duchowo zniszczeni. Im potrzeba kilkadziesiąt lat. Pani Jelena to potwierdziła, że jeżeli nam się nie powiedzie z naszym pięknym licznikiem, to u nich nie ma mowy. My mamy większą szansę, dlatego liczymy na siebie.

- *Jak sobie wyobrażasz przyszły kształt ustrojowy Polski?*

- Chirac i Fabius opowiadali mi, że to jest socjalizm i jak powinien wyglądać. Podobało mi się, czemu nie. Brak tam Boga, to mi się trochę nie podobało, ale nie zabrania mi się widzieć Boga. Ale to wszystko złuda, ja nie określam się w żadnym systemie. Ja chcę mieć wolność, chcę znosić życie, mieć możliwość organizowania się, chcę iść do kościoła, napisać coś i wydrukować, chcę mieć wolność cenzury, zapisać się do partii, jaka mi się spodoba, żeby się czegoś nauczyć z polityki, bo teraz mało umiem. A jak to się będzie nazywać? ...Ważna jest zawartość butelki, a nie nalepka na spirytusie: "tu jest woda". Najważniejsza jest wolność!

- *Lechu, za jedenaście lat jest rok dwutysięczny. Jak myślisz, czy wtedy będziesz nadal tym pierwszym z nas, przywódcą niezależnego społeczeństwa?*

- Nie wiem, na razie mam coś do powiedzenia, dlatego mnie wysuwają, choć właściwie jestem uzurpator, zostałem wybrany na inną sytuację, ale na tę sytuację, co jest, też jestem dobry, choć wielu jest mądrzejszych, co mają więcej "liter" w głowie. Ale może się zmęczyć, czasem chciałbym już odejść.

- *Czy w tej chwili czułyby się na siłach zostać polskim mężem opatrznościowym i przyjąć jakąś kierowniczą funkcję w państwie, gdyby luźnie tego chcieli?*

- Trzeba wycofać to pytanie. Nie wiem, wydaje mi się, że do polityki trzeba mieć więcej teorii, wtedy jest łatwiej. Musiałbym się zapisać na studia, a jakbym skończył, to by mi już nie były potrzebne. Ja stałem się politykiem mimo woli. Myślę, że jest wielu lepszych ode mnie, z wykształceniem, niech się wykażą. Z tym, że my na razie nie przysługujemy władzy, nie dajmy się kusić. Nie spieszymy się do władzy.

- *Jako nieprofesjonalista uprawiasz jednak politykę i spotykasz się z politykami. Jak sądzisz na podstawie twoich kontaktów i ostatniej wizyty we Francji: czy Zachód może jeszcze mieć jakiś interes w Polsce, skoro jesteśmy żebrakami Europy, jak to ty często mówisz?*

- Ja tym politykom często mówię żartem, że kiedyś spotkamy się w chmurce i zapytamy: z jakiego bloku politycznego jesteście - to na marginesie rozważań o elektrowniach atomowych. Im bardziej niebezpiecznymi zabawkami się bawimy, tym większa musi być kontrola i współpraca między nami. Jeżeli oni nas zostawią samym sobie, to wiatr znał naszej elektrowni może przywiać chmurkę do nich. Nie można zostawić beztrwosko czterdzieści milionów Polaków. Owszem, jesteśmy w tej chwili żebrakami Europy, co gorzej hamujemy jej rozwój, tacy jak my hamują, pogłębiają u nich bezrobocie i nadprodukcję, jesteśmy winni, nie korzystamy proporcjonalnie do swojej wielkości z dóbr i potencjału, który gdzie indziej się znajduje. Jesteśmy sobie nawzajem potrzebni i każdy musi wiedzieć, kto w co się bawi, a jak nas zostawią w pokrzywach, to i tak będą musieli do nas wrócić. W Polsce drzenie wielki potencjał, nie wykorzystany, który by się przydał światu. W Chinach, gdzie dano wolność, ruszyła taka produkcja, że teraz trudno to zatrzymać. I my w ciągu dwudziestu, trzydziestu lat jesteśmy w stanie dogonić świat. To ja mówię politykom i oni mi przysługują rację.

- Z tym, że wszystkie kalkulacje mogą wpaść w łeb. Polska tego, co jest, już chyba dłużej nie wytrzyma, młodsi ludzie są tak znietlepliwni, że mogą wkrótce wyjść na ulicę i co będzie, jak poleje się krew?

- Po największej wojnie, po wybicciu wszystkich szyb milicji i partyjnym, będziemy nadal w tym samym miejscu i z nieba nam nic nie spadnie. My mamy pięści, władza ma strzelanie, jak będzie im mało, poproszą o bratnią pomoc. Na ulicy nie ma rozwiązań. Trzeba się czasem tam pokazać i się władzy przypomnieć, bo jak byśmy spali, to władza nas nie zauważy. Ale ostrożnie z wybijaniem szyb i z biciem się, należy tylko demonstrować siłę, lecz jej bez sensu nie używać. Trzeba żeby społeczeństwo było aktywne, gdzie kto może i przypierało władzę do muru rozwiązaniami. Ja ich szukam, wszyscy szukajmy. A młodzi muszą trochę nam zaufać, bo inaczej, jeśli ja chcę cisnąć władzę, a oni mnie nie słuchają, to kim jestem dla władzy, figurantem? A zresztą, kto matki, ojca nie słucha, ten psiej skóry poniucha. Nie możemy iść na wojnę domową. My robimy wielką walkę, łamiemy struktury, które istnieją siedemdziesiąt lat, w sytuacji strasznej. Robi się rewolucję strzelając i tak jak my, pokojowo. Jak nie będzie rozwiązań takich jak moje, jak te, co my robimy, to już nie wiem. Rozumiemy znietlepliwienie i złość tych chłopców, ale czasem musimy im powiedzieć: stop, trzymajcie nerwy na wodzy.

- Z dala od centrum, od Gdańska, od ciebie, atmosfera jest mniej optymistyczna, na przykład na Śląsku. Czy nie powinienś częściej bywać w innych regionach, żeby podtrzymać ducha w tamtejszych ludzi?

- To nie tak, tam musi się narodzić ich Wałęsa, przez krzywdę, przez ból. Gdybym ja teraz jeździł i ich uszczęśliwiał, to bym tylko pozornie im pomagał. Może będzie znowu taki czas, kiedy będę musiał jeździć po wiecach, jak to kiedyś było. Ale to jeszcze nie jest ten czas. Śląsk dołączy wcześniej niż myślimy, bo ma warunki, bo już przyszył z ostrą walką. Ale nie ma sensu siać pszenicy na śniegu. Mogę się mylić co do oceny, czy to już. Ja oceniam, że, jeszcze nie.

- Mądry przywódca przygotowuje sobie następców. W twoim otoczeniu ich nie widać. Nie dokonuje się żadna zmiana pokoleń, wymiana elit, ludzie przy tobie nie wyrastają. I ciągle wrze - pomiędzy tobą, Borusewiczem, Merkelem, Gwiżdzą. Iważa się, że zbyt słabo przeciwdziałasz rodzeniu się niepotrzebnych animozji i sporów lub wręcz jesteś za nie odpowiedzialny. Dlaczego energia, zamiast iść w parę, ulatnia się na boki?

- Wiele dróg prowadzi do tego samego celu, i ja też nie mam pewności, że moja droga jest właściwa. Więc może w tych tarciach, różnicach zdań jest siła, nie słabość. Czasem tak jest, że w bałaganie jest najlepsza organizacja. Tu chodzi o koncepcję, są różne koncepcje. Gdybym w 1982 roku postawił na jedną, to może bym zrobił błąd, dużo byśmy stracili. Zresztą inaczej nie da rady, demokracji, tego, co mają na Zachodzie, oni uczyli się latami, u nas też to nie może wyjść od razu. Wałęsa mógłby być demagogiem, ale inni mu nie pozwalają. A więc tracimy na jedności, ale zyskujemy na pluralizmie. A co do młodzieży, że jej przy mnie nie ma: bo to nie jest sprawa wyboru, tylko dopchania się. Tam, gdzie są ciała z wyboru, to ja to robię, dokooptowuję młodych, tak robiłem z KKW, wciągnęliśmy wszystkich, którzy się objawili w strajkach. Ale w normalnej mojej pracy nie będę wymieniał sekretarki na inną, młodszą, bo ta stara będzie przeciwko mnie, tu to są inne mechanizmy, samo życie to układa, a nie wybory. Nie zdradziłem nikogo, kto chce, to mi pomaga, kto nie chce, komu nie

odpowiada atmosfera, to nie, u mnie jest wolność i robota. Chodzi o pewną czystość moralną, o wybór właściwych osób do współpracy? Ja wiem i na to odpowiem, że może faktycznie będzie się musiał człowiek za niektórych wstydzić. Ale przypomina mi się pewna historia, co tu ją można zamiast odpowiedzi przytoczyć. Do kanonika Jankowskiego, na plebanie przychodzi pewna pani, właścicielka sklepu, bardzo zamożna i samotna. Ona mi powiedziała coś, co mnie zamurowało. Ją często pytają, komu ona zostawi swój majątek. "Zapiszę kurwom", odpowiedziała - bo one jedne mi pomogły jak byłam w więzieniu, inni obiecywali, ale nie pomogli. Dlatego im dam, bo im zawdzięczam, że to mam. Dlaczego to mówię, powtarzam? Bo są momenty, że walczą tylko wielcy fanatycy i cwaniaki, za pieniądze. Czasami trzeba będzie się wstydzić, że zliśmy z kims takim. Ale gdyby nie przemytnik, który przemyczał maszyny, to byśmy ich nie mieli. Porządny człowiek nie da rady, tylko największa kunda. I takich brudów jest dużo, że ktoś tam nie był w "Solidarności", robił za pieniądze. Wszystkie przestępstwa tego typu były robione z takimi ludźmi, no, bardzo wiele. Czasami i ja muszę sobie ręce ubrudzić, nie mam innych możliwości. Taka jest prawda i taka jest odpowiedź w sprawie wyborów, których ja dokonuję w mojej pracy z różnymi ludźmi.

- *Czy my jesteśmy, Lechu, patriotami? Czy potrafimy myśleć kategoriami Polski, a nie poprzez własny interes i ambicje? Przypomnij sobie, co było w 1981 roku w "Solidarności" i co zresztą jest teraz.*

- W patriotyzmie jedziemy głównie na tym, co zostało z okresu międzywojennego, na tamtych ideałach, bo w minionym czterdziestoleciu mówiono nam tylko, że jesteśmy mały kraj i że trzeba podporządkować się dużemu. Tak że może jest taki patriotyzm, jaki jest, ale chyba jakiś jest, bo zmierzaliśmy do niepodległości i dużo się zmieniło, w tej oficjalnej skali też. Przypomnijmy sobie, jak było w latach sześćdziesiątych, jak u nas traktowano w tramwaju księdza lub zakonnicę. Jak jeszcze w siedemdziesiątych latach patrzyło się na nas, cośmy podtykali innym gazetkę, ulotkę. A teraz jak jest? Wszyscy wiedzą, co to jest niepodległość i chcą ją mieć, inaczej się traktuje opozycję, bo wiadomo, do czego dąży. A co do roku 1981, to uważam, że jak na tak wielki ruch nie popełniliśmy tak wielu błędów. Pokażcie mi taki drugi ruch na świecie, żeby się nie wyrodził, nie zszedł na jakieś fałszywe pozycje. Wojny domowej jednak nie zrobiliśmy, Kościół nam pomagał, inne sprawy nas powstrzymywały i chyba historia nam to przyzna, że byliśmy patriotami. Oczywiście, jeśli uda nam się jeszcze dobrze przejść przez ten decydujący etap, który jest przed nami.

- *Więc co jest w tej chwili u nas najważniejsze, żeby osiągnąć to, o czym mówisz?*

- Żeby nam się chciało chcieć.

opracowała HENRYKA DOBOSZ

/Gdańsk, w grudniu 1988, po wizycie we Francji/

Andrzej Zarębski

GRAMATYKA WAŁĘSY

*Ja też jestem za uczciwością,
ale taką, która rozkłada siły na
finisz.*

Lech Wałęsa

Na marginesie opracowanego przez Henrykę Dobosz materiału z Konferencji prasowej Wałęsy, a także do bloku tekstów "wałęsowskich" chciałbym dodać rzecz, myślę istotną, a pominiętą. Chodzi o język Wałęsy, a ściślej - o gramatykę jego mowy.

W latach 1980-81 kilkakrotnie spisywałem z taśmy magnetofonowej jego wypowiedzi i notorycznie pozostawałem bezradny w obliczu nierozwiązywalnego dylematu: być wiernym literze tekstu, czy przerabiać tak, aby stał się on w piśmie zrozumiały? Język Wałęsy bowiem to macecznik sprzeczności, które w mowie umykają, lecz pismo obnaża je bezlitośnie. Słynne "jestem za, a nawet przeciw", nie wymyślone przecież, niech starczy za przykład.

Ma on także swój repertuar powiedzonek, przypowieści i anegdot, jakich używa do wyjaśnienia swego stanowiska w kwestiach, o które jest najczęściej nagabywany. Bywa, że historyjki te rzeczywiście pozwalają lepiej go zrozumieć, częściej jednak stwarzają mu szansę ucieczki przed jednoznacznym opowiedzeniem się za jakąś racją, czy rozwiązaniem.

Gramatyka jest skuteczną bronią Wałęsy. Jego "robotą językową" - trudno powiedzieć, na ile świadoma, a na ile, tak jak wiele rzeczy u niego, intuicyjna - pozwala mu na znaczne rozszerzenie pola manewru politycznego. Zdarza mu się, jak każdemu politykowi, że mówiąc coś, niebezpiecznie zbliża się do granicy kłamstwa, a może nawet ją przekracza. Ratuje się wtedy za pomocą składni. Gromadzi powtórzenia, łąmie sekwencje fraz, buduje zdania o trudnych do rozszyfrowania związkach zależności, miesza kropki z przecinkami. To sprawia, że zapamiętany zostaje tylko ogólny sens wypowiedzi. Tymczasem powiedziano dużo więcej - w tym także to, co owemu ogólnemu sensowi przeczy.

Ta właściwość języka Wałęsy powoduje, że przy okazji np. wywiadów prasowych, dziennikarz opracowując materiał, stoi w obliczu trudnego wyboru wśród wielu znaczeń odpowiedzi, jakie uzyskał. Stąd w wywiadach Wałęsa często wypada sztucznie, nazbyt jednoznacznie, nieprawdziwie. Jego wypowiedzi zostają zubożone przez podporządkowanie tezom, jakim mają służyć. W takich sytuacjach Wałęsa nie mówi, tylko "jest mówiony" - przez samego siebie, oczywiście.

To przecież mistrz języka mówionego. Język polski jest mu swobodnie dostępny począwszy od samych ludowych korzeni, poprzez mowę robotników i gwary ulicy, aż po język literatury i dyplomacji. Co najważniejsze, potrafi te języki skutecznie ze sobą mieszać, używać zamiennie i przewrotnie w stosunku do okoliczności. Idzie mu tym lepiej, gdy staje wobec konieczności polemiki i

musi bronić swych racji. Mówi wtedy zazwyczaj wszystko naraz, według swojego słynnego przed laty "jednocześnie-oczywiście".

Talent ten bardzo często wytrącał argumenty z rąk jego przeciwników. Urban był tylko śmieszny, gdy cytując Wałęsę, usiłował ujednoznaczyć jego stanowisko w jakiejkolwiek publicznej kwestii. W tej samej bowiem cytowanej wypowiedzi z łaźnią można było odnaleźć zaprzeczenie słów, jakie rzecznikowi rządu służyły za narzędzie propagandowej egzekucji Wałęsy. W efekcie padały pod jego adresem zarzuty, że ciągle zmienia zdanie, że zachowuje się jak chorągiewka na wietrze. I co? - Trzeba być nieprzytomnym przeciw, żeby nie dostrzec, ile w tym wszystkim było konsekwencji. Dzięki temu zaś, że budowana ona była według reguły gry przeciwieństw, Wałęsa zarówno jako osoba, jak i jako symbol przetrzymała w świetnej kondycji te wszystkie lata nagonki i szczucia.

Taka praca w obrębie języka ma jednak swoje strony złe, niebezpieczne zarówno dla mówiącego, jak i dla słuchaczy. Wszyscy ryzykują, że w pewnej - może nawet historycznej - chwili, zabraknie wiedzy zbiorowej pozwalającej ustalić, co w tym, co zostało powiedziane, było orzeczeniem, a co podmiotem. Na codzień zaś może to stawać się przyczyną wielu politycznych nieporozumień, a także społecznej dezorientacji.

Trzeba jednak pamiętać, że gdy mówi Wałęsa, to po trosze jest tak, jakbyśmy mówili wszyscy. Tutaj rzeczywiście "każdy z nas jest Wałęsą". Ma on zdolność łatwego przyswajania sobie argumentów i to zarówno zwolenników, jak i przeciwników. W odpowiednim czasie używa ich jako własnych, nie bacząc, że np. stoją w sprzeczności wobec tego, co mówi kiedy indziej. Ujawnia się w tym jego zdolność szybkiego reagowania na zmieniającą się sytuację. W takich razach głos Wałęsy jest emanacją głosów zbiorowości. I jak one brzmi polifonicznie.

Piszę o tym z tego między innymi względu, że byłem uczestnikiem konferencji prasowej, z której Henryka Dobosz sporządziła publikowaną wyżej relację. Zapis ten jest całkowicie zgodny z duchem tego spotkania, ja jednak z trudem odnalazłem w nim dalekie tylko echo toczącej się wówczas rozmowy. Nie jest to, oczywiście, pretensja. To właśnie wymogi spójności tekstu i logika języka zmusiły Henrykę Dobosz do takiej pracy redakcyjnej. Ale szkoda mi tego wszystkiego, czego pismo nie pomieściło.

Podczas tego spotkania zadałem między innymi Wałęsie pytanie, jak sobie radzi w sytuacjach, w których polityka zmusza go do kłamstwa. Pogłos odpowiedzi, jaką otrzymałem znajduje się w tej relacji. Przepadała jednak ta brawurowa ucieczka w gramatykę, jaką bezskutecznie usiłuję w tej chwili odtworzyć w pamięci. Nic z tego. Pozostał tylko ogólny sens.

Myślę więc z ulgą: jak to dobrze, że ten - także wielki przeciwnik - "językoznawca" jest po naszej stronie.

ANDRZEJ ZARĘBSKI

Adam Kinaszewski

WAŁĘSA '89

Szkic do portretu

Zjedliśmy z Wałęsą, począwszy od Sierpnia 1980 roku, beczkę soli, a ciągle jest dla nas postacią żywą, interesującą, zaskakującą. Nawet wtedy, gdy przez wiele miesięcy powtarza tę samą, raz "nagrana płytę".

Dałoby się ułożyć, niedługą zresztą, listę takich "płyt", odgrywanych przez Wałęsę z powodzeniem, począwszy od Sierpnia. Zawsze miał pewną ogólniejszą wizję i nawet w najtrudniejszych chwilach ta wizja zawierała elementy projektujące, w związku z czym nie podlegał Wałęsa załamaniom i poczuciu beznadziejności sytuacji. Jest z tej szkoły, co Frank Sinatra, który miał tych swoich singli ze dwa, trzy i zawarł w nich prawie wszystko, całą swoją filozofię. W *My Way* mówił o sobie, a w *White Christmas* o tym, co każdy czuje. Dzięki temu był symbolem Ameryki i każdy wiedział, co to za facet, jak idzie w życie, jak czuje, jak gra, choć wścibska prasa czasem coś wymyślała - o powiązaniach z mafią, o narkotykach. Wiadomo - strzępili języki. Więc to jest dobra szkoła, pod warunkiem, że na się coś do powiedzenia i że to coś nie zwietrzeje po paru sezonach...

Pamiętam nieco surrealistyczną atmosferę obchodów pierwszej rocznicy Sierpnia 1980, którą chyba trafnie wyraził Jacek Kaczmarski w balladzie *Budujcie arkę przed potopem...* Przed Pomnikiem Trzech Krzyży w Gdańsku, pod Stoczną, Krzysztof Babicki inscenizował wielkie widowisko plenerowe - powtórkę z powojennej historii antykomunistycznych występów społeczeństwa; Krystyna Janda odśpiewała balladę o Janku Wiśniewskim, odbywały się święcenia sztandarów, wystawy plastyczne o tematyce patriotycznej. Realizowałem wtedy film *Sierpniowa Ćni* - Wałęsa mówił w nim, jak widzi swoją rolę w skomplikowanej sytuacji, jaką stwarza "front odmowy" ze strony władzy, która wówczas robiła wyraźnie politykę "im gorzej - tym lepiej", szczególnie w gospodarce. Wydawało się, że "Solidarność" powinna włączyć się w bezpośrednie zarządzanie tym, co się rozpadało na naszych oczach - i o to pytałem Wałęsę. Odpowiadał jakby nie na temat: "Jestem po to, żeby siedzieć na dziobie tego okrętu i sterować tak, żeby nie zatonął - mówić - dopóki on płynie, dopóty różne grupy mają szansę załatwienia wszystkich niezałatwionych spraw..." Już wtedy wyraźnie sytuował się ponad bezpośrednią odpowiedzialnością za bieżące wydarzenia.

Szkicując polityczny portret Wałęsy, nie sposób opierać go tylko na faktach i działaniach, elementach programów ideowych, opcjach politycznych i efektach. I to nie tylko dlatego, że ciągle nie widać końca drogi, że nie zapadły ostateczne rozstrzygnięcia, że gra się toczy. Przede wszystkim dlatego, że bardzo specyficzna, złożona osobowość Lecha jest istotną komponentą całego procesu politycznego, któremu przewodzi.

Kiedy później poznałem go bliżej, szczególnie w okresie, gdy przygotowywaliśmy jego głośną już biografię /z konieczności snuł wtedy refleksje o sobie, o pewnych wydarzeniach z przeszłości/, z dzieciństwa, faktach mających już miejsce w Gdańsku/, opowiadał mi o tym, jak w tragicznym Grudniu 1970 roku znalazł się w sytuacji rokującego pomiędzy pracującym pod komitet i komendą pochodem stoczniowców a milicją. Dotarł aż do sztabu dowodzenia operacyjnego przy ulicy Świerczewskiego, na drugie piętro - i stamtąd, rozmawiając z kierującymi akcją policjantami oraz przez okno z napierającym tłumem - próbował odwró-

cić dramatyczny bieg zdarzeń zmierzających do krwawego starcia. Z niewielkim zresztą wtedy powodzeniem...

To jedna z konstytutywnych cech Wałęsy, że nie przyjmuje reguł rozgrywanego się klasycznego dramatu, w którym obie strony, jak w antycznej tragedii, zmierzają do nieuchronnego końca według jakby z góry napisanego scenariusza przeznaczeń. Nie poddaje się pokusie klasycznych zachowań /"nie interesują mnie romantyczne klęski" - powiada/, jest raczej specjalistą od wytrącania głównych aktorów z ich dramaturgicznych *emplois*, od ingerowania w dramaty i wskazywania możliwości zupełnie innych rozdań ról i rozegrań akcji. Z dwóch możliwych rozwiązań, z których każde jest nie do przyjęcia dla drugiej strony - z reguły wybiera trzecie. Dlatego, w złożonej sytuacji politycznej Polski i jej burzliwych przekształceniach ostatnich lat, próbach wydotania się z totalitarnego kokona, gdyby nie było Wałęsy, trzeba by go wymyśleć.

Sądzę, że nie brak w obrębie władzy ludzi dostrzegających tę jego rzadką cechę - i chyba temu właśnie należałoby przypisać fakt, że mimo wściekłych kampanii i niezliczonych zapowiedzi wykreślenia na zawsze Wałęsy z publicznej sceny - przetrwał także i te propagandowe egzorcyzmy. Zamykany w sejfach "lamusów historii", wykazywał w stosunku do tych żelaznych zamknięć właściwości kwasu solnego. Zresztą ktoś go już nie żegnał, z mniejszymi czy większymi honorami, a czasem może nawet z ulgą, bo zawsze był czynnikiem, z którym trzeba było coś zrobić, jakoś wobec niego się opowiedzieć, określić, a przez stosunek do niego wyrazić równocześnie jakby stosunek do historycznego przełomu sierpniowego. Więc żegnano go i grzebano przy różnych okazjach - nie tylko władze stanu wojennego, Rakowski czy Urban. Także niefortunnie odczytujący intencję Ojca Świętego podczas drugiej pielgrzymki do Polski /spotkanie z Wałęsą doszło do skutku dopiero w ostatnim dniu, w schronisku w Dolinie Chochołowskiej/ i zdymisjonowany w skutek swej pomyłki ksiądz Levi. Wcześniej, świetnie skądinąd zorientowany ksiądz Alojzy Orszulik, gdy zalecał Danucie, żonie Wałęsy, uznanie żelaznej logiki faktów stanu wojennego, który nawet jeśli ustanie, to jednak będzie zamknięciem publicznego rozdziału działalności Lecha. Stefan Kisielewski jeszcze w marcu przed dwoma laty podczas spotkania w Gdańsku zażądał Wałęsę, może nieco prowokująco: "No, ale dla pana gra jakby się kończy, co?".

Wydarzenia ostatnich miesięcy, tygodni, dni - cały wiosenno-letni sezon polityczny, od strajków majowych poprzez sierpniowe, aż po produkcję "okrągłego stołu" ze strony władzy, telewizyjna debata z Miodowiczem, wizyta w Francji, ukonstytuowanie się wokół Wałęsy Komitetu Obywatelskiego, czyli zinstytucjonalizowanie polskiej opozycji, dobitnie świadczą o zwycięskiej próbie czasu, jaką przetrwał mimo tak zmiennych kolei losu. Bo przecież od porwijającego strajku sierpniowego sprzed ośmiu lat wydarzyło się tak wiele!

Od czasów Sierpnia - i widzieli to wszyscy - był w nim materiał na postać o historycznej roli, tyle że nie całkiem pasującą do polskich patriotycznych stereotypów. Podczas pamiętnej rundy spotkań w Polsce /odbywały się przeważnie na stadionach, w wielkich halach i były improwizowanym dialogiem z tłumem/ doszło w Krakowie, a jakżeby inaczej, do pewnych historycznych stylizacji... Oto na rynku, przy płycie naczelnika Kościuszki następuje coś w rodzaju powtórzenia tamtej przysięgi. Kościuszko, bo też z ludu. Nikt wyraźnie nie stawiał kropki nad "i" w tych analogiach z przeszłości, ale rosło cichą nadzieją polskie serce. Sceptycy mówili, czując wymogi współczesnych czasów i nieprzystawalność tamtej odległej historycznie postaci do rzeczywistości Polski realnego socjalizmu: no, ale Piłsudski to on nie jest, może bardziej Witos...

Nie podejmę się udowodniać, że jest... Tamten czyn zbrojny pozostanie w polskiej historii i legendzie, a Marszałkowi chwiała za zdolność podjęcia tego czynu w niełatwej sytuacji zewnętrznej i wewnętrznej, a także wśród wielu dyskusji i rozmaitych opcji. Ale i teraz nie brak rozmaitości poglądów. Czy jest więc coś wspólnego w tych sylwetkach mimowolnie przecież porównywanych, przy wszystkich zastrzeżeniach i *toute proportion garde*? Sądzę, że tym czynnikiem jest "ponadpartyjna świadomość". Umiejętność Wałęsy "jechania w konie jakie są" jest jakimś odpowiednikiem ponadpartyjnej, narodowej opcji Marszałka, którego nie bez racji podejrzewano, a w końcu przyjęto to za udowodnione, o mierne przywiązanie do PPS-owskich sztandarów, gdy w grę wchodził nadrzędny interes narodowy. Mimo bliskich, roboczych związków z lewicą KOR-owską /Wałęsa w okresie pozbawienia pracy korzystał z pomocy finansowej KOR-u w latach siedemdziesiątych/, nikt nigdy przecież nie próbował go utożsamiać z KOR-em. Nawet alergicznie reagująca na to hasło w okresie legalnej działalności "Solidarności" władza co najwyżej atakowała wpływ KOR-owskie w Związku. Z czasem zresztą Wałęsa "pożenił" wszystkich: Michnika z księdzem Jankowskim, neopepesowców z narodowo zorientowanym RMP, wąpiących partyjnych z Kościołem, zaś działacze KOR-owskie byli skutecznie przez niego ograniczani i nawet eliminowani z kierowniczych gremiów "Solidarności".

Ale zostawmy na boku snucie analogii, materia biograficzna w obu przypadkach jest na tyle bogata i złożona, że cierpliwie zniosłaby także proces odrotny. Nie w tym rzecz. Jest Wałęsa zjawiskiem oryginalnym, zasługującym na osobną refleksję, skoro wszystko wskazuje na to, że będzie jedną z centralnych /może centralną?/ postaci Polski okresu zasadniczych reform ustrojowych, skojarzonych z przewartościowaniami systemowymi w całym bloku wschodnim.

Z czasu, gdy z nim współpracowałem jako rzecznik prasowy, pamiętam wywiad, jakiego udzielił pewnemu włoskiemu dziennikarzowi - był to jeden z tych momentów, gdy Wałęsa "nagrywał płytę", dokonywał sumowania mieszaniny pewnych przemysłów, przeczuc i przewidywań na zadany temat. Punktem wyjścia tych jego rozważań było pytanie-stwierdzenie dziennikarza: "Czy nie jest pan, panie Wałęsa, jednym z tych bezsilnych proroków, których nie brak wokół i którzy prócz słusznego wizji, nie mają siły ani sposobu, by wpływać na wydarzenia, kształtować je...?"

Wywiad udał się nadzwyczajnie - Wałęsa nie znosi współczucia, uznawania go za nieskutecznego w działaniu. Przedstawił wtedy rysującą się w świecie, jego zdaniem /a był to środek stanu wojennego/, koncepcję nowej filozofii politycznej, nowego podejścia do takich zagadnień, jak polityczny podział świata, geopolityczne determinanty, przynależność Polski do wschodniego bloku militarno-ideologicznego i pewien kres tych pojałtańskich ostrych wyznaczników rzeczywistości. Na tym tle mówił o szansach i możliwościach Polski, ruchu "Solidarności" wspierającym się na wskazaniach społecznej nauki Kościoła, własnych szansach, wcale nie polegających na XIX-wiecznych motywach powstańczych, ale na cywilnym ruchu obywatelskim, moralnym. Przedstawiając tę wizję, w czasach Andropowa i Czernienki, przewidywał jakby logikę i konieczność pojawienia się Gorbaczowa. "Przewidział" też uznanie międzynarodowej opinii publicznej dla takiej właśnie filozofii walki bez przemocy, a dowodem tego uznania stała się przyznana mu pokojowa nagroda Nobla.

Nobel przyniósł Wałęsie nie tylko bieżące korzyści /przychodził w momencie, gdy antywałęsowska propaganda oficjalnych środków przekazu była w zenicie;/ nagroda spowodowała jeszcze większe zainteresowanie Wałęsą ze strony polityków i dyplomatów zachodniego świata. Do

tej pory był raczej gwiazdą międzynarodowych środków przekazu, od czasu Nobla stawał się coraz bardziej interesującym partnerem mężów stanu, których zastanawiał fakt, że mijają sezony polityczne, zmieniają się koniunktury, a Wałęsa trwa. Uznali - a są to przecież w pewnym sensie zawodowcy - że w przyszłości może stać się ich... kolegą. I to nieźle, bo praktycznie, zorientowanym w tej "egzotycznej" problematyce wschodniego bloku, wyraźnie przenikaniem przez nowe prądy i stanowiącego przedmiot dociekań zachodnich sowietologów. Tak nawiązywał się międzynarodowy polityczny dialog z Wałęsą, który, równoległe z władzami warszawskimi, prezentował w tych kontaktach polską rację stanu wobec świata, samodzielnie rozmieszczając w niej własne akcenty i bynajmniej nie pozostając w kręgu problematyki związkowej. W ten sposób dał się poznać prawie wszystkim liczącym się europejskim i amerykańskim politykom piastującym bądź rolę głów państw, bądź pretendującym do najwyższych godności.

Nie byłoby sensu przekonywać, że jest Wałęsa urodzonym dyplomata. Jest jednak przede wszystkim *self made man*em Polski realnego socjalizmu, Polski najgorszych stalinowskich przegień i odeskzańceń, aż po rok 56, Polski socjalizmu gomułkowskiego zakończonego kryzysami lat 1968 i Grudniem 1970, Polski dekady gierkowskiej, której miałość wizji i strukturalną niemożność włączenia się w cywilizację światową obnażył protest 1980 roku. A potem Polski epoki "Solidarności" i stanu wojennego. Choć mówi o sobie, że dość wcześniej odciął pepowinę łączącą go ze środowiskiem wiejskim, z małą wioską Popowo i najistotniejsza część jego doświadczenia to lata spędzone w robotniczym środowisku Gdańska - równocześnie bywa zacięty i podejrzliwy jak chłyst, który z obawy, że go oszwabią, na wszelki wypadek sam stosuje chwyt szczupaka. Zdobyć raz pochwycona jest nie do odzyskania. Może trudne koleje rodzinnych losów sprawiły, że wszystko, co podejmuje, musi mu się opłacać.

Zdolność i umiejętność instrumentalnego traktowania ludzi z ich kapitałem jest cechą dobrą dla przywódcy, ale dla człowieka - niekoniecznie. Docenia się więc walory Wałęsy jako przywódcy, ale nie zawsze praca dla niego łączy się z satysfakcją i radością współuczestnictwa. "Nie ufam nawet sobie" - powiada i tym samym uczuciem obdarza - rzecz jasna - innych. Współpracownicy więc jakby pozostawali w kręgu permanentnych podejrzeń o taką samą interesowność. Ma to niestety nie tylko psychologiczny efekt, ale pewne dość konkretne skutki dla atmosfery i efektywności działań społecznych w regionie gdańskim. Niechęć Wałęsy do działań organizatorskich obliczonych na dłuższy dystans i opierających się o rodzaj partnerskiej współpracy powoduje, że zmieniające się wokół niego zespoły nigdy nie mogą osiągnąć profesjonalnego stopnia zorganizowania i poziomu działania. Panuje duch *ad hoc* skrzykiwanego pospolitego ruszenia, w którym ludzie nawzajem sobie przeszkadzają, dublując lub wręcz niwelując wzajemne poczynania. Wszystko to jest ręcznie sterowane przez Wałęsę, informacje przepływają tylko w jednym kierunku: do przewodniczącego, tak, że współpracujące zespoły jakby były wzajemnie zakonspirowane w stosunku do siebie. Panuje przekonanie, że "dobre samo się przebieje", a wtedy zostanie wpisane na konto "mam". Oczywiście w takiej organizacji jedyną, absolutnie niezbędną i będącą warunkiem *sine qua non* wszytkiego osobą - jest osoba przewodniczącego. Być może i o to też chodzi. Te właśnie braki Wałęsy jako przywódcy pierwszy dostrzegł i otwarcie nazwał Lech Bądkowski - pisarz, "cichociemny", współtwórca i organizator Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, a w czasie sierpniowego strajku 1980 roku pierwszy rzecznik prasowy powstającego Związku. Niekwestionowany po dziś dzień autorytet moralny i wzór działania typu obywatelskiego. Tak więc było od kogo pobierać nauki.

Jest pytanie, czy to, co bywa po prostu nieprzyjemne, lub jest pewną nieojarjalnością w stosunku do ludzi, może mieć wpływ na program ogólny, na plan publiczny...

Żywiołem Wałęsy jest niewątpliwie działanie, akcja jest jego mocną stroną. Potwierdziły to po raz kolejny wiosenno-letnie strajki w Gdańsku. Wybuchły dość nieoczekiwanie w Stoczni Gdańskiej jako bunt nie tylko wobec beznadziejnej perspektywy życiowej młodzieży robotniczej, ale niejako również jako bunt przeciwko застоjowi w działaniach "Solidarności". Syndrom zapadania się w stojącej w bezruchu wodzie był nie do zniesienia dla młodych, którzy bez większych kalkulacji rozpoczęli "strajkową zadymę", tym samym jakby rzucając wyzwanie przewodniczącemu Związku. Wałęsa po raz kolejny wykazał, że ma tę twórczą właściwość przekształcania niepokoju społecznych w dyskurs polityczny i adresowania go w stronę władzy w sposób nie pozwalający na zweekslowanie sprawy na boczny tor /najchętniej zakwalifikowanie jej jako działań o charakterze kryminalnym, chuligańskim/. Wchodząc w ten ryzykowny strajk, ryzykowny, bo prowadzony niewielką ilością najmłodszych pracowników Stoczni, przy niechętnie postawie większości starszej załogi, podejrzewającej, że cała akcja jest sprowokowana przez władze, nadał mu treści polityczne i pokierował w sposób odpowiedzialny, przewidując wariantowe rozwiązania na wypadek, gdyby władza nie była w stanie przyjąć zasadniczych postulatów strajku /ocena aktualnych możliwości politycznych i psychologicznych władzy jest za każdym razem ważnym elementem brany przez Wałęsę pod uwagę przy forsowaniu programu "Solidarności"/. Do dziś trwają spekulacje na temat roli mec. Siły-Nowickiego w strajku stoczniowym, dążącego do przyjęcia kompromisu na poziomie proponowanym przez władze za pośrednictwem dyrekcji Stoczni. Wątek trwającego przez cały czas majowego strajku "mostu telefonicznego" pomiędzy mecenasem a generałem Kiszczakiem został wkalkulowany przez Wałęsę i stanowił dla niego jeszcze jeden "bezpiecznik" w napiętym i skomplikowanym mechanizmie politycznym, jakim jest strajk w takiej skali. Oto kolejna konstytutywna cecha Wałęsy jako przywódcy - przewidywanie zabezpieczeń. Jako elektryk doskonale zna miejsca, gdzie js montować tak, by zadziały niezawodnie i były niewidoczne dla uczestników i aktorów wydarzeń, nie ograniczały spontaniczności odruchów, potrzebnej do politycznej oceny istoty przebiegającego konfliktu.

Jego specjalnością jest gra na linii dialogu, dającego towarzyszącym mu poczucie bezpieczeństwa, przy jednoczesnym przekonaniu, że zawiera się kompromisy w absolutnie górnych granicach aktualnych możliwości politycznych. Jednym słowem - że idąc z Wałęsą, idzie się "do dechy", a przy tym porusza się w strefie bezpieczeństwa. To naprawdę duża sztuka - zapewnić wielkim masom społecznym, zaangażowanym aktywnie w bieżące dzieje swojego kraju, taką świadomość! W braku wszystkiego, czego nie mamy, nadaje to naszym działaniom poczucie sensu. I chyba ma sens.

Gdańsk, 20.12.1988 r.

ADAM KINASZEWSKI

rozmowa z Agnieszką Holland

"NIE CHCIAŁAM ROBIĆ TEGO FILMU NA KOLANACH..."

- Pytania mam zadawać pani czy tobie?
- Tobie. Będzie łatwiej rozmawiać.
- Dziękuję. Opowiedz, jak doszło do zrobienia filmu "Zabić księdza"? Czy producent znalazł ciebie; czy ty producenta?
- Producent znalazł mnie, a ja miałam gotową koncepcję, ponieważ myślałam o takim filmie, a nawet próbowałam kogoś nim zainteresować, bez większego zresztą sukcesu.

Potrzebny był mi ktoś, kto by uwierzył we mnie i zainwestował we mnie jakieś pieniądze. Wiesz, na świecie nie ma wielu producentów - normalnych producentów - którzy angażowaliby się w filmy o Polsce. We Francji jest przekonanie, na przykład wśród wydawców, że polski temat się nie opłaca, co jest paradoksalne, bo jednocześnie Francuzi są bardzo otwarci na Polskę. Ale otwarci w warstwie życiowej, a nie komercyjnej, to znaczy łatwiej ich skłonić, żeby wydali pięćdziesiąt franków i posłali czek dla polskich dzieci, niż żeby wydali trzydzieści franków i poszli do kina na film o Polsce. Właściwie, jak dotąd, żaden utwór o naszym kraju nie był tam bestsellerem, co się udało Kunderze z tematem czeskim. Może jest to sprawa wyjątkowego talentu Milana, w każdym razie znaleźć producenta, który by zaryzykował w mój pomysł było niemal że...

- No ale spotkałaś Alessandrino. Opowiedz o nim.
- To Korsykanin. Jest bardzo znaną postacią w telewizji francuskiej. Robił programy polityczne i filmy dokumentalne, natomiast jako producent filmów fabularnych nie miał żadnego doświadczenia. I to, niestety, troszkę wyszło. Ale w ogóle jest człowiekiem inteligentnym, odważnym i był naprawdę przejęty tematem.

Dlaczego? Bo ja wiem, to temat dla psychoanalityka. Może jego ojciec był komunistą... Nie sądzę, żeby przez Polskę nie mógł spać. Coś się z nim stało takiego, zresztą to musiało być głębsze, ponieważ chciał robić także film o ojcu Kolbe. Myślę, że mu ta namiętność do polskich księży już przeszła. W każdym bądź razie - tak to z nim było.

No a potem dla nas obojga zaczęła się przygoda. Na początku chcieliśmy zrobić tani, akromny film dla telewizji. Nawiązaliśmy kontakty z poszczególnymi kanałami, niestety wszędzie była odpowiedź negatywna. Potem pojechaliliśmy do Stanów, gdzie miałam nominację do Oscara za swój poprzedni film, co otworzyło nam szereg drzwi, które normalnie byłyby zamknięte. Tam również próbowaliśmy znaleźć coś skromnego, ewentualnie chcieliśmy wesprzeć się na jakimś bardzo znanym aktorze, który wszedłby jako udziałowiec. Okazało się to, niestety, niemożliwe. Po prostu na taki temat łat-

wiej jest zrobić film o dużym budżecie, niż o małym, co ma swoje określone konsekwencje produkcyjne, obsadowe i tak dalej. Nie wynajdywałam, na przykład, mało znanych aktorów, których bym sama odkryła; tylko szukałam takich, którzy mieli nazwisko, pozycję i gwarantowali sukces w sensie komercyjnym. Nie było to zresztą całkiem sprzeczne z bohaterami filmu, bo zarówno ksiądz jak i ubol, to postacie w jakimś sensie wyjątkowe i bardzo trudno wymagać od kompletnie nieznanego aktora, by zagrał przekonująco, i że go słuchają tysiące ludzi, prawda? Na ogół łączy się to z charyzmą medialną, czy jak to określić.

- *Skąd ostatecznie wzięliście pieniądze?*

- Znaczną ich część dostaliśmy od wytwórni Columbia dzięki jej szefowi Davidowi Pattnamowi. Jest to jeden z najbardziej znanych i niezależnych producentów na świecie. Columbia zaangażowała go właściwie ze snobizmu licząc, że Pattnam zrobi parę filmów, którymi poprawi jej image. Niestety był gadatliwy, mówił, że nie jest ważne, żeby film zarobił dużo pieniędzy, ważne jest, żeby nie stracił. To oczywiście nie podobało się ludziom, którzy robią pieniądze, którzy, owszem, przy okazji chcą mieć jakąś satysfakcję, jakiegoś Oscara, jakąś dobrą krytykę, ale to jest drugorzędne - liczy się szmal. Tak więc Pattnam już odszedł z Columbi, co źle wpłynęło na dystrybucję mojego filmu na świecie, bo nikt nie zrobi tego inteligentniej, z takim sercem i z takim biglem jakby to on zrobił. No ale cóż, dobre przynajmniej to, że dzięki niemu pojawiła się forsa. Trochę pieniędzy dostaliśmy także z Francji, a reszta była ryzykiem własnym Alessandrinięgo, który w tym celu zaciągnął długi i nie wiem, czy zarobił tyle, żeby mógł je spłacić.

- *Rolę księdza zagrał w twoim filmie Christopher Lambert. Jak do niego trafiłaś?*

- Od samego początku wiedziałam, że trudno będzie znaleźć aktora na księdza. Właśnie dlatego, że ta rola jest znacznie mniej efektowna i, w związku z tym, dużo trudniejsza. Nie wystarczy być dobrym technicznie profesjonalistą. Aktor grający księdza musi mieć pewien rodzaj osobowości, która jest inna, która jest, nie wiem, jakby... Musi mieć w sobie coś dobrego, coś delikatnego, coś wyjątkowego.

Miałam jeden czy dwa pomysły na aktorów amerykańskich, pomysły, które od razu okazały się nierealne z powodu dat i zobowiązań. Lamberta znałam oczywiście z filmów, które robił wcześniej we Francji. Był wtedy szalenie popularny, był kimś w rodzaju gwiazdy rockowej albo Rudolfa Valentino, co, po wprowadzeniu filmu do sal kinowych, nie okazało się najszczęśliwsze. Jego widownia, te wszystkie nastolatki rozkochane w komiksach chcą go widzieć w bardzo określonych rolach. To ma być ktoś, kto wygrywa, a nie ktoś, kto daje się zarzącać.

Tak więc widownia, na którą żeśmy liczyli, jego widownia, nie przyszła do kina, a z kolei amatorzy takiego filmu byli zdezorientowani przez fakt, że gra w nim Lambert, który kojarzy się z seryjnym, komercyjnym kinem.

Oglądałam Chrisa w "Greystoku, władcy małp", nie wiem, czy to widziałeś, to była jego pierwsza duża rola, która właściwie go zrobiła. Grał tam taki rodzaj Tarzana, jakby inną wersję Tarzana i zagrał bardzo ładnie, bardzo prościutko. Nie było to wcale głupie. Ten naprawdę ładny film miał nawet jakąś taką "głęboką" emocjonalną. Potem widziałam Lamberta w innych rzeczach no i nie myślałam, że go mój pomysł może zainteresować. Aż spotkałam pewną

staruszkę, która założyła we Francji nowy zawód, coś w rodzaju pośrednika wyszukującego aktorów do konkretnego filmu. To była bardzo mądra kobieta, wspaniała, barwna postać. Przeczytała scenariusz i powiedziała: Lambert. Byłam zaskoczona. Ale gdy go ujrzałam, zrozumiałam. On naprawdę jest bardzo dobry, bardzo delikatny i bardzo nieśmiały. Taki chłopiec - właściwie. Wtedy pomyślałam, że jest w nim pewien rodzaj zwyczajności, która w połączeniu z jego fotogenicznością może dać efekt taki właśnie... Tak, jak go zobaczyłam, powiedziałam sobie: to jest on!

Potem wiele razy miałam wątpliwości. Chris nie jest głupi. To chłopak bystry, z instynktem, z dużą wrażliwością, ale jednocześnie był kompletnie nie przygotowany do tego typu postaci, niewiele z niej rozumiał. Bałam się tego zwłaszcza, że inni aktorzy, głównie Harris grający ubeką, to profesjonaliści o fantastycznej technice, o dużej samoświadomości i o sporej wiedzy na temat Polski.

- A Lambert? Jak sobie poradził?

- Wiesz, z nim stało się coś dziwnego. Sam o tym mówił później w wywiadach. W momencie, kiedy po raz pierwszy założył sutannę kompletnie się zmienił. To znaczy zmienił mu się sposób chodzenia, tżymania ciała, patrzenia, jakby pewien rodzaj autorytetu w niego wstąpił.

Powiedziałam o tym kiedyś biskupowi Lustigerowi i zasugerowałam: "może to szkoda, że księża we Francji nie noszą sutanny; może przez to tracą pewien rodzaj formy, która okazuje się również treścią". Biskup Paryża zaśmiał się i powiedział: "no tak, trzeba było, żeby nam to komediant uświadomił".

Ale wracając do rzeczy. Najpierw kręciliśmy w studio, a potem mieliśmy pierwszą dużą scenę w kościele, kiedy Lambert wygłasza homilię. Chris był potwornie spięty, ja też jeszcze nie wiedziałam, jak z nim pracować. Wiesz, czym bardziej znany aktor, tym bardziej się boi, tym bardziej jest rozdygotany, bo ma dużo do stracenia. Nie wiedziałam jak reagować: czy mam na niego krzyczeć, czy go głaskać? W końcu dałam mu wolną rękę. Lambert stanął przed tłumem, nie wiem, tysiąc trzysta, tysiąc czterysta osób, z czego jakieś pięć pierwszych rzędów to sami Polacy, i powiedział homilię głosem drżącym, jakby płakał. Mnie wydało się to strasznie fałszywe, zresztą czułam, że ludzie odbierają podobnie. Powiedziałam mu wtedy: "to oni mają płakać, nie ty; ty musisz być twardy, to co mówisz ma być spokojne i wtedy będzie mocne". Inną radę dał mi ksiądz Faleńczyk, który w paru sytuacjach pomógł mi trochę. Powiedział: "nie, nie, nie, on nie jest skoncentrowany, bo on patrzy po wszystkich, a Papież, na przykład, jak przemawia, to wybiera sobie zawsze jedną osobę i mówi do niej, a wszyscy mają wrażenie, że mówi do każdego z nich". To jest widocznie jakiś chwyt, który trzeba zastosować, żeby samemu się skupić i uzyskać spokojną siłę. Wszystkie te uwagi pomogły Lambertowi. W końcu powiedział homilię tak, że go ludzie słuchali i czuło się napięcie.

Potem wyjechaliśmy, by kręcić po całej Francji i okazało się, że Chris to bożyszcze. Oblegały go tłumy, kilkaset osób jeździło karawaną za nami. Wszędzie we Francji, gdziekolwiek byśmy nie byli, bez przerwy musiał podpisywać autografy, aż mu zabroniłam, z czego wynikała awantura, bo on z kolei nie chciał nikomu odmawiać. On wie, że jest dobrym chłopcem i bar-

dzo nie chce, aby ktoś pomyślał, że nim przestał być. Setki panienek jeździły za nami po całej Francji, spały w kłatkach schodowych, naprzeciwko hotelu, urządziły w nocy kocie orkiestry i krzyczały bez końca: Christoph! Je t'aime! Na szczęście zwykle znaleźli się elektrycy z ekipy, którzy spełniali swój męski obowiązek wobec tych panienek. W jakimś sensie mi to grało, to znaczy grało na postać ubeka, bo aktor, który go kreował, widział to i, jak każdy aktor, odczuwał pewien rodzaj zawiści...

- ...i jak każdy facet.

- No właśnie. Jak każdy facet!

- *Przejdźmy zatem do ubeka. To świetny aktor, jak go znalazłaś?*

- To dłuższa historia. Z obsadą tej roli miałam mnóstwo kłopotów. Moim pierwszym pomysłem był Ryszard Dreyfuss, nie wiem czy kojarzysz? W Stanach robił za dużą gwiazdę, potem wpadł w narkotyki, miał dołek, a teraz znów wschodzi.

- *Nie kojarzę.*

- W pierwszym okresie pracował u Spilberga. W "Szczękach" grał młodego naukowca, a w "Bliskich spotkaniach..." głównego faceta. Później występował w kilku komediach, które chyba nie dotarły do Polski, a ostatnio z Barbrą Streisand. To bardzo inteligentny aktor, bardzo dobry, szalenie wyrazisty.

Spotkałam go w zupełnie innych okolicznościach a on zaproponował, po prostu, że zagra. Ale właśnie wtedy jego filmy zaczęły robić duże pieniądze, naprawdę duże pieniądze, i z tego dnia na tydzień wiedziałam, że coraz trudniej będzie go mieć na określony termin i na sensownych zasadach finansowych. Ryszard robił wiele ustępstw, ale jednocześnie nie mógł zdecydować się na pełne zaangażowanie. Parę razy przesuwaliśmy datę kręcenia z jego powodu, aż zrozumiałam, że nie mogę dłużej czekać. Miałam dobry instynkt, ponieważ Putt potem wyleciał. A poza tym rozżościło mnie to, no bo myślę - nie można być dziewczicą i mieć dziecko, to się udało tylko raz. Powiedziałam: "albo podejmujesz ryzyko finansowe i artystyczne łądząc się w taki film, albo rób komedie, trudno".

No więc rozstaliśmy się. Columbia i producent poszli na to, że poszukam kogoś innego. Zrobiliśmy listę dziesięciu czy dwunastu aktorów amerykańskich, bo wiadomo było, że musi być jakiś element na Amerykę. Oglądając kasety zobaczyłam wśród innych Eda Harrisa i od razu wiedziałam, że jest najlepszy, że bardzo bym chciała z nim pracować. Ale jak do niego dotrzeć? Wiesz, tam jest bardzo dużo szczebli: agenci, adwokaci i tak dalej. Żanim się dotrze do znanego aktora mijają tygodnie, czasem miesiące. A czasu mieliśmy już bardzo mało.

I oto, przypadkiem, znalazłam w Paryżu kontakt do Harrisa. On kiedyś kręcił film we Francji i miał osobistego kierowcę, Jugosłowianina, z którym bardzo się zaprzyjaźnili. Odnaleźliśmy tego szofera; szofer przeczytał scenariusz i stwierdził, że może być. Zadzwoił do Eda, który po tygodniu powiedział, że go to bardzo interesuje. Pojechałam do Stanów, spotkaliśmy się i od samego początku miałam z nim naprawdę wyjątkowy kontakt. Rzadko którego aktora tak lubię, jak Eda. No, ale po następnym tygodniu okazało się, że jednak Harris nie, bo jednocześnie zaproponował mu film de Niro, a to jest dla niego zbyt duża szansa.

Wpadłam w rozpacz. Wróciłam do Francji zniechęcona. Znowu zaczęłam szukać, znowu oglądać jakieś taśmy, znowu trzeba było wynajdywać jakiś szoferów, ale tak naprawdę już żaden inny aktor po Harrisie mi się nie podobał. Nagle cud! Dzwoni Ed i mówi, że jednak tak, to znaczy, że film z de Niro można przesunąć i jeśli ja nikogo nie znalazłam to on jest gotów. Byłam szczęśliwa. Wyjechałam na wakacje, a tam dostałam telefon z Columbii, że muszę przyjechać do Stanów, żeby się spotkać z aktorem. Okazało się, że oni ze swojej strony zaangażowali innego gwiazdora, większego niż Ed. No więc znów znalazłam się w fatalnej sytuacji. Musiałam do nich pojechać, rozmawiać z tym aktorem, ale w końcu wyszło na moje.

Ed od razu zabrał się do roboty. To dość szczególne doświadczenie obserwować, jak on pracuje. Najpierw pojechał do Polski i odbył taką małą dokumentację, czyli spotkał się z mnóstwem ludzi. Myślę, że to było dla niego bardzo istotne, ale też mocno go wystraszyło. Widzisz, bardzo trudno jest aktorowi grać postać-monstrum, szczególnie aktorowi amerykańskiemu. W Stanach widownia reaguje w sposób dziecinny, to znaczy jeśli ktoś gra złego, to nigdy nie będzie miał jej sympatii. W Polsce Ed nagłe zobaczył, że dla całego narodu postać, którą on gra, symbolizuje coś najgorszego. Po powrocie zamknął się w sobie, czytał o Polsce co się dało, zaczął pić tylko polską wódkę, chodzić w kostiumie i do tego stopnia przypominał komunistycznego uboła, że w kościele polscy statyści wzięli go za szpiega z konsulatu. Więc, jak widzisz, to jest aktor, który musi wejść w sposób niemal schizoidalny w graną postać. To graniczy, sądzę z pewnym niebezpieczeństwem dla jego psychiki i jest bardzo kosztowne. Związszca, że Harris jest człowiekiem wrażliwym, inteligentnym i uczciwym, a kiedy grał sceny brutalne, no to nie można było podejść do niego bez kija. Byłam jedynym wyjątkiem, inni, po prostu się go bali.

Ed skonstruował sobie pewien stosunek do Lamberta, który był odbiciem relacji między ubołem a księdzem. Oczywiście pomógł mu w tym kult Lamberta, który był wszędzie: na afiszach, na plakatach, na okładkach gazet i magazynów, na ustach panienek. Oczywiście po zdjęciach udawali przyjaźń, ale tak naprawdę to zaczęłam się lękać, że w trakcie sceny morderstwa Ed zrobi Chrisowi krzywdę. Na wszelki wypadek przesunęłam tę scenę na koniec zdjęć.

- *Ale i tak Harris połamał Lambertowi obojęzyczność.*

- No tak, ale to nie była wina Eda. Lambert nie był rozgrzany, upadł w trakcie pałowania i zerwał sobie nawet nie obojęzyczność, ale cały bark. Miał potem bardzo poważną operację. Z tym wypadkiem związana jest śmieszna historia. Otóż zawieźliśmy Chrisa na pogotowie, a lekarze natychmiast rzucili się i zaczęli mu zmywać krew z głowy. On mówi: nie, to nie tutaj, to ramię"; a oni mówią: "najpierw głowa". Nie zorientowali się w pierwszej chwili, że to charakteryzacja, z czego charakteryzator, jak się domyślasz, był potwornie dumny.

Wracając do Eda, myślę, że jego oryginalna metoda nie zawsze przynosi efekty. Jest taka znana anegdota o tym, jak Lawrence Olivier grał z Dustinem Hoffmanem, który reprezentuje tę samą co Harris szkołę Actors Studio. Polegała na totalnym przygotowaniu psychofizycznym. Jest to po prostu wejście w rolę pod każdym względem. Wtedy robili "Maratończyka", nie wiem czy pamiętasz ten film, była w nim taka potworna scena jak den-

tysta katuje Dustina przez jamę ustną. Hoffman przyszedł na zdjęcia blady, zielony wychudzony, prawie jakby miał zemdleć za chwilę. Sir Olivier pyta: "co ci się stało chłopcze, dlaczego tak wyglądasz?" Dustin: "nie spałem od tygodnia, zimną wodą się biczowałem, nic nie jadłem, ciągle wymiotuję". - "Dlaczego?" - "Przygotowuję się do sceny". Na co Olivier: "A gdybyś spróbował metod aktorskich, są znacznie prostsze".

- *Porozmawiajmy teraz o samym filmie. W jego kulminacyjnej, moim zdaniem, scenie ubol dzwoni do księdza i ostrzega go przed planowaną zbrodnią. Dlaczego?*

- Ta scena w swoim założeniu miała pozostać pewną tajemnicą. Myślę, że on sam dokładnie nie wie, dlaczego to robi. Jest kilka powodów, z których każdy może być prawdziwy. Cóż, tak to właśnie bywa w takich sytuacjach; w każdym razie - tak może być.

Oczywiście nic o tym nie wiem, żeby taka scena odbyła się naprawdę, choć skądinąd wiadomo, że zarówno ksiądz Jerzy, jak i działacze opozycji otrzymywali podobne telefony: skrzyżowanie anonimowych pogroźek i ostrzeżeń. Telefony te miały różny cel i były, myślę, motywowane różnymi powodami. Ale głównie chodziło o pewien rodzaj prowokacji, pewien rodzaj zastraszenia.

Ubol chce zniszczyć w księdzu siłę, której się boi; siłę, która sprawia, że jego własne życie jest puste. Jeśli przetraszy księdza, nie będzie musiał go zabijać.

Z drugiej strony wie, że jeżeli zadzwoni i uprzedzi o planowanej zbrodni, to ksiądz będzie musiał pojechać. Inaczej dałyby dowód, że się boi, a przecież tacy ludzie nie mogą się bać telefonów, bo byli by sparaliżowani, prawda? Więc ubol dzwoni, żeby się upewnić, że tamten pojedzie. Myślę, że jest to ambiwalencja, którą sobie w tej postaci założyłam, chociaż nie wiem, czy prawdziwa postać miała tego typu komplikacje uczuć, ale to nie jest dla mnie takie istotne. Ta komplikacja istnieje w świecie władzy w sposób bardzo wyraźny, jest to jakaś jej prawda generalna, prawda psychologiczna, czy też... metafizyczna.

No a poza wszystkim innym ogarnia ubola zwykły ludzki lęk, gdy widzi, że rozkręcił maszynę zbrodni, maszynę, która może również zmienić jego los, prawda?

- *Film ma dwóch bohaterów: pozytywnego księdza i negatywnego ubeka. Czy obraz tak skonstruowany nie jest zbyt czarno-biały? Czy nie bałaś się, że ci wyjdzie westem?*

- Oczywiście bałam się! Ale z drugiej strony spotkałam się z zarzutami, że film jest za mało czarno-biały, że ubek jest zbyt skomplikowany i za bardzo ludzki, a nawet ma momenty, kiedy jest wręcz sympatyczny. Zastanawiałam się dlaczego tak trudno zrobić dzisiaj film polityczny, który by kontaktował emocjonalnie z widzem. Jednym z głównych powodów jest chyba to, że na terenie polityki bardzo mało spotykamy sytuacji, kiedy wyraźnie widać walkę dobrego ze złem. Większość zdarzeń w dzisiejszym świecie jest niejasna, raczej są podzielone i można pokazać, co najwyżej, walkę gorszego z jeszcze gorszym, albo złego z gorszym, albo trochę lepszego z trochę gorszym i tak dalej. Widz natomiast potrzebuje sytuacji klarownych, ponieważ musi mieć możliwość identyfikacji z ewidentną prawdą. Zabójstwo księdza Jerzego dlatego tak, między innymi, poruszyło

ludzi, że wyraźnie zobaczyli gdzie jest dobro, gdzie zło. To było jednoznaczne, tutaj nie mogło być mowy o relatywizacji. Dlatego starałam się skomplikować psychologicznie postacie. Oczywiście znacznie łatwiej poszło mi z mordercą, niż z księdzem, który jest postacią tak czystą, że nie mogłam nic wymyśleć. Chciałam, żeby miał ludzki wymiar, żeby dręczyły go niepokoje, lęki, wątpliwości, ale główna rzecz, którą chciałam pokazać w tej postaci, to odczucie samotności. Ksiądz Jerzy był kochany przez tysiące, setki tysięcy ludzi, więc nie chodzi o samotność człowieka, który nie ma przyjaciół, ale o samotność wśród tłumu bliskich, samotność człowieka, który przyjął na siebie pewien los i uznał ów los za swój obowiązek, choć może na początku nie zdawał sobie sprawy z ostatecznych jego konsekwencji. Dopiero potem okazało się, że ten los jest losem męczeńskim. A on to czuł chyba wcześniej.

Poza tym w powołaniu księży, myślę, wpisany jest pewien rodzaj samotności zawarty w dogmacie celibatu, prawda?

- *No właśnie. Zastanawia mnie, postać Anny w filmie. Na spotkaniu w Gorzowie powiedziałas, że wątek erotyczny wprowadziłaś po to, by w pewien określony sposób odwołać się do widza zachodniego. Otóż wiele przypadków AIDS wśród amerykańskiego kleru sprawiło, że ksiądz na Zachodzie kojarzy się z pedalem. Ty zaś chciałaś, by ksiądz Alek był stuprocentowym mężczyzną. Myślę, że nie był to jedyny powód tego pięknego, skądinąd, wątku?*

- Nie, oczywiście nie był to jedyny powód. Gdyby to był jedyny powód to prawdopodobnie szukałabym jakiegoś innego rozwiązania. Wydawało mi się, że właśnie dla rozbudowania psychologicznego postaci księdza ten wątek może okazać się przydatny. Szczególnie w kulminacyjnej scenie między nim a dziewczyną, kiedy ona właściwie wyznaje mu miłość i prosi go o pocałunek. Prosi jak mężczyznę, nie jak kapłana. Następuje to w momencie, kiedy ksiądz Alek czuje, że pętla się zaciska. Provokacyjna spowiedź Anny jeszcze bardziej pogłębia jego samotność, a jednocześnie jest pewną pokusą. Widzisz, wydaje mi się, że pokusa jest czymś ciekawym, ludzkim i przynależy niejako do myślenia o księdzu. Ale oczywiście powód, o którym mówiłam w Gorzowie, odegrał pewną rolę.

W pierwszej wersji scenariusza nie miałam tego wątku. Postać księdza była wyraźnie bledsza niż postać ubeka, a jednocześnie zorientowałam się, że może nastąpić nieporozumienie. Otóż głównym motorem dramaturgicznym tego filmu jest stosunek ubola do swojej przyszłej ofiary. Stosunek ten od początku nabiera cech obsesyjnej mieszanek fascynacji i nienawiści. Jest to tak mroczne i intensywne uczucie, że w jakimś sensie ma ono jakby konsekwencje erotyczne. Czy może konotacje erotyczne. Bałam się, że jeżeli zostawię księdza zupełnie bez kobiety w pobliżu, bez możliwości zobaczenia jego reakcji na kobietę, to będzie groziło nieporozumieniem, że to jest film o dwóch pedałach. Jest tam przecież jeszcze postać jego przyjaciela, tego szofera, jeden nocuje u drugiego, więc sam rozumiesz. Jak się robi taki film dla zachodniego widza to trzeba bardzo uważać.

Toteż uważałam bardzo, choć oczywiście nie chciałam robić tego filmu na kolanach, bo nie uważam, żeby to była skuteczna metoda. Jak w tej anegdotce: " - Ty mnie nie maluj na kolanach, ty mnie maluj dobrze" - powiedział Pan Bóg do pewnego bigote-ryjnego malarza.

- *Dlaczego łatwiej pokazać dobro niż zło? Czy jest ciekawsze?*

- Diabeł już od początku naszej kultury budził więcej pytań niż anioł, prawda? Nie mówiąc o tym, że anioł bardzo łatwo daje się zamknąć w banalnym oleodruku, w stereotypie kiczu. W anielskości jest założona niepodzielność postaci, natomiast zło bywa albo niezrozumiałe i wtedy budzi ciekawość, albo skomplikowane, i wtedy budzi lęk.

- Na spotkaniu w Gorzowie pojawiły się zarzuty o nieprawdziwość niektórych scen. Pamiętasz zapewne dziewczuszkę, która zakwestionowała wiarygodność postaci księdza, a ktoś inny scenę w więzieniu z młodym chłopakiem skazanym na karę śmierci. Każdy oczywiście ma prawo do własnego widzenia rzeczywistości, ty też...

- ...zawsze myślałam, że mam to prawo, i że to prawo jest nawet moim obowiązkiem. Jeśli robię jakiś film, jeśli mam tę hucpę, tę odwagę, tę zaciętość, by przejść przez całą trudną drogę od pomysłu do realizacji to tym bardziej mam prawo do niezależności. Widzisz, na Zachodzie ta droga jest w jakimś sensie znacznie bardziej skomplikowana, ponieważ trzeba przekonać bardzo dużo osób, żeby włożyli w twój talent i tak dalej... I jeśli udaje mi się przekonać tych ludzi, to tylko dzięki, że mam coś szczególnie ważnego do powiedzenia. Coś szczególnie ważnego, czy może szczególnie oryginalnego, szczególnie pięknego, szczególnie osobistego, czy szczególnie... w ogóle. Gdybym w tym momencie zaczęła liczyć się ze względami zewnętrznymi, gdybym robiła to na jakieś zamówienie, wszystko jedno: mecenasa, czy vox populi, to zapłatałabym się w taką ilość uwarunkowań, lęków, kompromisów w końcu, że prawdopodobnie nic dobrego by z tego nie wyszło. Po prostu straciłabym się niezbędna, by tych wszystkich ludzi animować. W gruncie rzeczy prawo kogoś, kto chce się wypowiadać poprzez film, literaturę, czy malarstwo jest nieomalże nieograniczone. Oczywiście zakładam pewne bariery jak Lech Wałęsa w swoim przemówieniu - bariery etyczne. Natomiast prawo do własnego widzenia w sensie artystycznym, filozoficznym i tak dalej jest bardzo szerokie.

Wychodząc z takich założeń przystąpiłam do pracy nad filmem i nagle zetknęłam się z rzeczywistością, z której wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, ponieważ pierwszy raz robiłam film dotyczący sprawy tak powszechnie znanej, tak powszechnie bolesnej, tak powszechnie istotnej; sprawę, do której tak wielu ludzi rości sobie prawo własności. Muszę powiedzieć, że gdy to zrozumiałam, miałam bardzo trudne momenty. Parę razy zadałam sobie nawet pytanie, czy to była słuszna decyzja, żeby robić taki film. Od początku oczywiście wiedziałam, że nie zrobię filmu, który zadowoli wszystkich. Zresztą nie wierzę w możliwość czegoś takiego chyba, że jest to socrealizm. Albo socrealizm a rebours, który w sytuacji kompletnego kryzysu odpowiada na konkretne potrzeby, na przykład, na potrzebę upraszczania rzeczywistości, która jest zbyt skomplikowana, żeby ją można było unieść, prawda?

Trudno jest zrobić film, który dotyczy doświadczenia zbiorowego, a jednocześnie pokazuje prawdę obiektywną. Istnieje przecież tyle różnych namiętnych punktów widzenia, że zawsze jakiś zostanie zraniony, nieusatysfakcjonowany.

- A nie obawiałaś się braku bezpośredniego kontaktu z rzeczywistością, o której twój film opowiada, tego, że może do końca czegoś nie wyczujesz?

- Możesz robić film nie wyjeżdżając z Polski i czegoś nie wyczujesz, rozminiesz się z pewnym doświadczeniem, które inni uznają za prawdziwe. To się zdarzyło kilku moim kolegom, którzy ambitnie podjęli próbę robienia takich filmów. Na przykład Krzyśkowi Kieślowskiemu, którego film "Bez końca" był bardzo źle przyjęty. Przydarzyło się to również Wajdzie w "Człowieku z żelaza", który, nie wiem czy pamiętasz, ale w momencie, kiedy był pokazany, w okresie "Solidarności", wzbudził bardzo mieszane reakcje. Wiele osób, łącznie z bohaterem, że tak powiem - moralnym, czyli Wałęsą, było raczej niezadowolonych. Pamiętam mnóstwo rozmów o tym, że to nieprawdziwe, a KOR nie był taki, a "Solidarność" nie taka, a ubek nie taki i tak dalej... Sam więc widzisz, albo rozminiesz się z prawdą, albo nadziejiesz się na taką polską cechę, dzięki której każdy uważa, że ma receptę na prawdę. Musiałam więc poszukać dla siebie nowego stylu do opowiedzenia tej historii; znaleźć formę dla pokazania jednej rzeczywistości przez inną.

Wiedziałam, że mam nakręcić we Francji film z amerykańskimi i francuskimi aktorami grany po angielsku; film, którego akcja dzieje się w Polsce i dotyczy jej najnowszej historii; wreszcie film przeznaczony dla zachodniego widza.

Wiedziałam, że jedna rzecz na pewno mi się nie uda. Nie uda mi się taki jakby paradokumentalny naskórek rzeczywistości. Nawet gdybym włożyła bardzo dużo wysiłku i odrobiła wszystko szalenie dokładnie, łącznie z ekspresją aktorów, co jest właściwie prawie nie możliwe, to i tak zdradzi mnie język. Byłaby to szyfrowa praca. A zresztą, szczerze mówiąc, nie bardzo mnie to interesowało, bo to co naprawdę zaintrygowało mnie w tej historii, to jej wymiar uniwersalny, niemal biblijny w jakimś sensie. Jest to przecież historia ludzkiej tragedii w wymiarze metafizycznym.

A z drugiej strony wiedziałam, że nie mogę zrobić filmu namaszczonego i nudnego, bo nikt nie będzie go chciał oglądać, nawet jeśli jego intencje będą jak najszlachetniejsze, i nawet jeśli nikt nie będzie mógł się przyczepić do żadnego guzika, prawda?

Wiedziałam więc na koniec, że muszę znaleźć coś, co jest pewną teatralizacją, co polega na swoistym przesunięciu stylistycznym, przełożeniu sensu na inną siatkę znaczeń. To przesunięcie wywołało szereg nieporozumień ze strony części krytyki, która jakby nie rozumiała o co chodzi. Konwencja kina ostatnich piętnastu lat odzwyczaiła nas od tego typu zabiegów.

- Andrzej Wajda w "Tygodniku Powszechnym" napisał z okazji twojego przyjazdu do Polski, że film "Zabić księża" jest ostatnim dziełem "szkoły polskiej"...

- Mnie to szalenie wzruszyło. Po pierwsze - jest to wielki komplement, gdyż "szkoła polska" była, według mnie, wartościowszym nurtem, niż "kino moralnego niepokoju". Po drugie - uciekłam się, że Wajda, który jest dla mnie osobą niezwykle ważną, zrozumiał to, co ja, może nie całkiem udolnie i nie do końca świadomie, starałam się zrobić, i co on właśnie robił w swoich wielkich filmach okresu "szkoły polskiej". To znaczy starałam się znaleźć jakby przekładkę na rzeczywistość, stworzyć pewien świat, który nie jest kalką rzeczywistości, ale który jest jej stylizacją. "Kanał", dla przykładu, był takim filmem. Jeszcze z dzieciństwa pamiętam spory na temat "Kanału"; mówiło się, że to mit, że Powstanie Warszawskie nie tak

wyglądało. U Wajdy nastąpiła pewna hieratyzacja, jakby oczyszczenie z wielu rzeczy, które same w sobie były na pewno fantastycznie ciekawe, prawdziwe i tak dalej, ale nie pasowały do wizji artystycznej. Mimo to film pokazał głęboką prawdę o tamtej sytuacji, prawdę potraktowaną autorsko. W tym sensie, myślę, mój film nawiązuje do "szkoły polskiej".

A wracając jeszcze do filmów, o których wcześniej mówiliśmy, nie uważam, żeby były kompletnie nieudane. To znaczy "Człowiek z żelaza" nie należy do moich ulubionych filmów mimo, że pisałam do niego szereg scen, ale jednocześnie jest to dokument swojego czasu; nawet jeśli nie jest wierny rzeczywistości. to dokumentuje pewien stan świadomości. Właściwie "Kobietę samotną" zrobiłam jako wyzwanie, jako rodzaj prowokacji przeciwko "Człowiekowi z żelaza".

Podobnie z filmem Kieślowskiego. Wiesz, ja bardzo, bardzo lubię Krzysztofa, to jeden z moich najbliższych przyjaciół i bardzo mnie obchodzi, co on czuje. Odebrałam "Bez końca" jako osobisty zapis klinicznej depresji. Jeśli popatrzysz z tego punktu widzenia, to jest to film bardzo interesujący. Oczywiście można powiedzieć, co mnie obchodzi depresja pana Kieślowskiego, no ale jego depresja była częścią pewnego stanu ducha, który wykraczał poza jego prywatną osobę, prawda? A że nie jest to arcydzieło, cóż... Coś się stało z filmem polskim, że w ciągu ostatnich kilkunastu lat nie powstało jakieś bezsprzeczne arcydzieło.

- *Polityczne, czy w ogóle arcydzieło?*
- W ogóle arcydzieło.

Gdańsk, grudzień 1988

rozmawiał MARIUSZ WILK

Marek Adamiec

OLABOGA, PANIE KONWICKI...

Tadeusz Konwicki jest twórcą sprawiającym rozmaite kłopoty. Przede wszystkim uczestniczy od lat w dwu obiegach: oficjalnym i nieoficjalnym, przysparzając tą swoją postawą niemało wątpliwości czy nawet zdecydowanie negatywnych argumentów zwolennikom puryzmu; pomijam już tu rozterki czytelników, nastawionych wyłącznie na jeden obieg, akceptujących tylko publikacje "nieoficjalne". Po wtóre, Konwicki nie jest tylko pisarzem, ale równocześnie reżyserem filmowym, a równocześnie ta jego wszechstronność styka się nieustannie z zarzutem monotematyczności lub ciągłego powielania tych samych motywów. I wreszcie ten pisarz zdecydowanie autotematyczny, jak powiadają niektórzy aż do przesady zagłębiany w swoich kompleksach i obsesjach, zwolennik narracji pierwszoosobowej, zdołał przez lata narzucić odbiorcom swój własny wizerunek, skąd się biorą chociażby mniej czy bardziej sensowne pomówienia o zakłamanie, kabotyństwo, minoderię - listę zarzutów można ciągnąć długo, i tak nie będziemy wiedzieli na pewno, które z nich wymyślił sam Konwicki w celu przedstawienia siebie jako m e c z e n n i k a współczesnej literatury polskiej.

Kalendarz i klepsydra kończy się następującym ostrzeżeniem: "Rok z Konwickim to prawie nagroda, pierwsza nagroda. Druga nagroda to dwa lata z Konwickim, a trzecia to trzy lata z Konwickim." Zrozumiałe, że w takiej sytuacji dłuższy okres obcowania z pisarzem nabiera charakteru kary, wytrzymać z samym sobą to już co najmniej d o z y w o c i e . Po tych rozważaniach pojawia się jakże charakterystyczne dla autora *Matej apokalipsy* "parsknięcie" czy "bluzgnięcie": "zegarek dudni niczym pociąg na spojeniach szyn. Bezsenność. Klepsydra pamięci. Płatki śniegu spadają z łoskotem na nieżywą ziemię. Gruzowisko rzeczy byłych i niebyłych. Co to kogo obchodzi. Co to mnie obchodzi." Pomińmy fakt, że ta depresja mogła mieć przyczynę natury fizjologicznej, skoro te zapiski rozpoczynają się na "ciężkim kacu", spodziewać się należy analogicznego zakończenia. W każdym razie do tej pory nie tylko na kartach *Kalendarza i klepsydry*, *Wschodów i zachodów księżycy* czy *Nowego świata i okolic* pojawiały się prowadzone z niemałym upodobaniem rozmowy Konwickiego z samym sobą, również i jego powieści zawierają niemało odautorskich monologów, rozbijających tok fabuły, sporo tu też rozmaitych obelg pod adresem własnym i innych. Obecnie Konwicki spotkał partnera, który nie ułaski się przestróg pisarza, jego odstręczającego portretu, podjął ryzyko ujęcia w karby jego monologu, często przecież pogmatwanego i zdradliwego jak zakola Wilejki. Zdecydował się wytrzymać z nim dłużej, niżli tego wymagało przeprowadzenie wywiadu. Chwała mu za odwagę, której wynikiem jest *Pół wieku czytania...*

O organizatorze tych rozmów powiedzieć mogę niewiele. Czytając w 49 numerze "Aneksu" niezłą recenzję *Bohnia* pt. *Romans z nicością*, znalazłem następującą notę o autorze: "Stanisław Nowicki - krytyk literacki. Ogłosił *Pół wieku czyśca. Rozmowy z Tadeuszem Konwickim*. /Wyd. Aneks 1986/. No cóż, takie błędne koła są nierozweralnie związane z twórczością autora *Sennika współczesnego*; nadto w chwilach szczególnej irytacji pisarz wymyśla swemu rozmówcy od "doktorów" /zapewne filologii polskiej/. Natomiast okoliczności powstania książki tak prezentuje sam Nowicki: "/.../ rozmowy z Tadeuszem Konwickim powstały na przełomie wiosny i lata 1984 roku jako efekt kilku spotkań zarejestrowanych na taśmie magnetofonowej. Wstępnym ich celem miało być uzyskanie materiałów do celów archiwalnych, niemniej przekonanie o potrzebie udostępnienia czytelnikowi rozważań tego wybitnego pisarza i reżysera skłoniło mnie do zredagowania wersji książkowej. Dążąc do kompletności intelektualnego i biograficznego portretu Tadeusza Konwickiego zdecydowałem się wkomponować w tę książkę - bez wiedzy i zgody reżysera - materiał dźwiękowy z filmu Andrzeja Titkowa pod tytułem *Przechodzień. /.../*

Ponieważ suchy tok książkowego dialogu nie oddawał w pełni emocjonalnych napięć, a nieraz żartobliwych lub impulsywnych reakcji obu rozmówców, toteż pragnąc choćby w pełni zrekompensować sytuacyjny kontekst rozmów wzbogaciłem tekst o zwłękę, wtrącone w nawias komentarze." /s. 3/

I jeszcze jedna, ważna uwaga: "Tytuł książki został zaproponowany przez Tadeusza Konwickiego." /ibidem/

Przyznać się muszę, że lektura tej książki - miejscami bardzo irytującej przez dominację koturnowej stylistyki uczonych dysput - przyniosła mi bardzo mało efektów, o których nie wiedziałbym wcześniej. To nie pycha przeze mnie przemawia, ale jako takie oczynianie w twórczości Konwickiego, znajomości filmu Titkowa czy sporej ilości wywiadów pisarza. Po wtóre, przyjdzie się jeszcze nad tym zastanowić, czy w ogóle tak popularne ostatnio r o z m o w y z t w ó r c a m i mają na celu dostarczenie nowych informacji /szczególnie w ich polskiej wersji/. W każdym razie wiele z wypowiedzi Konwickiego jest powtórzeniem jego wcześniejszych konstatacji z powłóci lub prozy autobiograficznej - można się nawet pokusić o dokładną lokalizację poszczególnych sformułowań. Nie mam zamiaru bynajmniej oskarżać pisarza o autoplgiat, świadczy to raczej o jego konsekwencji lub też o... zręcznym sterroryzowaniu interlokutora.

Owe tytułowe p ó ł w i e k u c z y ś c a tworzą następujące etapy, wyodrębnione w rozdziały /mniemam, że już przez Nowickiego/: *Dolina, Wileńska wojna, Nowe życie, Narkotyki filmu, Świat zdegradowany, Kobieta i mężczyzna, Gry i determinacje, Buchalteria niezależności, Fałszy i męka*. To kolejne ogniwa biografii pisarza, w równocześnie "przekłete problemy", przewijające się przez całą jego egzystencję. Zastanawiam się, czy przypadek zadecydował o tym, że jest ich akurat d z i e w i e ć. Otóż Danteski *Czyściec* narusza ład dziewiątkowy *Boskiej komedii* - liczy s i e d e m tarasów, powyżej zaczyna się Raj ziemski, poniżej znajdują się dwa kręgi piekielne, gromadzące fałszywych doradców, szerzycieli waśni, fałszerzy i zdradców. To zrozumiałe, iż *purgatorium* Konwickiego różni się i różnić się musi od dotychczasowych wizji artystycznych tego miejsca, a tym bardziej od doktryny kościoła katolickiego. Kwestia ta zaś nie ma nic wspólnego z teologią, wiąże się natomiast z autokreacją pisarza.

Czytelnicy jego książek znajdują się w świecie doskonale im znanym. I nie chodzi tu o nieomal legendarną, a jednak w pełni realną

Wileńszczyznę /którą ukazują niektóre z zamieszczonych fotografii/, ale o krąg głoszonych przezeń wartości. I to począwszy od cokolwiek niejasnego wyznania autobiograficznego: "Jestem /.../ /s. 10/ - problematyka zawikłanej genealogii jest wszak stale obecna w powieściach autora *Bohinita*. A skończywszy chociażby na następującej definicji: "Grzechem nazywam fakt, że po zbudowaniu sprawnej cywilizacji, po tysiącach lat pracy filizofów i moralistów, po skodyfikowaniu norm ludzkiego współżycia, po postawieniu na racjonalizm i po przygotowaniu się do rywalizacji z Bogiem w zarządzaniu wszechświatem nagle i niespodziewanie z ludzkości wyłonilo się bydło! Człowiek stworzył obozy oraz żagry, mordy zaczęły się liczyć nie na tysiące, lecz na miliony ofiar. W ten sposób ludzie się unieważnili i na powrót przemienili w bydło. To jest ten grzech!" /s. 137/ Tego typu radykalne sądy etyczne, sformułowane przez "człowieka starej daty", czy - jak sam o sobie wielokrotnie powiada - "zakutego Wilniuka" czytelnicy Konwickiego znają doskonale, nieobcy jest mu przecież ton mentorski, nieustannie powroty do wartości etycznych, wyniesionych z Wileńszczyzny, czy z Litwy są typowe dla jego prozy. Stąd też niekiedy całe fragmenty wypowiedzi pisarza sprawiają wrażenie już s i y - z a n y c h, nieco tylko inaczej sformułowanych, pasja i bezkompromisowość pozostają te same.

Niekiedy znów rozmowy Nowickiego z Konwickim powolnie się wloką, podszyte są wyraźnie "polonistyką" /nie zawsze w najlepszym wydaniu/, sprowadzają się do poszukiwania komentarza wyjaśniającego konkretne motywy czy obrazy, dominuje rzeczywistość archiwalistyczna. Być może, potrzebna za kilkanaście lat, gdy w ramach usuwania "białych plam" problematyka historii najnowszej zostanie gruntownie zagmatwana przez powołane do tego komisje; obecnie jednak cokolwiek nużąca i irytująca, graniczy bowiem z pytaniem "co pan chciał przez to powiedzieć".

Nader szybko rozmówcom udaje się porzucić tę stylistykę, zmieniają gruntownie tonację swych wypowiedzi, zaczyna się... zupełnie inna rozmowa:

K/onwicki/: /głośno krzyczy/ Pan jest straszny mądrala! Ex post zawsze jest łatwo mędrkować!!

N/owicki/: Pan na mnie znowu krzyczy!

K/onwicki/: Pan na mnie też krzyczy, a na dodatek wygaduje-Pan na mnie jakies świństwo! /.../

K/onwicki/: Nie mogę z Panem rozmawiać, bo Pan jest okropny cynik." /s. 137/

Mimo ponawianych wielokrotnie deklaracji z obydwu stron, nie dochodzi na szczęście do "zerwania dialogu". Taki krzyk, często bez dania racji, na bardzo wysokim diapazonie, graniczący bez mała z rękoczynami, znam bardzo dobrze z autopsji - o ile wypada obgadawać swoją rodzinę po kądzieli; w końcu obecnie nie miejsce po temu, by snuć rozważania o zjawisku "ducha człowieka ze Wschodu".

Dla mnie szczególnie ważne były te epizody, kiedy Konwicki jest - wedle bardzo łagodnego określenia swego interlokutora - "wyproszony z równowagi". Tak jest, gdy rozmowa zbacza chociażby na temat powieści pt. *Rojety*:

K/onwicki/: /.../ myśmy zostali złomotani! Mój oddział naprawdę ścigał Żydów w 1947 roku. To nie jest kłamstwo! Czy Pan nie bierze pod uwagę, że ja mogłem doznać... /zdenerwowany/. Założmy, że przecież rewolucja musi mieć swoje koszty! Wszystkim się wtedy tak wydawało! Dziś niepodanie marihuany tym narkomanom siedzącym na skwe-

rku jest zbrodnią z punktu widzenia humanizmu. Dziś świat jest roztkliwiony, a wtedy był znacznie surowszych obyczajów! Rozumie Pan! A teraz założmy, że napisałbym panegiryk. No, co by to miało być?! Przecież ja się musiałem rozliczyć! Nie odczuwałem żadnej lojalności, bo i wobec mnie nikt nie był lojalny! Nikt z dowódców o nas nie pomyślał! I co? Miałem napisać słodką, idiotyczną książeczkę o chłopcach, którzy chcieli walczyć?

N/owicki/: I naprawdę nie obchodziło Pana, że ta książka jest na rękę tym, którzy rozprawiali się z AK?

K/onwicki/:..... /milczy/

N/owicki/: Przecież poleał Pan wodę na młyn tym, którzy rozwalali AK

K/onwicki/:..... /milczy/

N/owicki/: Czy nie miał Pan żadnych wątpliwości pisząc tę książkę?

K/onwicki/: /krzyczy/ Pewnie, można powiedzieć: a po co o tym pisać!!! Po co przypominąć?! A nie czytał Pan w "Polityce" o tych osłach, którzy popisywali się, że zastrzelili Drewnowskiego?! Jesli już biorę się za pisanie, to by Pan chciał, żebym ja był Bartelskim lub Dobraczyńskim i klaszał w rączki /klaszcze/?! Ja chcę pisać o rzeczach bolesnych, a nie produkować paskudną, wstrętną, patriotyczną literaturę! To już lepiej, żebym pisał utwory probolszewickie!!! Wtedy przynajmniej za to czymś odpowiadam! Ciągle mnie nie znosili i nie znoszą. Chcą, żebym pisał w drugą stronę. Ale ja wiem, że nigdy nie napiszę w drugą stronę!

/.../

/.../ pewnie wszyscy byliby uradowani, gdybym upadł na twarz i powiedział "Kurwa, zgrzeszyłem"!!! Ale nigdy to się po mnie nie okaże!" /s. 55/

Od czasów opublikowania *Matej apokalipsy* Tadeusz Konwicki coraz wyraźniej sytuuje się w roli, którą znamy chociażby z powieści i filmów przygodowo-awanturnych o niezłomnym bohaterze, rola ta zamyka się w formule: "jeden przeciw wszystkim". Nie jestem pewien, czy w tym przypadku ta właśnie strategia autorska może być w pełni uznana za fortunną. Otóż osobiście coraz bardziej irytuje mnie manifestacyjne obnoszenie się z "hańbą domową", jaką było onegdajsze współzycie wielu pisarzy polskich z socrealizmem. I to "współzycie", mimo późniejszych tragedii /np. Borowskiego czy Brońskiego/ wcale zgodne; przypomnijmy, iż Konwicki był również autorem m.in. powieści pt. *Władza*, opowiadania *Przy budowie*, wydane go w "Bibliotece planu sześćdziesięcioletniego". To prawda, że ówczesnie nikt nie zmuszał pisarzy do wypisywania tych straszliwych bredni, jakie popełnili; co więcej: nie była to t y l k o literatura, ich dokonania miały niebagatelne znaczenie dla życia codziennego /w tym i plugawienia Armii Krajowej/. Dla mnie *Władza* jest równie obrzydliwa, jak *Popiół i diament* Jerzego Andrzejewskiego czy twórczość literacka Mariana Reniaka. To niebagatelny problem, przyznaję. Alić rzecz w tym, iż - po pierwsze, mówiąc dosadnie: gdyby "szmata" ludzka napisała arcydzieło, w ocenie interesowałby mnie wyłącznie wytwór, nie zaś prowadzenie się autora. Po wtóre - "rozliczanie" z przeszłości posiada dla mnie dość dwuznaczny wymiar etyczny, niekiedy przecież prowadzi do wykazania nieskazitelnosci "rozliczającego", niekiedy do pointy znanej z starej anegdoty: "a u was Murzynów biją". Niekonsekwentna postawa Konwickiego zasługuje na szacunek, chociaż życie nauczyło mnie nieufności wobec tych, którzy głoszą: "ja chciałem dobrze", ale może to łatwo być mądrym *post factum*. Nie wierzę też w to, że krzykiem da się kogośkolwiek przekonać, iż "pryszczę" noszone swego czasu z wielką dumą, nakładane z przymocą na twarze innych, również obecnie stanowią powód do chwały; lecz nie wiem również, czy uprzywilejowanie kryteriów etycznych przy ocenie estetycznej nie jest naszym pols-

kim /czy może raczej: wschodnioeuropejskim/ wkładem do dewastacji aksjologii. Na pewno sam Konwicki zachowuje się tu dość dwuznacznie, wszelako to jest udziałem wszystkich ludzi, którym na zasadzie klątwy powraca młodość /a wcale nie bezinteresowna/ miłość. Szkoda, że Nowicki nie wyszedł z roli prokuratora, i milczenie, i krzyk jego rozmówcy daje się w tej sytuacji opisać jako reakcja oskarżonego, który - wedle żargonu kryminalistów - "idzie w zaparte".

Rzekę podziemną, opublikowaną w roku 1984 /a więc chyba podczas trwania tych rozmów/ zamykało następujące przesłanie narratora: "Ból, cierpienie, męka. Jeszcze raz to samo. Znowu się ludzie męczą i męczą innych. Najokrutniejsze stworzenia tej galaktyki, a kto wie czy nie sąsiednich także.

/.../

Wszyscy tu się męczą. Otrute drzewa, zarzynane zwierzęta, torturowani ludzie. Wracam na tę ziemię od nowa zazielenioną i wita mnie jeszcze raz płacz i zgrzytanie zębów. /.../

Jeszcze przed nami straszna wieczność."

Ta świadomość jest również obecna w rozmowach pisarza z Nowickim, to rozumiałe, zważywszy na tytuł tej książki. Męka a staje się podstawową kategorią Konwickiego na opisanie ludzkiej egzystencji. Wiele tu jest z Dostojewskiego, przykrojonego do naszych polskich warunków, wiele z charakterystycznej dla Konwickiego skłonności do patosu; rozmaite jego utyskiwania i biadolenia znamy wszak skądinąd. Aliści niemało tu też stwierdzeń, które przekonały mnie. Tak jest chociażby w przypadku wypowiedzianego z całą premedytacją b l u ż n i e r s t w a: "/.../ moje życie jakby składało się z żałoby po śmierciach mężów opatrznosciowych. Dlatego dziś jestem przeciwko Ojcom Narodu. Jestem przeciwko kardynałom. Chciałbym, żeby u nas rządziły ciała anonimowe jak w Szwajcarii. Piłsudski umarł! I rozpacza, bo umarł Ojciec Narodu! /podnosi głos/ Nigdy się już nie wybieramy! Potem ginie Sikorski! Koniec! Nie ma przed nami życia! Ojciec Narodu umarł! Potem na zasadzie tego automatyzmu pojawił się Stalin /sarkastycznie i aktorsko/. Umarł i koniec świata! Ojciec nasz, Batuszka odszedł! Co z nami teraz będzie? /ze złością/ Dałoj z Ojcami!!!" /s. 71/ Szkoda, że w tym miejscu Nowicki: "zmienia temat, bojąc się wybuchu". Może istotnie, skoro życie jest straszliwą męką, męcząc siebie męczymy innych bezwiednie i bezmyślnie, to powinniśmy mu sprostać wyzbywając się iluzji, odrzucając krzepiące symbole.

Nie żałuje lektury tej książki, chociaż - jak powiedziałem wcześniej - nie zmieniła ona specjalnie mojego obrazu Tadeusza Konwickiego, skonstruowanego na podstawie innych jego wypowiedzi; nie przekonują mnie też wszystkie głoszone przezeń sądy i opinie - to chyba dobrze, trudno, byśmy i Konwickiego zaliczyli do grona Przewodników Duchowych Narodu Polskiego - obecnie mamy ich aż nadto.

Trzeba się również zastanowić nad tym czy w konwencji "r o z m ó w z ... " - tego szczególnego gatunku z pogranicza dokumentu, krytyki i literatury pięknej /pomijam tu fenomen książki Barbary Trojańskiej pt. *Oni*, chociaż już wahałbym się w przypadku *Konspiracy* /dominuje rzeczywistość funkcja poznawcza. Nie ma sensu obecnie odwoływanie się do rozmów Eckermanna z Goethem, wystarczy przypomnienie *Rozmów z Gombrowiczem* Dominique'a de Roux. Do popularności tej formy wypowiedzi przyczynił się u nas Jacek Trznadel czy Aleksander Fiut - uczestnik niekończących się seansów z Miłozszem. Wiem jedno, dużo zależy od uczestnika planowanych spotkań, od przygotowanych przezeń pytań, od jego zachowań. Może najlepiej rozwią-

zał tę kwestię Miłosz, czyniąc się zupełnie niewidzialnym w *Moim wieku*, może też Wat miał do powiedzenia rzeczy naprawdę ważne... Nie będę ukrywał, iż o moim sceptycyzmie w odniesieniu do tego gatunku decyduje w niemałym stopniu zawiść, z wieloma pisarzami, twórcami, myślicielami przeprowadzono już długie rozmowy. Ci którzy pozostali jeszcze nieobsadzeni, nie wydają mi się zbyt godni uwagi. Co więcej, mnie dosyć trudno - z rozmaitych powodów - przeprowadzić zaplanowaną ongiś rozmowę z Cyprianem Norwidem. Ale mam też zastrzeżenia natury merytorycznej, nie jestem pewien czy istotnie tak wiele wynika z owych dialogów, poza tym, że niekiedy znaleźć się mogą w sytuacji współuczestnika lub obserwatora. Wszelako peken też jestem sceptycyzmu wobec rozstrzygającego znaczenia tzw. rozmów na szczycie /bez względu na to, czy chodzi o "bzczyt" polityczny, ekonomiczny czy intelektualny wreszcie/.

Wiem też, że o słabościach *Pół wieku czyśćca*... zadecydowało to, iż Stanisławowi Nowickiemu nie udało się w pełni zapanować nad jego partnerem. Czy nad nim w ogóle można zapanować - to zupełnie inna kwestia. W każdym razie Nowicki potwierdził bardzo dużo tworzonych przez Konwickiego mitów i legend; zastanawiam się, czy do tego Konwickiemu był potrzebny jakikolwiek współpartner - chyba do stworzenia iluzji wiarygodności.

Po tych publicznych rekolacjach pozostaje zatem oczekiwanie na przygotowany przezeń obrzęd *Isiadów* /a przed tak doniosłym rytuałem nie zawadzi się i wypowiedać; w końcu grzechów odpuszczenie - to marzenie wszystkich, pokutujących w czyśćcu, nie jest to trudne przy niezbyt skrupulatnym sumieniu/...

MAREK ADAMIEC

listopad 1988

Mariusz Wilk

CZYTAJĄC "DZIENNIK" LEOPOLDA TYRMANDA

Jeden z moich znajomych powiedział kiedyś, że obraz powojennej Warszawy w "Złym" niczym nie ustępuje Warszawie z "Lalki" Bolesława Prusa. Inny znajomy zachęcając mnie do lektury "Filipa" rzekł: stary, to jest druga polska powieść po "Lalce", potem długo, długo nic i dopiero Sienkiewicz.

Oba te porównania przypomniałem sobie czytając "Dziennik" Leopolda Tyrmanda, dziennik będący zapisem pierwszych trzech miesięcy 1954 roku. Zapisem szczegółowym, dzień po dniu. I gdybym miał porównać do czegoś tę książkę, to chyba tylko do ... "Kronik tygodniowych".

Byłby więc Tyrmand felietonistą w "Dzienniku", felietonistą, o którym mistrz tego gatunku tak oto pisał w Warszawie pod datą 15 kwietnia 1875 roku: "Dzisiejszy felietonista musi być wszędzie i wiedzieć o wszystkim. Musi zwiędzać nowo zabudowujące się place, ulice pozbawione chodników, tamy, mosty, targi wełniane i wołowe, muzea, teatry, uczone psy i cyrkowe konie, posiedzenia różnych towarzystw akcyjnych, instytucje dobroczynne, jatki, łaźienki itd.". Niecałe sto lat później byłby wszędzie i o tym pisał młody człowiek o twardym nazwisku Tyrmand. Bywał na bazarach i stadionach sportowych, w pracowni mistrza krawieckiego i na bankiecie imiennym stołecznej kurwy, na obiadach w Związku Literatów Polskich i na balu karnawałowym u "dziennikarzy". Bywał wszędzie i codziennie późnym wieczorem skrupulatnie o tym pisał. Zapisywał wszystko: pijane rozmowy z Kisiem i opór komuny przed atakiem zimy, niewprawne pieszczoły szesnastoletniej Bogny, której dawał korepetycje z polskiego i wizyty sąsiadki Nuny, rutyniary od tak zwanego "druta", przebieg Drugiego Zjazdu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej na Bielanach i swoje włóczęgi ulicami miasta, znajomość z szulerem Szufładą i erotyczny wypad do Krakowa.

Tyrmand w pięćdziesiątym czwartym był nigdzie nie pracującym autorem jednej książki, a wcześniej kolejno: "guwernerem, ucho-dźcą, robotnikiem rolnym, instruktorem sportowym, spekulantem, urzędnikiem pocztowym, konspiratorem, pośrednikiem w handlu samochodami, policjantem, robotnikiem kolejowym, urzędowym tłumaczem z języków obcych, handlarzem środkami nasennymi, windziarzem, bibliotekarzem, kelnerem, pokerzystą, portierem hotelowym, specjalistą od centralnego ogrzewania, robotnikiem portowym, marynarzem, stewardem, więźniem politycznym, magazynierem, biuralistą, funkcjonariuszem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, korespondentem wojennym, dyplomata, dziennikarzem, radcą Ministerstwa Przemysłu Lekkiego, literatem, przedstawicielem administracji katolickiego tygodnika, współpracownikiem "Przekroju", twórcą Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego. Przed wojną studiował architekturę na Akademii Sztuk Pięknych w Paryżu.

Później, po napisaniu "Dziennika", przyjdzie niebawem sukces "Złego", wyjazd na emigrację, skandal towarzyski "Życia towarzyskiego i uczuciowego", wreszcie współpraca z konserwatywnymi pisarzami w Stanach Zjednoczonych i przedwczesna śmierć.

Niewielu w Polsce zna całą twórczość i życie Leopolda Tyrmanda. Dla większości pozostał warszawskim bikińiarzem i autorem jedyne go polskiego bestsellera. Gdy w 1980 roku Polonia Book Found wydała jego "Dziennik" - zawrzało. Mimo, że plotki sprzed ćwierć wieku, ale dotyczące żyjących jeszcze ludzi. Kogóż tam nie ma: Koźniewski, Kałużyński, Wanda Jakubowska, Turowicz, Woźniakowski, Strykowski, Herbert, Krzysztof Teodor Toeplitz i wielu, wielu innych. Toteż część literackiej publiki rzuciła się na te plotki jak na banany z przeceny, inni dostrzegli w "Dzienniku" rodzaj wspaniałego reportażu uczestniczącego o Warszawie pod rządami Bieruta, jeszcze inni zauważali kawał wyśmienitej literatury. Mnie zafrapowało coś innego.

Drugiego marca pięćdziesiątego czwartego Leopold Tyrmand napisał: "... im dłużej żyję, tym wyraźniej widzę, że prawdziwą samotnością człowieka jest samotność wobec losu, a nie innych ludzi". Wcześniej, w styczniu, pisze o samotności trochę więcej: "Wieczór. Czytam ten zeszyt i znów dobiega mnie fałszywy ton. Pełno tu ludzi i paradoksów, forma mojego życia wygląda żeń jak rozszumiana nieustannym ruchem i zaciekawieniem klatka. A gdzie jest pustka, którą czuję nieustannie wokół siebie? Gdzie samotność? Ja wiem, samotność to banał, dziś już wyciechany doszczętnie przez 300 lat introspektywnej literatury, lecz to nie czyni z niej nie-faktu. Jest przy mnie i wokoło mnie. Wiem o tym, bo nie rozczulam się nad sobą. To ta samotność, w której brak właściwych ludzi, czyli tych, których się chce lub pożąda, od których płynie świadomość nie-traconego istnienia. 'Przyjacioły opadłe w biedzie' to prawda, ale jej czcigodna, wieczysta aktualność gdzieś się wytarza przez wieki oczywistości. Konkretem jest wielogodzinne leżenie w łóżku, bez zmęczenia i bez ruchu, w otepiałej bliskości samego siebie, bez żadnej nadrzędnej konieczności, aby było inaczej. Jak pusto, jak pusto, mimo pozorów, że coś się kręci i świeci."

Samotność Tyrmanda w stalinowskiej Warszawie jest pełniejsza, niż samotność Filipa w hitlerowskim Franfurcie. Nic w tym dziwnego, wszak autor "Dziennika" ma jedenaście lat więcej i jest dojrzalszym mężczyzną. Dojrzałość zaś, to dystans do całego świata, do jego mieszkańców, a przede wszystkim - do samego siebie. Daleko Tyrmandowi do Kisiela, całe czterdzieści lat, ale już widać sznyt autoironii, ot, choćby w takim kawałku: "Mam blisko trzydzieści cztery lata, mężczyźni w moim wieku czują już pod stopami solidne fundamenty kariery, osiągnąć, dokonać. Niektórzy mają za sobą wyczerpany spektakularny i mnie mężczy głucho, nikczemna zawiść, że ja też bym mógł, też umiałbym, też wiedziałbym jak, a mimo to gniję w zatechłym trzy na dwa, na wąskim łóżku, ze żrenicami rozplyniętymi na suficie. Kto mi nie daje, nie pozwala, trzymaj za włosy? Historia? Komuniści?"

Tyrmand jest samotny tym specyficznym, jedynym rodzajem samotności. To samotność gracza, który cały świat traktuje jak zielony stół. Kolorowe skarpetki, szesnastoletnia kochanka, szeroki asortyment pańienek do brania, jazz i angielska literatura, pogardliwy stosunek do komuny okazywany jawnie, wręcz prowokacyjny /a nie zapominajmy, że rzecz dzieje się za Bieruta/. Wszystko to są karty, mocny układ do bluffa, choć nie wiadomo, czy aż tak mocny, by sprawdzać.

Tyrmand jest świadom swej odrębności również od tej strony. Bez zenady mówi o własnym wyrachowanym egoizmie, który sprawia, że "jestem gwałtów do ofiar dla ocalenia samego siebie, co oznacza lojalność dla tego, co wydaje mi się we mnie dobre i słuszne /.../ lojalność taka jest osobliwym imperatywem, w gruncie rzeczy metafizycznym i niezgłębionym, nakazującym mi, człowiekowi z natury trzeźwemu, ostrożnemu i samolubnemu, ryzykować codziennie i nieprzypadkowo".

"Dziennik" jest nie tylko zapisem ryzyka, dziennik ujawnia również prawdę Tyrmanda, a przynajmniej jej część. Jest to prawda, która "zaczyna się dopiero po trzydziestce i pierwszych bólach nerek". Przypuszczam, że każdy czytelnik inaczej tę prawdę dostrzeże, każdy wyczuje w "Dzienniku" własny smak, wszak jest on gęsty jak polska zupa. Dla mnie powtórna lektura Tyrmanda, to przede wszystkim satysfakcja z potwierdzenia kilku własnych spostrzeżeń. Choćby potwierdzenie tej prawdy banalnej, a jednak często nieuświadomianej przez ogół, a może nieuświadomianej do końca, do ostatnich konsekwencji, prawdy o brzydocie komunizmu. Komunizm dla większości, to totalitaryzm, ZOMO i SB, knebel cenzury, polska zjednoczona partia dyktatorów i administracja kretyńców. Komunizm to niewola, kajdany, które należy skruszyć, wyrwać murom zęby krat, żeby Polska była Polską.

Jedynie niektórzy zauważają, że komunizm to przede wszystkim choroba, choroba ludzi i ziemia, choroba śmiertelna - ziemia się z niej nie wyliże. Wystarczy zobaczyć wyłysiałe stoki Gór Izerkich, skażoną glebę wokół Płocka, zdewastowany rabunkową eksploatacją Górny Śląsk, zakręte rzeki w całym kraju.

Komunizm to choroba śmiertelna, a zarazem brzydka. Nie ma tu uroku dekadencji, ani mrocznej urody *fin de siècle'u*, jest za to buja suka na błotnistej drodze i nać kartoflana jak okiem sięgnąć. Tyrmand mówi o brudzie jako symbolu komunizmu. 15 stycznia zapisał: "Pamiętam jak Rosjanie przejeździł Wilno po Litwinach w 1940 roku bez krzyki rozgardiaszu. Czyste ulice, czyste skwery, czyste kina, kawiarnie, parki zanieczyściły się jakby w oczach, z dnia na dzień. Jak to się dzieje? Dlaczego place i teatry wzoraj jeszcze schłodne, dziś już są niechlujne, odrapane, zaplute? Dlaczego Warszawa, w którą ładuje się tyle pracy i pieniędzy, tapla się w mazi zimowego błota, z rezygnacją i bez protestu?" A 28 stycznia dodaje: "Brudne, prowincjonalne dworce i serce starej, zrozpaczonej kobiety stojącej trzeci dzień w ogonku po lekarstwo - oto mój komunizm."

Brud i brzydota świata mają tę właściwość, że zamieszkujący w nim ludzie stają się również brudni i jeszcze brzydsi. Wystarczy sobie uświadomić wpływ koszmaru architektonicznego na kształtowanie wyobraźni i wrażliwości powojennego pokolenia. Złuszczony tynk, groteskowe plomby, zaszczane bramy i podwórka, monstrualne szafy, mrowiska z betonu, miasta baraki. Skazani na dożywocie w tym obozie nie tylko nie wiemy, jak wygląda piękno, ale, co więcej, tracimy również miarę etyczną. Już starożytni Grecy twierdzili, że bez piękna nie ma dobra. Jest za to "cywilizacyjny niż w tym kraju, alkoholizm, zbrodnia, stopnienie człowieczeństwa, chuliganstwo".

Co w tej sytuacji pozostaje Tyrmandowi? Trudno przypuścić, by on jeden akurat był odporny na czerwonego wirusa, ale po pierwsze, pamięta jeszcze przedwojenną Europę, a po drugie, ma świadomość

domość choroby, może więc sporządzić jej zapis. Warsztat dziennikarski w tym wypadku jest niezbędny, jak również cynizm reportera - to specyficzne miejsce z boku, mimo rzeczywistości, mimo wszystko.

Forma "Dziennika" narzuca dwa skojarzenia: zapis intymny i poranną prasę. Jest w niej miejsce na subiektywną ocenę, liryczną refleksję, kronikę towarzyską "warszawki", wiadomości sportowe, recenzje filmowe, aktualności polityczne, wreszcie wątek na poły fabularny, czyli romans z Bogną.

Autotematyczne uwagi są rozsiane po całym "Dzienniku". Raz jest on "posepnym, gorzkim szczęściem samotnej walki", innym razem "rozkoszą codziennego buntu i plucia choćby w przestrzeń bez dna", jeszcze kiedy indziej "rekompensata, kuracją, środkiem uspokajającym, miltownem, morfiną, valium". 9 lutego Tyrmand pisze: "Tak więc dziennik dostaje ode mnie wszystko, co we mnie ważne i ciężkie".

Pozostaje, na zakończenie, zapytać o dwie jeszcze rzeczy. O "autentyzm" dziennika i jego odbiorcę. Pierwsza sprawa to: "Ponure pytanie. Fakt, że autentyczność zapisu jest z reguły jeszcze bardziej ugniatalna od prawdy, to banał, wszyscy o tym wiedzą./.../ Autentyczność jest miękka, daje się lepić jak plastelina, co bynajmniej nie wyklucza prawdy ani pogoni za nią, ani obowiązku jej przestrzegania. Decyduje wierność zasadniczym założeniom, a nie szminka stylu, która nieuchronnie ciut zaciera a ciut wzbogaca."

Natomiast czytelnik..? Cóż, "Dziennik ukazał się dwadzieścia sześć lat po napisaniu, ale komunizm w Polsce trwa nadal. Marzenie Tyrmanda o idealnym adresacie pozostaje więc dalej jedynie marzeniem: "Wolałbym za mych czytelników tych, którzy przetrwają komunizm. Ale tych także, co jeszcze nie zapomnieli jego trupiego ciężaru na grzbiecie i dławiącego uchwytu na szyi. To idealna publiczność, bezbłędny odbiorca. Taki tylko nasłodzi się naprawdę tym, co ja sam uważam w tym dzienniku za wartość - a mianowicie n i e u s t ę p l i w o ś c i ą."

MARIUSZ WILK

Cena 1000 zł